

NORA ROBERTS

**ZAKLEŃTE
UCZUCIA**

ZNIEWOLENIE

PROLOG

Urodziła się owej pamiętnej nocy, kiedy Drzewo Czarownicy runęło na ziemię. Od pierwszego oddechu czuła smak swojej władzy - upojny i zarazem gorzki. Jej życie miało stać się kolejnym ogniwem łańcucha równie długiego jak historia ludzkości; łańcucha mieniącego się blaskiem legend, podań ludowych i baśni, ale dopiero pod cienką warstwą pozłoty kryła się jego prawdziwa, odwieczna moc.

Nie tylko w Monterey, ale w wielu odległych zakątkach świata świętowano hucznie to wydarzenie. Wszędzie tam, gdzie nadal kwitła magia - pośród zielonych wzgórz Irlandii, na wrzosowiskach Kornwalii, kamienistych wybrzeżach Brytanii czy też w jaskiniach Walii - pierwszy płacz niemowlęcia powitano z radością.

Kiedy jej matka wydała ostatni krzyk bólu, stare drzewo umarło. Spełniła się ofiara, dzięki której nowa czarownica przyszła na świat.

W przyszłości wybór miał należeć do niej samej - w końcu każdy dar można odrzucić, przyjmując z wdzięcznością albo zmarnować. Na razie jednak była małym dzieckiem. Wymachiwała zaciśniętymi piąstkami, zanosząc się rozpaczliwym płaczem, kiedy uśmiechnięty ojciec po raz pierwszy pocałował ją w czoło.

Matka łkała ze szczęścia i z żalu. Wiedziała już, że tuli do piersi ich jedyną córkę. Jedyny owoc ich miłości.

Umiała patrzeć i rozumiała.

Kołysząc dziecko w ramionach, nuciła starą melodię i rozmyślała o tych wszystkich rzeczach, których będzie musiała się nauczyć. O błędach, które popełni. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia - za kilkanaście lat, które miną niepostrzeżenie - jej córka także zapragnie miłości.

Miała nadzieję, że z całej swojej wiedzy i doświadczenia, spośród wszystkich mądrości, jakie jej przekaze, Morgana zapamięta tę jedną najważniejszą.

Że źródłem najczystszej magii jest serce.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miejsce, w którym rosnęło Drzewo Czarownicy, upamiętniała kamienna płyta. Turyści czytali wyryte na niej słowa, podziwiali krajobraz, inni przychodzili odpocząć, popatrzeć na skaliste wybrzeże i wygrzewające się w słońcu foki.

Starzy mieszkańcy Monterey pamiętali niezwykle drzewo i przypominali młodszym, że w noc jego upadku urodziła się Morgana Donovan.

Niektórzy przekonywali, że to był palec boży, inni - wzruszając ramionami - twierdzili, że to czysty przypadek. Wszyscy zgadzali się co do jednego: trudno o lepszą reklamę „kolorytu lokalnego” niż samozwańcza czarownica, która przyszła na świat w sąsiedztwie czarodziejskiego drzewa, w noc, kiedy...

Nash Kirkland uznał tę opowieść za inspirującą i zabawną. A nie ulega wątpliwości, że do spraw nadprzyrodzonych miał wyjątkowego nosa. Wampiry, duchy i wilkołaki były jego chlebem powszednim: w sensie jak najbardziej dosłownym, bowiem robiąc o nich filmy, zarabiał na więcej niż dostatanie życie.

I nie zamieniłby tej pracy na żadną inną.

Czy wierzył w istnienie upiórów i czarownic? Nonsens. Wiedział, że ludzie nawet przy księżycu nie stają się wilkołakami, umarli nie wychodzą z grobów, a miotły nie służą do latania. Takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w baśniach i w filmach.

I całe szczęście. Jak to dobrze, że w książkach i w kinie wszystko jest możliwe.

Nash, człowiek trzeźwo patrzący na życie, jak mało kto zdawał sobie sprawę, że ludzie poza pracą potrzebują rozrywki. Tęsknią za czystą, oderwaną od rzeczywistości, iluzją. Lubią marzyć, śnić na jawie, bać się potworów.

On sam, stąpając mocno po ziemi, uwielbiał przecież fantazjować. Z okruczeństw ludowych przesądów i legend wyczarowywał scenariusze, którymi od siedmiu lat straszył i zachwycał publiczność.

A świadomość, że straszy skutecznie, sprawiała Nashowi ogromną, niemal fizyczną przyjemność. Od czasu do czasu pozwalał sobie na wyjątkową frajdę: z torbą prażonej kukurydzy wpadał do pierwszego lepszego kina na własny film, sadowił się wygodnie w ostatnim rzędzie i wzdychał uszczęśliwiony, kiedy ludzie kulili się z przerażenia, wydawali stłumione jęki albo zamykali oczy... Warto było się trudzić, myślał w błogim zadowoleniu.

Przed każdym kolejnym scenariuszem zamieniał się w tytana pracy. Studiował źródła z pedantyczną dokładnością, nie lekceważąc żadnego szczegółu. Pisząc na przykład „Krew o

północy”, spędził w Rumunii cały tydzień na rozmowach z człowiekiem, który przysięgał, że jest potomkiem w prostej linii Vlada IV - Wołoskiego Diabła, Księcia Drakuli. Nash nie pożałował wysiłku. Chociaż książęcemu potomkowi nie wyrosły kły ani nie zamienił się w nietoperza, jego wiedza o wampirach okazała się warta zachodu.

Tak właśnie powstawały scenariusze Kirklanda. Zaczynało się od przypadkowego pomysłu: legendy, którą usłyszał od jakiegoś nawiedzonego „potomka rodu” albo zwykłego gawędziarza. Potem mrówcza praca, podróże, grzebanie w źródłach, ślęczenie nad książkami.

I pomyśleć, że tylu ludzi uważa go za dziwaka... Nash uśmiechnął się pod nosem, wjeżdżając na Seventeen Mile Drive, drogę okrążającą pętlą półwysp Monterey. On sam wiedział, że jest zwykłym, trzeźwo myślącym facetem. Jak na Kalifornijczyka... Pisaniem horrorów zarabiał na życie. Wciągając ludzi w świat iluzji, świat przesądów i fobii, straszył ich na własne życzenie. I robił to najlepiej, jak potrafił.

Nash Kirkland umiał wyczarować na ekranie każde straszidło, powołać do życia dowolną ilość upiórów. Szlachetnego doktora Jekylla przeobrazić w odrażającego Mr. Hyde'a, albo uśmiercić bohatera klątwą faraona... Potrzebował do tego wyłącznie kartki papieru. Magia słów. Nic więcej. Może dlatego był cynikiem. Oczywiście bawiły go dreszczowce, opowieści o czarnej magii, ale nigdy nie traktował ich poważnie. Wiedział, czym są. Tworami fantazji. Bujdami, którymi potrafił sypać jak z rękawa.

Żywił cichą nadzieję, że Morgana Donovan, ulubiona czarownica Monterey, pomoże mu napisać kolejny scenariusz. Od kilku tygodni, mimo że zajmował się przeprowadzką i urządzaniem nowego domu, błędziła mu po głowie jedna uporczywa myśl: współczesna powiastka o czarnej magii.

Pogwizdując pod nosem zastanawiał się, jak też wygląda młoda czarownica. W turbanie na głowie, owinięta w czarną krepę? A może jest po prostu fanatyczką New Age?

Co za różnica. Tylko prawdziwi odmieńcy nadają światu barwę i smak.

Nash postanowił iść na to spotkanie bez żadnego przygotowania. Żadnej literatury fachowej na temat czarnoksięstwa. Wolał zabrać się do pracy z otwartym umysłem i czystą wyobraźnią. Wiedział tylko, że Morgana Donovan urodziła się w Monterey jakieś dwadzieścia osiem lat temu i że prowadzi sklep, w którym zaopatrują się amatorzy ziół, kryształów, magicznych kamieni.

Zamierzał jej pogratulować, że nigdy nie opuściła swojego rodzinnego miasta. Sam mieszkał w Monterey zaledwie od miesiąca i nie mógł wprost zrozumieć, w jaki sposób znosił wszystkie poprzednie miejsca. Bóg wie, ile ich było... Co jedno, to gorsze. Na samą myśl o zatłoczonych ulicach, smogu wiszącym nad Los Angeles, skrzywił się z niesmakiem.

I znów pomyślał, że jest dzieckiem szczęścia. Gdyby opatrzność odmówiła mu tej odrobiny talentu i wyobraźni, dzięki którym potrafił pisać scenariusze, nigdy nie wyniósłby się z miasta, którego nie cierpiał, i nigdy nie kupiłby domu w bajecznie pięknym zakątku północnej Kalifornii.

Zauważył sklep. Tak jak mu tłumaczyli: na samym rogu, pomiędzy butikiem a restauracją. Widać było, że interesy w mieście kwitną, bo miejsce do parkowania znalazł dopiero za następną przecznicą. Bardzo dobrze, krótki spacer dobrze mu zrobi. Minął grupę turystów, którzy kłócili się, gdzie zjeść lunch, potem chudą kobietę w purpurowej jedwabnej sukni, z parą afgańskich chartów. I biznesmena, który idąc chodnikiem rozmawiał przez telefon.

Nash uwielbiał Kalifornię.

Zatrzymał się przed sklepem. Szybę witryny ozdabiał jeden prosty szyld: WICCA. Pokiwał z uśmiechem głową. Staroangielskie słowo znaczące, ni mniej, ni więcej, tylko... czarownica. Trudno o lepszą nazwę. Oczywiście wyobraźni zobaczył stare, zgarbione kobiety wędrujące od wsi do wsi, potrafiące odczyniać uroki i usuwać kurzajki.

Scena w wiejskim plenerze, dzień. Niebo zachmurzone, wiatr pędzi zagonami i wyje. W małej, nędznej wiosce, w której wszystkie płoty są dziurawe, a domy zamknięte na cztery spusty, stara kobieta o pomarszczonej twarzy spieszy zakurzoną drogą. Niesie ciężki, zakryty koszyk. Wielki czarny kruk kracze nad jej głową. Trzepocząc skrzydłami przysiada na zardzewiałej furtce. Ptak i kobieta mierzą się wzrokiem. Nie wiadomo skąd, z oddali, dobiega długi, rozpaczliwy skowyt.

Film urwał się nagle, kiedy jakiś człowiek wyszedł ze sklepu z odwróconą głową, wpadając prosto na Nasha. Przeprosił zmieszany, ale Nash uśmiechnął się i omal mu nie podziękował. Nie powinien folgować wyobraźni, póki nie porozmawia z ekspertką. Spokojnie, pomyślał. Najpierw obejrzymy wystawę.

Stanął przed witryną oniemiały z wrażenia. Wstęga ciemnobłękitnego aksamitu, udrapowana na stelażach różnych kształtów i wysokości, przypominała rwącą, górską rzekę - z przełomami i wodospadem. Unosiły się nad nią różnokolorowe, błyszczące w słońcu kryształy - o fantastycznych kształtach i barwach tak nasyconych, że Nash nie wierzył własnym oczom. Wpatrywał się w dekorację niczym zahipnotyzowany, wymieniając w myśli kolory: królewska purpura, atramentowa czerń, bursztyn...

Zacisnął usta. A więc to tak... Magia barw, kształtów i światła. Czysta iluzja, dzięki której człowiek zaczyna wierzyć w nadprzyrodzoną moc kamieni. Cóż z tego, że pięknych...

Nagle, chyba z wrodzonej przekory, pomyślał o kotłach. Ciekawe, czy czarownica Morgana trzyma je na zapleczu. Zachichotał pod nosem i, zerknąwszy po raz ostatni na wystawę, wszedł do środka. Miał szczerą ochotę kupić jakiś ładny drobiazg: przycisk do papieru albo lusterko - nawet jeśli firma WICCA nie oferuje wilczych kłów ani łusek smoka.

W sklepie było pełno ludzi. Powinien wybrać zwykły dzień, a nie sobotę, pomyślał rozczarowany, ale z drugiej strony, nie ma tego złego... Przynajmniej rozejrzy się dyskretnie i zorientuje, jak sobie radzi w interesach współczesna czarownica.

Dekoracja wnętrza okazała się godna witryny. Olbrzymie kamienie, niektóre rozłupane na pół, obnażające setki ostrych, kryształowych zębów. Zgrabne buteleczki wypełnione - ku rozczarowaniu Nasha - „olejkiem do kąpieli z wyciągu rozmarynu o działaniu kojącym”. Żeby choć napój miłosny...

I mnóstwo ziół - do rozmaitych celów, w różnych opakowaniach. Piękne pastelowe świece, kryształy o bajecznych kolorach, we wszelkich możliwych kształtach i rozmiarach. Trochę niebanalnej biżuterii, rękodzieła, obrazy, rzeźby - tak doskonale eksponowane, iż do tego dziwnego sklepu znacznie bardziej pasowałaby nazwa „galeria”.

Nagle, szukając odruchowo rzeczy niezwykłych, Nash zauważył lampę z brązu w kształcie skrzydlatego smoka - bestii z płonącymi, czerwonymi oczami. Wtedy spostrzegł dziewczynę. Rozmawiała z klientkami, które oglądały kryształy. Niestychane... Właśnie tak sobie wyobrażał współczesną czarownicę. Blondynka o lekko naburmuszonej minie, ubrana w czarny lśniący kombinezon, który podkreślał każdy szczegół jej doskonałej figury. Złote kolczyki do ramion, pierścionek na każdym palcu i przerażająco długie, czerwone paznokcie.

- Niezła, co?

- Słucham? - Odwrócił się jak oparzony, natychmiast zapominając o blondynce. Uśmiechała się do niego wysoka brunetka o kobaltowoniebieskich oczach. - Przepraszam, ale nie dosłyszałem...

- Lampa. - Pogłaskała smoka po głowie. - Zastanawiałam się właśnie, czy nie zabrać go ze sobą do domu. Lubi pan smoki?

- Uwielbiam - odparł bez zastanowienia. - A pani... często pani wpada do tego sklepu?

- Tak. - Przeszła palcami włosy. Kruczoczarne, miękkimi falami spływające na plecy. Zanim zrewanżowała się pytaniem, poczekała, aż nieznajomy ochłonie z wrażenia. - Jest pan tu po raz pierwszy?

- Tak. Cudownie tu.

- Interesuje się pan kamieniami?

- Kiedyś miałem do tego zacięcie - Nash sięgnął po leżący obok lampy ametyst - ale oblałem przed maturą nauki przyrodnicze.

- Obawiam się, że nie nadrobi pan w sklepie zaległości szkolnych. Ale jeśli chce się pan przebudzić i poznać prawdę o samym sobie, to proszę przełożyć kamień do lewej ręki.

- Ach, tak...? - Żeby podtrzymać konwersację, zrobił, jak radziła, ale nie doznał mistycznego objawienia. Czuł jedynie, że bliskość tej dziwnej kobiety sprawia mu coraz większą przyjemność. - Skoro często tu pani bywa, czy nie zechciałaby pani mnie przedstawić szefowej... czarownicy? - Zerknął na blondynkę, która żegnała się z klientkami.

- Potrzebna panu czarownica?

- Tak. To znaczy... w pewnym sensie.

- Nie wygląda pan na kogoś, kto uciekałby się do zakłębionych miłosnych.

- Dzięki. Rzeczywiście, jakoś dawałem sobie radę. - Uśmiechnął się wesoło. - Robię filmy. Chcę napisać scenariusz o czarnej magii w latach dziewięćdziesiątych - no i zbieram materiały. Rozumie pani... sabaty czarownic, seks, rytualne ofiary.

- Aha. - Pochyliła głowę, zamigotały kryształowe kolczyki w kształcie łezki. - Młode, nagie kobiety tańczą przy świetle księżyca w obłąkanym transie, potem warzą w kotłach czarodziejskie mikstury. Wystarczy jedna kropla takiego „lekarstwa”, żeby zwabić nieszczęśnika na rozpustną orgię... Dobrze mówię?

- Mniej więcej. Czy ta Morgana naprawdę wierzy, że jest czarownicą?

- Ona wie, kim jest, panie...

- Kirkland. Nash Kirkland.

- Oczywiście! - Spojrzała na niego uważniej i roześmiała się niskim, dźwięcznym głosem. - Bardzo mi się podobała „Krew o północy”. Pana Drakula jest inteligentny i zmysłowy, a jednocześnie nie burzy wszystkich tradycyjnych pojęć o wampirach. Duża sztuka.

- Duchy cmentarne nie muszą się kojarzyć wyłącznie z trumnami.

- Jasne. Tak jak czarownica nie musi się kojarzyć wyłącznie z kotłem albo miotłą.

- Właśnie. Dlatego chciałbym z nią porozmawiać. Podejrzewam, że jest błyskotliwą osobą i poradzi sobie bez problemu.

- Poradzi sobie? - powtórzyła jak echo, a potem schyliła się, żeby wziąć na ręce wielkiego białego kota, który ocierał się o jej nogę.

- Z plotkami na jej temat. W Los Angeles ludzie opowiadali mi niesamowite historie.

- Wyobrażam sobie. - Głaskała kota po głowie patrząc Nashowi prosto w oczy. - Ale pan chyba nie wierzy w czary.

- Wierzę, że potrafię zrobić o nich film. I to bez pudła. - Rozchylił usta w najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów. - A więc? Zechce pani wstawić się za mną u czarownicy?

Milczała przez chwilę, nie odwracając wzroku. Cynik, pomyślała. Zbyt pewny siebie. Życie ściśle mu się różami. Może najwyższa pora, żeby Nash Kirkland poczuł, jak kłują ciernie.

- To nie będzie konieczne. - Podała mu dłoń, długą i wąską, ozdobioną jedynie srebrnym pierścieniem. Nash wzdrygnął się, jak gdyby jego rękę przeszył prąd. - Ja jestem twoją czarownicą - powiedziała z łagodnym uśmiechem.

Normalne zjawisko, tłumaczył sobie po chwili. Nie potrzeba do tego czarownicy. Morgana podeszła do klientki, która zapytała ją o ziele świętego Jana. Nie wypuściła jednak kota i nadal głaskała jego białą sierść... No właśnie. Stąd takie wyładowanie!

Zacisnął mimowolnie palce.

Twoja czarownica. Nie był pewny, czy podoba mu się ta dziwna poufałość. Mogła komplikować sprawy. Owszem, Morgana jako piękna kobieta zrobiła na nim wrażenie i w każdej innej sytuacji... Ale sposób, w jaki się uśmiechnęła, kiedy zadrzała mu ręką, zderwował go. Właściwie dlaczego?

Spojrzał na Morgane, która sięgała na półkę po suszone zioła. Siła. Och, żadna nadprzyrodzona moc. Po prostu dar, z jakim niektóre piękne kobiety przychodzą na świat. Wrodzona zmysłowość i pewność siebie.

Na szczęście jego zainteresowanie Morganą było czysto zawodowe... No, może niezupełnie. Trzeba by nie mieć oczu, żeby patrząc na nią, myśleć tylko o pracy. Nash ufał jednak swojemu rozsądkowi.

Począł, aż Morgana obsłuży klientkę, przybrał skruszoną minę i podszedł do lady.

- Powiedz, czy nie znasz jakiegoś skutecznego zaklęcia, które oduczyłoby mnie klepania trzy po trzy?

- Uważam, że sam sobie z tym poradzisz. Powinna zbyć tego natręta... ale przecież nie bez powodu go zaczepiła. Morgana nie wierzyła w przypadki. Swoją drogą, pomyślała, facet o takich łagodnych, brązowych oczach nie może być kompletnym durniem.

- Niestety, Nash, musimy przerwać tę pogawędkę. Mamy tu dzisiaj wyjątkowy ruch.

- Ale o szóstej zamykacie. Co byś powiedziała na drinka albo kolację?

Zanim zdążyła odmówić, biała kotka wskoczyła na ladę - miękim, bezszelestnym ruchem, tak jak tylko koty potrafią. Kiedy Nash wyciągnął bezwiednie rękę, żeby podrapać ją po głowie, Morgana zaniemówiła. Kotka, zamiast cofnąć się obrażona albo fuknąć wściekle na intruza, wygięła grzbiet mrucząc z zadowolenia.

- Zdaje się, że Luna ci sprzyja. W takim razie do szóstej. Zastanowię się jeszcze, co z tobą zrobić.

- W porządku. - Nash pogłaskał kotkę na pożegnanie i wyszedł ze sklepu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... - burknęła Morgana do kotki, patrząc jej prosto w oczy.

Morgana należała do kobiet, które prowadzą nieustanną wojnę ze swoją impulsywną naturą, dlatego wołałaby usiąść w fotelu i zastanowić się spokojnie, co dalej. Niestety, aż do wyjścia ostatniego klienta o odpoczynku nie było mowy. Od czasu do czasu przekonywała więc samą siebie, że jakoś sobie poradzi z przemądrzałym gawędziarzem o szczenięcych oczach.

- Uff! - Mindy, fantastycznie zbudowana blondynka, w której Nash doszukał się modelowych cech współczesnej czarownicy, po raz pierwszy tego dnia usiadła na krześle. - Takiego tłumy nie miałyśmy od świąt.

- I podobnie będzie we wszystkie soboty do końca miesiąca - odparła Morgana.

- Wymyśliłaś zaklęcie na robienie forsy?

- Wystarczy, że gwiazdy sprzyjają interesom - uśmiechnęła się pogodnie. - No i ta nowa wystawa. Jest cudowna! Możesz iść do domu, Mindy. Sama zrobię porządek i wszystko pozamykam.

- Pomogę ci. - Już miała zsunąć się ze stołka, gdy nagle znieruchomiła. - O rany, popatrz. Wysoki, opalony i pociągający.

Morgana zerknęła przez okno i zachichotała. Nash, który tym razem zaparkował przed samym sklepem, zamykał samochód.

- Spokojnie, Mindy, nie rozmarzaj się. Tacy mężczyźni łamią serca z premedytacją. Na zimno i w białych rękawiczkach.

- W porządku. Już dawno nie miałam złamanego serca. Przyjrzyjmy się dokładnie... Metr osiemdziesiąt, chudy, właściwie pospolity typ. Może nawet infantylny. Pewnie lubi się wylegiwać na słońcu, ale nie przesadza z tym. Dobre kości policzkowe - będzie przystojniał z wiekiem. I te usta...

Kiedy Nash dotknął klamki, Mindy natychmiast zmieniła pozycję na bardziej filmową.

- Witaj, piękny królewiczu. Czy chciałbyś kupić coś naprawdę czarodziejskiego?

- A co firma poleca? - Nash błysnął zębami w uśmiechu.

- A więc...

- Mindy, pan Kirkland nie jest zwykłym klientem - przerwała jej Morgana rozbawionym głosem. - Umówiliśmy się na spotkanie.

- Może innym razem - szepnął Nash.

- Może... - Mindy pożegnała Nasha powłóczytym spojrzeniem i zniknęła za drzwiami.

- Założę się, że ta dziewczyna podnosi ci obroty nie uciekając się do czarów.

- Podnosi też ciśnienie wszystkim mężczyznom. Jak tam twoje?

- Masz tu jakąś butlę z tlenem?

- Niestety. Ale możesz zaczerpnąć powietrza na zewnątrz. - Poklepała go żartobliwie po ramieniu. - Usiądź, proszę. Mam jeszcze kilka rzeczy do... Cholera.

- Słucham?

- Nie zdążyłam zamknąć drzwi i odwrócić tabliczki - mruknęła pod nosem, uśmiechając się promiennie do niepożądanego klientki. - Witam, pani Littleton.

- Morgana... - westchnęła kobieta z ulgą i niekłamano radością.

Nazwisko jak ulał... Nash omal nie parsknął śmiechem. Pani Malatona była kobietą ogromnej postury. Miała sześćdziesiątkę z okładem, zwiewną kolorową suknię, na głowie szopę ognistorudych loków, które okalały twarz pełną jak księżyc. Karminowe usta kontrastowały z silnym makijażem oczu w tonacji zielonej.

- Wybacz - chwyciła dłonie Morgany - że wpadam do ciebie jak burza w ostatniej chwili, ale, nie uwierzysz, musiałam zbesztać policjanta, który próbował wlepić mi mandat. Wyobrażasz sobie? Chłopak ledwie odrósł od ziemi, mleko pod nosem, i mnie będzie uczył przepisów! Ale nic, szkoda gadać. Znajdziesz dla mnie kilka minut?

- Oczywiście. - Morgana nie miała wyjścia. Zbyt lubiła tę kobietę, żeby zrobić jej przykrość.

- Jesteś boska. Czyż nie mam racji? - Pani Littleton po raz pierwszy zauważyła Nasha.

- Całkowitą.

Zrobiła krok w jego kierunku, pobrzękując bransoletami i łańcuszkami.

- Strzelec, prawda?

- Zaraz... - Postanowił odmłodzić się o kilka miesięcy, żeby nie zawieść starszej pani.

- Rzeczywiście. Niesamowite.

- Ma się to oko... - powiedziała z dumą, odwracając twarz do Morgany. - Przeszkadzam ci w randce, ale naprawdę, kochanie, tylko na chwilę.

- Nie mam żadnej randki - odpowiedziała spokojnie Morgana. - W czym mogę pani pomóc?

- Nie mnie... - zrobiła minę skruszonego dziecka - tylko mojej ciotecznej wnuczce. Chodzi o zabawę szkolną i... tego miłego chłopca, z którym chodzi na zajęcia z geometrii.

Morgana jęknęła cicho i zamknęła oczy. Nic z tego. Tym razem będzie jak skala. Ujęła panią Littleton pod ramię i odciągnęła na bok.

- Tłumaczyłam już pani, że nie pracuję w ten sposób.

- Wiem. Wiem, że zwykle tego nie robisz, ale... sprawa jest warta świeczki, naprawdę...

- Jak wszystkie podobne sprawy. - Morgana kątem oka zerknęła na Nasha, który wyraźnie podsłuchiwał. Odeszły dalej. - Sama wiem, że pani wnuczka jest wspaniałą dziewczyną. I że zasługuje na szczęście. Ale organizować jej randkę? To lekkomyślność. Proszę zrozumieć, że skutki takiej ingerencji mogą być opłakane. Nie - zakończyła stanowczo.

- Chodzi o jeden wieczór. Tylko jeden.

- Jeden wieczór może zmienić stulecia. Nikomu nie wolno igrać z losem.

- Tylko że... widzisz, ona jest taka nieśmiała... - Pani Littleton zrobiła minę żebraczki, której odmówiono kromki chleba. - Uważa, że jest brzydka, że nikomu się nie podoba. Bzdura! Popatrz...

Morgana nie chciała na nic patrzeć, ale zanim zdążyła zaprotestować, trzymała w ręku zdjęcie nastolatki o przeraźliwie smutnych oczach. Niech to diabli! Na darmo strzepiła sobie język. Kiedy w grę wchodziła szczenięca miłość, Morgana miękła jak wosk.

- Mogę spróbować, lecz nie gwarantuję skutku.

- Dziękuję, kochanie. - Odczekawszy chwilę, pani Littleton wyjęła z torebki drugie zdjęcie. - A to Matthew. Ładne imię, nie sądzisz? Matthew Brody i Jessie Littleton. Nie zapomnisz o nich, prawda? Zabawa odbędzie się w pierwszą sobotę maja.

- Słowo się rzekło. - Morgana schowała zdjęcia do kieszeni.

- Niech cię Bóg błogosławi, aniołku. Nie zatrzymuję was dłużej, wpadnę tu w poniedziałek.

- Życzę miłego weekendu. - Rozdygotana wewnątrz Morgana odprowadziła ją do drzwi.

- Czy nie powinna była zostawić srebrnej monety? - zapytał Nash.

- Nie wszystko jest na sprzedaż - odparowała mierząc go chłodnym wzrokiem.

- W porządku. - Wzruszył ramionami. - Pozwolę sobie jednak zauważyć, że ta kobieta owinęła cię dookoła palca. Jak gdyby to ona miała nad tobą władzę, a nie...

- Wiem - ucięła lodowato. Bardziej niż własnych słabości, nienawidziła publicznego ich obnażania. Dotknęła dłonią rozpalonego policzka.

- Myślałem, że czarownice są twarde i nieustępliwe.

- Stereotypy. Ja akurat mam wyjątkową słabość do ekscentryczek o gołęmbim sercu. A ty nie urodziłeś się pod znakiem Strzelca.

- Nie? To pod jakim?

- Bliźniąt.

- Brawo. Zgadłaś. - Nash uniósł brwi i włożył ręce do kieszeni.

- Rzadko zgaduję. - Morgana uśmiechnęła się pojednawczo. - Skoro byłeś taki miły i nie zraniłeś jej uczuć, ja, z wdzięczności, nie wyładuję na tobie swojej złości. Chodźmy na zaplecze, zaparzę ci herbaty. - Roześmiała się głośno, widząc rozczarowanie w jego oczach. - W porządku, napijemy się wina.

- To brzmi lepiej.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, które służyło za magazyn, biuro oraz kuchenkę. Mimo ogromnej ciasnoty, panował w nim zaskakujący ład i harmonia. W powietrzu unosił się zapach świeżych ziół. Nash próbował odgadnąć: szałwia, może oregano, odrobina lawendy? Cokolwiek to było, poczuł się cudownie odprężony.

Morgana zdjęła z półki dwa kryształowe kielichy.

- Siadaj. Nie mogę poświęcić ci zbyt wiele czasu, ale zadbajmy o nastrój... - Roześmiała się cicho. - Z tą herbatą oczywiście żartowałam.

Wyjęła z lodówki zielonkawą, wysmukłą butelkę, a potem napełniła kieliszki jasnozłotym napojem.

- Wino w butelce bez nalepki?

- Mojej własnej produkcji i według własnego przepisu. - Z uśmiechem na twarzy, spróbowała pierwsza. - Nie bój się, nie dodałam do tego ani jednego oka ropuchy.

Powinien odciąć się żartem, roześmiać... ale sposób, w jaki Morgana mierzyła go wzrokiem, wprowadził Nasha w dziwne zakłopotanie. Czułby się jednak sto razy gorzej, gdyby nie przyjął wyzwania. Wypił pierwszy łyk wina. Było idealnie schłodzone, lekko słodkie, o jedwabistym smaku.

- Niezłe.

- Dziękuję. - Usiadła na sąsiednim krześle. - Nie zdecydowałam jeszcze, czy ci pomogę, czy nie. Ale... ciekawi mnie magia, którą uprawiasz.

- Lubisz kino? - zapytał z ożywieniem, zadowolony, że rozmowa nareszcie zaczyna się kleić.

- Kino też. Lubię każdą sztukę, która czerpie z wyobraźni i do wyobraźni przemawia.

- Świetnie. W takim razie...

- Szkopuł w tym - przerwała mu chłodno - że wcale nie jestem pewna, czy chciałabym sprzedać moje osobiste doświadczenia jakiejś hollywoodzkiej „produkcji”.

- O wszystkim możemy porozmawiać. - Uśmiechał się zadowolony, z sekundy na sekundę odzyskując pewność siebie. Luna, która do tej pory leżała przy jego nodze i domagała się pieśzcot, wskoczyła na stół. Nash dopiero teraz zauważył zdobioną kryształami obróżę na jej szyi. - Posłuchaj, Morgano. Ani w tym, ani w żadnym innym filmie, nie mam zamiaru niczego udowadniać ani występować w „słusznej sprawie”. Nie będę obalać cudzych poglądów, protestować ani naprawiać świata. Ja chcę po prostu robić kino.

- Dlaczego akurat horrory? Skąd to zainteresowanie czarną magią?

- Dlaczego? - Wzruszył ramionami. Zawsze czuł się nieswojo, kiedy zadawano mu to pytanie. - Nie wiem. Może dlatego, że właśnie na horrorach ludzie, gryząc ze strachu paznokcie, zapominają o beznadziejnym dniu spędzonym w biurze. A może i dlatego, że dawno temu, na jakimś wspinałym dreszczowcu, po raz pierwszy w życiu nie dostałem po łapach od dziewczyny...

Morgana sączyła w milczeniu wino. Może... Może pod maską zarozumialca i twardziela kryje się wrażliwa dusza... W każdym razie na pewno nie brakuje mu talentu ani uroku. Niedobrze... Opanowało ją dziwne uczucie, że nie panuje nad sytuacją.

Oczywiście, nie jest aż tak źle - potrafi mu odmówić i zrobi to, jeśli tylko zechce, ale z drugiej strony... może warto spróbować. Powinna przynajmniej wiedzieć, o co chodzi.

- Opowiedz mi coś bliższego o historii, którą będziesz wymyślał.

- Właściwie nie ma jeszcze o czym mówić. Zaczynam od ciebie. Najczęściej, zanim napiszę pierwsze zdanie, mam pełną głowę szczegółów, informacji, fachowych lektur. - Rozłożył ręce. - Tym razem - mimo że przeczytałem co nieco - uważam, że to wszystko na nic. Muszę złapać nastrój. Zacząć od czegoś konkretnego: autentycznej bohaterki, jej doświadczeń, osobowości... Rozumiesz? Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób związałaś się z okultyzmem, czy bierzesz udział w ceremoniach, spędach, jak się przebierasz...

- Obawiam się, niestety, że wpadłeś w jakąś pułapkę i zaczynasz od własnych błędnych wyobrażeń. Z tego, co zrozumiałam, wydaje ci się, że należę do jakiegoś klubu, a ty chciałbyś poznać obyczaje jego członków.

- Klub czy sabat...

- Nie należę do żadnego sabatu. Lubię pracować na własny rachunek.

- Ale dlaczego?

- Istnieją stowarzyszenia uczciwe i nieuczciwe. Również takie, o których zainteresowaniach lepiej nie mówić.

- Czarna magia.
- Mniejsza o nazwy.
- Więc ty jesteś raczej dobrą wróżką.
- Uwielbiasz etykiety, prawda? Świat nie nazwany wydaje ci się niezrozumiały.

Morgana pokręciła bezradnie głową i sięgnęła po kieliszek. W przeciwieństwie do Nasha, bez cienia skrępowania mogła rozmawiać o swoim powołaniu, o tym, jak je wykorzystuje... Z jednym zastrzeżeniem. Jeśli godzi się na poważną rozmowę, wymaga poważnego traktowania tego, co mówi.

- Wszyscy przychodzimy na świat z jakimiś wrodzonymi talentami, Nash. Obdarzeni szczególną mocą, darem - nazwij to, jak chcesz. Ty potrafisz wymyślać ciekawe historie. I oczarowywać kobiety. Jestem pewna, że cenisz swoje zdolności i chętnie je wykorzystujesz. Ja też.

- A na czym polega twój szczególny dar? Odstawiła kieliszek bardzo powoli, jakby chcąc zyskać na czasie, a potem uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Nash zdrętwiał i natychmiast pożałował głupiego pytania. Właśnie na tym... Na sile woli, pewności siebie, spojrzeniu, które powala na kolana każdego faceta. Poczł, że ma kompletnie sucho w gardle. Z bólem przełknął łyk wina, które smakowało jak woda albo piasek...

- A czego się spodziewasz? Przedstawienia? - W jej głosie zabrzmiała pierwsza niecierpliwa nuta.

Nash zaczął oddychać głęboko, niemal rozpaczliwie, z trudem budząc się z transu... Raczej dziwnego odrętwienia, bo przecież nie wierzył w coś takiego jak trans.

- Dlaczego nie? Jeśli w nim wystąpisz... - Wiedział, że igra z ogniem, a jednak nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Szedł na całość.

Morgana zmrużyła oczy. Ogarnęło ją nagle, mimowolne podniecenie. A potem zażenowanie.

- Na co miałbyś ochotę? Żebym strzeliła z palców piorunami czy ściągnęła na ziemię księżyc? A może sprowadzić wicher?

- Wybór należy do artystki.

Cóż za tupet, pomyślała z podziwem i zarazem złością. Kubeł zimnej wody dobrze by mu zrobił...

- Cześć, Morgano.

Zdrętwiała na chwilę, a potem z wymuszonym uśmiechem odwróciła głowę.

- Ana...

Nash czuł przez skórę, że wizyta tej kobiety uratowała go przed prawdziwym kataklizmem. Z drugiej strony, gra z Morgana pochłaniała go do tego stopnia, że nie zauważyłby ani wichury, ani trzęsienia ziemi. Stał teraz osłupiały, błędnym wzrokiem wpatrując się w blondynkę o imieniu Ana. Była piękna. O całą głowę niższa od Morgany, ale jej szare, łagodne oczy promieniowały identyczną siłą. Z pudła, które niosła przed sobą, wysypało się kilka kwiatów.

- Nie przekreśliłaś tabliczki, więc weszłam.

- Ano, to jest Nash Kirkland - powiedziała Morgana - a to moja kuzynka Anastazja.

- Przepraszam, że wam przeszkodziłam. - Głos Any był niski i ciepły, równie kojący jak jej wzrok.

- Nie przeszkodziłaś. - Morgana odwróciła się do Nasha, który natychmiast poderwał się z miejsca.

- Właśnie skończyliśmy.

- Dopiero zaczęliśmy - sprostował. - Ale możemy przełożyć rozmowę na kiedy indziej. Miło mi cię poznać - zwrócił się do Anastazji, a Morganę obdarzył czarującym spojrzeniem. - Do następnego spotkania - szepnął poufale, a potem dotknął jej policzka i odgarnął za ucho włosy.

- Nash. - Morgana wyjęła z pudełka Anastazji kilka kwiatów. - To prezent dla ciebie. - Odwzajemniła się promiennym uśmiechem. - Pachnący groszek. Symbolizuje rozstanie.

Nie mógł się temu oprzeć. Przytrzymał rękę z kwiatami i pocałował Morganę w usta.

- Nic z tego, czarodziejko. Do szybkiego zobaczenia. - Odwrócił się, pomachał dłonią na pożegnanie i wyszedł ze sklepu.

Morgana wybuchnęła zduszonym chichotem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - Z głośnym westchnieniem ulgi Anastazja opadła na krzesło.

- Chyba nie ma o czym. Drobny kłopot... ale czarujący, prawda? Pisarz o dość konwencjonalnych poglądach na czarownice.

- Ach! Ten Nash Kirkland! - Anastazja wyciągnęła rękę po kieliszek Morgany i z niekłamaną rozkoszą umoczyła w nim usta. - Pamiętam, że ty i Sebastian zaciągnęliście mnie kiedyś na krwawy horror. Autorem scenariusza był właśnie Nash Kirkland...

- Świetny film. Błyskotliwy, dobrze zrobiony.

- Rzeczywiście. Krew lała się strumieniami, a trup ścielił równo. Ale ty to lubisz, prawda?

- W kinie. Oglądając zło, można się upewnić, co jest dobre. A przy okazji nieźle ubawić. - Zmarszczyła czoło. - A on wie, co robi. I robi to genialnie.

- Powiedzmy. Ale ja wolę oglądać braci Marx. - Anastazja podeszła do roślin na parapecie i zaczęła sprawdzać listek po listku. - Zauważyłam, co się między wami działo, Morgano. Byłaś napięta jak struna i wyglądałaś, jakbyś chciała przerobić tego biednego faceta na ropuchę.

- Ależ mnie korciło! Ta jego poza mądrali, ta wiecznie zadowolona z siebie mina... Nie powiem, wyprowadził mnie z równowagi.

- Zbyt łatwo dajesz się wyprowadzać z równowagi, kochanie. Tyle razy obiecywałaś, że spróbujesz nad sobą panować.

- Słuchaj, Ano, czy ten facet wyszedł stąd na dwóch nogach, czy mi się tylko wydawało? - Z miną nadęsanego dziecka Morgana zaczęła saczyć wino z kieliszka Nasha. I natychmiast tego pożałowała. Zbyt wiele z siebie zostawił w tej odrobinie płynu...

Jest bardzo silny, pomyślała odstawiając kieliszek. Niebywałe... Beztroski uśmiech, luz, maska cynika - a w środku niezłomny charakter.

Dlaczego nie zaczarowała tych kwiatów... Nie, żadnych sztuczek. Coś ich ku sobie popycha, ale zapanuje nad tym. Zapanuje nad własnym niepokojem i nad Nashem Kirklandem. Bez magii.

ROZDZIAŁ DRUGI

Morgana uwielbiała niedziele. Długie spokojne popołudnia, kiedy z rozkoszą - i czystym sumieniem - oddawała się lenistwu. Folgowwała sobie we wszystkim, robiła to, co chciała, albo nie robiła niczego. Żadnej tęsknoty za poniedziałkiem, żadnego niepokoju - czas darowany...

Trudno byłoby jej zarzucić, że nie lubi pracować. Włożyła mnóstwo czasu i wysiłku w urządzenie sklepu, sprawiła, że miał coraz więcej stałych klientów i przynosił coraz większe dochody. Nie wykorzystwała przy tym ani razu swoich szczególnych zdolności... Sukces zawdzięczała wyłącznie pracy - wierząc jednak niezmiennie, iż właściwą nagrodą za codzienną harówkę jest godny wypoczynek.

W przeciwieństwie do wielu typowych właścicieli sklepów, nie ślęczała nad rachunkami ani nie urządziła zbyt częstych remanentów. Robiła to, co do niej należało - najlepiej jak potrafiła. Ale kiedy wychodziła na ulicę - choćby tylko na godzinę - zapominała o interesach.

Nie rozumiała ludzi, którzy cały boży dzień spędzają za ladą, a wieczorami liczą straty i zyski. Ona zatrudniała księgową.

W domu nie zdecydowała się na służącą, ponieważ nie umiała sobie wyobrazić, żeby ktoś obcy porządkował jej osobiste rzeczy. A jeśli sama uprawiała ogród, to nie z nadmiernej pracowitości, ale dlatego, że obcowanie z roślinami sprawiało jej ogromną przyjemność. Dawno jednak pogodziła się z myślą, że jedynie Anastazja rozumie mowę kwiatów, ziemi i słońca, i że ona nigdy jej w tej sztuce nie dorówna.

Kłęczała teraz nad roślinami w ogródku skalnym, ciesząc się upalnym dniem, zapachem hiacyntów i rozmarynu - oraz irlandzką muzyką, która dobiegała z otwartego okna.

Luna pławiła się w lenistwie. Wyciągnięta jak długa na gorącym piasku, ze zmrużonymi oczami, ożywiała się odruchowo na widok przelatujących ptaków. Na próżno - pani nie znosiła polowań.

Kiedy z cienia pod krzakiem wyczołgał się pies i położył łeb na kolanach Morgany, kotka, mruknąwszy coś z niesmakiem, zasnęła. Psy nie mają godności.

Morgana usiadła na piętach i odwróciła twarz do słońca. Uśmiechnęła się. Czy potrafiłaby tak siedzieć beczynn timer i uśmiechać do słońca w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi? Wiele podróżowała, oglądała cudowne krajobrazy, a jednak nie chciałaby mieszkać nigdzie indziej. Była częścią Monterey. Tutaj się urodziła i tylko tutaj umiała być szczęśliwa.

Wiedziała o tym od dzieciństwa. Nigdy nie wątpiła, że znajdzie tu kiedyś miłość, urodzi dzieci. Westchnęła bezgłośnie i zamknęła oczy. Z tym przyjdzie jej poczekać. Była zadowolona ze swojego życia, nie miała żadnych pretensji do losu, nie pędziła na oślep. Na wszystko musi przyjść pora.

Kiedy pies niespodziewanie zawarczał, Morgana nie odwróciła nawet głowy. Wiedziała, że przyjdzie. Nie potrzebowała szklanej kuli, żeby to przewidzieć. Zresztą nie uważała się za jasnowidza - to poletko należało do kuzyna Sebastiana. Kobietom wystarcza intuicja. Siedziała uśmiechnięta, nie zmieniając pozycji, podczas gdy pies ujadał coraz głośniej. Zobaczymy, pomyślała, czy Nash Kirkland lubi wszystkie zwierzęta...

Nash tłumaczył sobie w duchu, że to niemożliwe, żeby prawdziwy wilk... Ale w końcu co za różnica, czy bestia, która ma w oczach mord, jest prawdziwym wilkiem, czy tylko na wilka wygląda...

Poczuł, że coś miękkiego ociera się o jego nogę. Luna. Dobrze i to...

- Masz miłego pieska - powiedział niepewnie. - Miły, duży piesek.

- Wybrałeś się na niedzielną przejażdżkę? - Morgana ledwie raczyła odwrócić głowę.

- Coś w tym rodzaju.

Pies warczał coraz ciszej i groźniej. Kiedy ruszył do przodu, Nash poczuł, że kropelki potu spływają mu po plecach.

- Ja...

Łeb z wyszczerzonymi zębami zawisł nad butami Nasha. Pies zaczął je obwąchiwać, potem wyprostował szyję i swoimi niebieskimi ślepiami zająrzył w twarz intruzowi.

- Dobrze psisko, piękny jesteś, wiesz? - Z odwagą hazardzisty Nash wyciągnął rękę. Pies obwąchał ją dokładnie... i polizał na zgodę.

Morgana przyglądała się całej scenie z zasznurowanymi ustami. Jej Pan nie był na tyle groźny, żeby robić użytek z zębów - ale też nigdy dotąd nie zaprzyjaźnił się tak szybko z obcym człowiekiem.

- Masz podejście do zwierząt.

Nash klęczał na trawie, przemawiając do psa i drapiąc go gdzie popadło. Zdał sobie nagle sprawę że przez całe dzieciństwo marzył o takim właśnie psie i to pragnienie nadal w nim tkwiło.

- Czują, że w głębi duszy jestem dzieckiem. Jaka to rasa?

- Pytasz o rasę Pana? - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Umówmy się, że należy do klanu Donovanów. Słucham, Nash. Co mogę dla ciebie zrobić?

Przyglądał się Morganie w milczeniu. Wielki słomiany kapelusz z szerokim rondem, spod którego wystawały tylko pojedyncze kosmyki włosów, zmienił ją prawie nie do poznania. Gdyby nie te błyszczące, kobaltowe oczy... Miała na sobie za ciasne dżinsy i workowatą, bawełnianą koszulkę. Dłonie bez rękawiczek, oblepione czarną, tłustą ziemią. Bose stopy. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że widok bosych stóp może być tak piękny.

- Ależ na mnie patrzysz - powiedziała rozbawionym głosem.

- Przepraszam. Zamyśliłem się.

- Nie ma za co. Może zaczniesz od tego, jak mnie znalazłeś.

- Szczerze mówiąc, bardzo łatwo. Ludzie cię znają. Poszedłem na kolację do restauracji - tej koło twojego sklepu - i uciałem sobie pogawędkę z kelnerką.

- To brzmi więcej niż wiarygodnie.

Wyciągnął rękę i dotknął amuletu na jej szyi. Ładny, pomyślał, jakby półksiężyc, z wrytym napisem. Po grecku? Arabsku? Nie znał się na tym.

- Otóż ta młoda osoba, żarliwa i nawiedzona, okazała się kopalnią wiedzy... która mnie szczególnie interesuje. Czy na wielu ludzi masz taki wpływ?

- Oczywiście. Całe armie panienek przerabiam na żarliwe i nawiedzone. - Początek rozmowy wprowadził Morganę w doskonały humor. - Czy opowiadała ci, że w czasie każdej pełni księżyca latam nad zatoką na miotle?

- Ciepło - odparł zamyślony i puścił amulet. - Mówiąc poważnie, ciekawi mnie, w jaki sposób normalni, średnio inteligentni ludzie dają się wciągać w te wszystkie nadprzyrodzone dyrdymały.

- Czy nie z tego właśnie żyjesz?

Postanowił sprowadzić rozmowę na właściwe tory, zaczynając tym razem od kuchni.

- Znasz się na roślinach? Kwiatkach, ziołach, i tak dalej?

- Co nieco. - Odwróciła się, żeby wsadzić do ziemi ostatnią sadzonkę melisy.

- Może mi doradzisz, co powinienem zrobić ze swoim zapuszczonym ogrodem? Nawet nie wiem, co w nim rośnie.

- Zatrudnić ogrodnika - odrzekła bez zastanowienia, ale natychmiast się uśmiechnęła i powiedziała łagodnie: - Mogłabym rzucić okiem na twój tajemniczy ogród. W wolnej chwili.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny. - Otarł z jej policzka czarną kropkę. - Morgano, naprawdę mogłabyś mi pomóc z tym scenariuszem. To żadna sztuka naczytać się książek i sklecić jakąś bajkę. Mnie chodzi o jakiś własny punkt widzenia, coś bardzo osobistego. A poza tym...

- Co takiego?

- Ty masz w oczach gwiazdy - mruknął. - Złote, maleńkie gwiazdki... Wyobraź sobie, że w środku nocy oglądasz słońce odbijające się w morskiej toni. Ale przecież nie można mieć słońca w środku nocy.

- Można mieć wszystko, tylko trzeba wiedzieć, jak to zdobyć. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Powiedz, czego naprawdę chcesz.

Powinien uciec przed jej wzrokiem, żeby ratować duszę. Nie umiał.

- Dać ludziom dwie godziny przyzwoitej zabawy, żeby zapomnieli na amen o swoich kłopotach, rzeczywistości, o wszystkim. Żeby po wygaśnięciu świateł weszli w mój świat i utonęli w nim po uszy. Dobra fabuła - wszystko jedno, czy filmowa, czy powieściowa - jest jak drzwi, przez które można przechodzić dowolną ilość razy. Wracasz do niej, kiedy tylko zechcesz. Jeśli ją raz kupiłeś - na zawsze jest twoja.

Przerwał nagle, zmieszany i przerażony własnym gadulstwem. Koniec świata. Wypowiedzi na serio nigdy nie były jego mocną stroną - i zupełnie nie pasowały do wizerunku „faceta na luzie”. Iluż to wytrawnych dziennikarzy i specjalistów od wywiadów zaginało na niego parol, godzinami próbując wydobyć choć jedno poważne zdanie. A ona po prostu spytała.

- No i, rzecz jasna - uśmiechnął się błazeńsko - chcę zarobić mnóstwo szmalu.

- Wydaje mi się, że te dwa pragnienia wcale się nie wykluczają. W mojej rodzinie aż się roi od zawodowych gawędziarzy - na mojej matce skończywszy. Zgadzam się z tobą, że trudno przecenić wartość dobrej fabuły.

Pewnie dlatego nie spławiła go od razu. Szanuje talent, który sama ma we krwi.

- Posłuchaj, Nash. Nawet jeżeli się zgodzę, nie pozwolę, żebyś zniżał się w tym scenariuszu do najpospolitszych banałów. Żadnych starych, paskudnych wiedźm, mieszających w kotle trujące zioła.

- Przekonaj mnie, że jest inaczej - uśmiechnął się szelmowsko.

- Ale miej się na baczności - mruknęła pod nosem, podnosząc się z kolan. - Wejźmy do domu. Umieram z pragnienia.

Nash od dawna wiedział, że nad Zatoką Monterey jest mnóstwo pięknych, oryginalnych domów - dlatego jeden z nich kupił - ale willa Morgany wydała mu się skończonym dziełem sztuki.

Dwupiętrowa, z kamienną basztą i wieżyczkami, w niczym jednak nie przypominała ponurego średniowiecznego zamku. W oknach, wysokich i kształtnych, odbijało się słońce jak w kryształowych lustrach. Bluszcze i pnące kwiaty otulały mury kolorowym dywanem.

Scena we wnętrzu, w kamiennej baszcie z widokiem na morze. Noc. W kręgu płonących świec stoi młoda, piękna czarownica. Drżące światełka odbijają się w twarzach posągów, czasach srebrnych pucharów, w kryształowej kuli. Kobieta jest w białej, przezroczystej sukni. Na odsłoniętym dekolcie połyskuje ciężki, rzeźbiony amulet. Przy akompaniamencie dziwnego jęku - który nie wiadomo, czy wydobywa się z jej krtani, czy jest poszumem wiatru - unosi w górę dwie fotografie.

Migoczą świece. W zamkniętym pokoju jej włosy i suknia falują. Zaczyna śpiewać. Prastare zaklęcia, niski, zawadzający głos. Wkłada zdjęcia do płomienia... Nie, rysuje po nich paznokciem... Nie. Oblewa je gorącym płynem z wyszczerbionej, niebieskiej miski. Syk pary. Czarownica kołysze się rytmicznie, potem skleja fotografie - twarzą do twarzy - i odkłada na srebrną tacę. Uśmiecha się tajemniczo, kiedy topią się z sykiem.

Koniec sceny.

Podobała się Nashowi... Chociaż mógłby ubarwić moment wypowiedzianego zaklęcia.

Zadowolona z milczenia, Morgana poprowadziła Nasha cyprysową alejką na tyły domu. Zatrzymali się na kamiennym dziedzińcu w kształcie pentagramu - pięciokąta gwiazdowego, figury magicznej, zwanej w starożytności Stopą Czarownika albo Pieczęcią Salomonową. Atrakcją tego miejsca była rzeźba z brązu przedstawiająca kobietę. U jej stóp znajdowała się mała sadzawka, w której bulgotała krystalicznie czysta woda.

- Czy ona ma jakieś imię? - spytał Nash.

- Ma wiele imion. - Morgana podeszła do figury, leżącym w pobliżu czerpakiem nabrała trochę wody, wypila dwa łyki, a resztę wylała na ziemię. Dla bogini. Potem odwróciła się bez słowa i weszła do domu.

- Wierzysz w Stworzyciela? - zapytała, kiedy znaleźli się w kuchni.

- Taak... Chyba tak. - To obcesowe pytanie zaskoczyło go i zbiło z tropu. Milczał przez chwilę, czekając, aż Morgana umyje ręce. - Czy twoja magia... to sprawa religijna?

- Życie to sprawa religijna. - Uśmiechnęła się i wyjęła z lodówki dzbanek lemoniady. - Spokojnie, Nash, ani myślę cię nawracać. Ale takie pytanie nie powinno cię wprawiać w zakłopotanie. Przecież we wszystkich filmach opowiadasz o walce dobra ze złem. Ludzie codziennie dokonują trudnych wyborów, takich czy innych...

- A ty?

- Cóż, ja też. Nie ma dnia, żebym nie próbowała zapanować nad swoimi nagannymi odruchami - rzuciła mu wymowne spojrzenie - ale nie zawsze z powodzeniem. - Podążyła Nashowi szklanek, gestem dłoni zapraszając do zwiedzenia domu.

Kroczyli szerokim, niemal zamkowym korytarzem. Spłwiała gobeliny na ścianach przedstawiały sceny rodzajowe z mitologii i legend.

Weszli do pokoju, który babcia Morgany nazywała różowym salonem. Ściany w odcieniu ciepłego różu harmonizowały z orientalnym dywanem, podłogą z drzewa kasztanowca oraz rzeźbionym obramowaniem kominka.

Nash westchnął z zachwytu. Dostrzegł tu więcej pięknych przedmiotów niż w sklepie WICCA. Kryształ, czarodziejskie różdżki, wahadełka, kolekcja drobnych rzeźb. Ołowiani czarodzieje, wróżki z brązu, porcelanowe smoki. I prawdziwa złota harfa... Oglądał ją z nabożeństwem, potem przebiegł palcami po strunach.

- Grasz na niej?

- Kiedy mam dobry nastrój. - Patrzyła rozbawiona, jak krąży po pokoju, zatrzymuje się przed każdym drobiazgiem, wszystkiego dotyka, kręci z niedowierzaniem głową.

Sięgnął po srebrny kielich zdobiony delikatnymi rowkami i pociągnął kilka razy nosem.

- Pachnie czymś...

- Ogniem piekielnym? - odpowiedziała z kpiącym uśmiechem.

Odstawił kielich na półkę. Wziął do ręki ametystową różdżkę, inkrustowaną kamieniami, z uchwytem oplecionym srebrną nitką.

- To czarodziejska różdżka?

- Oczywiście. Lepiej się tym nie baw... - Zabrała mu ją delikatnie i odłożyła na miejsce. - Muszę ci się pochwalić, że mam sporą kolekcję podobnych drobiazgów i że wiele z nich zdobyłam sama.

Nash milczał zamyślony. Pochylił się nad szklaną kulą i zobaczył w niej własne odbicie.

- W zeszłym miesiącu wypatrzyłem na aukcji maskę szamańską i, jak wy to nazywacie, czarodziejskie zwierciadło. A więc coś nas łączy...

- Oczywiście. Zamiłowanie do sztuki. - Usiadła na oparciu kanapy.

- I podobnej literatury. - Podszedł do biblioteki.

- Lovecraft, Bradbury, Stephen King, Hunter Brown, McCaffrey. O rany, czy to nie...?

- Sięgnął po jedną z książek, otworzył ją z pietyzmem na stronie tytułowej. - Jasne. Pierwsze wydanie „Drakuli” Brama Stokera. Pisząc „Krew o północy” wciąż się zastanawiałem, czy mój scenariusz spodobałby się Stokerowi. A to co... - Uwagę Nasha przyciągnęła teraz seria wydawnicza o wąskich kolorowych grzbietach.

- „Cztery złote kule. Władca Zaczarowanej Krainy”.

- Sięgnął po następny tomik. - „Królowa wichrów”. Masz wszystkie jej książki... I to pierwsze wydania!

- Czytałeś Brynę?

- Pytanie! Każdą przeczytałem co najmniej dziesięć razy. Tylko głupiec mógłby powiedzieć, że to takie sobie książeczki dla dzieci. Uważam, że jest w nich tyle poezji i magii - i tyle mądrości - że... na pewno bym je zabrał na samotną wyspę. No i te bajeczne ilustracje! Oddałbym duszę diabłu, żeby kupić choć jeden z jej oryginalnych rysunków, ale niestety...

- Prosiłeś ją o to? - spytała Morgana, wyraźnie ożywiona.

- A jakże. Wysłałem tonę błagalnych listów do jej agenta. Nic z tego. Mieszka w jakimś zamku w Irlandii i pewnie tapetuje ściany własnymi szkicami. Chciałbym przynajmniej... - Usłyszał cichutki śmiech Morgany.

- Tak naprawdę, trzyma je w grubym albumie. Z myślą o przyszłych wnukach.

- Donovan. - Nash włożył ręce do kieszeni i zmrużył oczy. - Bryna Donovan. To twoja matka.

- Tak. Twoje pochwały sprawiłyby jej ogromną radość, możesz mi wierzyć. Nie ma to jak dobre słowo kolegi po fachu. Moi rodzice mieszkali w tym domu wiele lat. A pierwszą wydaną książkę moja matka pisała tam, na górze, kiedy była w ciąży ze mną. Do dziś utrzymuje, że to ja ją zmusiłam.

- Czy twoja matka wierzy, że jesteś czarownicą?

- Sam ją zapytaj, jeśli zdarzy się okazja.

- Znow się wykręcasz. - Westchnąwszy głośno, Nash usiadł na kanapie koło Morgany. Wyciągnął nogi i splótł dłonie na głowie. - Spróbujmy inaczej. Czy twoja rodzina robi z tego jakiś problem? Mam na myśli twoje zainteresowania.

- Moja rodzina? Zawsze rozumiała, że powinniśmy rozwijać się swobodnie, w zgodzie z naturalnymi skłonnościami. Nikt mnie nie tępił za talent, ani za brak jakiegoś innego talentu. Ale... wydaje mi się to takie oczywiste. Czy twoja rodzina krzywi się na twoje zainteresowania?

- Nie znam swoich rodziców.

- Przepraszam - powiedziała z mimowolnym współczuciem w głosie, kładąc rękę na jego ramieniu. Czują się okropnie. Rodzina była dla niej opoką. Nie wyobrażała sobie bez niej życia - i z trudem mogła sobie wyobrazić inną sytuację.

- Nie ma sprawy. Skąd mogłaś wiedzieć. - Podniósł się jednak gwałtownie, zażenowany jej reakcją: litością w oczach, odruchowym gestem pocieszenia. Tamte stare, złe czasy zostawił daleko za sobą, a wyrazy współczucia były ostatnią rzeczą, której potrzebował.

- Chodzi mi o coś innego. Jak zachowywała się twoja rodzina w sytuacjach, kiedy ich zaskakiwałaś. O ich proste, odruchowe reakcje, a nie świątłą teorię wychowania. Na przykład, co czuje matka albo ojciec, kiedy odkrywa niespodziewanie, że ich dziecko wymawia jakieś tajemnicze zaklęcia. Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś się w to bawić? Uczucie litości prysło jak bańka mydlana.

- Bawić się? - powtórzyła cicho, ale wyraźnie.

- No wiesz, myślę o dobrym prologu. Scenie, w której pojawia się główna bohaterka...

- Nash coraz szybszymi krokami przemierzał pokój tam i z powrotem. Chłonał jego atmosferę, zapamiętywał szczegóły. O Morganie jakby zapomniał. - Może, poszturchiwana ciągle przez dzieciaka z sąsiedztwa, zamienia go w żabę... - Mówił pod nosem, nie zważając na tężejące groźnie rysy jej twarzy. - Albo trafia na tajemniczą kobietę, która przekazuje jej własną moc. Coś w tym rodzaju. Nie wiem jeszcze, od czego zacznę, z czyjego punktu widzenia poprowadzę narrację, dlatego... Byłbym ci wdzięczny, Morgano, gdybyśmy rozmawiali szczerze: ty mi opowiesz o swoim dzieciństwie - jakie książki czytałaś, w co się bawiłaś i tak dalej. A ja twoje wspomnienia przerobię na fikcję.

Postanowiła trzymać się w ryzach. Żadnych wybuchów ani sztuczek. Odezwała się dźwięcznym, aksamitnym głosem, który zdumiał Nasha tak bardzo, że stanął jak wryty na środku pokoju.

- W moich żyłach płynie czarodziejska krew, jestem więc urodzoną czarownicą. Wyssałam ten dar z mlekiem matki, ona zaś odziedziczyła go po swoich rodzicach, dziadkach... i niezliczonych pokoleniach celtyckich przodków. Ślady naszego dziedzictwa sięgają czasów Firma i Osjana. Kiedy spotkam mężczyznę obdarzonego podobną mocą, przedłużymy rodzinny łańcuch o kolejne ogniwo.

- Wspaniale. - Nash pokiwał z uznaniem głową. Skoro „urodzona czarownica” nie miała ochoty na szczerść, nie pozostawało mu nic innego, jak włączyć się do jej gry. Proszę bardzo... Historyjka o czarodziejskim dziedzictwie podsuwała jego wyobraźni fantastyczne pomysły. - A więc kiedy po raz pierwszy zdałaś sobie sprawę, że jesteś inna?

Ton jego głosu podziałał na Morganę jak płachta na byka. Pociemniało jej w oczach. Pokój zadrżał w posadach, a ona całym wysiłkiem woli starała się opanować. Nash szarpnął ją za rękę i pociągnął do wyjścia.

- To tylko lekki wstrząs. - Kiedy znaleźli się pod framugą, objął ją ramieniem. - Chyba już po wszystkim. Byłem w San Francisco w czasie ostatniego trzęsienia ziemi... - uśmiechnął się niepewnie - i od tamtej pory każde drżenie ścian podrywa mnie na nogi.

A więc uznał to po prostu za trzęsienie ziemi. Tym lepiej, pomyślała Morgana. Nie stało się nic takiego, co usprawiedliwiłoby jej wściekłość.

- Mogłeś się przeprowadzić na środkowy zachód.

- Tornada. - Mimowolnym, kojącym gestem zaczął gładzić jej plecy. Ku jego radosnemu zaskoczeniu, Morgana nie tylko nie protestowała, ale prężąc kręgosłup poddawała się pieszczocie jak kotka.

Odrzuciła do tyłu głowę. Rozpamiętywanie własnego gniewu wydawało się stratą czasu, kiedy serce biło jak oszalałe. Może postępuje nie najmądrzej wystawiając się na taką próbę, ale czym jest mądrość? Chyba nie zawsze unikaniem ryzyka.

- Wschodnie wybrzeże? - powiedziała bardzo cicho, kładąc rękę na jego torsie.

- Zamiecie śnieżne. - Przyciągnął ją bliżej, zastanawiając się przez chwilę, jak to możliwe, że ich ciała przylgnęły do siebie tak doskonale.

- Południe. - Rękami oplotła jego szyję i spojrzała mu prosto w oczy. Pogodnie, bez cienia lęku.

- Huragany. - Zdjął z jej głowy kapelusz. Ciepłe, jedwabiste włosy przykryły jego rękę. - Wszędzie zdarzają się kataklizmy - mruknął. - Lepiej uporać się z tym, który los nam zsyła, niż uciekać na oślep.

- Ze mną ci się nie uda... uporać, ale jeśli chcesz spróbować... - Musnęła wargami jego usta.

Pocałował ją bez wahania. Nigdy w życiu, żadnej kobiety, nie traktował jak kataklizmu.

I może to był błąd.

Jego ciało i umysł stały się nagle igraszką żywiołów groźniejszych od sztormu i od trzęsienia ziemi. W chwili, kiedy Morgana rozchyliła usta, czuł, że jakaś nadzwyczajna siła popycha go w otchłań, z której nie ma odwrotu.

Utonęli w swoich ramionach. Nash nie był pewien, gdzie kończy się delikatne ciało Morgany, a zaczyna jego. Błądził palcami po wypukłościach bioder, ramion, paciorkach kręgosłupa. Tulił ją do siebie coraz mocniej, jakby sprawdzając, czy nie śni na jawie.

Niby wszystko wydawało się realne - ciepło jej oddechu, zapach skóry, smak pocałunku - a jednak przeżywał tę rzeczywistość jak senne marzenie.

Usłyszał cichutki jęk. Powolnym, ociężałym ruchem Morgana oderwała dłoń od jego ramienia. Szepnęła coś niewyraźnie, coś, czego nie zrozumiał, ale wyczuł w tym szepcie zdziwienie, może nawet lekki strach. Potem westchnęła i przytuliła go mocniej.

Należała do kobiet, które nie wstydzą się uczuć i bez skrępowania przeżywają rozkosz. Nie tylko nie obawiała się swojej cielesności, ale potrafiła się nią cieszyć.

A jednak... Po raz pierwszy w życiu czuła się niepewnie w ramionach mężczyzny. Im bardziej była podniecona, tym bardziej się bała. Skąd mogła wiedzieć, że zachęcając Nasha do zwykłego pocałunku, wypuszcza na wolność nieokiełznane żywioły?

Chciała wierzyć, że to ona, jak zwykle, nad wszystkim panuje. Ale strach brał się ze świadomości, że stało się inaczej... Nie do wiary. Sytuacja, którą sama sprowokowała, wymyka się jej spod kontroli. Co teraz? Łatwiej rzucić skuteczne zaklęcie - wiedziała o tym doskonale - niż wyzwolić się spod czyjegoś uroku.

Wyśliznęła się z objęć Nasha - bardzo powoli i ostrożnie. Za nic nie może się domyślić, że ma nad nią jakąkolwiek przewagę. Zacisnęła dłoń na amulecie i dopiero wtedy uniosła głowę.

Nash był do głębi wstrząśnięty. Miał wrażenie, że cudem ocalał z jakiejś katastrofy. Wcisnął ręce w kieszenie, żeby tylko znów jej nie dotknąć. Nie, nie bał się silnych wrażeń. Lubił nawet igrać z ogniem - ale pod warunkiem, że sam go rozniecił. Tym razem nie miał złudzeń. To nie on trzymał zapalki.

- Często bawisz się w hipnotyzerkę? - spytał opanowanym głosem. - Lubisz takie eksperymenty?

Spokojnie, przemawiała do siebie Morgana. Nerwy na wodzy. Przecież nic się nie dzieje... Usiadła na kanapie i spojrzała na Nasha z wymuszonym uśmiechem.

- A czujesz się zahipnotyzowany?

Czuł jedynie, że traci głowę. Odpowiedział po dłuższej chwili, ze ściśniętym gardłem.

- Chciałbym po prostu wiedzieć... Wiedzieć na pewno, że kiedy cię całuję, robię to z własnej woli.

Pociemniało jej w oczach.

- Twoja wola niewiele mnie obchodzi, Nash. Jeśli chodzi o moją, to, wyobraź sobie, nie muszę stosować czarów, żeby stać się obiektem męskich pragnień. A gdybym niechcący zapragnęła ciebie, nie zastanawiałbyś się ani minuty. I nie opowiadał o swojej wolnej woli. A potem - skrzywiła się ironicznie - gorąco mi podziękował.

- Gdyby z moich ust padły takie słowa, nazwałabyś mnie antyfeministą i egocentrykiem.

- Prawda - nie odrywając wzroku od Nasha, sięgnęła po szklanekę - nie ma nic wspólnego ani z płcią, ani z ego. - Pogłaskała po głowie kotkę, która wskoczyła

niespodziewanie na oparciu kanapy. - Jeżeli nie lubisz ryzykować, możemy zrezygnować z naszej... twórczej współpracy.

- Morgano, czy uważasz, że się ciebie boję? - Absurdalność takiego pomysłu poprawiła mu humor. - Kochanie, czasy, w których myślałem... wszystkim, tylko nie głową, minęły dawno i bezpowrotnie.

- Miło mi to słyszeć, Nash. Nie chciałabym w tobie widzieć jakiegoś wyrachowanego lowelasa.

- Dobrze by było - wycodził przez zęby - żebyśmy ustalili na przyszłość jakieś reguły gry.

Przeraziły go własne słowa. Musiał postradać zmysły... Zaledwie pięć minut temu trzymał w ramionach piękną, pociągającą kobietę, przy której zapomniał o bożym świecie. Całował ją. Nie zapomniał jeszcze smaku tego pocałunku - a teraz próbuje ją zniechęcić...

- Nie - odparła natychmiast. - Nie uznaję reguł. Będziesz musiał zaryzykować. Więc... dobrze, zawrę z tobą układ. Obiecuję, że nie narażę cię nigdy więcej na kłopotliwą sytuację, ale pod jednym warunkiem: przestaniesz w końcu bzdurzyć na temat czarnej magii. - Odrzuciła do tyłu włosy. - Twoje gadanie trzy po trzy denerwuje mnie. Po prostu! A kiedy jestem zdenerwowana, zdarza mi się robić rzeczy, których potem żałuję.

- Muszę przecież zadawać pytania.

- Więc naucz się słuchać. Przyjmować do wiadomości moje odpowiedzi - powiedziała chłodno i wstała. - Ja nie kłamię, Nash - w każdym razie niezbyt często. Nie wiem, dlaczego zgodziłam się zdradzić ci swoje tajemnice. Może dlatego, że jest w tobie coś, co mnie pociąga. Może wyczułam pokrewną duszę. Na pewno dlatego, że chylę czoło przed twoim talentem. Wytwarzasz silną aurę, jesteś błyskotliwy... no i zauroczyłeś moją rodzinę.

- Kogo mianowicie?

- Anastazję, Lunę i Pana. A oni znają się na ludziach, możesz mi wierzyć.

- Czy Anastazja też jest czarownicą?

- Mamy rozmawiać o mnie i o magii w ogóle, a nie plotkować o bliźnich.

- W porządku. Kiedy zaczynamy?

- W niedzielę nie pracuję. Możesz przyjść jutro, o dziewiątej wieczorem.

- Nie o północy? Przepraszam... - Złapał się za głowę. - Siła przyzwyczajenia.

Chciałbym korzystać z magnetofonu, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście.

- Czy mam przynieść coś jeszcze?

- Język nietoperza i kilka gałązek tojadu... Przepraszam, siła przyzwyczajenia.

Nash roześmiał się i pocałował Morganę w policzek.

- Do zobaczenia.

Wytrzymała do wieczora. Po zachodzie słońca przebrała się w białą, zwiewną szatę. Na wszelki wypadek, szepnęła bezgłośnie, kiedy znalazła się w szczytowej komnacie wieży. Odpychała od siebie myśl, że Nash ją naprawdę obchodzi, że warto się nim przejmować. Ale przejmowała się, więc wołała wiedzieć...

Wyznaczyła ramionami zaczarowany krąg i zapaliła świece. Upojona wonią ziół oraz sandałowego drewna, podniosła ręce i opadła na kolana.

Zaklinała ogień. Zaklinała wodę, ziemię i wiatr, żeby pozwoliły jej ujrzeć to, co niewidzialne.

Czuła wielką moc. Ujęła w dłonie kryształową kulę, a potem poruszyła nią lekko, tak żeby płomienie świec ożywiły jej wnętrze.

Dym. Światłość. Półmrok.

Kula na przemian jaśniała i pograżała się w cieniu. Wtem, jakby zniecierpliwiony, wiatr rozwiął chmury i mgłę... Powierzchnia kryształu rozgorzała białym, oślepiającym blaskiem. Cisza.

W środku zobaczyła starą cyprysową aleję skąpaną w świetle księżyca. Czuła zapach wiatru, słyszała wołanie morza... albo śpiew syren. Niektórzy mówią, że to jedno i to samo.

Zapalone świece. W pokoju. Wewnątrz kuli.

Ona. W pokoju. Wewnątrz kuli.

Miała na sobie białą obrzędową szatę, przewiazaną sznurem kryształowych kamieni. Włosy rozpuszczone, bosa stopy. Własną ręką roznieciła ogień. Z własnej woli. Płonął równie blado jak księżyc. Idealna noc na misterium.

Zahuczła sowa. Morgana odwróciła się. Zobaczyła białe skrzydła, które zatrzepotały, przecięły powietrze jak brzytwa i zginęły w mroku. Potem dostrzegła jego.

Szedł polaną, oddalając się od cyprysów. W jego oczach zobaczyła... siebie.

Żądza. Namiętność. Przeznaczenie.

Uwięziona w kuli wyciągnęła ręce, żeby przygarnąć Nasha.

Gruchnęła klątwa, zatrzęsły się mury wieży. Świadoma, że sprzeniewierza się samej sobie, machnęła rozpaczliwie ręką. Zgasły świece. Morgana klęczała nieporuszona, w całkowitych ciemnościach.

Przeklęta ciekawość. Teraz już była pewna, że lepiej było tego nie widzieć.

Nash ocknął się z drzemki przed wyjąłym telewizorem. Odrętwiały i nieprzytomny, przetarł twarz. Nie mógł wstać ani otworzyć oczu.

Piekielny sen... Morgana tańcząca w lesie przy świetle księżyca. Morgana zsuwająca z ramion białą, jedwabną szatę. Kusząca go... Sam jest sobie winien. Nie zrobił żadnego wysiłku, żeby przestać o niej myśleć. Czuł się jak opętany... na własne życzenie.

Wzdrygnął się z zimna. Przysięgłby, że poczuł zapach palącej się świecy.

ROZDZIAŁ TRZECI

W poniedziałek wieczorem Morgana wracała do domu z poczuciem straconego czasu. Nie doczekała się spodziewanej przesyłki z Chicago i nie zdołała wyśledzić jej losów przez telefon. Była wściekła. Ogromnie ją korciło, żeby załatwić sprawę na swój sposób, ale przecież obiecywała sobie...

Kiedy zaparkowała samochód, panował już prawie zmrok. Chciała iść na spacer, żeby ochłonać, pozbierać myśli przed wizytą Nasha... Niestety. Ten dzień nie może skończyć się dobrze!

Czarny błyszczący motocykl, który dostrzegła nie opodal, wprowadził ją w rozpacz. Z jękiem opadła na siedzenie. Sebastian. Koniec świata. Akurat dzisiaj przyszła mu ochota na pogawędkę.

Luna wyskoczyła na trawnik. Z radosnym miauczeniem otarła się o tylne koło harleya i - lekceważąc pogardliwe spojrzenie pani - pomknęła dużymi susami do domu.

W drzwiach powitał je wesóły, merdający ogonem pies. Polizał Morgane, potem rzucił się na kotkę, ale ta ofuknęła go lekceważąco i zniknęła w korytarzu. Z salonu dobiegały łagodne dźwięki muzyki Beethovena.

Znalazła Sebastiana dokładnie tam, gdzie się spodziewała. Siedział rozparty na kanapie, z nogami na stoliku, z przymkniętymi oczami i szklanką wina w ręku.

Ten zniewalający uśmiech, wesóły i bezczelny. Iluż to biednym dziewczynom musiał zawrócić w głowie, pomyślała Morgana. Już w dzieciństwie uważała - i do dziś nie zmieniła zdania - że matka natura, obdarzając jej kuzyna wyjątkową urodą i wdziękiem, wyrządziła mu sporą krzywdę.

- Morgano, moja śliczna! Nareszcie! Myślałem, że się nie doczekam.

- Czuj się jak u siebie w domu, kuzynie.

- Dzięki, kochanie. Wyborne wino. Twoje czy Any?

- Moje.

- Wyrazy uznania. - Podniósł się z gracją tancerza i podał jej własny kieliszek. - Spróbuj. Zdaje się, że trzeba ci poprawić humor.

- Miałam parszywy dzień.

- Wiem - powiedział z promiennym uśmiechem.

- A czy wiesz, że nie znoszę, kiedy węszysz w moich myślach? - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Nie musiałem tego robić. - Rozłożył ręce w bezradnym geście. Na jego małym palcu błysnął pierścionek z ametystem, osadzonym w delikatnym, złotym koszyczku. - To ty, siostrzyczko, nadawałaś sygnały. Sama wiesz, jaka jesteś głośna, kiedy się zdenerwujesz.

- A nie odbierasz w tej chwili mojego wrzasku? Nie bołą cię uszy?

- Kochanie, nie widzieliśmy się... zaraz, zaraz... od Matki Boskiej Gromnicznej! - Sebastian kpił w żywe oczy. - Nie stęskniłaś się za mną?

Jeszcze jak, pomyślała udobruchana. Lubiła swojego stryjecznego brata, chociaż drwił z niej bezczelnie, chyba już od kołyski, i to z coraz większym upodobaniem.

- Byłam bardzo zajęta.

- Aha, coś mi się obilo o uszy... - Ujął Morganę pod brodę, pamiętając oczywiście, że ten gest doprowadza ją do szału. - Opowiedz mi o Nashu Kirklandzie. - Zobaczywszy furię w jej oczach, uśmiechnął się zaczepnie.

- Do diabła, Sebastianie, nie mam ochoty na żarty i dobrze ci radzę: trzymaj swoje telepatyczne macki z dala ode mnie i od moich spraw.

- Nie czytam w twoich myślach, jeśli o to ci chodzi - oświadczył z teatralnym oburzeniem w głosie.

- Jestem jasnowidzem, artystą, a nie jakimś podglądaczem. Ana mi powiedziała.

- Ach, tak... Przepraszam. No więc... Nie ma o czym mówić. Kirkland jest scenarzystą.

- To wiem. Facet robi całkiem zabawne kino. Ale czego chce od ciebie?

- Pracuje nad scenariuszem o czarownicach. Poprosił mnie o konsultację.

- Czy załapał się już na ucztę przy świecach i nalewkę z twojego kotła?

- Nie bądź trywialny, Sebastianie.

- Muszę przecież trochę uważać na moją małą siostrzyczkę.

- Nie musisz. Sama potrafię na siebie uważać - oznajmiła poważnie. - Swoją drogą, ma tu być za godzinę, więc...

- W porządku. To znaczy, że zdążysz mnie jeszcze nakarmić. - Objął ją ramieniem i obdarzył ciepłym, przyjacielskim uśmiechem. Ani myślał rezygnować ze spotkania z Kirklandem. - Rozmawiałem w sobotę z rodzicami.

- Przez telefon?

- Żartujesz? - Wpatrywał się w Morganę z wyrazem bezgranicznego zdumienia. - Wiesz, ile kosztują połączenia z Europą? Czyste zdzierstwo!

Wybuchnęła śmiechem. Nie tylko nie potrafiła się złościć na Sebastiana, ale jego humor działał na nią jak balsam. Poddawała się.

- W porządku, zrobię ci kolację pod warunkiem, że posiedzisz ze mną w kuchni.

Ponad godzinę Sebastian opowiadał Morganie o ostatnich wyczynach jej rodziców, ciotek oraz stryjów. Poczuli się jak nowo narodzona.

- Zastanawiam się - mruknęła tęsknie - ile lat temu patrzyłam na księżyc w Irlandii...

- Wybierz się tam kiedyś. Wiesz, jak oni wszyscy za nami tęsknią.

- Może i tak zrobię... Na letnie przesilenie.

- Ja i Anastazja też moglibyśmy pojechać.

- Może. - Westchnąwszy ciężko, odstawiła talerz. - Kłopot w tym, że w sklepie największy ruch mamy właśnie latem.

- Cóż, sama zdecydowałaś się prowadzić ten kłopotliwy interes.

- Zrozum, Sebastianie, ja to bardzo lubię. Naprawdę. Jestem zajęta, poznaję mnóstwo ciekawych ludzi. Fakt, odwiedza nas też sporo maniaków, ale przecież...

- Jakiego typu?

- Był taki jeden... - Uśmiechnęła się i oparła na łokciach. - Niesamowity. Przychodził dzień w dzień przez kilka tygodni. Uparł się, że pamięta mnie z poprzedniego wcielenia. Czego on nie opowiadał...

- Typ patetyczny.

- Właśnie. Na szczęście nie miał racji. Nigdy przedtem go nie spotkałam - ani w tym, ani w poprzednim życiu. Pewnego wieczoru, kilka tygodni temu, wpadł do sklepu tuż przed zamknięciem - z obłędem w oczach - i zachował się, delikatnie mówiąc, namolnie.

- I co zrobiłaś?

- Walnęłam go w żołądek.

- Och, Morgano, zawsze miałaś styl! - Sebastian odetchnął z nie tajoną ulgą. - Dlaczego nie zamieniłaś go w ropuchę?

- Przecież wiesz, że tego nie robię. - Wyprostowała się z godnością.

- A Jimmy Pakipsky?

- No wiesz! To były inne czasy, i nieporównywalna sytuacja. Miałam wtedy trzynaście lat. Poza tym zreflektowałam się natychmiast i przywróciłam mu postać paskudnego chłopaka.

- Tylko dlatego, że wstawiła się za nim Ana. - Sebastian pogroził jej widelcem. - I zostawiłaś mu na twarzy ohydne brodawki.

- Tylko tyle mogłam zrobić. - Ucisnęła jego rękę. - A niech to, braciszku, nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam.

- A ja za tobą. I Aną.

Nagle wyczuła coś dziwnego. Niepokój. Skrętnie tajony smutek w duszy Sebastiana. Zbyt dobrze się znali, żeby mogła to przeoczyć.

- Co ci jest?

- Nic... - Ścisnął mocniej jej palce, a potem cofnął rękę. - Nic takiego, co moglibyśmy zmienić. - Nie chciał o tym myśleć ani tym bardziej wciągać Morgany w swoje kłopoty. - Nie masz jakiegoś deseru z bitą śmietaną?

Pokręciła głową. A więc miała rację...

- Tamta sprawa, nad którą pracowałeś, ten uprowadzony chłopiec.

Przeszył go nagły, ostry ból. Daremnie próbował odpędzić koszmarny obraz.

- Za późno do niego dotarli. Policja z San Francisco robiła, co mogła, ale porywacze wpadli w panikę. Miał zaledwie osiem lat.

- Przykro mi... - To już nie był smutek. Zawisła nad nimi czarna, bezsilna rozpacz. - Boże, Sebastianie, tak strasznie mi przykro.

- Wiem, że powinienem wziąć się w garść, ale tamta sprawa mnie zżera... A przecież - szlag by to trafił! byłem tak blisko... Kiedy zdarza się coś takiego, człowiek zastanawia się, po co mu ten dar, skoro i tak nie może niczego zmienić, ani w niczym pomóc.

- Pomagałeś. - Morgana miała wilgotne oczy, ale nie opuściła wzroku. - Nawet nie umiałabym zliczyć, ilu ludziom pomogłeś. Tym razem los chciał inaczej.

- Ale to boli.

- Wiem. - Poglaskała go po włosach. - Cieszę się, że do mnie wpadłeś.

- Posłuchaj. - Sebastian objął ją mocno i natychmiast odsunął. - Przyszedłem tutaj, żeby wrzucić coś na ruszt, pośmiać się z tobą, a nie biadolić. Przepraszam.

- Nie rozmawiaj ze mną jak poparzony, dobrze? - powiedziała szorstko.

- W porządku. - Sebastian zachichotał i podniósł ręce na znak kapitulacji. Nic go tak nie rozweselało, jak wybuchy gniewu kuzynki Morgany. - Jeśli naprawdę chcesz mi poprawić humor, wyczaruj trochę bitej śmietany.

- Co byś powiedział na deser lodowy? Z bitą śmietaną - patrzyła radośnie, jak jego oczy stają się coraz większe - bakaliami i gorącym syropem karmelowym?

- Nie śmiałem przypominać, że to mój ulubiony deser.

Morgana z tajemniczym uśmiechem otworzyła lodówkę i wyjęła z niej ogromną miskę lodów.

- To rozumiem! - Sebastian położył nogi na wolnym krześle. - A więc powiesz mi, dlaczego zgodziłaś się pomóc Kirklandowi?

- Zainteresował mnie. - Postawiła na kuchence dzbanek z syropem.

- Kirkland? To miałaś na myśli?

- W pewnym sensie. On oczywiście nie wierzy w żadne nadprzyrodzone zjawiska, ale! lubi robić o nich filmy. Nie mam nic przeciwko temu. - Zamyśliła się na chwilę, oblizując łyżeczkę. - To znaczy przeciwko jego filmom. Są zabawne. A jego poglądy... Cóż, może spróbujemy nimi zachwiać.

- Śliski grunt, Morgano.

- Daj spokój, całe życie balansujemy na śliskim gruncie. - Polała sosem olbrzymią porcję lodów, udekorowała je kremem i postawiła przed Sebastianem. - Poza tym - uśmiechnęła się niewinnie - my też się przy okazji rozerwiemy.

- Ale z ciebie ziółko...

- Smakują ci lody? Myślę, że go polubisz - powiedziała z pełnymi ustami. - Nasha. Ma taki arogancki sposób bycia, który zwłaszcza mężczyznom wydaje się bardzo męski. - Nie bez racji, pomyślała z sarkazmem. - No i, rzecz jasna, bujną wyobraźnię. Lubi zwierzęta, Pan i Luna zwariowały na jego punkcie. Jest wielbicielem książek mojej matki, ma poczucie humoru... Co jeszcze? Trudno byłoby mu odmówić inteligencji. I jeździ niesamowicie szpanerskim autem.

- Zdaje się, że zadurzyłaś się w nim po uszy.

- Nie bądź śmieszny! - Mało brakowało, a zakrzusiłaby się lodami. - Jeśli uważam go za ciekawego faceta, to wcale nie znaczy, że, jak się raczyłeś wyrazić, jestem zadurzona. Co za idiotyczne słowo!

Nadała się i bardzo dobrze, pomyślał Sebastian. Im bliżej wybuchu złości, tym łatwiej pociągnąć ją za język.

- Przyznaj się, zajrzałaś w szklaną kulę?

- Oczywiście - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Ze zwykłej ostrożności.

- Zrobiłaś to, bo poniosły cię nerwy.

- Nerwy? Jakie nerwy? To ty mnie denerwujesz.

- Zaczęła bębnić palcami o stół. - Jest po prostu mężczyzną.

- A ty, pomimo swojego daru, po prostu kobietą. Czy mam ci wyjaśnić, co się dzieje, kiedy mężczyzna z kobietą poczują wolę bożą?

- Dziękuję. - Morgana zacisnęła pięści. - Ależ jesteś trywialny. Nawet jeśli zostanie moim kochankiem, to wyłącznie moja sprawa. I moja przyjemność.

- Kłopot polega na tym, że w kochanku można się zakochać. Bądź ostrożna, Morgano. Łatwiej stracić głowę, niż ją odzyskać.

- Istnieje zasadnicza różnica między miłością a pożądaniem, nie sądzisz? - Byłaby go zapytała, czy zna się na jednym i drugim, ale Pan, który do tej pory siedział cichutko pod stołem, wychylił głowę i cicho zawył.

- O wilku mowa...

- Zachowuj się, Sebastianie - syknęła groźnie. - Koniec żartów.

- O mnie się nie martw, kochanie. Otwórz mu.

W tej samej chwili zabrzączał dzwonek. Sebastian, chichocząc pod nosem, odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi.

Niech to wszyscy diabli. Z plecakiem zawieszonym na jednym ramieniu, rozwichrzoną czupryną i w spłowiałych dżinsach wyglądał jeszcze przystojniej niż dwa dni temu. I na pewno sympatyczniej.

- Cześć. Zdaje się, że przyszedłem trochę za wcześnie.

- W porządku. Wejdz do środka i usiądź, gdzie chcesz. Posprzątam tylko bałagan w kuchni.

- Cóż za subtelny sposób przedstawiania kuzyna! - zagrzemiał Sebastian, wynurzając się z kuchni. - Witam. Nash Kirkland, prawda?

- Nash, to mój kuzyn Sebastian. Właśnie zamierzał wyjść.

- Zostanę jeszcze chwilę. Wyrazy uznania za wszystkie filmy. Jestem twoim wielbicielem.

- Dzięki. Czy my się przypadkiem nie znamy? - Nash zmierzył Sebastiana przenikliwym wzrokiem.

- Jesteś jasnowidzem, prawda?

- Trafione.

- Śledziłem kilka spraw, w których brałeś udział. Po aresztowaniu Yuppie Killera w Seattle, nawet trzeźwo myślący gliniarze uwierzyli w twoje umiejętności. Czy nie mógłbyś...

- Sebastian nie lubi rozmawiać o swojej pracy - ucięła gwałtownie Morgana. - Prawda?

- Właściwie...

- Cieszę się, że znalazłeś dla mnie chwilę czasu - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. Postanowił dać za wygraną. Było wystarczająco wcześnie, żeby wpaść do Anastazji i porozmawiać z nią - serio - o Morganie.

- Trzymaj się, mała. - Ucałował ją z nieco teatralną czułością, pomachał obojgu ręką i zniknął za drzwiami.

- Uff! Napijesz się herbaty? - spytała Morgana z uśmiechem. - Muszę tylko trochę ochłoniąć i zaczynamy.

- Wolałbym kawę. - Ruszył za Morgana do kuchni. - Jakim on jest kuzynem?

- Sebastian? Nierzadko kłopotliwym.

- Nie to miałem na myśli... - Zmarszczył czoło. Ślady wspólnej kolacji jeszcze bardziej go zasepiły.

- Czy jest twoim bliskim kuzynem, czy tylko piątą wodą po kisielu?

- Nasi ojcowie są rodzonymi braćmi. - Widząc, z jaką ulgą przyjął tę informację, omal nie wybuchnęła śmiechem. - W tym życiu...

- W tym... Ach tak, oczywiście. - Powiesił na krześle plecak. - A więc wierzysz w reinkarnację?

- Wierzę? - powtórzyła jak echo. - Mniejsza o to. W każdym razie nasi ojcowie - mój, Sebastiana i Any - przyszedli na świat w Irlandii, prawie równocześnie.

- Żartujesz? Jako trojaczki? To równie dobre, jak urodzić się siódmym synem siódmego syna!

- Ożenili się - ciągnęła beznamiętnie, odmierzając zioła na herbatę - z trzema siostrami. Też trojaczkami.

- Niesamowite... - Nash zaczął drapać psa, który ułożył się przy jego nodze.

- Niezwykłe, ale tak chciało przeznaczenie, które potrafili odczytać. Każdej parze dane było mieć tylko jedno dziecko. Szkoda, bo bardzo się kochali. Stworzyli nam szczęśliwe dzieciństwo, wspaniałe domy, w których nie zabrakłoby miłości dla naszego rodzeństwa... Gdyby los chciał inaczej.

Kiedy zaparzyła kawę i herbatę, ustawiła na srebrnej tacy oba dzbanki, cukiernicę w kształcie śmiejącej się czaszki oraz filiżanki z cieniutkiej porcelany.

- Ja to zaniosę. - Nash podniósł tacę na wysokość oczu, zabierając drugą ręką plecak. - Scheda rodzinna?

- Nie. Sklep z porcelaną. Miałam nadzieję, że spodobają ci moje ostatnie zdobycze.

Zaprowadziła go do salonu. Luna, zwinięta w kłębek na środku kanapy, powitała ich przyjaznym mruknięciem. Potraktowawszy to jak zaproszenie, usiedli koło niej.

- Założę się - Nash zaczął oglądać cukiernicę - że w wigilię Wszystkich Świętych robisz furorę wśród dzieci jako mistrzyni maskarady.

- Żebyś wiedział. Dzieciaki aż piszczą, żeby je zaczarować. A niektóre - roześmiała się - próbują czarować mnie. Czasami mam wrażenie, że są zawiedzione, bo nie noszę spiczastej czapki i nie latam na miotle.

- Pewnie zauważyłaś, Morgano, że nasze - to znaczy większości zwykłych ludzi - wyobrażenia o czarownicach ograniczają się do dwóch stereotypów. Pierwszy to wiedźma z zakrzywionym nosem, rozdająca zatrute jabłka. Drugi, przeciwieństwo pierwszego, to zwiewny duszek z różdżką w kształcie gwiazdy, przekonujący zbłąkanych, że nie ma to jak w domu...

- Niestety, do żadnego z nich nie pasuję.

- Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy. - Nash odstawił filiżankę i wygrzebał z plecaka magnetofon. - Pozwolisz?

- Jasne.

Włączył nagrywanie i znowu sięgnął do plecaka.

- Cały dzień ryłem w książkach. Przekopałem chyba wszystkie księgarnie i biblioteki.

- Podał jej skrypt w miękkiej okładce. - Co o tym sądzisz?

Morgana ściągnęła brwi i przeczytała głośno tytuł: „Sława, fortuna i miłość: obrzędy magiczne na każdą okazję”. Cisnęła książkę na kolana Nasha.

- Mam nadzieję, że niewiele cię to dzieło kosztowało.

- Siedem dolarów, które odliczę od podatku. Spokojnie, powtarzała sobie w duchu. Nikt nie powiedział, że to będzie łatwe. Zsunęła pantofle i usiadła na podwiniętych nogach.

- Czy ty naprawdę wierzysz, że magii... uprawiania magii można się nauczyć z podręcznika?

- Skądś trzeba.

Burknęła coś pod nosem, chwyciła z powrotem książkę i otworzyła ją na pierwszej lepszej stronie.

- „Jak wzbudzić zazdrość” - przeczytała z niesmakiem. - „Jak wzniecić miłość. Jak się wzbogacić.” Pomyśl tylko, Nash: jak to dobrze, że nie każdy może być czarodziejem. Brakuje ci gotówki. Marzysz o nowym samochodzie, a tu puste konto. Co robisz? Zapalasz świece, wypowiadasz życzenie, może jakiś taniec na golasa dla wzmocnienia efektu... Abrakadabra. - Rozłożyła szeroko ręce. - Dostajesz czek na dziesięć tysięcy. Kłopot w tym, że musiała umrzeć twoja ukochana babcia, żeby zostawić ci te pieniądze. Rozumiesz? W naturze nic nie ginie, ale też nic nie bierze się znikąd.

- W porządku. Czyli trzeba dwa razy pomyśleć, zanim wypowie się zaklęcie.

- Właśnie. Nie ma czynów bez konsekwencji. Życzysz sobie, żeby twój mąż był bardziej romantyczny?

proszę bardzo. Czary mary... Od jutra jest Don Juanem - dla wszystkich kobiet w mieście. Nie znosisz przemocy? Jednym zaklęciem przerywasz wojnę. Pięknie, tylko że

doprowadzasz tym samym do wybuchu kilku innych. Magia nie jest zajęciem dla ludzi nieodpowiedzialnych. I nie można się jej nauczyć z głupich książek.

- Dobrze. - Nash podniósł obie ręce w obronnym geście. - Przekonałaś mnie. Ale pomyśl: kupiłem ją w księgarni za siedem papierów. Czyli ludzie interesują się magią i gotowi są czytać na jej temat nawet bardzo głupie książki.

- Ludzie zawsze interesowali się magią. Na szczęście dawno minęły czasy, kiedy płacili za to śmiercią na stosie.

- W tym rzecz! - podchwycił gorączkowo Nash. - Właśnie dlatego chcę napisać o czasach współczesnych. Latamy na Księżyc, mamy w domach telefony komórkowe, faksy, komputery, pocztę elektroniczną - i wciąż fascynuje nas magia. Temat rzeka. Mogę podejść do niego różnie. Na przykład... Bogu ducha winny lunatyk staje się kozłem ofiarnym...

- Beze mnie - ucięła gwałtownie.

- W porządku, wiem. A może by... ale to też banalne. Za łatwe. Myślałem o konwencji zbliżonej do komedii... Oglądałaś „Spoczywaj w pokoju”? Coś w tym stylu, może z wątkiem miłosnym, ale bez przesady z seksem - . - Luna wskoczyła na kolana Nasha. Zanurzył dłoń w jej sierści, nie odrywając wzroku od Morgany. - Chciałbym, żeby bohaterką mojego filmu była kobieta. Piękna, wspaniała, ale też całkiem zwyczajna, nie obnosząca się ze swoim darem. Opowiedziałbym o jej pracy, mężczyznach... Czy ja wiem? Pokazałbym ją w sklepie, w kuchni.

Musi znać inne czarownice. O czym ze sobą rozmawiają? Z czego się śmieją, jakie robią kawały. Kiedy się zorientowałaś, że jesteś czarownicą?

- Zapewne wtedy, gdy po raz pierwszy lewitowałam nad kołyską - powiedziała łagodnie, bez cienia irytacji w głosie.

- Doskonale. - Nash siłą woli powstrzymał się od śmiechu. - Właśnie takie „momenty” robią kino. Twoja matka musiała doznać szoku.

- Nie. Była na to przygotowana. - Zmieniając pozycję, Morgana otarła się kolanem o udo Nasha. - Mówiłam ci już, że odziedziczyłam swój dar po rodzicach.

Stracił głos, kiedy fala gorącej krwi napłynęła mu do głowy, ale przez myśl mu nie przeszło, że to sztuczka Morgany. Normalna męska reakcja...

- Tak - wykrztusił zmienionym głosem. - A czy świadomość, że jesteś inna, nie przeszkadzała ci? Nie sprawiała przykrości?

- Jasne, że przeszkadzała. Dzieci, z natury rzeczy, nie panują nad emocjami, a ja musiałam. Nie zawsze to wychodziło, ale pamiętam, że wciąż się powstrzymywałam, zaciskałam zęby... żeby tylko nie pomyśleć czegoś głupiego i nie narobić bigosu.

- A teraz? Często tracisz panowanie nad sobą?

- Rzadziej niż w dzieciństwie. Zdarza mi się wychodzić z siebie, czasami robię rzeczy, których żałuję... ale istnieje jedna zasada, o której żadna szanująca się czarownica nie może zapomnieć. Nie wolno nam nikogo krzywdzić.

- Więc ty, jako szanująca się i odpowiedzialna czarownica, oferujesz swoim klientom zaklęcia miłosne...

- Bzdura - rzuciła wściekle.

- A jednak schowałaś zdjęcia tamtej nastolatki i jej ukochanego. Pamiętasz?

Nic nie uchodzi jego uwagi, pomyślała z niesmakiem.

- Jej babka przyparła mnie do muru. A to, ze wzięłam od niej fotografie... Jeszcze się nie zdecydowałam, czy posypię je pyłem z księżycyca.

- Tak to się robi?

- Tak, ale... - ugryzła się w język - dlaczego, do diabła, próbujesz ze mnie kpić? Po co zadajesz pytania, skoro nie wierzysz w odpowiedzi?

- Wcale nie muszę wierzyć, żeby słuchać z zainteresowaniem. - Położył rękę na oparciu kanapy. - A więc... w sprawie szkolnej zabawy nie tknęłaś nawet palcem? - Zaczął bawić się jej włosami.

- Tego nie powiedziałam. - Zrobiła nadąsaną minę. - Usunęłam małą przeszkodę. Nic więcej. Każdy dalszy krok byłby nadużyciem.

- Jaką przeszkodę? - Wyobraził sobie, że pył księżycowy pachnie jak jej włosy.

- Dziewczyna jest chorobliwie nieśmiała, więc dodałam jej trochę odwagi. Reszta należy do niej samej.

Miała piękną, smukłą szyję. Mógłby ją pieścić, gdyby... Opamiętaj się, stary. Głęboki oddech i do roboty.

- Sporo się naczytałem - odezwał się po chwili milczenia. - Czarownice uważano za najmądrzejsze kobiety we wsi. Sporządzały lecznicze mikstury, rzucały uroki, wróżyły, przepowiadały przyszłość, uzdrowiały ludzi.

- Moją specjalnością nie jest ani uzdrawianie, ani Wrózenie.

- A co jest twoją specjalnością?

- Magia. - Sama nie wiedziała, czy zrobiła to z irytacji, czy też chciała odzyskać pewność siebie... Dość, że za oknem rozległa się seria grzmotów.

- Burza? - spytał zdziwiony.

- Na to wygląda. Wiesz co? Zadaj mi jeszcze kilka pytań i uciekaj do domu, zanim będzie powódź.

Niechby sobie już poszedł. Dobrze pamiętała, co zobaczyła w szklanej kuli. Przy odrobinie wysiłku... takie rzeczy można było zmienić. A przynajmniej powstrzymać.

Sposób, w jaki wplatał palce w jej włosy... Bała się. Nie lubiła się bać, dlatego czuła się coraz bardziej rozdrażniona.

- Nie ma pośpiechu. Nie roztopi mnie mały deszczyk.

- Będzie łało jak z cebra - mruknęła. - Niektóre z książek na pewno ci się przydadzą. Ale tę bzdurę... - skrzywiła się, wskazując palcem „Obrzędy na każdą okazję” - ze spokojnym sumieniem możesz wyrzucić do kosza. Sztuka magiczna, jak każda sztuka, ma pewną... oprawę dekoracyjną, ale...

- Ziemia cmentarna?

- Zmiłuj się, Nash... Naprawdę staram się pamiętać, że robisz film rozrywkowy i że masz prawo do własnej artystycznej wizji...

Pocałował jej palce. Delikatnie, same opuszki.

- Czyli nie spędzasz zbyt wiele czasu na cmentarzach.

- Posłuchaj, Nash... - odezwała się szeptem, który wróżył wybuch furii... albo namiętności. - Jestem w stanie zrozumieć powody, dla których mi nie wierzysz, ale nigdy, za nic w świecie, nie pozwolę z siebie kpić.

- Morgano, nie bądź taka spięta. - Odgarnął włosy z jej ramion. - Przyszynają, że dawno mi tak kiepsko nie szło. Boże! Jak sobie przypomnę dwanaście godzin wywiadu z pewnym rumuńskim szaleńcem, który przysięgał, że jest wampirem... Nie miał w domu ani jednego lustra. Powiesił mi krzyżyk na szyi. No i ten odór czosnku. - Nash skrzywił się ze wstrętem. - Ale facet był kopalnią wiedzy i nie miałem z nim żadnych kłopotów. Gadał jak nakręcony. A ty...

- A ja...

- Coś mi tu nie gra, Morgano. Czegoś nie łapię. Jesteś silną, inteligentną kobietą. Masz styl, gust, nie mówiąc o tym, że cudownie pachniesz. Więc po prostu nie mogę uwierzyć, że ty w to wierzysz. Nie umiem udawać, że wierzę.

Zadrżała ze złości. Nie może tolerować takiej gry ani chwili dłużej. Nash drażnił ją z premedytacją, jednocześnie uwodząc.

- A czy wierzysz, że udawaniem można osiągnąć to, co się chce?

- Jeżeli dziewięćdziesięcioletnia kobieta opowiada mi, że jej kochanka, który był wilkołakiem, zastrzelono w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, nie zarzucam jej kłamstwa. Zakładam, że albo ma bujną wyobraźnię, albo wierzy w to, co mówi. Co z mojego punktu widzenia na jedno wychodzi.

- Oczywiście. Z punktu widzenia faceta, który robi kasowy film.

- Z tego żyję. Zmyślam różne historie, ale nie wydaje mi się, żebym wyrządził komukolwiek krzywdę.

- Nie, komu to szkodzi! Zbierasz materiał, potem idziesz z kumplami na wódkę i śmiejesz się z lunatyka, który udzielił ci szczerych odpowiedzi. - Jej oczy płonęły gorączkowym blaskiem. - Spróbuj tego ze mną, Nash, a wyrosną ci brodawki na języku. Przysięgam.

- Uspokój się, Morgano, nie chcę mieć brodawek na języku. Zresztą za co? Wiem, że masz ogromną wiedzę na temat magii i fantastyczną wyobraźnię. I o to mi chodziło: dlatego właśnie błagałem cię o pomoc. Przyznasz chyba, że właśnie sławie czarownicy zawdzięczasz powodzenie w interesach - no, połowę dochodów lekko licząc. I bardzo dobrze. Namawiam cię tylko, żebyśmy grali w otwarte karty.

- Sądzisz, że udaję czarownicę, żeby przyciągać klientów? - Wstała ostrożnie, obawiając się, że jeśli nad sobą nie zapanuje, wyrządzi Nashowi krzywdę.

- Ja nie... Hej! - Luna wbiła pazury w jego udo.

- Siedzisz sobie w moim domu i nazywasz mnie szarlatanką?! Oszustką? - Zniżyła głos do szeptu.

- Nie. - Zrzucił kotkę z kolan i zerwał się na równe nogi. - Nie powiedziałem niczego obraźliwego. Chciałem cię tylko przekonać, żebyś rozmawiała ze mną szczerze.

- Szczerze, powiadasz... - Zaczęła spacerować po pokoju, tam i z powrotem, powtarzając sobie w duchu, że musi ochłonać. Żadnych głupstw. Nagle odwróciła się i spojrzała mu w oczy z chytrym uśmiechem. - Chcesz, żebym była z tobą szczerą?

- Właśnie... - westchnął z ulgą. - Chciałbym, żebyś się odprężyła, żebyśmy rozmawiali na pełnym luzie. Wiesz co? Podawaj mi po prostu fakty - w dowolnej kolejności, cokolwiek ci przyjdzie do głowy - a ja się zajmę fikcją.

- Odprężyła... - powtórzyła Morgana jak echo, kiwając głową. - Masz rację. Oboje powinniśmy odpocząć. Może rozpalimy w kominku? Nic tak dobrze nie robi jak widok ciepłego ognia.

- Świetny pomysł. Pozwolisz, że to zrobię?

- Nie, nie... Ja sama.

Odwróciła się do niego plecami, wyrzuciła ramiona w kierunku paleniska i zamarła w bezruchu. Spokój. Wszystko stało się jasne i wyraźne. Miała pewność, że dar, który wyssała z mlekiem matki, nie może jej zawieść. Utkwiła wzrok w suchym drewnie... Trzask. Polana zajęły się żywym, huczącym ogniem.

Opuściła ręce i odwróciła głowę. Dopiero teraz, kiedy zobaczyła jego kredowobiałą twarz oraz półotwarte usta, poczuła się wreszcie w pełni usatysfakcjonowana.

- Przyjemniej, prawda?

Usiadł na kotce. Luna pisnęła wściekle i uciekła z kanapy.

- Przepraszam, myślałem...

- Kieliszek dobrze ci zrobi. - Wyciągnęła rękę. Karafka ze stolika, zatoczywszy w powietrzu półtorametrowy łuk, wylądowała w dłoni Morgany. - Trochę brandy?

- Nie. - Z trudem zaczerpnął powietrza. - Dziękuję.

- A ja owszem. - Strzeliła palcami. Kieliszek zjawił się nie wiadomo skąd i dotąd wisiał w powietrzu, dopóki Morgana nie napełniła go i nie ujęła w dłonie. Wiedziała, że popisuje się jak małe dziecko, ale nie umiała sobie tej przyjemności odmówić. - Na pewno się nie skusisz?

- Nie, nie...

Wzruszyła ramionami i gestem odesłała karafkę na miejsce.

- A więc? - Usiadła tuż przy nim, z podwiniętymi nogami. - Na czym to stanęliśmy?

Halucynacja, myślał oszołomiony. Hipnoza. Otworzył usta, ale z jego gardła wydobyło się tylko niewyraźne mruknięcie. A ona wciąż się uśmiechała... Zwykłe, cyrkowe triki! Zaczął śmiać się z własnej głupoty.

- Sztuczka pirotechniczna - powiedział z satysfakcją. - Moje gratulacje. Fantastyczny numer! Prawie się dałem nabrać...

Poderwał się z kanapy.

- Naprawdę?

- Boże, żebyś widziała, co wyprawiają chłopcy od efektów specjalnych w filmie... - Ukucnął przed kominkiem. Był niemal pewny, że pod szczapami drewna Morgana ukryła maleńki, zdalnie sterowany zapalnik... Olśnienie.

- Posłuchaj! Facet przyjeżdża do miasta, w którym mieszka czarownica. Jest naukowcem. Poznaje ją, zakochuje się i z uporem maniaka próbuje zrozumieć każdą jej sztuczkę. Wytłumaczyć wszystko racjonalnie. Może wkradnie się na jakiś... seans? Rytualną ceremonię? Brałaś udział w czymś takim?

- Oczywiście. - Anielski uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Bomba. Podrzucisz mi szczegóły. Nasz bohater zobaczy na własne oczy, jak panienka... powiedzmy... lewituje. Albo numer z ogniem, naprawdę bez pudła. Ani on, ani publiczność nie dowie się na sto procent, czy to czary, czy triki.

- A jaki sens będzie miała ta historia?

- Myślę, że poza warstwą sensacyjną, budowaniem napięcia, i tak dalej, wyłoni się zasadnicze pytanie: czy ten zwykły facet pogodzi się z faktem, że kocha czarownicę.

- Równie dobrze mógłbyś zapytać, czy czarownica pogodzi się z faktem, że kocha zwykłego mężczyznę.

- Dlatego właśnie potrzebuję ciebie. Nie interesuje mnie punkt widzenia jakiegokolwiek czarownicy, tylko pięknej, pociągającej kobiety, która przypadkiem jest czarownicą. - Poglaskał jej kolano. - Porozmawiajmy teraz o zaklęciach. Proszę...

- W porządku. Nash. - Roześmiała się i odstawiła kieliszek. - Porozmawiajmy magicznie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Całe dni spędzał w domu, z nosem w książkach. Nie narzekał na samotność. Od dzieciństwa zdawał się na własne towarzystwo - wcale z tego powodu nie cierpiąc. To, co na początku było koniecznością, jedyną szansą przetrwania, stało się sposobem na dorosłe życie.

Czasy, kiedy mieszkał u babki albo ciotki (zdarzały się też krótkie pobyty w przytułkach dla dzieci), nauczyły go jednego: lepiej samemu zadbać o rozrywkę, niż wchodzić w drogę dorosłym. Oni potrafili tylko gderać, używać go za parobka albo - jak w przypadku jego babki - bić na odlew bez najmniejszej przyczyny.

Wyobraźnia zastępowała Nashowi towarzystwo oraz zabawki. Nie tylko nie zazdrościł kolegom lepszej sytuacji, ale coraz częściej dochodził do wniosku, że ma nad nimi oczywistą przewagę. Wyobraźni nie można podarować za dobre sprawowanie ani odebrać za karę - i nie trzeba się z nią rozstawać, kiedy każą człowiekowi pakować manatki i jechać do następnych łaskawych opiekunów.

Nawet teraz, kiedy mógł sobie kupić każdą dorosłą zabawkę, na jaką przyjdzie mu ochota, nie za bogactwo dziękował codziennie opatrności, lecz za to, co ma w głowie.

Potrafił odciąć się od świata na wiele dni - i nigdy nie czuł się samotny. Wyobraźnia przynosiła mu ulgę, kiedy dosyć miał codzienności, pracy, życia towarzyskiego. Z niej czerpał natchnienie, kiedy zabierał się do kolejnego scenariusza.

Samotność? Absurd. Ostatnia rzecz, której się obawiał.

Miał przyjaciół, ale miał też komfortowe uczucie, że panuje nad swoim losem. Sam decydował, czy odejść skądś, czy zostać. Upajał się świadomością, że jego piękny, wielki dom należy tylko do niego. Jadł, kiedy był głodny, szedł spać, kiedy padał ze zmęczenia, nie przejmował się bałaganem, rzucał ubrania, gdzie popadło... i robił to z czystym sumieniem. Większość jego znajomych albo tkwiła w nieszczęśliwych związkach, albo się rozwiodła. Niemal wszyscy tracili mnóstwo czasu i wysiłku na obmawianie swoich partnerów.

Nash Kirkland uważał się za szczęściarza.

Bez troski. Wolny jak ptak. Zadowolony z życia.

Zastanawiał się czasami, na czym polega to jego wyjątkowe szczęście. Co go najbardziej cieszy?

Dobrze znał odpowiedź. Czuł się szczęśliwy, kiedy mógł ustawić komputer na ogrodowym stole i spędzić pracowity dzień na świeżym powietrzu. Dziękował losowi, że nie

musi spoglądać nerwowo na zegarek, nastawiać budzika, pędzić do biura, spieszyć się do domu, bo żona czeka i na pewno będzie miała za złe...

Czy brzmi to jak lament?

Nash - świadomy swoich talentów, ale także i wad - wiedział, że nie nadaje do normalnej pracy (od gwizdka do gwizdka), ani do konwencjonalnego małżeństwa (takiego „jak Bozia przykazała”). W końcu nie kto inny jak jego babka powtarzała mu do znudzenia, że do niczego w życiu nie dojdzie i że żadna uczciwa kobieta, choćby z krztyną zdrowego rozsądku, nie zechce na niego spojrzeć.

Nawet gdyby dzisiaj żyła, nie zmieniłaby zdania. Kiwałaby głową nad jego pozał się Boże zawodem, a nad bezzennym stanem jeszcze bardziej. Słyszał to kto? Trzydzieści trzy lata i wciąż kawaler.

Jak to ujęła DeeDee Driscoll w czasie ich ostatniej kłótni? „Zachowujesz się jak mały, samolubny chłopiec, niedojrzały emocjonalnie. Sądzisz, że jeśli jesteś niezły w łóżku, to poza nim wszystko ci wolno. Żadnej odpowiedzialności, prawda? Dam ci dobrą radę: baw się lepiej swoimi potworami, a normalne kobiety zostaw dorosłym mężczyznom!”

Nie miał do niej pretensji za gorzkie słowa ani za to, że cisnęła w niego popielniczką. Zawiódł ją, bo okazał się kiepskim materiałem na męża. Wszystko to prawda.

DeeDee wyszła za swojego dentystę. Sympatyczna, pogodna dziewczyna o pięknym uśmiechu... Myślał o jej rodzinnym szczęściu bez cienia zazdrości.

Wybrał wolność i pozostał najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem.

Ale dzisiaj był dziwnie podminowany. Wciąż patrzył na telefon i już z dziesięć razy podnosił słuchawkę, żeby zadzwonić do Morgany.

Wyznaczyła mu dwa spotkania w tygodniu, a do najbliższego została mu cała doba. Musiał przyznać, że mimo pierwszych starć, rozmawiało im się coraz milej. Dopóki w jego głosie nie zabrzmiał sarkazm...

Zachwycało go jej poczucie humoru oraz niewątpliwy talent aktorski. Czasami odnosił wrażenie, że znajdują się na planie filmowym. Kiedy Morgana twierdziła z niezmiennym uporem, że jest czarownicą, drżał z emocji, nie mogąc się doczekać efektów specjalnych.

Przysiągł sobie, że będzie trzymał „ręce przy sobie” i... prawie dotrzymał słowa. Czasami głąkał jej rękę, wplatał palce we włosy, ale - mój Boże! - czymże były te niewinne zaczepki wobec rozbudzonej wyobraźni!

Wpatrywał się w jej pięknie wykrojone, nabrzmiałe wargi, białą szyję, piersi...

Do diabła! To normalne, że pragnął kobiety, ale sposób, w jaki myślał o Morganie, dzień i noc - zaniedbując nawet pracę - stawał się obsesyjny.

Najwyższa pora wziąć się w garść, powtarzał sobie w myśli. Panował jeszcze nad sytuacją - doprawdy zachowywał się jak święty, ale jak długo wytrzyma? Wiedział tylko, że dla dobra scenariusza nie powinien sobie pozwolić na żadne szaleństwo. Swoją drogą, jeśli dziewczyna wprawia człowieka w trans jednym pocałunkiem, to lepiej w ogóle uważać... Bez względu na scenariusz.

Tymczasem siedział przy biurku, wpatrzony w telefon. Zadzwoić, nie zadzwonić. Chciał usłyszeć jej głos, spytać, czy mogliby się spotkać na godzinę lub dwie.

Co się z nim dzieje? Przecież nie jest samotny. W każdym razie nie był - do chwili, kiedy wyłączył komputer, oderwał się od swoich czarownic i poszedł na plażę. Ci wszyscy ludzie, których mijał, rodziny, pary, roześmiane grupy... Tylko on szedł zupełnie sam, wpatrzony w ginące za horyzontem słońce, marzący o czymś, czego do tej pory na pewno nie chciał.

Nie chciał i nie chce.

Nie wszyscy ludzie nadają się do życia stadnego.

Nie wszyscy mogą mieć rodziny. Doświadczył tego na własnej skórze i już dawno zdecydował, że nie powtórzy grzechu swojego ojca.

A jednak... Kiedy tak stał nad brzegiem morza i przyglądał się normalnym rodzinom, poczuł w sercu zimną pustkę. Wrócił do swojego pięknego domu, który wydał mu się nagle zbyt duży i zbyt pusty. Morgana... Wyobraził sobie, że spacerują po plaży, trzymając się z ręce. Albo siedzą na starej, zbielelej belce, obejmują się i czekają na pierwsze gwiazdy.

Złapał słuchawkę i z zapartym tchem wystukał numer. Kiedy zorientował się, że słyszy głos Morgany nagrany na taśmie, jego twarz zastygła w nienaturalnym uśmiechu.

Mógł zostawić wiadomość, ale natychmiast odłożył słuchawkę. Niby co jej miał powiedzieć? Że chce z nią porozmawiać? Że muszą się zobaczyć? Że nie może pracować, bo wciąż o niej myśli?

Potrząsnął głową i zerwał się z krzesła. Zaczął przemierzać pokój od jednej ściany do drugiej. Ponure, piękne maski z wysp Oceanii spoglądały na niego ze stoickim spokojem. Nagle wydało mu się, że nie wytrzyma napięcia. Chwycił rytualną lalkę woodoo i wbił w jej serce długą szpilkę.

- No i jak ci... - mruknął przez zęby. Cisnąwszy ją w kąt, spojrzął na zegarek. Postanowił iść do kina.

- Sebastianie, dzisiaj twoja kolej - powiedziała Morgana z anielskim spokojem. - Ty kupujesz bilety, ja skoczę po kukurydzę, Ana wybiera film.

- Poprzednim razem ja kupowałem bilety...

- Na pewno nie.

Anastazja widząc, że Sebastian próbuje u niej szukać pomocy, roześmiała się i pokręciła głową.

- Niestety. Poprzednio była moja kolej. Znów nas próbujesz wykołować.

- Wykołować? - Przystanął obrażony na środku chodnika. - Cóż to za obrzydliwe słowo! Zapewniam was, że doskonale pamiętam...

- ...tylko to, co chcesz pamiętać. - Anastazja stuknęła go łokciem. - Daj spokój, kuzynie, i tak ci nie odstąpię swojej kolejki.

Mruknął coś pod nosem, zanim ruszyli dalej. Miał ogromną ochotę na najnowszy film ze Schwarzeneggerem, ale znając upodobania Any do romantycznych komedii... Przegrana sprawa. Zresztą nie miałby nic przeciwko teatralnej ramotce, słyszał jednak, że Arnold - ratujący planetę przed bandą diabelskich ufoludków - przeszedł w tym filmie samego siebie.

- Przestań się jeżyć. - Morgana szturchnęła go w bok. - Następnym razem ty wybierasz.

- I nie próbuj swoich sztuczek - dodała Anastazja czując, że Sebastian zaczyna przekonywać ją telepatycznie. - To też nie fair. Zresztą, i tak już zdecydowałam.

Sebastian zamilkł. Stanął na końcu kolejki z wyprostowaną dumnie głową. Trudno przegadać obie kuzynki naraz. Ożywił się gwałtownie na widok znajomego mężczyzny, który zbliżał się do nich z przeciwnej strony.

- No, no! Prawda, że miłe spotkanie? Morgana, zauważywszy Nasha chwilę wcześniej, nie mogła się zdecydować, czy jest zadowolona, czy zła. Uśmiechnęła się pierwsza.

- Nie dosyć masz kina przez cały dzień? - spytała.

Grobowy nastrój zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wyglądała pięknie. W czerwonej, krótkiej sukience, z włosami rozsypanymi na ramionach.

- Chyba nie. Lubię podpatrywać konkurencję, kiedy walczę z własnym scenariuszem. Cześć. - Z trudem oderwał wzrok od Morgany, żeby przywitać się z Aną i Sebastianem.

- Co za miłe spotkanie - odpowiedziała Anastazja. - Zabawne... Czy wiesz, że ostatnim filmem, na który wybraliśmy się razem, był twój „Nieboszczyk na niby”?

- Ach, tak?

- Bardzo dobry.

- Kto jak kto - wtrącił Sebastian - ale Ana, która oglądała ostatnie trzydzieści minut z zamkniętymi oczami, ma na ten temat wiele do powiedzenia.

- Dziękuję. Rzeczywiście, trudno o lepszy komplement. - Nash przesunął się wraz z nimi o kilka kroków w kolejce. - Na co idziecie dzisiaj?

Sebastian sięgnął leniwym ruchem do kieszeni. Anastazja strzeliła do niego okiem.

- Na Schwarzeneggera.

- Naprawdę? - Nash nie rozumiał, dlaczego Sebastian chichocze. Uśmiechnął się. - Ja też.

Kiedy w mrocznej sali kinowej zajął miejsce koło Morgany, opanowało go uczucie błogiej ulgi. Nie szkodzi, że oglądał ten film na premierze w Hollywood. Tak czy owak, czekało ich półtorej godziny dobrego kina. Pamiętał zwłaszcza jedną scenę, która całą szacowną publiczność podniosła z krzeseł. Jeśli dopisze mu szczęście, Morgana poszuka schronienia w jego ramionach.

Kiedy przygasły światła, odwróciła do niego głowę i uśmiechnęła się.

Dla Nasha kino było miejscem magicznym. Zwykle już od pierwszej sceny wciskał się w fotel, zapominając o bożym świecie. Bez względu na to, czy oglądał film po raz pierwszy, czy dwudziesty. Ale dzisiaj nie śledził nawet akcji.

Kobieta siedząca obok niego była rzeczywistością, od której nie potrafił się oderwać. Patrzył bezmyślnie w ekran, wciągając w nozdrza woń jej perfum, ciepły zapach jej skóry.

Nie wzdychała, nie podskakiwała w fotelu - ani nie szukała jego ramienia, kiedy napięcie akcji gwałtownie rośnie. Siedziała spokojnie, ze wzrokiem wbitym w ekran, automatycznym ruchem sięgając po prażoną kukurydzę.

Nadeszła jednak scena, przy której znieruchomiała, zaczęła oddychać przez usta, zacisnęła palce na poręczy fotela. Nash przykrył je swoją dłonią. Nie spojrzała na niego, ale odwróciła rękę. Ich palce splotły się gorączkowo, jak gdyby oboje czekali na tę chwilę.

Trudno, pomyślała Morgana. Niech się dzieje, co chce...

A zresztą niby co ma się dziać? Siedzą sobie w ciemnym kinie, trzymają się za ręce. I jest cudownie.

Nie ma obaw, w domu oboje potrafią być ostrożni. Nash zachowuje się jak urodzony dżentelmen, może nawet trochę przesadza... W jej myślach pojawił się cień urazy. Jak gdyby tamten szalony pocałunek nigdy się nie zdarzył - albo zdarzył się we śnie.

Owszem, Nash bierze ją czasami za rękę, gładzi włosy, ale robi to bezwiednie, w całkiem niewinny, przyjacielski sposób. Morgana westchnęła. Do głowy mu pewnie nie przychodzi, że po tych „niewinnych” pieszczotach - kiedy zamykają się za nim drzwi - ona rzuca się na łóżko i do rana nie może zasnąć.

Cóż, to jej kłopot i sama musi sobie z nim poradzić.

Nic nie zmieniało faktu, że lubiła z Nashem pracować i z niecierpliwością czekała na każde następne spotkanie. Nie tylko dlatego, że był czarującym rozmówcą i że podziwiała jego talent. Dzięki niemu miała szansę wyrazić słowami, kim jest - i potraktowała to jak poważne wyzwanie.

Oczywiście, nie wierzył w ani jedno jej słowo.

Tłumaczyła sobie, że film na tym nie ucierpi. Nie musiał wierzyć w magię, żeby wykorzystać jej wiedzę i napisać zabawną historię. A jednak szkoda... Czuła się głęboko dotknięta i rozczarowana.

Kiedy Ziemia została ocalona i na widowni rozblęsnęło światło, Morgana cofnęła rękę. Nie miała ochoty na słowne przepychanki z kuzynem.

- Świetny wybór. Ano - powiedział Sebastian.

- Uff... Przekonasz mnie o tym za chwilę, muszę złapać oddech.

- Tak się bałaś?

- Ależ skąd! - skłamała. - To muskuły Schwarzeneggera zapierają dech w piersiach. Z trudem śledziłam akcję.

- Idziemy na pizzę - zdecydował Sebastian, kiedy wyszli na zewnątrz. - Nash, nie jesteś głodny?

- Zawsze jestem głodny.

- No i bardzo dobrze. Stawiasz.

Zgrane trio, myślał Nash, kiedy na wyścigi łykali kawałki pokrytej roztopionym serem pizzy. Kłócili się o wszystko - zaczęli od smaku pizzy, a skończyli na wyborze najciekawszej walki, którą stoczył Schwarzenegger. Zauważył, że Morgana i Sebastian napadają na siebie z równą energią i przyjemnością, podczas gdy Anastazja zadowala się rolą rozjemcy.

Nie ulegało wątpliwości, że łączą ich silne więzy. Te wszystkie wygłupy i przekomarzenia dodawały barwy głębokiemu uczuciu.

Kiedy Morgana zawołała: „Kochany, nie bądź idiotą”, czuł, że „kochany” oraz „idiotą” znaczą w istocie to samo. I znów, tak jak na plaży, ukłuła go zazdrość.

Byli tylko dużymi dziećmi, podobnie jak on. Tylko że oni, w przeciwieństwie do niego, nigdy nie czuli się zupełnie sami.

Anastazja odwróciła się do Nasha z uśmiechem. Przez ułamek sekundy mignął w jej oczach cień współczucia.

- Odzywają się grubiańsko - powiedziała aksamitnym głosem - bo to jest silniejsze od nich. Taki styl... Ale nie mają nic złego na myśli.

- Grubiańsko? - Morgana obracała w dłoniach kieliszek z czerwonym winem. - Wytykanie Sebastianowi oczywistych wad nazywasz grubiaństwem? - Odsunęła jego rękę od własnego talerza. - Widzisz, jaki jest zachłanny? - zwróciła się do Nasha.

- I to ma być wada? - mruknął Sebastian.

- Zarozumiały i próżny. - Uśmiechnęła się zjadliwie, wbijając zęby w ostatni kawałek pizzy. - Nieokrzęsany.

- Kłamstwo. - Sebastian rozparł się wygodnie na krześle. - To ty zapominasz o dobrym wychowaniu, kiedy wpadasz w amok. Prawda, Anastazjo?

- No wiesz, tak naprawdę, to wy oboje...

- Nigdy z tego nie wyrosła - przerwał jej Sebastian. - Jako dziecko, kiedy nie umiała postawić na swoim, zaczynała ryczeć. Wyła, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry.

- Przypomnę ci gwoli sprawiedliwości - szepnęła nieśmiało Anastazja - że najczęściej sam ją prowokowałeś.

- Oczywiście - odpowiedział bez cienia skruchy w głosie. - Skoro tak łatwo mi szło... - Kątem oka zerknął na Morgane. - Dzisiaj też potrafię ją wyprowadzić z równowagi jednym spojrzeniem.

- Powinieneś był wisieć pod sufitem dużo dłużej - mruknęła beznamiętnie Morgana.

- Słucham? - Nash omal nie zakrztusił się wodą.

- Wyjątkowo obrzydliwy numer... - Sebastian wykrzywił się z niesmakiem.

- Na który zasłużyłeś stokrotnie. Nie jestem pewna, czy ci już wybaczyłam - powiedziała Morgana.

- Rzeczywiście, Sebastianie - wtrąciła się Ana. - Postąpiłeś ohydnie.

- Cóż chcecie, miałem jedenaście lat. Chłopcy w tym wieku uwielbiają głupie żarty. Zresztą, to nie był prawdziwy wąż.

- Ale wyglądał jak żywy - syknęła Morgana. Sebastian zachichotał, a potem przysunął się do Nasha, żeby opowiedzieć mu wszystko po kolei.

- To było pierwszego maja u cioci Bryny i wujka Matthew. Nie da się ukryć, zawsze mnie korciło, żeby wykręcić tej małej jakiś numer. Morgana miała jedną jedyną słabość, o której wiedziałem. Śmiertelnie bała się węży. Mówić dalej? - Oczy Sebastiana zapłonęły wesołym blaskiem. - Jak przystało na chłopca w moim wieku, niewiele myśląc, wrzuciłem jej pod kołdrę gumowego węża - kiedy była już w łóżku...

- I tak bardzo się przestraszyła? - Na widok błysków w oczach Morgany Nash zaczął nerwowo kasłać.

- Sprawił, że... - Ana zagryzła wargę, żeby utrzymać powagę - wąż zaczął wić się i syczeć.

Nashowi nie drgnęła powieka.

- Pracowałem nad tym zaklęciem kilka tygodni - westchnął Sebastian. - Czary nigdy nie były moją silną stroną, więc wyszło słabiutko, ale dopiąłem swego.

- A kiedy przestałam wrzeszczeć - ciągnęła opowieść Morgana - i zrozumiałam, co się stało, posłałam drania pod sufit. Wisiał tak, głową w dół, ile godzin, braciszku?

- Dwie cholerne godziny.

- Dalej byś tam wisiał, gdyby nie znalazła cię moja mama.

Sebastian z Morgana wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Naprawdę nie napijesz się z nami wina?

- Nie, dziękuję, przyjechałem samochodem. - Nash czuł, że go nabierają i że chowają coś w zanadru. Uśmiechnął się do Morgany. - A więc, robiliście sobie dość niezwykle kawały.

- No wiesz... - Rozłożyła ręce w bezradnym geście. - Trudno, żeby dzieci o niezwykłych zdolnościach zadowolą się grą w warcaby.

- W cokolwiek graliśmy - Sebastian wskazał palcem Morganę - to ty oszukiwałaś.

- Oczywiście! Lubię wygrywać. - Wzruszyła ramionami i roześmiała się. - I tym optymistycznym akcentem zakończmy wspominki. Późno się robi. Nash, nie podwiózłbyś mnie do domu?

- Jasne - odpowiedział z wymuszoną swobodą. Przecież o niczym innym nie marzył.

- Miej się na baczności, Kirkland - wycodził Sebastian. - Ona uwielbia igrać z ogniem.

- Zauważyłem. - Podał Morganie rękę i czym prędzej odciągnął ją od stolika.

Ana westchnęła lekko i oparła brodę na dłoni.

- Czułeś, jak między nimi iskrzyło? Cud boski, że ten stolik nie zapalił się żywym ogniem...

- Będzie jakiś pożar, i to wkrótce. - Oczy Sebastiana pociemniały, zmatowiały i znieruchomiały. - Niezależnie od jej woli.

- Ale nie stanie się nic złego, prawda? - Ana, wyraźnie poruszona, zacisnęła nerwowo palce na jego ramieniu.

Nie widział dostatecznie wyraźnie... Z rodziną zawsze szło mu opornie, a z Morganą najtrudniej.

- Nie obędzie się bez kilku guzów i siniaków, ale nie martw się. Ano, wyjdzie z tego. - Uśmiech powrócił na jego usta. - Przecież powiedziała, że lubi wygrywać.

Tymczasem Morgana nie myślała ani o bitwach, ani o zwycięstwach. Z głową odchyłoną do tyłu wpatrywała się w idealny kształt półksiężyca na rozgwieżdżonym niebie.

Przyjemnie jest jechać szybkim samochodem z otwartym dachem. Wdychać morskie powietrze, czuć jedwabisty chłód na policzkach. Siedzieć koło mężczyzny, który prowadzi z taką naturalną łatwością, który nastawił za głośno radio i który pachnie jak noc...

Patrzyła ukradkiem na jego profil. Z jaką rozkoszą dotykałaby tej twarzy, sprawdzała szorstkość policzków, uczyła się na pamięć kształtu nosa i warg.

Więc dlaczego się wahała? Przecież wiedziała, że to się stanie - prędzej czy później...

Od dawna znała odpowiedź. Bała się. Była zbyt dumna, żeby ulegać ślepemu przeznaczeniu.

Ale jeśli to ona go wybierze, jeśli utrzyma nad nim władzę? W końcu ani na chwilę nie przestała czuć się panią własnego losu. Decyzja wciąż należy do niej...

- Co cię skłoniło, żeby wyjść dzisiaj z domu? - spytała.

- Miałem dosyć. Byłem zmęczony samym sobą. Rozumiała to doskonale. Rzadko doprowadzała się do takiego stanu, ale jeśli już... Wzdrygnęła się na samą myśl. Czarna rozpacz. Uczucie nie do zniesienia.

- Jak ci idzie scenariusz?

- Nieźle. Właściwie zbliżam się do końca. Za kilka dni zacznę negocjować warunki z moim agentem. - Zerknął na nią kątem oka i natychmiast tego pożałował. Wyglądała tak pięknie, z rozwianymi włosami i zagadkowym uśmiechem. - Bardzo mi pomogłaś, Morgano.

- To znaczy, że nie będę ci już potrzebna.

- Nieprawda. To znaczy, Morgano, ja... - Dojechali na miejsce. Nash zatrzymał się przed bramą, ale nie wyłączył silnika. Słowa uwięzły mu w gardle. Patrzył na wielki dom, w którym paliło się tylko jedno światło. W jednym oknie.

Gdyby go zaprosiła, nie wahałby się ani chwili. Już nic by go nie powstrzymało. Tego wieczoru coś się działo. Coś dziwnego się wydarzyło, kiedy w czasie jazdy odwrócił się i spojrzał Morganie prosto w oczy... Wydało mu się nagle, że oboje grają w jakimś filmie - czym? - do którego sami muszą dopisać zakończenie.

- Jesteś zdenerwowany - mruknęła. - To do ciebie niepodobne. - Przekręciła kluczyk w stacyjce.

Dopiero teraz milczenie stało się nieznośne. - Wiesz, co ja robię, kiedy wychodzę z siebie i wszystkiego mam dosyć?

Odwrócił się gwałtownie, jak gdyby wcale nie był pewien, czy zobaczy te same roziskrzony oczy. Zaciśnął ręce na jej kruchych ramionach.

- Co robisz?

Wyśliznęła się z samochodu, podeszła do Nasha z drugiej strony i szepnęła mu do ucha:

- Spaceruję. - Wyprostowała się i podała mu rękę. - Chodź, pokażę ci zaklęte miejsce.

Oddalali się od domu cyprysową aleją. Powoli, zdecydowanym krokiem, jakby oboje wiedzieli, dokąd zmierzają.

- Lubię noc. - Odetchnęła głęboko. - Aromat nocy, jej smak. Czasami budzę się w ciemności i wychodzę na spacer.

Słyszał krople wody drążące skałę w jednostajnym rytmie. Serce bilo mu jak oszalałe. Coś się działo.

- Te drzewa - powiedział mrocznym, drewnianym głosem. - Zakochałem się w nich.

- Naprawdę? - Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała mu w oczy.

- Przyjechałem tu latem, w zeszłym roku. Chciałem odpocząć od upału i chyba wtedy zrozumiałem, czym są drzewa. - Poglaskał stary, szorstki pień. - Wiesz, nigdy nie wariowałem na punkcie natury, nie w tym rzecz. Od urodzenia mieszkałem w miastach i wcale mi to nie przeszkadzało. A jednak czułem przez skórę, że kiedyś dojrzeję do prawdziwego domu. Z własnymi drzewami za oknem. Takimi jak te.

- Czasami człowiek wraca tam, skąd przyszedł. Choćby podświadomie. - Ruszyła dalej, stąpając bezgłośnie po delikatnej, promieniującej ciepłem ziemi. - W niektórych cywilizacjach takim drzewom oddawano boską cześć. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że wystarczy je kochać, podziwiać za ich wiek, piękno, wytrwałość. Tutaj. - Zatrzymała się i odwróciła do Nasha. - To jest środek cyprysowego gaju, samo serce. Źródłem najczystszej magii zawsze jest serce.

Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego zrozumiał i uwierzył. Może sprawił to księżyc, a może nastrój chwili. Miał mętlik w głowie, piekły go policzki, ale jedno wiedział na pewno: był już kiedyś w tym miejscu. Z Morganą.

Opuszkami palców dotknął jej policzka. Nie poruszyła się i nie odwróciła wzroku. Czekala.

- Wiesz, chyba nie jestem zachwycony tym, co się ze mną dzieje - powiedział spokojnie.

- A co ci dolega?

- Ty. - Ujął w dłonie jej twarz. - Myślę o tobie w dzień i w środku nocy. Marzę. Nie panuję nad swoją wyobraźnią. Dzieje się ze mną coś, na co nie mam żadnego wpływu.

- To takie straszne? - Położyła ręce na jego nadgarstkach, pragnąc wyczuć puls.

- Nie wiem. Całe życie unikałem komplikacji. Wydawało mi się, że opanowałem tę sztukę do perfekcji i.. - uśmiechnął się pośpiesznie - nie chciałbym tego zmieniać. Nie czuję się na siłach.

- Więc nie komplikujmy niczego...

Nie miała pojęcia, czy on zrobił pierwszy krok, czy też ona. Świat zaczął wirować, potem gorący dreszcz przeszył jej ciało. Wargi Nasha parzyły i wymuszały wzajemność. Morgana błędnymi palcami po jego plecach. Garnęła się do niego rozpaczliwie, chciała być jak najbliżej.

Jak mogła się łudzić, że zachowa nad nim władzę? Gdyby chodziło wyłącznie o przyjemność... Ale nawet teraz, kiedy drżała z rozkoszy i niemal przestała myśleć, wiedziała, że chodzi o wiele, wiele więcej.

Po raz pierwszy w życiu biło jej serce na widok mężczyzny. Pragnęła go - tak jak on pragnął jej - ale nie miała ochoty na banalną przygodę. Chciała czegoś więcej.

Na przekór pobożnym życzeniom Nasha, groziło im mnóstwo komplikacji. Nie byli przygotowani. Oboje potrzebowali czasu.

Morgana z bólem serca podniosła głowę - i natychmiast tego pożałowała. Wilgotne, lekko nabrzmiałe wargi błagały o następny pocałunek. Objął ją jeszcze mocniej i schował twarz w jej włosach.

- Nash. - Przytuliła policzek do wnętrza jego dłoni. - Nie teraz.

Pociemniało mu w oczach. Miał ochotę opaść z nią na ziemię i o nic nie prosząc udowodnić, że się myli. Pragnął jej. Teraz. I tak się stanie... Kiedy ochłonął, zorientował się, że wbija w jej plecy paznokcie.

- Przepraszam. - Opuścił ręce. - Naprawdę nie chciałem... Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie. - Dotknęła do żywego, zakryła palcami usta. - Oczywiście że nie. Nie przejmuj się.

Ale jak miał to zrobić? Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się coś podobnego. Miał różne wady - kobiety zarzucały mu chłód, cynizm, ale, do diabła, nigdy nie był brutalny!

Przecież omal jej nie zgwałcił...

Drżąc jak w febrze, wcisnął ręce głęboko do kieszeni.

- Miałem rację, Morgano, coś jest nie tak. Albo ja oszalałem, albo... Pocałowałem cię po raz drugi i znów czułem, że muszę to zrobić. Że to taka sama życiowa konieczność jak oddychanie, jedzenie czy spanie.

Ostrożnie, pomyślała.

- Uważasz, że można żyć bez uczuć? Wystarczy jeść, spać i oddychać?

Istotnie, tak uważał. Radził sobie bez wyższych uczuć przez sporą część życia.

- Wiesz co, kochanie? - Wahał się przez chwilę, kręcąc głową. - Gdybym wierzył, że jesteś czarownicą, pomyślałbym, że rzuciłaś na mnie urok.

Dlaczego zabołały ją te słowa? Nigdy dotąd, żadnemu mężczyźnie, nie udało się jej zranić. A jeśli naprawdę się zakochała...

- I bardzo dobrze, że nie wierzysz. To był zwyczajny pocałunek, Nash. Nic groźnego.

- Uśmiechnęła się, żeby nie zauważył smutku w jej oczach. - Całe szczęście, że jesteś taki rozsądny.

- Morgano, żebyś wiedziała, jak cię pragnę - powiedział ochryłym głosem. - To jakieś szaleństwo! Jestem przerażony swoim stanem.

Wierzyła mu.

- Zobaczymy, Nash. Czas pokaże, czy to naprawdę takie groźne. Teraz jestem zmęczona. Wracam do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minęło pięć lat od dnia, w którym Morgana przywitała pierwszego klienta w swoim sklepie. Dzisiaj śmiało mogła powiedzieć, że odniosła sukces. Zawdzięczała go swojej pracowitości, zapałowi, z jakim zdobywała ciekawe towary, przede wszystkim jednak temu, że zabawa w sprzedawanie i kupowanie sprawiała jej prawdziwą frajdę.

Nie musiała pracować zarobkowo. Mogłaby wieść dostatnie życie, czerpiąc dochody z rodzinnego majątku. Gdyby nie ambicja i duma...

Wymyśliła sobie zajęcie, które lubiła i które zapewniało jej przyzwoite zyski. W swoim sklepie - galerii zawierała ciekawe znajomości, otaczała się pięknymi przedmiotami, które trafiały do domów ludzi kochających sztukę. Czegóż chcieć więcej!

Oczywiście, że zdarzały się i ciężkie chwile. Właścicielka prywatnego interesu - dla której odpowiedzialność nie jest pustym słowem - nie może zamknąć drzwi i zasłonić witryn tylko dlatego, że ma chandrę i drażni ją widok ludzi.

Zastanawiała się, czy jej wrodzone poczucie odpowiedzialności jest zaletą czy garbem. Gdyby rodzice trochę mniej przykładali się do jej wychowania... Kto wie? Może trzasnęłaby teraz drzwiami, wsiadła do samochodu i pojechała przed siebie - mówiąc sobie „sklep nie zajac...”.

Im dłużej myślała o Nashu, tym bardziej czuła się rozdrażniona. Skąd ten chorobliwy niepokój, lęk? Przecież nigdy nie bała się mężczyzn. Jako mała dziewczynka okręcała sobie wokół palca stryjów i ojca. Nawet Sebastiana - chociaż z nim było trudniej. Z chłopakami w szkole szło jej jak z płatka, a potem identyczne sztuczki - nieodparty wdzięk oraz upór - sprawdzały się w jej dorosłym życiu.

Aż do dzisiaj. Trafiła kosa na kamień.

Ale jak to się stało? Kiedy zrobiła pierwszy fałszywy krok? Wczoraj? A może nie jest jeszcze tak źle... Może to nastrój chwili, tamtego miejsca? Może zawiniły cyprysy i księżyc? Do diabła, nie należy do kobiet, które zakochują się od pierwszego wejrzenia.

Przysięgłaby, że słyszy cichutki, złośliwy chichot. Bardzo śmieszne, pomyślała. Potem rozległ się dzwonek przy drzwiach. Na widok Mindy, Morgana westchnęła z ulgą.

- Cześć. Już druga?

- Nie wiem. Około. - Mindy podrapała za uchem Lunę. - Jak leci?

- Nieźle.

- Widzę, że masz dobry dzień. Sprzedałaś te piękne, kwarcytowe kryształki.

- Godzinę temu. Trafiły w dobre ręce. Młode małżeństwo z Bostonu. Odłożyłam je na zaplecze, żeby zrobić paczkę i jutro wysłać.

- Może ja się tym zajmę?

- Nie, dzięki. Skoro już jesteś, z przyjemnością oderwę się od lady. Pilnuj sklepu, ja zapakuję kryształki.

- W porządku, jak chcesz. Swoją drogą, wyglądasz na z krzyża zdjętą.

- Naprawdę? - Morgana uniosła brwi.

- Aha. Podaj rękę madame Mindy... No właśnie, popatrz na tę linię... Kłopoty sercowe.

- Nie wątpię w twoje umiejętności wróżbiarskie, madame Mindy, ale ty chyba na każdej dłoni widzisz kłopoty sercowe.

- Strzelam, co mam robić! - Mindy wzruszyła ramionami. - Żebyś wiedziała, ilu ludzi podtyka mi pod oczy otwarte dłonie - tylko dlatego, że pracuję dla czarownicy.

- Mówisz poważnie? - Morgana, zaciekawiona, przechyliła głowę.

- Poważnie, poważnie! Boją się zbliżyć bezpośrednio do ciebie. Podejrzewają co prawda, że to może być zaraźliwe - jak grypa albo katar - ale mniej groźne z drugiej ręki. Do mnie idą jak w dym. Asekuranci!

Po raz pierwszy od rana Morgana wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Rozumiem. Srodze by się zawiedli, gdybyś im powiedziała, że nie znam się na chiromancji, że w ogóle nie wróżę z dłoni...

- Ale ja im tego nie powiem. - Mindy zerknęła w najbliższe lustro. - Swoją drogą, kochanie, nie trzeba być wróżką, żeby widzieć, co się z tobą dzieje. Pewien przystojny blondyn spędza ci sen z powiek i komplikuje życie...

- Radzę sobie - mruknęła.

- Łatwo sobie z nimi radzić... do czasu. - Mindy uśmiechnęła się łobuzersko. - Powiedz tylko słowo, a ruszę na pomoc.

- Dzięki - roześmiała się Morgana. - Wiem, że byś potrafiła, ale spróbuję sama. - W całkiem dobrym humorze wycofała się na zaplecze.

Nash siedział rozparty na kanapie, z lekko znudzoną miną, wśród pootwieranych na chybił trafił książek. Przekonywał się gorliwie, że wcale nie leniuchuje. Komputer w sąsiednim pokoju jęczał żałośnie, a on popijał lemoniadę, zerkał w telewizor, puszczał samolociki z papieru... Wzdychał i myślał.

Scena we wnętrzu, dzień. Wielki, opuszczony hangar. Przez wrota sączy się mgliste światło, padające ukośnie na kadłub myśliwca. Słychać kroki... Coraz wyraźniejszy stukot damskich obcasów. Kobieta wślizguje się do środka, zanurza w półmroku. Kapelusz

nasunięty na czoło zasłania jej twarz. Oko kamery śledzi sylwetkę w czerwonej minisukience, przesuwa się po długich, zgrabnych nogach. Zbliżenie na czarną teczkę, którą zaciska w delikatnej dłoni.

Przed wejściem do kabiny, zerka przez ramię. Każdy jej ruch wydaje się celowy i skuteczny. Sposób, w jaki zajmuje miejsce pilota, gest, jakim otwiera zamek te czki...

Cisza. Ukrywa bombę pod pulpitem sterowniczym, potem śmieje się przyduszonym, zmysłowym głosem. Najazd kamery na twarz.

Twarz Morgany.

Klnąc głośno, Nash ciska w powietrze kolejny samolocik. Co on, do cholery, wyprawia? Robi film o niej, i to jaki?! On, spec od czystej fantazji, popada w jakiś idiotyczny symbolizm. No więc wysadziła go już w powietrze razem z samolotem. Koniec, kropka.

I po to śnił o niej na jawie przez cały boży dzień?

Zamiast pracować.

Usiadł gwałtownie, zepchnął na podłogę wszystkie książki i zgasił telewizor. Zrobi to. Scenariusz o czarach i czarownicach - dokładnie tak, jak obiecał.

Wcisnął guzik magnetofonu. Wytrzymał tylko kilka sekund. Jęknął. Nie był w stanie słuchać jej głosu.

Podniósł się, rozkopując te same książki, które przed chwilą zrzucił z kanapy. Nie mógł na nie patrzeć, nie mógł słuchać komputera, który zawodził jak wyrzut sumienia. Musiał natychmiast wyjść z domu. Na szczęście wiedział dokładnie, dokąd chce iść.

Może na nieszczęście - ale był już dorosłym chłopcem, który podejmował świadomą decyzję. Jak to pisał Bradbury? (W „Słonecznym winie”, które dostrzegł wśród najbardziej „zacytanych” książek Morgany). „Pamiętajcie - możecie mieć wszystko, co chcecie, jeśli chcecie tego naprawdę. Próba polega na zapytaniu samego siebie: „Czy pragnę tego z całego serca? Czy mógłbym bez tego dożyć wieczora?” Jeśli wyda się wam, że do zachodu padniecie trupem, łapcie tę rzecz i uciekajcie.”

Humor poprawiał się Morganie z minuty na minutę. Nastawiwszy cicho radio, nuciła pod nosem i uśmiechała się do własnych myśli. Tego jej brakowało: godziny samotności, filiżanki kojącego rumianku i konkretnego zajęcia. Spakowała kryształki i wypełniła przekaz. Gotowa była spędzić całe popołudnie nad korespondencją, księgowaniem towaru, rachunkami - byle nikt jej nie wrywał z zaplecza.

Nie zauważyła go w drzwiach, ani nie słyszała kroków. Nash podszedł na palcach do biurka, podniósł ją za łokcie jak manekina i pocałował w usta.

- Tym razem to mój pomysł... - Zsunął ręce na jej biodra, żeby nie mogła się cofnąć. - Najlepszy, jaki mi przyszedł do głowy od samego rana.

Morgana obejrzała się przez ramię. W drzwiach prowadzących do sklepu stała Mindy - z afektowanym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Poradzę sobie, Mindy.

- Och, nie wątpię. - Odwróciła się, zamykając za sobą drzwi.

- A więc... - Próbowała odepchnąć Nasha na bezpieczną odległość. Wołała, żeby nie czuł, jak drżą jej ręce. - To wszystko?

- Nie. Wszystko przed nami, kochanie. Od ciebie zależy, kiedy zaczniemy.

- To się nazywa... - uśmiechnęła się mimowolnie - kłaść kawę na ławę, prawda?

- Nazwij to jak chcesz, ale nie powstrzymasz mnie dłużej. Tracę rozum, Morgano, i nie odzyskam go, póki nie spędzę z tobą kilku nocy. Będziemy się kochać bez przerwy, rozumiesz? - W jego oczach igrały dwa wesole ogniki, ale głos brzmiał śmiertelnie poważnie. - Będziemy się kochać, póki nie zacznę myśleć normalnie.

Morgana miała wrażenie, że topnieje... W jego mocnych ramionach nie czuła ciężaru własnego ciała, bicia własnego serca ani oddechu. Zaciśnęła ręce na biurku, żeby nie stracić równowagi. Spokojnie... Odezwała się niskim, ale pewnym siebie głosem:

- A nie boisz się, że dopiero potem przestaniesz myśleć... normalnie?

- Zaryzykuję. - Obrysował palcem jej wargi. - Kładę wszystko na jedną szalę. Nawet rozum, bez którego nie napiszę tego scenariusza.

- Wierzę ci. Ale nie zapytałeś, czyja chcę ryzykować. Co byś powiedział, gdybym starała się cię przekonać, że jeszcze nie pora, że powinniśmy poczekać...

- Powiedziałbym, że unikasz tematu. - Jego ręce wędrowały coraz wyżej, aż palce dotknęły piersi. Poczuł krótki, gwałtowny dreszcz, który przeszył jej ciało.

- Zapewniani cię, Nash, że nie miałbyś racji. Wierz mi.

- Do diabła z czasem, Morgano, pojedźmy do domu, przecież oboje tego chcemy.

Uwolniła się z jego objęć z cichym westchnieniem.

- Pojedziemy. Żeby pracować. Nie pójde z tobą do łóżka, Nash. Nie dzisiaj.

- Dobrze i to. - Uśmiechnął się chytrze. - Może jeszcze zmienisz zdanie, jeśli zdołam cię przekonać.

- Masz jeszcze czas, żeby zmienić swoje - powiedziała smutnym głosem. - Poproszę Mindy, żeby zajęła się wszystkim i sama zamknęła sklep.

Morgana uparła się, że pojedzie za Nashem własnym samochodem. Obiecała sobie w drodze, że da mu dwie godziny. Dwie godziny i ani chwili dłużej. Akurat tyle, żeby biedakowi rozjaśniło się w głowie... Żeby odzyskał twórczą wenę i chęć do pracy.

Spodobał jej się i dom - położony jeszcze bliżej morza niż jej rodzinna posiadłość - i wielki ogród, który aż się prosił o rękę ogrodnika. Nim przekroczyli bramę, wypatrzyła na bocznym dziedzińcu dwa identyczne, pochylone ku sobie cyprysy. Wyglądały jak para splecionych ramionami kochanków.

Pasuje do niego jak ulał, myślała wesoło przedzierając się przez trawę, która sięgała jej do kolan.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Kilka miesięcy. - Rozejrzył się wokół z bezradną miną. - Powiniennem kupić kosiarkę do trawy.

- Powinieneś zacząć od sekatora.

- Z drugiej strony... Lubię chyba taki naturalny stan rzeczy. Wyobrażasz sobie mnie w ogrodzie francuskim?

- Jesteś po prostu leniwy. - Zanim weszła na schody, spojrzała ze współczuciem na żonkile, ledwie widoczne w gąszczu chwastów.

- Muszę mieć motywację - rzekł z godnością, otwierając przed Morganą frontowe drzwi. - Całe życie wynajmowałem mieszkania. To mój pierwszy prawdziwy dom.

- Trzeba przyznać, że dobrze wybrałeś. - Patrzyła z uznaniem na wysokie, chłodne ściany foyer, rzeźbioną balustradę z ciemnego drewna, która zdobiła schody oraz wewnętrzną galerię. - Gdzie pracujesz?

- Tu i tam... Zależy.

- Uhm. Można? - Uchyliła pierwsze drzwi na parterze. Wielka jasna komnata, z oknami bez zasłon i gołą drewnianą podłogą. Jasne, pomyślała, tak wygląda „prawdziwy” dom mężczyzny, który nie zdecydował jeszcze, czy chce go urządzić.

Meble były ustawione przypadkowo, przykryte stertami ubrań, papierów, książek i naczyń. Zauważyła mnóstwo zabawek, jak je nazywała: drobnych przedmiotów, które niczemu nie służą poza tym, że sprawiają radość ich właścicielom, oswajają przestrzeń... i trwają. Są duszą każdego domu. Morgana krążyła po pokoju, uśmiechając się z sympatią i niedowierzaniem. Statuetkę Oscara przykrywała równie gruba warstwa kurzu jak srebrną skrzyneczkę w kształcie trumny, która stała tuż obok i... Otworzyła ze zdumienia usta. Lalka woodoo, z tkwiącą w jej sercu szpilką, leżała u stóp Oscara.

- Ktoś, kogo znam?

Uśmiechnął się rozbijając, przyzwyczajony do własnego bałaganu i zbyt uradowany jej obecnością, żeby przejmować się drobiazgami.

- Nie, różni mi podpadają. Najczęściej producent albo jakiś polityk.

- Oo! Talia do tarota. Potrafisz wróżyć z kart?

- Skąd! Dostałem je w prezencie. Podobno należały do sławnego magika Houdiniego, ale kto to może wiedzieć...

- Jak to, kto? Sebastian wie na pewno, możesz go spytać. - Dotknęła zewnętrznej karty z niekłamaną przyjemnością - opuszkami palców - czując, jak spływa na nią moc. Podała talię Nashowi. - Potasuj i przełoż.

- Chcesz teraz grać? - spytał zdumiony, ale zrobił to, o co prosiła.

- Nie widzę wolnych krzesel, usiądźmy więc na podłodze. - Uklękła, odrzuciła do tyłu włosy i zaczęła układać z kart krzyż celtycki. - Coś cię gryzie - powiedziała. - Ale źródło twojego talentu nie wyschło. Twój umysł nie jest zaćmiony. Nadchodzą zmiany. - Spojrzała na niego takim błękitnym, przejrzystym wzrokiem... Wiedziała, że nawet zatwardziały sceptyk i niedowiarek uwierzyłby w tej chwili w każde jej słowo. - Może najważniejsze w twoim życiu, ale niełatwo ci będzie zrozumieć i pogodzić się z nimi.

Przestała czytać z kart. Widziała wiele spraw jak na dłoni - chociaż mniej wyraźnie, niż widziałby Sebastian.

- Musisz pamiętać, że niektóre rzeczy dziedziczymy wraz z krwią i przekazujemy z krwią naszym dzieciom. Inne giną, gubią się po drodze. Czasami nie ma czego żałować... Nie jesteśmy, na szczęście, prostą sumą ludzi, którzy dali nam życie. - Położyła dłoń na jego ramieniu. Jej oczy złagodniały. - I niech ci się już nie zdaje, że jesteś sam na bezludnej wyspie. Nigdy tak nie było.

Nie umiał zakpić ze słów, które go poraziły. Ale mógł przecież zrobić unik. Podniósł jej rękę i pocałował. Zmysłowo, nie odrywając wzroku od jej oczu.

- Nie prosiłem cię o przepowiednie, tylko...

- Wiem, po co mnie zaprosiłeś do siebie, ale to się nie stanie. Jeszcze nie. A moje słowa nie były przepowiednią. Mówiłam o teraźniejszości. - Złożyła powoli karty. - Pomogę ci, ile tylko potrafię... Jeśli w ogóle potrafię. Powiedz mi, Nash, na czym polega kłopot z twoim scenariuszem.

- Poza tym, że myślę o tobie, kiedy powinienem pracować?

- Poza tym.

- Wydaje mi się, że sprawa wewnętrznych motywacji bohaterki. Kassandry. Tak będzie mieć na imię. Czy dlatego jest czarownicą, bo zapragnęła władzy? Chciała mieć

wpływ na ludzkie losy? Zmieniać bieg wypadków? Może szuka zemsty, albo miłości, albo silnych wrażeń? Może wybrała najłatwiejszy sposób imponowania otoczeniu, zadawania sztyku?

- Dlaczego właśnie tak? Dlaczego drążysz w jednym kierunku? Czy nie mógłbyś założyć, że twoja bohaterka przyszła na świat z pewnym darem?

- Za łatwe.

- Nie masz racji. - Morgana pokręciła głową. - Dużo łatwiej jest ludziom zwyczajnym, takim jak wszyscy inni. Kiedy byłam małą dziewczynką, niektóre matki zabraniały swoim dzieciom bawić się z „tym odmieńcem”, czyli ze mną. Mogłam przecież ich normalne pociechy sprowadzić na złą drogę.

- Wiem coś o tym. Nigdzie nie zdążyłem zagrozić miejsca, więc zawsze byłem „nowym”. I zawsze znalazł się ktoś, kto przyłożył mi w nos na dzień dobry. Nie pytaj dlaczego. Moim jedynym marzeniem było dorosnąć i skończyć z cholernymi szkołami i z całym zakichanym dzieciństwem. - Poczul nagle, że się zagalopował. - Wracając do Kassandry...

- Jak sobie radziłeś? - Pomyślała o własnym dzieciństwie, w którym miała Anastazję, Sebastiana, rodziców - i cudowne poczucie przynależności do rodziny.

- Najczęściej uciekałem. - Wzruszył bezradnie ramionami, potem sięgnął po wiszący na szyi Morgany amulet. - Znalazłem sobie bezpieczny azyl: w książkach, filmach, we własnej wyobraźni. Kiedy skończyłem wreszcie obowiązkowe kilkanaście lat, zacząłem pracować - nie zgadniesz gdzie... Prowadziłem stoisko z napojami w sali kinowej. Jednym słowem, płacili mi za oglądanie filmów! - Błogi uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Uwielbiałem gapić w ekran i do dzisiaj mi to nie przeszło.

- Teraz ci płacą za wymyślanie filmów. - Zmrużyła wesoło oczy.

- Tak. I chciałbym trwać w tym nałogu jak najdłużej... co stanie się niemożliwe, jeśli nawalę ze scenariuszem. - Wsunął palce w jej włosy. Delikatnym ruchem, najpierw jedną rękę, potem drugą. - Brakuje mi inspiracji - szepnął.

- Brakuje ci koncentracji.

- Właśnie się koncentruję... - Błądził językiem po jej wargach. - Wierz mi, kochanie, to najlepszy sposób. Nie chcesz podciąć mi skrzydeł, prawda? Jesteś panią życia i śmierci mojego twórczego geniuszu. Morgano, przecież nie chcesz mieć na sumieniu biednego artysty? Błagam...

- Nie chcę - westchnęła. Zdecydowała nagle, że oto najwyższa pora uświadomić biednemu artyście, czym ryzykuje. Oplotła rękami jego szyję. - Zaraz uniesie cię natchnienie... Poczujesz swoje skrzydła.

Unieśli się razem, objęci ramionami jak dwa cyprysy na dziedzińcu. Najpierw dwadzieścia centymetrów nad podłogę. Nash, zatraciwszy się w pocałunku, niczego nie zauważył. Wirowali coraz wyżej. Kiedy zawisli pod sufitem, drżąca z podniecenia Morgana musiała zaczerpnąć powietrza.

- Nash, lepiej przestańmy.

- Dlaczego? - Zaczął całować jej szyję.

- Zapomniałam cię spytać, czy nie cierpisz przypadkiem na lęk wysokości. - Patrzyła w dół, czekając na reakcję Nasha. Nareszcie. Poczwała, jak drętwieje i zaciska palce na jej ramionach. Nieme przerażenie w oczach... Chciałaby mieć kamerę, żeby utrwalić wyraz jego twarzy, kiedy wylądowali na podłodze.

- Jak to, do diabła, zrobiłaś?

- Dziecięca sztuczka. Oczywiście, nie każde dziecko to potrafi. - Pogłaskała go po policzku. - Nash, od wielu lat krążysz wokół, nazwijmy to, zjawisk paranormalnych. Tym razem spotkałeś prawdziwą czarownicę.

Powoli i zdecydowanie pokręcił głową.

- Nonsens.

- W porządku. - Morgana wydała przeciągłe westchnienie. - Zaraz, niech pomyślę. Coś prostego, ale z klasą. - Zamknęła oczy i uniosła ręce.

Przez sekundę była zwyczajną kobietą. Piękną kobietą, która stała nieruchomo na środku pokoju, z dłońmi nad głową, ułożonymi jak do tańca. Nagle zaczęła się zmieniać. Boże, widział wyraźnie, jak Pięknieje coraz bardziej. Sztuczka ze światłem, myślał w popłochu. Ten dziwny uśmiech, cienie rzęs na policzkach, kaskada włosów spływająca po ramionach do talii... Dobry operator potrafi to wyczarować.

Ale jej włosy falowały, jakby poruszane wiatrem. Coraz wyżej, potem zasłoniły jej całą twarz. Przecież okna były zamknięte, skąd wiatr w pokoju? Poczwał chłodny podmuch na plecach. Usłyszał świst.

Morgana poruszyła wargami. Otulająca jej sylwetkę złocista poświata zaczęła drżeć. Kiedy wymówiła zaklęcie, z sufitu spadł śnieg. Miękkie, białe płatki prawdziwego śniegu. W zalanym słońcem pokoju Nasha.

- Przestań!

Morgana opuściła ręce. Otworzyła oczy. Wszystko powróciło do normy, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Ani śladu śniegu, wiatr ucichł i zamarł. Tak jak się spodziewała, Nash patrzył na nią jak na potwora o trzech głowach.

- Może rzeczywiście trochę przesadziłam.

- Ja... Ty... - Najwyraźniej stracił mowę. - Co ty, do ciężkiego diabła, zrobiłaś? Czy możesz mi to po ludzku wytłumaczyć?

- Przywołanie żywiołów. - Z ulgą stwierdziła, że jego twarz odzyskuje kolor. - Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

- Za duże słowo. Owszem, trochę mnie zaskoczyłaś - przyznał łaskawie, po czym otrząsnął się jak pies po kąpieli. Próbował zebrać myśli. Jeżeli widział to, co widział - coś w tym jest... Wykluczone, żeby Morgana wkradła się do jego domu, żeby przygotować triki.

Ale musi być jakieś wytłumaczenie.

Zaczął krążyć po pokoju, węsząc i zaglądając w każdy kąt.

- No, dobrze. Przyznaję, kochanie, jesteś wielka, absolutnie wspaniała. Nigdy dotąd nie oglądałem równie cudownych sztuczek, ale powiedz, jak to zrobiłaś?

- Nash - odezwała się spokojnym, silnym głosem. - Przestań chodzić i usiądź. Spójrz na mnie.

Spojrzał. I wszystko już wiedział. Nie rozumiał, jak to możliwe, ale uwierzył. Zamknął na chwilę oczy.

- Boże, to prawda... Powiedz coś.

- Usiądziesz wreszcie?

- Nie. - Usiadł jednak natychmiast, na stoliku do kawy. - Wszystko, o czym opowiadałaś, to prawda. Żadnych bujd.

- Żadnych. Urodziłam się czarownicą, tak jak moja matka, mój ojciec, jak moi dziadkowie i pradiadkowie, a przed nimi cały łańcuch pokoleń. - Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie latam na miotle, chociaż dla żartów... mogłabym spróbować. Nie rzucam czarów na młode księżniczki ani nie rozdaję wrogom zatrutych jabłek.

Niemożliwe... Gdzie tu sens? Żyjemy w końcu dwudziestego wieku...

- Zrób coś jeszcze.

- Nie jestem słoniem cyrkowym - rzuciła zniecierpliwionym głosem.

- Proszę cię, Morgano. Bardzo mi na tym zależy. Czy mogłabyś zniknąć albo... - Poderwał się z krzesła. - Popatrz, ja stanę tam, a ty... - Książka, która sfrunęła z półki, uderzyła go w czoło. Potarł wierzchem dłoni trafione miejsce. - Dobrze, w porządku, nic nie szkodzi.

- Nie bój się - powiedziała z godnością - to nie był występ towarzyszący głównemu przedstawieniu. Ani próba generalna. Musiałam użyć bolesnego argumentu, bo zachowujesz się jak wyjątkowy tępak, a nie artysta z wyobraźnią. Długo nie chciałeś uwierzyć, chociaż zależało mi na tym. - Wygładziła starannie dół sukienki. - Teraz, kiedy znasz już prawdę, daj sobie trochę czasu na przemyślenie wszystkiego od początku. Zanim ruszymy dalej.

- Ruszymy dalej - powtórzył jak echo. - Może więc wykonamy następny krok i pogadamy o tym spokojnie.

- Nie teraz.

Szkoda, że nie wie, pomyślała ze smutkiem, o ile kroków się cofnęła.

- A niech to! Tak się nie robi, Morgano. Chcesz mnie zostawić z tym chaosem w głowie? Zagrałaś mi na nosie i teraz sobie pójdiesz, jak gdyby nigdy nic? Jesteś prawdziwą czarownicą.

- Najprawdziwszą. Mam nadzieję, że nie zmienisz w tej sprawie zdania.

- Chciałbym ci zadać milion pytań.

- Zadałeś mi już kilka setek. - Sięgnęła po torbę. - Przesłuchaj taśmy, Nash. Na każde z twoich pytań odpowiedziałam serio. Nie zmieniałabym ani słowa.

- Nie chcę słuchać taśm. Chciałbym z tobą rozmawiać.

- Przykro mi. Ale ja chcę, w tej chwili, wrócić do domu. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej wisior z małym szmaragdem w kształcie różdżki. - Proszę. - Nie czekając na odpowiedź, przełożyła łańcuszek przez głowę Nasha.

- Dziękuję, ale nie noszę biżuterii.

- A więc traktuj go jak talizman. Rozjaśni ci umysł, pomoże obudzić natchnienie i... Widzisz ten fioletowy kamyczek nad szmaragdem?

- Tak.

- Ametyst. - Musnęła wargami policzek Nasha i ruszyła do drzwi. - Będzie cię chronił przed czarami. Prześpij się teraz godzinę, bo twój umysł jest zmęczony. Sam to czujesz. Obudzisz się jak nowo narodzony, z zapalem do pracy. Kiedy nadejdzie właściwa pora, znajdziesz mnie.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Nash, marszcząc czoło, obejrzał dokładnie kamień. Rozjaśnia umysł. Przyda się... Na razie jego myśli były równie przejrzyste jak dym z komina. Poglądził palcem ametyst. Osłona przed czarami. Wyjrzał przez okno, żeby odprowadzić Morganę wzrokiem do samochodu.

Przyda się jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Potrzebował godziny na zebranie myśli, a nie na sen. Z drugiej strony - czy ktokolwiek mógłby zasnąć, albo trzeźwo myśleć, po tym, co on oglądał przez ostatni kwadrans? Mój Boże, rozmawiał z niejednym nawiedzonym parapsychologiem, niejednym medium, fachowcem od specjalnych efektów... ale żaden z nich nie dorastał Morganie do pięt. Każdy z nich wiele by dał, żeby zobaczyć ją w akcji.

Tymczasem pierwszym racjonalnym odruchem po jej wyjściu był bunt. Niezgoda na fakty, które burzyły jego dotychczasowy obraz świata. Może i uwierzył - bo nie miał innego wyjścia - ale nie chciał wierzyć w czarownice!

Wrócił do pokoju, żeby jeszcze raz zerknąć na sufit. Zastanowić się. Nie. Nie mógł zaprzeczyć, że widział śnieg i to wszystko, co widział. Ani nie potrafił zapomnieć, co wtedy czuł. Trudno. Może kiedyś, z czasem, znajdzie logiczne rozwiązanie.

A więc do dzieła. Pierwszy krok. Położył się na kanapie w swojej ulubionej pozycji do myślenia. Hipnoza, trans, halucynacja... Trudne do uwierzenia, ale zawsze to jakaś możliwość.

W coś jednak powinien uwierzyć - w to lub inne logiczne wyjaśnienie. A jeśli nie? Jeśli nie istnieją żadne racjonalne dowody? Wtedy przyjdzie mu uwierzyć naprawdę, że Morgana jest czarownicą.

Próbował myśleć, ale wyobraźnia nieustannie podsuwała mu jej obraz. Pamiętał, jak wyglądała, jak smakowały jej usta, jak dziwnie patrzyła, zanim uniosła rękę... Przypomniał sobie nagle, że identycznie płonęły jej oczy, kiedy pokazała mu trik z butelką brandy i kieliszkami.

Trik? Czy uniesienie pod sufit faceta, który waży siedemdziesiąt pięć kilogramów, to także trik?

Telekineza? Kiedy zbierał materiały do „Mrocznego daru”, uwierzył niemal, że istnieją ludzie, którzy samą myślą albo pragnieniem poruszają przedmioty na odległość. Dlaczego by nie... W końcu łatwiej ufać naukowcom - którzy wiele takich latających przedmiotów widzieli i sfotografowali - niż bujdom o złośliwych duchach.

Przesłuchaj taśmy, powiedziała przed wyjściem. Dobrze. Od tego zacznij. Sięgnął po magnetofon, włożył pierwszą kasetę i wcisnął guzik.

- Żeby być czarownicą, wcale nie trzeba uczestniczyć w sabatach; tak jak nie trzeba - i nie wystarczy - zapisać się do męskiego klubu, żeby czuć się mężczyzną. Cóż, niektórzy

uwielbiają życie grupowe. Legitymacje przynależności do... czyja wiem - grubych, łysych, bogatych albo bezdomnych, grających w golfa albo w polo, pacyfistów albo żołnierzy - dodają im pewności siebie. Inni nie znoszą samotności; im więcej wokół nich ludzi, tym lepiej się czują. - Krótka pauza, w czasie której Morgana zmieniła miejsce. - Lubisz się zapisywać, Nash? Należysz do klubów, organizacji?

- Nie. Wszystkie zorganizowane grupy rządzą się prawami, które ustalił ktoś inny. I wszystkie mają niezdrową skłonność do wciągania człowieka w jakiś kierat. Wynajdują mu głupie zajęcia, obowiązki - choćby tylko towarzyskie. Brr... Nie znoszę tego.

Głośny, dzwięczny śmiech wypełnił pokój. - No właśnie. Na szczęście są i tacy wśród nas, którzy wolą własne towarzystwo i własne reguły gry. A sabaty? Owszem, mają swoją prawdziwą, nieprzerwaną historię, która sięga bardzo zamierzchłych czasów. Sabatowi w Irlandii przewodziła moja praprababka, a potem jej córka. Odziedziczyłam po nich kilka rytualnych przedmiotów: kielich sabatowy, naczynie, które zauważyłeś na ścianie w holu. Pochodzi z czasów, kiedy nie palono jeszcze czarownic. Czy wiesz, że pierwsze stopy zapłonęły w czternastym wieku? Nie? A wiesz, ile lat, bez przerwy, prześladowano w Europie moich przodków? - Chwila milczenia. - Trzy wieki. Jak pokazuje historia, ludzkość musi kogoś prześladować. Średniowiecze wybrało nas...

Morgana mówiła dalej, odpowiadała na kolejne pytania, a Nash wsłuchiwał się w brzmienie jej czarodziejskiego głosu... nie rozumiejąc ani słowa. Z zamkniętymi oczami wyobrażał sobie, że leżą teraz obok siebie, że czuje na szyi ciepło jej oddechu...

Zasnął z uśmiechem na twarzy.

Obudził się po dwóch godzinach z ciężką głową, rozbity i obolały. Oparłszy się na łokciu, spojrzął na zegarek.

Cholera... Nic dziwnego, że spał tak ciężko. Przez kilka ostatnich dni całą energię tracił na idiotyczne drzemki. Ani nie pracował, ani się nie wysypiał. Sięgnął po butelkę, w której zostało trochę ciepłej wody.

Może to był tylko sen. Oczywiście, że tak. Gdyby nie... Dotknął talizmanu na szyi, zamknął go w dłoni, a potem dokładnie obejrzał. Szmaragd z maleńkim ametystem. To nie był sen...

W porządku. Usiadł gwałtownie i przetarł oczy. Koniec marudzenia. Morgana pokazała, co pokazała, a on widział, co widział. To nie jest dostateczny powód, żeby wątpić w swoje zdrowie psychiczne. Wystarczy przestawić się, zmienić sposób myślenia. Do diabła, przecież podróże kosmiczne jeszcze nie tak dawno temu należały do sfery czystej fantazji. Z drugiej strony, w czternastym czy piętnastym wieku nikt nie wątpił w istnienie czarownic.

Może więc granica między rzeczywistością a fantazją, rozsądkiem a szaleństwem, jest płynna i zależy od czasów, w których przyszło nam żyć...

Boże, co za banał!

Nash po raz kolejny sięgnął po wodę, uświadamiając sobie nagle, że wcale nie chce mu się pić - tylko jest śmiertelnie głodny.

O ileż jednak ważniejszy niż stan żołądka był w tamtej chwili stan jego umysłu! Nagle doznał olśnienia. Historia o czarownicach zaczęła się układać w zborną całość: klatka po klatce. Zobaczył swój film i po raz pierwszy miał pewność, że go zrobi. Uczucie radosnego podniecenia przypomniało mu o głodzie. Triumfalnym gestem wyrzucił w górę ręce i pomaszerował do kuchni.

Dobra nasza, mruczał pod nosem. Gigantyczna kanapka, dzbanek mocnej kawy i do roboty. Żadnych telefonów, drzemek... ani amorów.

Morgana siedziała na zalanym słońcem tarasie Anastazji, popijając wyśmienitą schłodzoną miętę i - jak zwykle - zazdroszcząc swojej kuzynce ogrodu.

Bajeczne Pescadero Point leżało na uboczu turystycznego szlaku, z dala od zgiełku Cannery Row i od zatłoczonych uliczek oraz zapachów dzielnicy portowej. Na taras, który ginął niemal w gąszczu drzew i kwiatów - setek gatunków roślin, które tylko Anastazja potrafiła nazwać - nie dochodziły żadne odgłosy cywilizacji. Ani jeden warkot silnika. Tylko śpiew ptaków, szum morskich fal i wiatru.

Morgana zawsze tu przyjeżdżała, kiedy miała kłopoty, kiedy jej nerwy odmawiały posłuszeństwa, domagając się ciszy i ukojenia. Nigdy się nie zawiodła. Moszcząc się w fotelu nie po raz pierwszy pomyślała, że to miejsce jest takie jak Anastazja. Piękne, gościnne i przyjazne.

- Prosto z pieca - wołała Ana od drzwi, niosąc tacę z ciastkami.

- O Boże, karmelowe, moje ulubione... Ano, skąd wiedziałaś?

- No właśnie! - zachichotała wesoło. - Od rana coś mnie ciągnęło do kuchni. Czuję, że się rozchoruję, jeśli nie upiekę czegoś słodkiego... Teraz już wiem dlaczego.

Nie czekając na zaproszenie, Morgana ugryzła pierwsze ciastko. Mruknęła przeciągle, a jej oczy robiły się coraz węższe i węższe, kiedy delikatna, czekoladowa polewa topiła się na języku.

- Ano, czarodziejko...

- Dobrze już, dobrze. Możesz zjeść wszystkie. - Anastazja wybrała fotel, z którego miała najlepszy widok na zatokę. - Trochę się zdziwiłam, kiedy weszłaś. W normalny dzień o tej porze...

- O jakiej znowu porze? Zrobiłam sobie długą przerwę na lunch. Mindy została w sklepie, poradzi sobie nawet do wieczora.

- Ach, tak!

- Widzisz w tym coś nienormalnego? - Sięgnęła po następne ciastko.

- Przepraszam, Morgano. Zbyt dobrze się znamy - powiedziała cedząc każde słowo - żebym mogła nie zauważyć, że coś cię gryzie.

- Wiem, Ano, wiem. Domyślam się, że trudno tego nie zauważyć. A ja po prostu... musiałam do ciebie przyjechać. Chociaż nie powinno się zarażać przyjaciół swoimi humorami, to jednak...

- No, dosyć wstępów. Wyrzuć to z siebie.

- Jesteś zielarką - powiedziała lekko drżącym głosem. - Co sądzisz o naparze z *Helleborus Niger*?

Ana uśmiechnęła się. *Helleborus*, ciemiernik czarny, opisywany w starych księgach jako odtrutka na szaleństwo.

- Obawiasz się, że postradałaś zmysły?

- Wszystko na to wskazuje. Mogłabym, co prawda, pójść na łatwiznę i przyrządzić sprawdzoną miksturę: „wymieszaj różę z arcydziegłem i szczyptą żeńszenia, na koniec posyp szczerze pyłem księżycowym”...

- Napój miłosny? Dla kogoś, kogo znam?

- Poznałaś Nasha.

- Oczywiście. Coś się nie układa?

- Nie wiem, jak się układa. - Morgana zmarszczyła czoło. - Wiem tylko, że wołałabym nie mieć tych cholernych skrupułów. Mogłabym go zmiękczyć jak wosk...

- Ale nie czułabyś się najlepiej.

- Nie - przyznała cicho. - Dlatego nie pozwalam sobie na żadne ułatwienia. - Wpatrywała się w białe żagle sunące po zatoce. Jak to się stało, że straciła wolność? Że zazdrości samotnym żaglom? - Szczerze mówiąc. Ano, nie zastanawiałam się nigdy dotąd, czym jest miłość. Prawdziwa miłość między kobietą a mężczyzną... - Uśmiechnęła się zmieszana. - Wiesz, tak się w tym pograżyłam, że nie widzę światełka w tunelu... Nie umiem normalnie myśleć.

- Powiedziałaś mu?

- Nie mogę mu powiedzieć o czymś, czego sama nie jestem pewna. - Poczowała gwałtowne ukłucie w serce, które ją zaskoczyło i trochę przestraszyło. Zamknęła oczy. - Więc

czekam. W dzień wypatruję zmroku, w nocy nie mogę doczekać się świtu. Ani chwili spokoju. Czasami mam wrażenie, że się duszę - i mam tego serdecznie dosyć.

- Kiedy walczyliśmy o miłość, walczyliśmy o powietrze, bez którego nie ma życia.

- Ale skąd mamy wiedzieć, że już dosyć? Że można przestać walczyć i normalnie oddychać?

- Myślę, że kiedy poczujesz się szczęśliwa, dojdiesz do wniosku, że ta chwila nadeszła. Tak mi się wydaje.

- Czy nie sądzisz. Ano - spytała Morgana po długim milczeniu - że jesteśmy trochę zepsuci? Ty, ja i Sebastian.

- Zepsuci? W jakim sensie?

- W sensie... naszych oczekiwań. - Uniosła ręce w bezradnym geście. - Nasi rodzice darzyli nas tak bezprzykładną miłością, zrozumieniem i szacunkiem... Nie wydaje ci się, że nas rozpieszczali? Że wszyscy troje żyliśmy jak w bajce? Nie wszystkim tak się układa.

- Nie. Ale ja nie wierzę, że doświadczenie prawdziwej miłości może kogoś zepsuć. Dzięki naszemu dzieciństwu wiemy na pewno, że takie uczucie jest możliwe.

- Czy nie wygodniej by było poprzestać na małym? - zapytała cicho, jakby samą siebie. - Cieszyć się chwilą, namiętnością, nie zastanawiać się, czy to prawdziwa miłość, czy tylko opętanie? Co to za różnica...

- Na takie pytanie to już sama sobie musisz odpowiedzieć. Dla jednych to zasadnicza różnica, dla innych, być może, żadna.

- Ale, Anastazjo, ja się wykończę, rozumiesz? - Odsunęła się gwałtownie od stolika i wstała. - Nienawidzę czuć się bezradna. Nienawidzę! Świadomość, że nie mam wpływu na własne życie, dobija mnie!

- Wierzę. - Twarz Anastazji rozjaśnił ciepły, wyrozumiały uśmiech. - Odkąd pamiętam, zawsze stawiałaś na swoim, używając do tego siły albo wyjątkowego daru przekonywania. Albo... osobistego wdzięku.

- Uważasz, że tyranizowałam otoczenie?

- Nie. Prawdziwym tyranem był Sebastian. Ty miałaś, jak by to ująć, silną osobowość.

- Serdeczne dzięki. Nawet jeśli chciałaś mnie pocieszyć, to ostatnio moja „silna osobowość” na niewiele się zdaje. - Zeszły po schodkach do ogrodu. - Nie widziałam go od ponad tygodnia, Ano. Boże! Co się ze mną dzieje? Jęczę jak jakaś roztrzęsiona baba...

- Nie. - Ana wybuchnęła śmiechem. - Jak bardzo niecierpliwa baba.

- Zgadza się. Jestem niecierpliwa. Wyobraź sobie, że na wszelki wypadek zaplanowałam, jak go będę unikać. Ale niepotrzebnie się trudziłam. Sam mnie unika. A wiesz, jak boli zraniona ambicja?

- Dzwoniłaś do niego?

- Nie. - Morgana zacisnęła usta. - Byłam oczywiście wściekła, że nie przyjechał i nie dobija się do moich drzwi... Dzwonił kilka razy, po to tylko, żeby zadać mi kilka głupich pytań na temat magii. Ja odpowiadam, a on mruczy coś pod nosem, zapisuje, grzecznie dziękuje... i odwiesza słuchawkę.

- Włożyła do kieszeni zaciśnięte w pięści dłonie. - O rany, jakbym słyszała te trybiki i kółeczka obracające się w jego małym mózgu.

- Pracuje. To chyba normalne, że kiedy pisze, stara się nie rozpraszać.

- Droga Anastazjo - powiedziała szeptem Morgana - wychodzisz z roli. To mnie miałaś współczuć i pomóc, a nie usprawiedliwiać Nasha.

- Sama nie wiem, co mnie napadło. - Ana uśmiechnęła się przeprasząco.

- Twoje miękkie serce, jak zwykle. - Pocałowała ją w policzek. - Ale wybaczam ci.

- Przyznaj się... Wymyśliłaś jakiś niezawodny sposób na tego wstrętnego, egoistycznego scenarzystę, który doprowadza cię do szalu?

- Zastanawiam się, czy nie wyskoczyć do Irlandii na kilka tygodni.

- Będę ci życzyła udanej podróży, Morgano, ale ucieczka niczego nie rozwiąże, wiesz o tym. Odłóżysz tylko problem na później.

- Wiem. Dlatego nie zaczęłam się jeszcze pakować - westchnęła Morgana. - Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego. Zanim się rozstaliśmy, Nash uwierzył w końcu, że jestem tym, kim jestem. Chciałam dać mu czas na przetrwanie wszystkiego... Żeby doszedł do ładu z samym sobą.

- Aha. Najważniejsze zostawiłaś na deser. - Objęła Morgana ramieniem. - Może mu to zająć więcej niż kilka dni...

- Wiem. - Odwróciwszy się ku zatoce, potoczyła wzrokiem po linii horyzontu. Nigdy nie wiadomo, co leży za nim... - Ano, wiem tylko jedno: dzisiaj w nocy zostaniemy kochankami. Ale pojęcia nie mam, czy ta noc mnie uszczęśliwi, czy pograży w nieszczęściu.

Nash był w euforii. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem pisał z taką łatwością. Wyobraźnia podsuwała mu gotowe sceny, dopracowane do najdrobniejszych szczegółów. Fabuła wydawała się mieć nie tylko ręce i nogi, ale też jasny sens.

W jedną noc zrobił konspekt opowieści, a dwa dni potem rozradowany agent obiecywał mu przez telefon złote góry, natychmiastową produkcję, fantastyczny kontrakt, i

tak dalej. Nic by się nie stało, gdyby zadzwonił dużo później, ponieważ Nash - sam nie pojmując dlaczego - wcale nie myślał o produkcji, pieniądzach ani gotowym filmie.

Był całkowicie pochłonięty historią, która powstała w jego głowie, i nie mógł doczekać się chwili, kiedy napisze ostatnie zdanie i pozwoli jej żyć własnym życiem.

Pracował prawie bez przerwy. Czasami budził się o trzeciej nad ranem, rzucał do komputera, a wczesnym popołudniem wypijał pierwszą kawę. Jadł, co miał pod ręką, zasypiał, kiedy oczy odmawiały posłuszeństwa. Żył poza czasem, w wymiarze, którego granice wyznaczała jego własna wyobraźnia śniła mu się tylko Morgana, w surrealistycznej scenerii, zawsze naga. Pożądał jej we śnie, potem budził się zły potem, cierpiąc do granic wytrzymałości, ale natychmiast zabierał się do pracy i odnajdywał w niej ukojenie. Jeszcze nie czas, powiedziała Morgana.

Ale czas się zbliżał. Wiedział to na pewno, dlatego umiał być cierpliwy.

Nie odbierał telefonów, rzadko przesłuchiwał nagrane rozmowy, jeszcze rzadziej sam dzwonił. Kiedy brakowało mu powietrza, wychodził ze swym laptopem na podwórze. Najchętniej zabierałby go i pod prysznic - gdyby komputer lubił wodę...

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy postawił ostatnią kropkę. Drżącą ręką wydierał z drukarki kolejne zapisane kartki. Jeszcze drobne poprawki, uwagi na marginesach. Kiedy przeczytał całość, nie miał żadnych wątpliwości. Wiedział na pewno, że to najlepsza rzecz, jaką napisał w życiu.

Przez dziesięć dni sypiał trzy, najwyżej cztery godziny na dobę, a jednak nie czuł zmęczenia.

Był ogromnie podniecony.

W stosie papierów, książek i naczyń próbował znaleźć dużą kopertę.

Myślał teraz tylko o Morganie. Dzięki niej napisał ten scenariusz i ona będzie pierwszą osobą, która go przeczyta.

Całe szczęście, że kiedy wypadł na korytarz, zerknął niechcący w lustro. Stał jak wryty i parsknął śmiechem. Przeciągnął ręką po policzku. Zarost był miękki i tak długi, że... kto wie? Może powinien zapuścić brodę? Tak czy owak, potrzebował z pół godziny, żeby doprowadzić się do ładu.

Następne piętnaście długich minut zajęło mu szukanie kluczy. Bóg jeden wie, dlaczego znalazły się w lodówce, na drugiej półce od dołu, obok zgniłej brzoskwini - ale tam właśnie były.

Z kopertą pod pachą wybiegł z domu. Dopiero w samochodzie, kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, spojrzął na zegarek. Północ... Wahał się przez sekundę, czy nie przełożyć wizyty na jutro, albo przynajmniej zadzwonić...

Do diabła z tym! Machnął ręką i ruszył z piskiem opon. Musi się z nią zobaczyć teraz.

W tej samej chwili Morgana wychodziła z domu. W białej zwiewnej sukni, przewiązanej w talii sznurem kryształów. Z wiklinowym koszykiem, w którym mieściły się przedmioty rytualne potrzebne na tę jedną, jedyną noc w roku.

Wiosenne zrównanie dnia z nocą. Czas radości i dziękczynienia za nowe życie, które przyniesie wiosna. Ale w oczach Morgany tlił się też smutek. Tej nocy, kiedy światło dogoniło mrok, jej życie miało się zmienić.

Wiedziała, chociaż nie zaglądała po raz drugi do szklanej kuli. Nie musiała czytać specjalnych znaków ani uciekać się do zaklęć. Mówiło jej serce, które było znakiem nieomylnym.

Wstydziła się teraz chwili słabości, ale mało brakowało, a zostałaby w domu. Bała się rzucać wyzwanie losowi, chciała na niego czekać, ale przecież nie była tchórzem. Zdecydowała, że dopełni odwiecznego rytuału.

On przyjdzie. W swoim czasie - a wtedy ona go przyjmie.

W drodze do cyprysowego gaju towarzyszyły Morganie ruchome cienie na łące, zapach wiosny i tłustej ziemi, którą sama przygotowała do sadzenia. Usłyszała wołanie sowy - niskie i żałośliwe - ale nie wypatrywała białych skrzydeł. Jeszcze nie.

Wiele innych zapachów i innych dźwięków unosiło się w powietrzu. Delikatny powiew wiatru, szum morza - i cicha czarodziejska muzyka, przeznaczona tylko dla wybranych uszu.

Dotarła na miejsce. Tutaj nigdy nie czuła się samotna. Zapomniała o smutku i lęku. Z zamkniętymi oczami upajała się pięknem nocy.

Uklękła na trawie, otworzyła koszyk i wyjęła z niego biały, wyszywany srebrną nicią obrus. Rodzinna legenda głosiła, że młody król podarował go celtyckiemu czarodziejowi Merlinowi... w szóstym wieku.

Potem ciasto, oplecioną butelkę wina, świece, kielich, rytualne naczynie oraz wianek z kwiatów gardenii. I dużo innych kwiatów - ostróżki, orliki, gałązki tymianku i rozmarynu - którymi ozdobiła obrus.

Wstała, żeby zaczarować krąg. Energia pulsowała w jej palcach. Coraz cieplej. Zaczęła szeptać zaklęcie. Na okręgu wytyczonego koła ustawiła kilkanaście świec. Zapalała

uroczyście jedną po drugiej, czekając, aż płomień się uspokoi. Odwiązała sznur kryształów, potem zsunęła z ramion rękawy sukni. Biała szata opadła na ziemię miękko i bezszelestnie.

Zaczęła tańczyć.

Pięć minut przed północą Nash skręcił w drogę dojazdową do posiadłości Morgany. Zaklął pod nosem, nie dostrzegając w oknach ani jednego światła.

Trudno, będzie musiał ją zbudzić. Swoją drogą ciekawe, ile godzin snu potrzebuje czarownica... Zaśmiał się cicho. Powinien jej zadać jeszcze wiele ciekawych pytań.

Tak czy owak, na pewno go zbeszta. Kobiety nie lubią zrywać się z łóżka w środku nocy. Może złagodnieje na widok bukietu...

Zachwycony swoim pomysłem, zaczął buszować w grządkach: tulipany, groszki, narcyzy, lilie... Jest tego tyle, usprawiedliwiał się w duchu, że Morgana nawet nie zauważy. Z naręczem kwiatów ruszył do drzwi. Po każdym puknięciu rozlegało się szczekanie psa, ale nikt nie schodził ze schodów ani nie zapalał światła.

Pewnie śpi jak kamień, myślał, wpatrując się w ciemne okna. Ładne pocieszenie. Ogarniał go coraz większy niepokój. Musi ją zobaczyć, i to jeszcze tej nocy. Przed świtem.

Ruszył ścieżką w kierunku tarasu. Nagle zatrzymał się jak wryty. Cyprysowy gaj. Tam musi pójść. Nie wiedział dlaczego, ale tak mu kazało serce.

Szedł prawie na palcach, słysząc najlżejsze poruszenie gałązki. Wydawało mu się, że każdy niepotrzebny hałas byłby tej nocy bluźnierstwem. Czuł coraz szybsze pulsowanie krwi w skroniach.

Nagle, w oddali, na skraju lasu, dostrzegł olbrzymią białą sowę, która siedziała jak na czatach... Oderwała się od gałęzi w tej samej chwili, kiedy on przystanął. Zniknęła za drzewami.

Nash miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Wiedział jednak, że jeśli teraz stchórzy i ucieknie, to i tak tu wróci.

Szedł więc dalej.

Była tam. W magicznym sercu gaju. Klęczała na białym obrusie, opromieniona srebrnym światłem księżyca. Chciał wykrzyknąć jej imię, lecz ani jeden dźwięk nie wydobył się z jego gardła.

Widział, jak zapala świece, potem stoi z uniesionymi rękami w środku płomiennego kręgu. Zsuwa z ramion białą szatę. Olśniewająca w swojej nagości, spogląda na gwiazdy, kołysze ramionami, zaczyna wirować w rytualnym tańcu.

Przypomniał sobie sen, w którym widział tę scenę. Ze wszystkimi szczegółami. Obraz zaczął mętnieć, oddalać się, ale kiedy potrząsnął głową, wszystko powróciło.

Teraz znowu klęczała. Kiedy podniosła do ust srebrny kielich, świece zaskwiercały i buchnęły wysokim płomieniem. Usłyszał cichy, zawodzący głos, który nagle spotężniał i poweselał, jakby cały chór czarownic przyłączył się do jej liturgicznej pieśni.

Płomienie przygasły. Zapanowała cisza.

Kapłanka wstała, włożyła suknię i przepasała ją sznurem.

Sowa - wielki biały ptak, o którym zdążył zapomnieć - zahuczała dwa razy, zanim poszybowała w mrok nocy.

Morgana odwróciła się... i zamarła. Nash wyszedł z cienia drżący, niezdolny wymówić słowa.

Wahała się przez moment. Serce mówiło jej, że tej nocy zazna najcudowniejszych rozkoszy. Ale zapłaci za nie cierpieniem.

Uśmiechnęła się do Nasha i jednym zdecydowanym krokiem wyszła z zaklętego kręgu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Morgana zbliżała się do niego wolnym krokiem, nierealna, opromieniona gwiazdami, spowita w mglistą, białą tkaninę.

Chciał się odezwać, powiedzieć jej coś, cokolwiek - proste zdanie, które wyjaśniałoby jego uczucia. Niestety. Nawet słowo nie przeszło mu przez gardło. Wiedział, że chodzi o coś więcej niż pożądanie, ale wszystko, co teraz przeżywał, wydawało się tak niepodobne do jego doświadczeń, tak niezrozumiałe... Nie potrafił tego opisać ani wytłumaczyć. Nigdy się nie nauczy. Nigdy się nie odważy.

Wiedział na pewno, że w tym magicznym miejscu, w tej zaczarowanej chwili, istniała dla niego tylko jedna kobieta. Jakiś cichy, cierpliwy głos w jego duszy podpowiadał szeptem, że zawsze istniała tylko jedna kobieta, i że czekał na nią przez całe życie.

Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki. Brakowało jednego kroku, żeby znaleźć się w ramionach Nasha. Żeby odciąć mu odwrót. Bała się. Ale była niemal pewna, że oboje przekroczyli granicę, poza którą nie ma odwrotu.

Dla żadnego z nich to nie będzie łatwe. Wiedziała od początku. Dzisiejsza noc przypieczętuje więzy, których nikt nie zerwie. Bez względu na to, co postanowią jutro... Nawet gdyby oboje chcieli przed sobą uciec albo zapomnieć. Już nie będzie można zapomnieć.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć kwiatów, które tak kurczowo ścisnął. Zastanawiała się, czy wybrał je świadomie. Czy zdaje sobie sprawę, że ofiarowuje jej miłość, wierność i nadzieję...

- Kwiaty zrywane przy księżycu kryją w swoich płatkach wszystkie uroki i sekrety nocy.

Zapomniał o kwiatkach. Spojrzał teraz na nie błędnym wzrokiem, jak człowiek obudzony z głębokiego snu.

- Ukradłem je z twojego ogrodu. Uśmiechnęła się. Oczywiście, nie znał mowy kwiatów. Ale jego ręka potrafiła zdać się na intuicję.

- Nie straciły przez to zapachu. Poza tym, liczą się intencje. - Dotknęła jego policzka. - Wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć, prawda?

- Ja... Tak. Wiedziałem.

- Nash, po co przyszedłeś?

- Chciałem... - Przypomniawszy sobie gorączkowe miotanie się po domu, byle już wyjść, byle zobaczyć Morgane jeszcze tej nocy. - Pragnąłem cię.

Po raz pierwszy opuściła wzrok. Tęskniła do jego ciała, które płonęło pożądaniem, kusiło ją. Ale wiedziała, że jeśli go nie powstrzyma - teraz - to już żadne zaklęcie nie przywróci jej wolności.

- To, co ci daję tej nocy, daję z wolnego serca. A to, co biorę, biorę bez żalu. - Jej oczy lśniły nieprzypadnym blaskiem, wpatrzone w wizje, o których Nash nie miał pojęcia. - Zapamiętaj. A teraz chodź ze mną. - Podała mu rękę i razem przekroczyli płomienny krąg.

Wszystko się nagle zmieniło. Powietrze stało się ostre i orzeźwiające, każdy zapach odczuwał wyraźnie, jak gdyby znaleźli się na jakimś wysokim, ośnieżonym szczycie. Nawet do gwiazd wydało mu się stamtąd bliżej.

- Co to za miejsce? - szepnął.

- Nie potrzebuje nazwy. - Wysunęła rękę z jego dłoni. - Jest wiele magicznych miejsc i różne magiczne obrzędy... - Odwiązała sznur z kryształów. - My dopełnimy swojego. - W jej uśmiechu nie było cienia wstydu ani lęku. - Nikogo nie krzywdząc.

Wyciągnęła ramiona.

Przygarnął ją do siebie gwałtownie, miażdżąc kwiaty, których mocny, odurzający zapach rozplątał się w powietrzu. Jej usta były ciepłe i delikatne, smakowały jak wino, którym go poczęstowała w tamten pamiętny dzień, w sklepie.

Pod zamkniętymi powiekami widziała migoczące ogniki oraz jeden rozkołysany cień sylwetek ludzkich. Cień Nasha i jej. Słyszała głęboki, czysty pogłos wiatru grającego w liściach; muzykę nocy, która sama w sobie jest magią. Usłyszała wypowiedziane szeptem własne imię.

Przyłgnęła do niego bezwiednie, zupełnie nieporadna, zniewolona, drżąca z rozkoszy. Nash całował jej powieki, skronie, odgarniał ustami pojedyncze włosy, parzył szyję przyspieszonym oddechem.

Objął ją jeszcze mocniej. Czowała jego mięśnie napięte do granic wytrzymałości. Całował ją pospiesznie, jakby po raz pierwszy i ostatni. Morgana zatracala się w cudownej świadomości, że tej lawiny nic nie powstrzyma. Była podniecona jego siłą i własną uległością.

Nagle poczuł, że jego pożądanie sięga zenitu. Walczył z bestią, która drwiła z niego i podjudzała, żeby zaspokoił swój głód natychmiast. Nie. Przyłgnął policzkiem do szyi Morgany, czekając, aż zle minie... Nie. Nie tutaj. I nie teraz. Okpi bestię.

- Nash, ja...

Potrząsnął głową, wyprostował się i spojrzał jej w oczy mrocznym, skupionym wzrokiem. Zastanawiała się, dlaczego wciąż potrzebują słów. Dlaczego Nash nie potrafi zajrzeć w jej serce...

- Jestem przerażony, Morgano - wydusił po długiej chwili. - Tym, co się ze mną dzieje. Tym, co się dzieje z nami. Wiele się zmieniło, rozumiesz?

- Tak. To coś ważnego.

- Właśnie. Coś bardzo ważnego. - Oddychał szybko i nierówno. - Nie chciałbym cię zranić.

Zranisz mnie i tak, pomyślała. Była pewna, że nie uniknie cierpienia, choćby zaklinała los i broniła się przed nim zaciekle. Ale jeszcze nie tej nocy.

- Nie zranisz. - Pocałowała Nasha delikatnie, a potem opuściła rękę.

Nie. Nigdy jej nie skrzywdzi. Nie potrafiłby. Drżącymi palcami zsunął z jej ramion suknię.

Patrzył na Morgane z bałwochwalczym uwielbieniem. Widział jej nagość wcześniej - kiedy tańczyła w zaklętym kręgu - ale wtedy była kapłanką księżycy, sennym marzeniem, niedostępną czarodziejką.

Teraz miał przed sobą kobietę z krwi i kości, a nie przezroczystą zjawę. Mógł jej dotknąć - nie obawiając się, że jego ręka trafi w próżnię.

Najpierw twarz. Błądził palcami po delikatnej linii nosa, policzkach i brodzie. Morgana rozchyliła usta. Kiedy dotknął jej wargi, cichutko westchnęła. Czarownica czy śmiertelna kobieta, cóż za różnica. Należała do niego - tak jak tylko kobieta może należeć do mężczyzny - mimo że ich miłość czekała na spełnienie. A los chciał, żeby spełniła się w tym magicznym miejscu, pośród starych, milczących drzew, pod osłoną księżycy... I tak się stanie.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Dłońmi poznawał jedwabistość skóry, aż oboje zatracili się w zapomnieniu, od jakiego nie ma odwrotu.

Stała jak zaklęta. Nawet gdyby zatrzęsła się ziemia albo spadła ulewa, stałaby dalej, drżąca, niezdolna oderwać od niego wzroku. Czy wie? Czy domyśla się, że zaczarował ją swoją czułością?

Kiedy oplatał rękami jej szyję, nie była pewna, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego.

Osunęli się na biały obrus. Nash pieścił ją powoli i ostrożnie, chcąc rozkoszować się tą chwilą jak najdłużej. Gładził ją delikatnie, pieścił ustami, coraz czulej, mniej zachłannie. Nieokielznany głód przerodził się w najsubtelniejszy apetyt.

Kiedy uniósł się na łokciach, Morgana rozpięła jego koszulę, a potem, nie odrywając wzroku od jego twarzy, zsunęła z bioder spodnie. Ta krótka chwila, kiedy ją puścił, by zrzucić ubranie, wydała jej się nieznośna. Westchnęła z ulgą, kiedy zatoneła z powrotem w jego ramionach, spragniona i oczekująca.

Przedsmak euforii. Drżała pod jego dotykiem, całkowicie bierna, czując wszystko coraz silniej i wyraźniej: wiatr od morza, zapach nocy i kwiatów, odurzający aromat ich ciał, rzeźbę każdego mięśnia.

Przez długą chwilę leżeli w bezruchu. Donikąd się nie spieszyli. Wsłuchani w swój oddech, czekali na znak. Nagle gdzieś w oddali zawołała sowa. Ogniki świec buchnęły wysokim, żywym płomieniem, zamykając ich w zaczarowanym kręgu przed światem.

Kiedy odnalazły się ich oczy, zapadła cisza jak przed burzą. Nie było między nimi żadnego lęku ani nieśmiałości. Morgana przyciągnęła do siebie Nasha. Nogami oplótła jego biodra, z uczuciem ulgi i doskonałej pełni.

Poruszali się wolno, rozmyślnie, jakby rozkoszując się pierwszym nasyceniem. Pierwszymi krokami magicznego tańca. Widział w jej oczach niebo i księżyc. Kiedy wyszeptała jego imię, zamarł na moment, a potem zacisnął powieki i zobaczył milion spadających gwiazd. Opadł na nią bez tchu, szczęśliwy i uspokojony.

Mijał czas. Minuty, godziny - nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że piękny sen trwa. Morgana leżała uśmiechnięta, przytulona do jego boku.

Kiedy próbował zmienić pozycję, przylgnęła do niego jeszcze mocniej, mrużąc sennie pod nosem.

- Uhm... Nigdzie nie pójdziesz.

Wsparł się na łokciu i pocałował ją w szyję.

- Nie - szepnął. - Zostanę tu chętnie do rana, ale zdrętwieje ci ręka. Poza tym... chciałbym sobie przypomnieć, jak wyglądasz. Posłuchaj, śpiochu, możesz mi powiedzieć, co się dzieje, kiedy zwykły śmiertelnik kocha się z czarownicą? Czym to grozi?

- A nie wiesz przypadkiem, skąd się biorą chimery? - Uśmiechnęła się szelmowsko, nie otwierając oczu.

- Nie żartuj... Pytałem poważnie. - Odgarnął z jej policzka kilka czarnych kosmyków.

- Jeżeli jesteś... To znaczy wiem, że jesteś, ale niełatwo mi się z tym oswoić. Nawet po tym, co widziałem tej nocy... Podglądałem cię.

- Wiem. - Musnęła palcem jego usta.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego. Ty i to niesamowite światło... Muzyka. - Ściągnął brwi. - Bo była i muzyka, wiesz?

- Dla tych, którzy potrafią się w nią wsłuchać. Dla tych, którym dane jest słyszeć.
- Morgano, co ty właściwie robiłaś? To przypominało jakiś pogański obrzęd.
- Tak, bo dzisiaj mamy wyjątkową noc. Wiosenne zrównanie dnia z nocą. Wszystko, co się dzisiaj zdarzyło - również z nami - miało magiczne znaczenie.

Powoli schylił się nad nią i przylgnął do niej całym ciałem. Czuła, że żar przenikają do szpiku kości. Nash miał pełne szczęścia, łagodne oczy. Iskrzyły się radosnym pożądaniem, które nie przypominało już tamtego nieprzytomnego głodu. Pocałował delikatnie jej ramię.

- Pewnie to zabrzmi jak starta płyta, ale nigdy w życiu nie było mi tak dobrze... i tak niesamowicie. Z nikim. Pragnę cię jeszcze bardziej... - szeptał, a jego ciało kusiło na nowo.

- Z nikim... Nigdy w życiu... - powtarzała jak echo, drżąc pod dotykiem jego palców, które odzyskały śmiałość - gładziły jej biodra, błędziły po kręgosłupie i udach, niecierpliwie, jakby bojąc się nadejścia świtu. - Kochaj mnie, Nash...

Kiedy pierwszy świt zabarwił niebo szarością, wstali niepokieszeni, ubrali się i pozbierali kwiaty.

- Zdaje się, że nic ich nie uratuje - powiedział Nash. - Ukradnę ci następne, jeśli pozwolisz.

- Nie trzeba. - Uśmiechała się, tuląc w ramionach ogromny bukiet.

Oczy Nasha stawały się coraz większe i bardziej okrągłe, kiedy kwiaty w jej rękach - jak na przyspieszonym filmie - prostowały się, odzyskiwały świeżość i barwę.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - mruknął do siebie - kiedy ja się do tego przyzwyczaję.

- Potrzymaj je, muszę odczarować krąg. - Gestem ręki zgasła świece, potem zbierała je do koszyka, jedną po drugiej, mrużąc cicho zakłęcie. Na koniec złożyła obrus.

- To już... - Nash patrzył na nią coraz bardziej oniemiały. - Chciałem zapytać, czy to już wszystko? To znaczy, koniec ceremonii?

- Bardzo często rzeczy proste wydają się ludziom niezwykle skomplikowane. - Morgana podała mu rękę. - A teraz zadam ci proste pytanie, na które musisz odpowiedzieć natychmiast: czy zechcesz dzielić ze mną łóżko przez resztę tej nocy, a raczej tego, co z niej zostało?

- Tak, chcę.

Pogrążony w półśnie, mruzczał zadowolony, czując na szyi jej ciepły oddech, wargi dotykające ucha. Kochali się tej nocy tyle razy, a ona wciąż nie miała go dosyć...

Podniósł rękę, żeby pogłaskać ją po aksamitnych włosach, policzku, którym ocierała się o jego tors tak kusząco... Ręka zawisła w powietrzu.

Jak to możliwe, żeby głowa Morgany leżała na jego piersi, a wargi dotykały ucha... Z anatomicznego punktu widzenia niemożliwe, ale widział już różne rzeczy... Nie. To zdecydowanie przekracza granice wyobraźni.

Powinien otworzyć oczy, ale bał się, że zobaczy coś strasznego i zacznie krzyczeć w środku nocy.

Dnia, poprawił się natychmiast, ale... co to za różnica.

Powoli opuszczał rękę, aż dotknął włosów. Miękkie, gęste, ale... Boże, zupełnie inny kształt głowy! Zmieniła się. Morgana, ona zamieniła się w... Serce skoczyło mu do gardła. Kiedy głowa pod jego dłonią drgnęła, krzyknął przeraźliwie i otworzył oczy.

Na piersi Nasha leżała kotka, wpatrując się w niego z wyraźnym zadowoleniem swoimi bursztynowymi oczami. Nie zdążył opaść na poduszkę, kiedy poczuł coś wilgotnego na policzku. Podskoczył jak oparzony, odwrócił głowę. Uff... powinien był się domyślić. Pan, oparty przednimi łapami o wezglowie łóżka, merdał wesoło ogonem, a na dowód swoich przyjaznych zamiarów polizał go jeszcze kilka razy.

- O Boże... - Kiedy z zamkniętymi oczami próbował uspokoić się i zebrać myśli, Luna wstała, wyprężyła grzbiet i przesunęła się w górę, żeby zajrzeć mu prosto w twarz. Jej mruczenie przypominało dziecięcy chichot. - Dobrze - powiedział udobruchany - udało wam się. Świetny kawał.

- No, no. Dobrze, że nie jestem zazdrosna - zawołała od drzwi Morgana. - Moje zwierzaki dostały na twoim punkcie absolutnego bzika. - Usiadła na brzegu łóżka z parującą filiżanką w ręku.

- Jestem ci strasznie wdzięczny... - powiedział ze spuszczonego wzrokiem, bawiąc się końcem jej warkocza.

- Za co? - Zrobiła zdziwioną minę. - Ach, za to... - dotknęła palcem filiżanki. - Za pachnącą kawę podaną do łóżka. Proszę bardzo. I tak musiałam wstać, a poza tym... - jej oczy lśniły radosną kpinią - rozczuliłeś mnie.

- Morgano, ja... - Położył rękę na jej kolanie. - Za kawę też - to najlepsza kawa, jaką mnie uraczono na zachód od Missisipi, ale... - Nagle zdecydował się zmienić temat. - Jak bardzo cię rozczuliłem? - szepnął. - Pokaż...

- Wystarczająco, żeby podać ci do łóżka kawę. Roześmiała się i pocałowała go w usta. Za bardzo, myślała błędząc oczami po jego ciele, ciepłych wargach, które kusiły ją na nowo. - Muszę iść do pracy.

- Dzisiaj? - Wolną ręką zaczął masować jej kark, - W święto państwowe?

- Jakie znowu święto? Dzisiaj?

- Oczywiście. Dzień Miłości. Wymyślono go w słodkich latach sześćdziesiątych.
- Bardzo pomysłowe. Kupię okazjonalną pocztówkę, ale... - Pocałowała go na pożegnanie i odsunęła się od łóżka na bezpieczną odległość. - W Dzień Miłości też muszę otworzyć sklep.
- Nie podejrzewałem cię, kochanie, o brak patriotyzmu.
- Wypij kawę. Gdybyś miał ochotę na śniadanie, znajdziesz coś w lodówce.
- Mogłabyś mnie dobudzić. - Wychylił się gwałtownie i chwycił ją za rękę.
- Nie. Wyśpij się za wszystkie czasy, a teraz przestań mnie rozpraszać i zniechęcać do pracy.
- Chciałbym cię porozpraszać... jeszcze kilka godzin. Potem się wyśpimy.
- Dam ci szansę, ale później.
- Moglibyśmy zjeść razem kolację.
- Moglibyśmy. - Czują, że jeśli nie wyrwie się natychmiast, będzie musiała zadzwonić do Mindy i usprawiedliwić się z okazji Dnia Miłości.
- No to może wyskoczę po południu i przywiozę coś dobrego.
- No to wyskocz.
- Wpół do ósmej?
- Dobrze. Wypuścisz Pana do ogrodu?
- Jasne. Morgano... jeszcze jedno. - Pocałował wewnątrz jej dłoni.
- Nash, naprawdę nie mogę...
- Nie bój się, nie będę cię już zatrzymywał. Idź sobie do tej pracy, tylko pamiętaj, że głód wzmacnia apetyt. W nocy, zanim poszedłem cię szukać, zostawiłem coś na tarasie. Mam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby to przeczytać.
- Scenariusz? Skończyłeś?
- Pewnie poprawię jakieś drobiazgi, zobaczymy. Ciekaw jestem twojej opinii.
- Cześć. Możesz na mnie liczyć. Będę brutalnie szczerą.
- Do wieczora.

Korzystając z samotności i ciszy - Pan zasnął. Luna pojechała z Morgana - Nash rozglądał się po sypialni. Podobnie jak w całym domu oraz w sklepie, w wystroju tego wnętrza było coś teatralnego. W najlepszym znaczeniu tego słowa - jeśli założyć, że teatr to także magia... Wszystkie tkaniny, obicia, szczegóły dekoracyjne miały kolory kamieni szlachetnych. Turkusowe tapety, szmaragdowa narzuta, zasłony w dwóch odcieniach rubinu. Jedwabne poduszki na kanapie wyglądały jak ogromne granaty, ametysty i bursztyny.

Podszedł na palcach do toaletki. Wyobraził sobie Morganę, jak siada wieczorem przed lustrem, rozczesuje swe długie włosy szczotką inkrustowaną srebrem... Potem opuszkami palców wklepuje w policzki krem.

Nie mógł się temu oprzeć. Sięgnął po jeden z kolorowych słoików, podniósł kryształowe wieczko i z zamkniętymi oczami wciągnął głęboko powietrze. Potęga kobiecych czarów... Widział ją wyraźnie. Miał wrażenie, że jeśli wyciągnie rękę, dotknie jej włosów.

Przykrył słoiczek i odstawił go na miejsce. Cholera, nie ma zamiaru czekać na nią przez cały dzień. Nie będzie czekać nawet godziny.

Spokojnie, Nash. Spiorunował wzrokiem swoje odbicie w lustrze. Od jej wyjścia minęło dopiero pięć minut. Zachowywał się jak opętany, jak gdyby ktoś rzucił na niego urok. Ta myśl rozbawiła go. Nie, to żadne czary. Wiedział dokładnie, co robi. Był w pełni władz umysłowych, tylko... ten pokój. Wszystko tu do niej należało, wszystko pachniało Morganą.

Jeżeli nawet myślał o niej obsesyjnie, cóż w tym dziwnego. Morgana Donovan nie jest zwykłą kobietą. Po tym wszystkim, co widział, co usłyszał od niej samej... Sprawiała, że cały jego poukładany świat przewrócił się do góry nogami. I tak dobrze, że jeszcze nie zwariował.

Była najcudowniejszą kochanką. Miała poczucie humoru. Była piękna i mądra. Czy nie powinien się przypadkiem uszczyptać w rękę?

Dzięki niej napisał ten scenariusz. Im dłużej o nim myślał, tym bardziej był przekonany, że to najlepsza historia, jaką wymyślił w życiu.

A jeśli Morgana będzie innego zdania? Jeżeli powie, że to nic nie warte... Ogarnęła go panika. Czarna rozpacz. Po co dał jej nie poprawiony tekst?! Sam sobie będzie winien. Ale co się z nimi stanie, jeśli...

Do diabła! Będzie miał o czym myśleć przez kilka godzin.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dopiero po południu - kiedy fala klientów opadła, ucichły telefony, nadeszły wszystkie spodziewane przesyłki - mogła sobie pozwolić na filiżankę herbaty i chwilę samotności. Mindy czekała niecierpliwie na dwóch kolegów studentów, więc Morgana, ze spokojnym sumieniem, że nie będzie jej w niczym pomocna, wymknęła się na zaplecze i zatopiła w lekturze.

Herbata ostygła nietknięta. Kiedy z wypiekami na twarzy przeczytała ostatnią stronę, wróciła na pierwszą... i zaczęła czytać od początku. Genialne, myślała wzruszona. Opanowało ją nieznanne dotąd uczucie: była dumna, że człowiek, którego kocha, potrafił stworzyć coś równie dobrego. W kilka dni!

Wiedziała, że Nash ma talent - wszystkie jego filmy oglądała z przyjemnością - ale po raz pierwszy czytała prawdziwy scenariusz. Spodziewała się czegoś zupełnie innego: szkicu akcji, ogromnej ilości wskazówek: dla reżysera, aktorów, techników.. Wszystkiego się spodziewała, ale nie skończonego dzieła, które tętniłoby własnym, magicznym życiem. Pochłaniając kolejne zdania i strony, nie widziała słów na papierze. Miała przed oczami żywe obrazy, czuła opisywane zapachy, słyszała dźwięki.

Intuicja jej podpowiadała, że jeśli reżyser zrozumie ten scenariusz, jeśli aktorzy i operator dadzą z siebie wszystko - powstanie film, który przerośnie Wszelkie oczekiwania Nasha Kirklanda.

Odłożyła ostatnią kartkę. Swoją drogą - uśmiechnęła się do własnych myśli - intuicja, na którą często się powołuje, najwyraźniej zaczyna szwankować... Za nic nie spodziewałaby się po człowieku, którego uważała za czarującego zarozumialca, tak głębokiej literatury. A w nocy? Spodziewała się po jego temperamencie gwałtownej namiętności, niepohamowania, raczej krótkiej wiosennej burzy niż takiej czułości.

Ile jeszcze razy Nash Kirkland wprawi ją w kompletne osłupienie?

Nash w tym czasie przygotowywał kolejną niespodziankę. Pomysł zaświtał mu rano, a Nash nigdy nie marnował dobrych pomysłów.

Wahał się przez moment, czy może wyjść do miasta, nie zamykając na klucz kuchennych drzwi, ale reputacja Morgany, a do tego groźnie ujadający wilczur... Rozgrzeszył się natychmiast.

Kwiaty - które tym razem kupił - ledwie zmieściły się w trzech wazonach. Układał je dobrą godzinę, efekt plastyczny może nie był zachwycający, ale pachniały pięknie. „Poza tym liczą się intencje...”

Spojrzał nerwowo na zegarek. Czasu zostało niewiele. Rozpalił w kominku ogień. Znów musiał przyznać, że Morgana zrobiłaby to szybciej i z większym wdziękiem.

Wrócił do stołu, żeby jeszcze raz wszystko sprawdzić. Uff, jak to dobrze, że został scenarzystą, a nie inspicjentem. Nakrycie dla dwóch osób na białym obrusie, srebrne sztuce, kryształowe kieliszki do szampana, różowe serwetki, maleńkie porcelanowe filiżanki. Pięknie!

A niech to! Znów zerknął na zegarek i złapał się za głowę. Muzyka. Jak mógł zapomnieć o muzyce?

I świece. Przejrzał błyskawicznie wszystkie płyty. Wybrał koncert Szopena, trochę na chybił trafił, chociaż sam wolałby Rolling Stonesów. Jeszcze tylko świece. Gdzie ona może je trzymać?

Po dziesięciu minutach cały salon zalany był blaskiem świec w najróżniejszych kolorach i kształtach, pachnących wanilią, jaśminem i drzewem sandałowym.

Ledwie zdążył zachwycić się swoim dziełem, kiedy usłyszał samochód. Rzucił się do drzwi jednocześnie z Panem.

Morgana, rozpromieniona, z kopertą pod pachą i butelką szampana w prawej ręce, zamknęła oczy czekając na pocałunek. Nash przyciągnął ją do siebie, ale zazdrosny Pan użył całej siły swoich mięśni, żeby ich powitanie trwało jak najkrócej.

- Cześć...

- Witaj. - Wręczyła mu butelkę. Wolną ręką, nie zamknawszy nawet drzwi, zaczęła czochrać psią sierść. - Przyjechałeś wcześniej.

- Wiem. - Obejrzał nalepkę szampana. - No, no... Będziemy świętować?

- Bo i jest okazja. Powinnam zacząć od gratulacji, a dopiero potem wręczyć prezent, którym, mam nadzieję, podzielisz się ze mną...

Jej oczy jeszcze nigdy nie błyszczały tak radośnie i ciepło.

- Z rozkoszą. Ale czym sobie zasłużyłem na gratulacje?

- Dobrze wiesz. - Pokazała palcem kopertę. - Tym tekstem.

- Podobał ci się... - Poczuł, jak opada z niego cały strach i napięcie. Chciał ją uściskać, ale czujny Pan nie odstępował pani na centymetr.

- Nie. „Podobał” to nie jest dobre słowo. Zachwycił. Powiem ci dlaczego, ale zdejmę najpierw buty i usiądę.

- Chodźmy do środka. - Podał Morganie rękę. - Jak tam interesy? Zmęczona?

- Dzięki, w interesach jakoś leci, ale chyba poproszę Mindy, żeby znalazła dla mnie trochę więcej czasu. Nie zawsze daję radę sama. Miałyśmy dzisiaj taki... - Zatrzymała się jak wryta w progu salonu.

Wciągnęła w nozdrza powietrze, przesycone aromatem kwiatów i wosku. Spojrzała na kominek, potem na stół...

Nieczęsto zdarzało się Morganie tracić równowagę, a płakać ze wzruszenia jeszcze rzadziej. Teraz łączyła jej gardło.

- Zrobiłeś to dla mnie?

- Skąd! To twoje krasnoludki.

- Uwielbiam krasnoludki. - Pocałowała go w usta, ale natychmiast opuściła głowę.

- A co myślisz o scenarzystach? - Poszturchiwał ją delikatnie brodą, czekając, aż spojrzy mu prosto w oczy.

- Uczę się... Zaczynam ich lubić.

- Całe szczęście. - Chciał ją przytulić, ale zorientował się, że obie ręce ma zajęte. - No to może otworzymy szampana, żeby to uczcić?

- Niezły pomysł. - Z głośnym westchnieniem ulgi zdjęła pantofle i patrzyła, jak Nash wyjmując z lodu schłodzoną już butelkę. Pokazał jej dwie identyczne nalepki.

- Telepatia? - Wstawił do lodu szampana Morgany.

- Możliwe. - Podeszła do niego na palcach. - Nie ma rzeczy niemożliwych, wierzysz mi?

Nash odłożył na bok kopertę ze scenariuszem i otworzył butelkę. Korek cicho wystrzelił. Napełnił kieliszki, jeden podał Morganie, a drugim wzniosł toast.

- Za magię.

- Za magię. - Zaprowadziła go na kanapę. Usiadła na podwiniętych nogach, z głową opartą na ramieniu Nasha. Milczeli chwilę, wpatrzeni w ogień.

- No więc przyznaj się, co robiłeś przez cały dzień - poza tym, że udało ci się znaleźć i obłąskawić krasnoludki?

- Mniejsza o szczegóły. Żeby pokazać ci się od najlepszej strony, gram dzisiaj amanta doskonałego. Nie wiem, kochanie, czy to rozpoznajesz... ale moim niedoścignionym wzorem jest Cary Grant, lata czterdzieste...

Roześmiała się radośnie.

- Uwielbiam wszystkie twoje strony, Nash, ale jeśli chodzi o stronę fizyczną, wolałabym, żebyś został przy Kirklandzie. Grant nie jest w moim typie.

- Dobrze, pozwolę sobie na więcej luzu. - Położył nogi na stoliku do kawy. - A więc, mnóstwo czasu zajęła mi próba ułożenia kwiatów, żeby wyglądały jak na filmie.

- Uhm. Umówmy się, że robienie bukietów nie jest twoją mocną stroną, ale wyglądają pięknie.

- Czyli wysiłek się opłacił. Rano pojechałem do domu wygładzić scenariusz. Myślałem o tobie. Odebrałem telefon od pełnego emocji agenta. Potem znów myślałem o tobie.

- Miałaś wyjątkowo pracowity dzień - powiedziała szczęśliwa. - Czym emocjonował się twój agent?

- Telefonem od producenta, który wydaje się bardzo zainteresowany...

- Twoim scenariuszem.

- Zgadłaś. - Czuł się trochę dziwnie... Nie. Wcale nie dziwnie. Świadomość, że ktoś bliski cieszy się jego sukcesem, była cudowna. - Na razie to luźne rozmowy, pisanie palcem po wodzie - w końcu mają tylko szkic scenariusza - ale ponieważ do tej pory dopisywało mi szczęście, agent podpisuje ze mną umowy w ciemno. Kupuje pomysły na pniu. Muszę jeszcze wszystko przemyśleć, może jeszcze coś zmienię... Za kilka dni dopiero wyślę mu ostateczną wersję.

- To nie szczęście. - Stuknęli się kieliszkami. - Masz czarodziejski dar. Tutaj. - Dotknęła palcem jego skroni. - I tutaj. - Pokazała serce. - Wszędzie tam, skąd bierze się wyobraźnia.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Nash obawiał się nie na żarty, że jeśli usłyszy jeszcze jedno pochlebstwo, zarumieni się jak panienka. Pocałował Morganę w policzek.

- Dzięki - powiedział nienaturalnie niskim głosem. - Wiesz chyba, że bez ciebie nie napisałbym ani jednej linijki.

- Wyobraź sobie - roześmiała się wesoło - że z radością przyznam ci rację. Nawet jeśli w tym wyznaniu jest sporo przesady.

- Nie ma. - Gładził jej warkocz zastanawiając się, czy przeżył w swoim życiu cudowniejszą chwilę. Siedział obok Morgany, w jej wspaniałym czarodziejskim domu, niczego się nie obawiał, niczego nie musiał udawać. Zaczynał rozumieć, czym jest normalne, codzienne szczęście. - Wiesz co, kochanie, skoro już zdecydowałaś się polectać moją próżność, pójdźmy na całość. Powiedz mi, co ci się w tym scenariuszu naprawdę podobało.

- Nie sądzę, żeby twoja próżność potrzebowała jakichkolwiek pieszczot, ale powiem ci.

- Nie spiesz się. To dla mnie bardzo ważne.

- Wszystkie twoje filmy mają nie tylko świetną konstrukcję, ale jakiś sens. Jesteś mistrzem budowania napięcia, ale nawet tam, gdzie leje się krew, gdzie ktoś wrzeszczy przeraźliwie, gdzie ktoś wariuje ze strachu... zawsze chodzi o coś więcej niż przerażenie widza. W tym, co przeczytałam dzisiaj - chociaż nie umiałeś sobie odmówić kilku mocnych scen w twoim stylu, jak ta na cmentarzu albo ta na strychu - poszedłeś o krok dalej. - Morgana zmieniła pozycję, żeby spojrzeć mu w oczy. - To nie jest historyjka o czarnej magii ani o czarownicach, ani o sile dobrych i złych zaklęć. Napisałeś coś bardzo mądrego o ludziach, o najważniejszych ludzkich instynktach. O wierze w cuda, o poleganiu na własnym sercu. Dla mnie to jakby... uświęcenie odmienności. I chociaż każesz swoim bohaterom cierpieć, podejmować trudne decyzje, bać się, przeżywać załamania, to jednak sensem wszystkiego, gdzieś w tle, pozostaje miłość, prawda? A tego wszyscy oczekujemy. Od każdej sztuki.

- Nie przeszkadza ci, że Cassandra odprawia swój czarodziejski rytuał na cmentarzu, że miesza w kotle, mrużąc niezrozumiałe zaklęcia?

- Cóż, przenośnia poetycka - powiedziała ze zmarszczonym czołem. - W końcu nie napisałeś eseju filozoficznego, tylko scenariusz. Trudno mieć pretensje do artysty o twórczą wyobraźnię. Na tym polega twój talent... - Roześmiała się. - Wybaczam ci nawet ten kiczowaty moment, kiedy Cassandra gotowa jest sprzedać duszę diabłu, żeby ocalić Jonathana.

- Cassandra ma dar czynienia dobra. - Nash wysączył z kieliszka wino i wzruszył ramionami. - Ale nie jest anielicą. Historia byłaby mdła, gdyby bohaterka nie otarła się ani razu o piekło. Widzisz, każdy gatunek ma swoje reguły. Istnieją sprawdzone metody budowania napięcia, a ja - nawet jeżeli nie wyjdzie z tego klasyczny horror - nadal uważam, że jeśli kino nie dostarcza widzowi końskiej dawki emocji, to nie jest kinem.

- Walka dobra ze złem? Czy to jest jedna z reguł twojego gatunku?

- Między innymi. Niewinni muszą cierpieć - dodał. - I nie ma walki bez rozlewu krwi.

- Męska rzecz - powiedziała lodowato.

- Niekoniecznie. Bywa, że kobieca. Nie jestem antyfeministą. No i dobro, chociaż nie bez ofiar, musi zwyciężyć.

- Pociuszające.

- Istnieje jeszcze jedna sztuczka. Moja ulubiona. - Opuszkami palców musnął jej szyję. Morgana znieruchomiała, a potem oboje przeszył lekki dreszcz. - Widownia musi się

zastanawiać, od pierwszej do ostatniej sceny, i po wyjściu z kina, czy diabeł, chwilowo pokonany, wymknie się na wolność.

- Diabeł zawsze czyha. Wszyscy o tym wiemy.

- Właśnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Dlatego od czasu do czasu, w nocy, kiedy jest ciemno i śpimy sami, wszyscy boimy się skrzywienia szafy. Wsłuchujemy się w każdy szelest za oknem. Zastanawiamy się, co za diabeł czai się w mroku i czy to nas chce...

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Morgana podskoczyła, Nash wybuchnął śmiechem.

- Pozwolisz, że otworzę?

- Pozwolę - powiedziała wyniośle, poprawiając sukienkę.

Kiedy wyszedł z pokoju, wstrząsnął nią zimny dreszcz. Dobry jest, pomyślała z podziwem i odrobiną zazdrości. No, no. Kto tu kogo powinien straszyć? Nie zdecydowała jeszcze, w jaki sposób się zrewanżuje, kiedy wrócił z wysokim, chudym jak tyczka mężczyzną, niosącym przed sobą olbrzymią tacę. Nieznajomy ubrany był w biały smoking z czerwoną muszką. Z plastikowego identyfikatora przypiętego do kieszeni zdołała odczytać: „Chez Maurice”.

- Proszę postawić to na stole, Maurice.

- George, proszę pana - odparł przybyły smutnym głosem.

- Rozumiem. - Nash mrugnął porozumiewawczo do Morgany. - Rozłóż wszystko na półmiski.

- To zajmie trochę czasu, proszę pana.

- Nie spieszy nam się.

- Mus powinien być schłodzony, proszę pana - powiedział George jeszcze smętniej, jak gdyby lada moment miał się rozpląkać. Nash o mało nie parsknął śmiechem.

- Zaniosę go do lodówki. - Morgana poderwała się z kanapy. Wychodząc z pokoju zdążyła usłyszeć, jak George z ubolewaniem tłumaczy, że cykorię z konieczności (wyjątkowo zabrakło jej w kuchni!) zastąpiono endywią.

- Ten facet naprawdę żyje tym, co robi - tłumaczył jej Nash, kiedy wróciła po dwóch minutach, a George'a już nie było. - Wyobraź sobie, poubolewał jeszcze nad nieuwagą młodych dostarczycieli, którym zdarza się pognieść w drodze faszerowane Pieczarki...

- Barbarzyńcy.

- Dokładnie tak mu powiedziałem. Udobruchał się nieco... Może sprawił to napiwek, nie wiem, w każdym razie George wyszedł w lepszym humorze.

- A więc zobaczymy, czym nas uraczył smutny George... Sałatka z endywii.

- Cykoria...

- Wyszła. Słyszałam. Mmm... Homary.

- A la Maurice.

- Jakżeby inaczej. - Uśmiechnęła się przez ramię do Nasha, który odsunął od stołu jej krzesło. - Mają tam w ogóle jakiegoś Maurice'a?

- George oświecił mnie - z ubolewaniem - i w tej sprawie. Maurice odszedł do lepszego ze światów trzy lata temu. Ale jego duch żyje i sprawuje pieczę nad firmą.

- A więc pokój jego duchowi. - Roześmiała się i zaczęła jeść. - Nieźle to wymyśliłeś.

- Myślałem o kurczaku, ale wyobrażasz sobie Cary Granta zapraszającego ukochaną na kurczaka z frytkami albo pizzę?

- Nie. - Umoczyła kawałek homara w rozpuszczonym maśle. - Urządziłeś to cudownie, Nash. Dziękuję.

- Zawsze do usług. - Naprawdę miał nadzieję, że czeka ich jakieś zawsze. Marzył o wielu podobnych wieczorach, wielu scenach i wielu rolach, które zagra specjalnie dla niej.

Otrząsnął się z zamyślenia. Do diabła, nie pora na podniosłe rozmowy i smętny nastrój. Scenariusz tego nie przewiduje... Dolał szampana do obu kieliszków.

- Morgano?

- Tak?

- Chciałem cię o coś zapytać... Ta sprawa nie daje mi spokoju. Czy siostrzenica pani Littleton pójdzie na zabawę?

- Mój Boże... - Zamrugła powiekami zdziwiona, a potem odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. - Nash, jesteś strasznie romantyczny!

- Nie. Po prostu... ciekawy. - Nie wytrzymał jej przeszywającego wzroku. - Lubię szczęśliwe zakończenia, jak wszyscy. A więc zdobyła swojego chłopca?

- Coś mi się zdaje - Morgana sięgnęła po następny kawałek homara - że Jessie zdobyła się na odwagę i spytała Matthew, czy nie poszedłby z nią na tę zabawę.

- Słusznie. I co?

- Mam wiadomości z drugiej ręki, które mogą być niedokładne albo naciągane.

- Posłuchaj, kochanie... - Pochylił się nad stołem i dał jej delikatnego prztyczka w nos.

- To ja jestem pisarzem. Nie sil się na dramatyczne efekty, tylko opowiedz, co wiesz. No, nie daj się prosić.

- A więc podobno Matthew, ale nie ręczę za tę Informację...

- Uduszę cię, jeśli nie przestaniesz.

- ...zarumienił się, poprawił na nosie swoje okulary młodego intelektualisty... no, dobrze już, dobrze... i wyjął, że owszem, dlaczego by nie.

- Za Jessie i Matthew! - Podniósł kieliszek.

- Za pierwszą miłość. Tę najśladszą.

Pomyślał, że niewiele ma na ten temat do powiedzenia, ponieważ, na szczęście, udało mu się unikać doświadczenia wielu miłości, które mógłby teraz Porównywać. Pod względem smaku... i pod każdym innym względem.

- Co się stało z twoją szkolną miłością?

- Skąd wiesz, że miałam jakąś szkolną miłość?

- A zdarza się, że ktoś nie ma? Wypada się do tego przyznać?

- Rzeczywiście, był taki jeden. Miał na imię Joe i grał w drużynie koszykarskiej.

- Sportowiec.

- Bez przesady. Nie był gwiazdą. Ale na pewno był wysoki! W tamtych czasach wzrost miał dla mnie zasadnicze znaczenie, bo na połowę chłopców z mojej szkoły musiałam patrzeć z góry. Zaczęliśmy się umawiać w ostatniej klasie. Joe zabierał mnie na przejażdżki swoim fordem pinto.

- To ten model ze ściętym tyłem?

- Chyba tak.

- Ja muszę wszystko sobie wyobrazić - powiedział z uśmiechem. - Poczekaj, nie przerywaj. Nocny plener. Samochód zaparkowany na jakiejś ciemnej, bocznej drodze. Para zakochanych nastolatków całująca się rozpaczliwie przy akompaniamencie... powiedzmy „A Summer Place”.

- Raczej „Hotelu California” - poprawiła go bez zmrużenia oka.

- Dobrze. Cichnie ostatni gitarowy akord...

- .. i to by było na tyle. Koniec filmu. Joe wyjechał po wakacjach do Berkeley, ja do Radcliffe. Słuszny wzrost niewiele mógł zdziałać na odległość pięciu tysięcy kilometrów.

- Kobieto, puchu marny... - Nash zadumał się nad losem wszystkich mężczyzn.

- Joe pozbiarał się błyskawicznie. Ożenił się ze studentką ekonomii i przeprowadził do St. Louis. Jak wynika z ostatnich towarzyskich doniesień, spłodzili już trzy piąte własnej drużyny koszykarskiej.

- Przywoity facet z tego Joe...

- A ty? - Sięgnęła po butelkę i napełniła kieliszki.

- Nigdy nie przepadałem za piłką.

- Rozmawiamy o szkolnych miłościach.

- Och. - Odchylił się z krzesłem do tyłu, zerkając na Morganę spod przymrużonych powiek. Światło świecy tańczyło w jej wesołych oczach, pełzało po kryształowej powierzchni kieliszka. Uśmiechnęła się zachęcająco. - Miała na imię Vicki. Dyrygowała wiwatami na szkolnych meczach.

- I co?

- Łaziłem za nią jak cień przez dwa miesiące, zanim otworzyłem usta. Byłem bardzo nieśmiały.

- Słucham? Co jeszcze nieprawdopodobnego wymyślisz?

- Nie wierzysz mi? Niestety, to prawda. Przeniosłem się do jej szkoły w połowie pierwszego roku. Klasa zdążyła się już podzielić na zamknięte grupki i kliki - tak szczelne, że mysz by się nie prześliznęła. O wkupieniu się w ich łaski mogłem tylko marzyć. Znow byłam „nowym”, miałem mnóstwo czasu na przyglądanie się z boku, i jak zwykle zdałem się na własną wyobraźnię.

- Więc przyglądałeś się Vicki.

- Nie zajmowałem się niczym innym. Wlepiałem w nią ślepią bez przerwy. Pierwszy mecz, pierwsze owacyjne okrzyki, i zakochałem się na amen. Mam wrażenie, że to się działo wieki temu. - Spojrzał na Morganę przenikliwym wzrokiem. - Należałaś kiedyś do takiej wiwatującej żeńskiej drużyny?

- Nie. Przykro mi.

- Szkoda. Jeszcze dzisiaj dostaję palpacji serca, kiedy słyszę ich okrzyki. I nigdy nie śledzę samego meczu, tylko podskakujące panienki. A wracając do Vicki, nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało, ale zdobyłem się w końcu na bohaterstwo i zaprosiłem ją do kina. To było „Trzynastego w piątek”. Tytuł filmu, a nie data. W czasie najmocniejszej sceny pozwoliłem sobie na poufałość. Vicki nie zaprotestowała i do końca roku szkolnego uchodziliśmy za parę. W czasie wakacji znalazła na moje miejsce pewnego wytatuowanego kretyna, ale za to z motocyklem.

- Podła.

- Cóż... - Ze stoicką miną wzruszył ramionami. - Podobno uciekła z nim do El Paso. Zamieszkali na kempingu w przyczepie i dostali od losu dokładnie to, na co zasłużyli.

- Myślę, że pogodziłeś się ze stratą i dość szybko o niej zapomniałeś.

- Częściowo. - Nash nie miał ochoty rozmawiać o przeszłości. Z nikim. Wstał od stołu, żeby zmienić płytę, a potem natychmiast zmienić temat. Nie pytając Morgany o zdanie, wybrał nastrojowego Gershwin. Podeszedł do niej z łagodnym uśmiechem, ujął za łokcie i podniósł. - Chodź - szepnął. - Chcę cię objąć.

Przyłgnęła do niego bez słowa. Najpierw kołysali się lekko, w rytm sennej, kojącej melodii. Nagle dźwięki urosły - radośnie i niespodziewanie - porywając ich do tańca. Zaczęli płynąć. Przemierzali pokój długimi, posuwistymi krokami, patrząc sobie w oczy.

Pierwszy pocałunek był tylko czułym dotykiem warg. Obietnicą. Kuszącą przepowiednią, że spełni się wszystko, czego zapragną.

Kiedy zatrzymali się w pół kroku, Nash przygarnął Morgane jeszcze mocniej. Przez kilka sekund hipnotyzował ją wzrokiem. Pulsujące milczenie wydawało się nie mieć końca, kiedy tak stali półprzytomni, witając nową falę dręczącego podniecenia. Jej wargi rozchyliły się jak płatki róży.

Całowali się nieporadnie i ślepo. Nash przyciskał ją do siebie, jakby chcąc odbić wymarzone kształty na własnej skórze. Morgana błądziła palcami po jego plecach, dygotała rozpalona, wyobrażając sobie, że stopili się w jedno ciało.

Patrzył na nią w zachwycie. Podniecony jej gotowością, dreszczem, który przeszył jej ciało i cichym jękiem, którego nie umiała stłumić. Nie wypuszczając jej z objęć, zsunął wstążkę z grubego warkocza. Palcami zaczął przeczesać długie, splątane pasemka. Musiała przechylić głowę do tyłu. Ten pocałunek smakował jak niebezpieczeństwo. Jak czysta rozkosz. I jak desperacja.

Namiętność przybiera różne formy. Dzisiejszej nocy, Morgana wiedziała o tym na pewno, ich namiętność miała wybuchnąć wielkim płomieniem.

Nigdy nie sądziła, że jest zdolna stracić dla kogoś głowę. Oszaleć na czyimś punkcie? Nie ona. A jednak myliła się. Kiedy Nash niósł ją na rękach do sypialni, nie odróżniała serca od rozumu. Była gotowa. Spragniona do bólu jego miłości i jego ciała.

Nie zatrzymał się w progu sypialni, nawet wtedy, gdy zauważył, że Morgana „przeniosła” do niej świecę i muzykę. Przy akompaniamencie narastających radośnie dźwięków opadli na łóżko.

Niecierpliwe ręce, głodne usta, gorączkowe słowa. Nash wiedział od początku, że będzie nienasycony. Wiedział, że ona z nim jest - rozpalona, gotowa wiele żądać i spełnić każde jego pragnienie - ale on popychał ją w tej gorączce coraz dalej, pędząc na oślep, budząc jej ciało raz po raz do przeżywania i dawania rozkoszy. Wypijał z niej wszystkie soki, żądał coraz więcej. I nie było rzeczy, której by mu odmówiła.

Dużo później - choć nie wiedział, czy minęła godzina, czy kilka godzin - Nash opadł na plecy i zaczął odzyskiwać świadomość. Z trudem łapiąc powietrze, usłyszał jeszcze cięższy oddech Morgany. Otworzył oczy. Leżała na brzuchu, z rozkrzyżowanymi bezwładnie

rękami. Pomyślał przerażony, że to, co się między nimi wydarzyło, było czystym szaleństwem... ale niekoniecznie powodem do dumy.

Zagalopował się... delikatnie mówiąc. Napadł na nią jak dzikus. Zdzierał z niej ubranie, jak gdyby przez rok nie widział kobiety. I skłamałby mówiąc, że czegokolwiek żałuje... To była najcudowniejsza noc w jego życiu, ale nie miał pewności, czy Morgana jest równie zachwycona. Wyglądała na nieprzytomną. Może czuje się zakłopotana? Może nie wie, co powiedzieć...

Położył rękę na jej ramieniu. Morgana wzdrygnęła się, więc natychmiast ją cofnął.

- Kochanie... Dobrze się czujesz?

Z jej ust wydobył się cichy, nieokreślony dźwięk, coś między kwileniem a jękiem. Ogarnęła go panika. Czyżby płakała? Nieźle, Nash, pomyślał z furją. Zdaje się, że tym razem naprawdę przesadziłeś. Odezwał się jeszcze raz. Ani drgnęła. Potem zaczął głaskać jej włosy.

- Morgano, kochanie. Przepraszam, jeżeli... Właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Morgana sennym ruchem odwróciła głowę, zsunęła włosy z policzka i z wyraźnym trudem otworzyła oczy.

- Mówiłeś coś?

- Chciałem cię po prostu... Wszystko w porządku?

- W porządku? - Westchnęła przeciągle, jakby nie w pełni rozumiała sens jego słów. - Nie wiem, nie sędzę. Powtórz pytanie, kiedy odzyskam siły. - Wysunęła rękę spod skłębionych prześcieradeł i zacisnęła palce na dłoni Nasha.

- A ty?

- Co ja?

- Dobrze się czujesz?

- To nie mnie napastował nieokrzesany dzikus.

- Nie? - Leniwy uśmiech przemknął po jej twarzy. - Myślałam, że ja też nieźle wypadłam w roli dzikuski. Daj mi godzinę, to jeszcze zobaczymy, kto jest bardziej nieokrzesany.

- Naprawdę nie masz mi za złe, że...

- Wyglądam na rozczarowaną?

Zastanowił się. Morgana wyglądała jak kotka, która zjadła miskę śmietany, a teraz leży ukontentowana, nie mogąc się ruszyć. Uśmiechnął się bezwiednie.

- Nie... Raczej nie.

- Bo ty wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie...

- Tak? - mruknął z satysfakcją w głosie. Zaśmiał się triumfująco i przewrócił ją na plecy. - A ty?

Nie odpowiedziała od razu. Odrzuciła prześcieradło i uklękła nad nim. Patrzyła w milczeniu, jak pożera ją tym swoim diabelskim, roziskrzonym wzrokiem.

- Wiesz co, Nash?

- Nie wiem... - Wyciągnął do niej obie ręce.

- Zaraz przestaniesz się głupio uśmiechać. Odwołuję tę godzinę i wyzywam cię na pojedynek. Natychmiast.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nash miał wiele powodów, żeby uważać życie za genialny wynalazek. Zajmując się tylko tym, co sprawiało mu przyjemność i satysfakcję, zarabiał na luksusowe życie. Powodziło mu się coraz lepiej, miał nowy dom, odnosił sukces za sukcesem... Dziecko szczęścia. A jednak najgoręcej dziękował losowi za związek z Morganą. Fascynującą kobietą, która okazała się również mądrą, niezawodną przyjaciółką. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie podobnego cudu.

Nie był do końca przekonany, czy powiedzenie, że człowiek uczy się na własnych błędach, jest rzeczą sprawdzoną, czy tylko pobożnym życzeniem. Ale sam - na własnej skórze - doświadczył jednego: że budzenie się w jednym łóżku z najwspanialszą nawet kochanką, z którą nie ma o czym rozmawiać przy śniadaniu, rodzi niedobre uczucia. Czasami tylko niedosyt, a czasami o wiele gorzej...

Z Morganą potrafił się śmiać, rozmawiać o głupstwach i o sprawach ostatecznych, milczeć, kłócić się na każdy temat, a potem iść do łóżka - z uczuciem bliskości, jakiego nie dzielił z żadną inną kobietą.

Z uczuciem, w jakie do tej pory po prostu nie wierzył.

Zdarzało mu się nawet zapominać, że Morgana nie jest zwykłą kobietą.

Skończywszy serię pompek, do których zmuszał się trzy razy w tygodniu, zaczął rozpamiętywać ich ostatnie, wspólnie spędzone dni.

Wybrali się na długą przejażdżkę do Big Sur. Kompletne szaleństwo! Zachowywali się jak prawdziwi turyści: zwiedzali, co tylko się dało, podziwiali nadmorskie widoki, wschody i zachody słońca. Ona bez przerwy robiła zdjęcia, on nie rozstawał się z kamerą.

Chwilami czuł się trochę głupio, ale był szczęśliwy jak dziecko. Któregoś dnia - kiedy Morgana na niego nie patrzyła - podniósł z plaży kilka kamyczków i wsunął je ukradkiem do kieszeni. Na pamiątkę.

Włókł się za nią wierny jak cień, kiedy w jedno popołudnie zwiedziła wszystkie sklepy w Carmelu. Z każdego wychodziła uśmiechnięta, z naręczem paczek, które przrzuciała w jego ramiona.

Lunch na ukwieconym tarasie kawiarni. Pikniki na plaży o zachodzie słońca. Spleceni ramionami czekali, aż czerwona ognista kula utonie w morzu, potem całowali się do utraty tchu i biegiem wracali do hotelu.

Beztrouski śmiech, czułe spojrzenia w zatłoczonych miejscach.

Gdyby spojrzeć na to z boku... Zalecali się do siebie jak para narzeczonych. Nie, przekonywał się Nash w duchu, Boże broń. Spędzili ze sobą cudowne chwile, odpoczywali, kochali się, ale zaloty i narzeczeństwo? Nie. Ich zasadniczą wadą jest to, że prowadzą nieuchronnie do małżeństwa.

A małżeństwo - zdecydował o tym wiele lat temu - było doświadczeniem życiowym, bez którego postanowił się obyć. Wszystko, tylko nie to...

Wstał z podłogi, żeby rozluźnić mięśnie. Przez głowę przemknęła mu niespokojna, dręcząca myśl. Czy zrobił jakiś fałszywy krok? Czy dał jej nieopatrznie do zrozumienia, że ich przyjaźń, ich związek, ich cudowna przygoda, prowadzi do... jakiejś zalegalizowanej stabilizacji? Kiedy poznał DeeDee, od razu postawił sprawę jasno. Pozbawił ją złudzeń, ale ona i tak wierzyła, że przekona go do małżeństwa.

Z Morganą w ogóle nie rozmawiał o przyszłości. Jakoś nie przyszło mu do głowy...

A może przyszło, tylko nie chciał jej sprawiać przykrości. Może bał się. Morgana zbyt wiele dla niego znaczy. Od pierwszej chwili. Morgana jest...

Spokojnie, Nash. Morgana jest ważna. Zależy ci na niej. Ale przecież nie zaczniesz myśleć o miłości. Miłość także grozi małżeństwem.

Kropelki potu spływały mu po czole, mimo że dawno przestał ćwiczyć. W porządku, krzyczał do siebie w myślach, bardzo ci na niej zależy. Może nawet nigdy na nikim nie zależało ci bardziej. Ale opanuj się. Daleka droga do obrączek, miodowego miesiąca i cichej przystani dla dwojga.

Ukrył twarz w dłoniach. Dlaczego wciąż o niej myśli? Żadna inna kobieta nie trzymała go w takim napięciu. W dzień i w nocy. Kiedy zaczynał coś robić, zastanawiał się, gdzie jest teraz Morgana, czym się zajmuje, co by powiedziała... Doszło do tego, że nie potrafił sam zasnąć. Budził się rozczarowany, jeśli ona wstała wcześniej. Obłąd...

Sięgnął po ręcznik, żeby wytrzeć pot z twarzy. Jak do tego doszło? Czy zlekceważył jakieś znaki ostrzegawcze? Powinien czmychnąć gdzie pieprz rośnie, zanim choroba stanie się nieuleczalna. Dlaczego jego anioł stróż nie podszeptał tym razem ani słówka?

Zamiast wycofać się w porę, brnął dalej, tragicznie zaślepiiony.

Na szczęście zorientował się w ostatniej chwili, że stoi nad przepaścią. Stop! Żadnych samobójczych kroków. Cisnął w kąt ręcznik i nabrał głęboko powietrza. Trudno, jedno doświadczenie więcej na koncie, zdecydował. Choroba o gwałtownym przebiegu, ale rozejdzie się po kościach.

Wszedł pod prysznic. Zaczął przekonywać się gorliwie, jak każdy nałogowiec w chwili względnej trzeźwości, że panuje nad sytuacją.

Spokojnie, Nash, jesteś wolnym człowiekiem. Wycofasz się, kiedy tylko zechcesz.

A Morgana? Jeżeli i ona wpadła po uszy? Czego się po nim spodziewa? Może wyobraża sobie stateczne życie u jego boku, wspólne monogramy na ręcznikach i - obowiązkowo! - co tydzień strzyżone trawniki.

Skrzywił się ironicznie. I kto tu się zarzekał, że nie jest antifeministą. Zamiast dziękować opatrności za wszystko, co ich spotkało, on się obawia, czy Morgana - przypadkiem - nie myśli o ślubie. Tylko dlatego, że jest kobietą. Śmiechu warte. Morgana ma jeszcze mniej powodów, żeby przeć na oślep do małżeństwa z takim jak on facetem.

Tkwił pod prysznicem, mimo że woda już dawno splukała szampon z jego włosów. Poniosła go Wyobraźnia.

Scena we wnętrzu. Późne popołudnie. W pokoju zatrzęsienie zabawek, zmiętych ubrań w plastikowych koszach, brudnych talerzy. Na środku kojec, w którym podskakuje i wrzeszczy dziecko. Nasz bohater otwiera drzwi. Z czarną wypchaną teczką w rękę, w ciemnym garniturze i zaciśniętym pod samą szyją krawacie. Miękkie pantofle. Zmęczenie na poszarzałej twarzy. Jest przeciętnym mężczyzną w średnim wieku, który przez cały dzień pracował, walczył z szefem i podwładnymi, a teraz wrócił w domowe pielesze.

- Kochanie! - Stara się, żeby jego głos brzmiał radośnie. - Jestem w domu.

Dziecko płacze i krzyczy coraz głośniejsze, próbuje wyrwać szczeble ze swojej drewnianej klatki. Nasz bohater, zrezygnowany, kładzie na krześle teczkę i bierze malca na ręce. Przemoczona pielucha plami mu ubranie.

- Znowu się spóźniłeś - burczy żona pod nosem. Włosy w nieładzie, przypominają stóg siana. Zacięta twarz, wyblakły szlafrok, przydeptane kapcie. Zakłada ręce na biodrach i zaczyna recytować listę wszystkich jego wad, a potem oświadcza jednym tchem, że brudne naczynia zalegają kuchnię, odkurzacz zepsuty, zlew przecieka, a ona znów jest w ciąży i ma tego wszystkiego dosyć. Po dziurki w nosie!

Nash odsuwa od siebie koszmarny obraz, pojawia się inna scena.

Wraca do domu spacerem, wciągając w nozdrza rozgrzane powietrze przesycone zapachem kwiatów i morza. Uśmiecha się, bo wszystko w jego życiu układa się dokładnie tak, jak sobie wymarzył. Kupuje bukiet tulipanów. Otwierają się drzwi, w których stoi ona. Ciemne włosy związane w koński ogon, usta rozchylone uśmiechem. Trzyma na biodrze kilkumiesięczne, czarnowłose dziecko, które grucha radośnie i wyciąga do niego rączki. Przytula je, a potem całuje żonę. Z zamkniętymi oczami wdycha delikatny zapach jej perfum.

- Tęskniliśmy za tobą.

Nash otrząsnął się i gwałtownym ruchem zakręcił prysznic.

Coraz gorzej, pomyślał. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że drugi obraz był wytworem czystej fantazji, najbardziej nieprawdopodobną sceną, jaką wymyślił do tej pory. Więc może nie jest aż tak źle. Odróżnia rzeczywistość od wyobraźni, czyli jeszcze nie do końca zwariował.

Morgana wcisnęła gaz, a potem wjechała w długi zakręt. Dobrze jest tak pędzić... Wysadzana drzewami drogą, z rozwianymi włosami... Roześmiała się na głos. Nie w tym rzecz. Cudownie jest jechać na spotkanie z kimś, do kogo się tęskni, kto odmienił nasze życie.

Wcześniej też nie narzekała na los. Jej świat dalej by się kręcił, nawet gdyby nie poznała Nasha. Ale poznali się - i już nic nigdy nie będzie jak dawniej.

Zastanawiała się, czy Nash zdaje sobie sprawę... Czy domyśla się, jakie znaczenie ma dla niej fakt, że zaakceptował jej odmiennosc. Szczerze w to wątpiła. Swoją drogą, Nash, który z natury był prześmiewcą, w każdej sytuacji potrafił doszukać się żartu i każdą oglądał w jakimś krzywym zwierciadle. Wyobraziła sobie nagle, że potraktował jej... zdolności jako kpinę z osiągnięć nauki. I może ma w tym trochę racji.

Najważniejsze, że wiedział. Przyjął to do wiadomości i koniec. Nigdy nie patrzył na nią podejrzliwie, jakby spodziewał się, że wyrosnie jej druga głowa albo rogi. Widział w niej po prostu kobietę.

Łatwo było zakochać się w Nashu. Łatwo było go kochać. Morgana nigdy nie uważała się za romantyczkę, a teraz, nagle, zaczęła rozumieć wiersze o miłości... To prawda, myślała, że kiedy człowiek jest zakochany, zwykłe powietrze wydaje mu się bardziej odurzające, kwiaty pachną intensywniej, świat staje się bajecznie kolorowy.

Nagle, dla kaprysu, wyczarowała w dłoni różę. Uśmiechając się, wciągnęła w nozdrza delikatny zapach młodego, zwiniętego jeszcze pączka. Jej życie przypominało taką różę: tajemniczy kwiat, który dopiero rozkwitnie.

Z natury rozsądna, czuła się trochę głupio - ze swoją lekkomyślnością, sentymentalnym myśleniem. Tłumaczyła sobie jednak, że to jej własne myśli, własne uczucia, których nie powinna się wstydzić. Żywiła nadzieję, że kiedyś, prędzej lub później, Nash będzie czuł tak samo.

Minęła bramę z uśmiechem na ustach. Miała dla Nasha kilka niespodzianek, począwszy od planów na sobotni wieczór. Kiedy sięgnęła po torbę, zdenerwowany Pan położył głowę na jej ramieniu.

- Spokojnie - przemówiła do niego czułym głosem. - Wytrzymaj jeszcze chwilę. Zaraz wyjdiesz i wszystko obejrzysz. Luna cię oprowadzi.

Luna, która leżała dotąd bez ruchu na przednim siedzeniu, niechętnie podniosła głowę. Błysnęła źrenicami wąskimi jak szparki.

- Jeżeli zaczniecie wariować, odwiozę was do domu. Mówię poważnie: do poniedziałku jesteście skazani wyłącznie na własne towarzystwo.

Kiedy wysiadła z samochodu, poczuła się zamroczona. Jakby ciemna kurtyna spadła tuż przed jej oczami i zasłoniła widok. Serce zaczęło jej kołatać. Stała nieruchomo, z ręką zaciśniętą na klamce, z twarzą odwróconą do wiatru. Wytężyła słuch. Dlaczego ucichło morze? Powietrze zgęstniało, zrobiło się matowoszare. Ten dziwny stan nie miał nic wspólnego z omdleniem, zawrotami głowy... Miała wrażenie, że nagle, nie wiadomo dlaczego, zgasło słońce. Jak gdyby, nie spodziewając się niczego, wkroczyła w ponury, pełen tajemnic mrok. Siłą całej swojej woli próbowała przeniknąć mgłę. Na próżno. Zobaczyła tylko migotliwe, drwiące z jej wysiłków przebłyski.

Nagle wszystko minęło. Słońce oślepiło ją pełnym blaskiem, usłyszała fale uderzające o skały.

Morgana nie miała daru jasnowidzenia jak Sebastian, ani takich zdolności koncentracji i wczuwania się jak Anastazja - ale zrozumiała.

Wiele miało się zmienić. I to już wkrótce. Rozumiała też, że owe zmiany niekoniecznie będą radosne. Mogą oznaczać bolesne rozczarowanie.

Odepchnęła od siebie złe myśli. Idąc w stronę domu tłumaczyła sobie, że przecież każdy dzień przynosi zmiany. Zapominają o tym ludzie, którzy żyją teraźniejszością, chwilą krótkiego szczęścia. Jej teraźniejszość miała na imię Nash, dlatego gotowa była o nią walczyć. Zatrzymać, jak długo się da.

Nash otworzył drzwi, kiedy postawiła stopę na schodach.

- Cześć, kochanie. - Uśmiechnął się i włożył ręce do kieszeni.

- Cześć. - Przełożyła wszystkie torby do jednej ręki, a drugą zarzuciła mu na szyję. - Pocałuj mnie, to powiem ci, jak się czuję.

- Wiem, jak się czujesz. - Objął dłońmi jej talię. - Fantastycznie. Czy można się czuć inaczej w sobotnie popołudnie, takie jak dzisiaj?

- Brawo. Coraz częściej zdarza ci się mieć rację. - Roześmiała się pełnym głosem, uspokojona, gotowa zdać się na uczucia i puścić w niepamięć zdarzenie sprzed kilku minut. Wręczyła mu różę.

- Dla mnie? - Nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować mężczyzna, który dostaje kwiat od kobiety.

- Tylko dla ciebie. - Pocałowała go w usta. - Co robimy? Nash, czy chciałbyś cały, całutki sobotni wieczór... - zniżyła głos do szeptu - spędzić w sposób... banalny? Dekadencki?

- Kiedy zaczynamy? - Jęknął boleśnie, kiedy Morgana wargami dotknęła jego ucha.

- Cóż... - Otarła się o Nasha jak kotka, patrząc mu prosto w oczy. - Po co tracić czas?

- Boże, uwielbiam agresywne kobiety.

- Dobrze się składa, bo... mam pewien pomysł, kochanie. - Delikatnie chwyciła zębami jego wargę i czekała na reakcję. - Ale to by nam zajęło dużo czasu. Nie spieszysz się gdzieś?

Nash nie mógł złapać tchu. Pomyślał nagle, że przy Morganie nigdy nie będzie oddychać normalnie. Milczał przez chwilę, patrząc na nią rozpalonym wzrokiem.

- Zaczniemy na progu, czy zamkniemy najpierw drzwi?

Pan przemknął między ich nogami, zupełnie straciwszy nadzieję, że poświęcą mu chociaż trochę uwagi. Morgana przyłgnęła do Nasha całym ciałem, delikatnie popychając go do środka.

- Chodźmy. Tego, co mam na myśli, nie możemy robić na dworze.

- Pewnie wiesz, co mówisz...

Wniósł ją na rękach do salonu na górze. Po pierwszym szalonym pocałunku, kiedy zaczął rozpinąć guziki bluzki, Morgana wysliznęła się z jego objęć.

- Kochanie...

Pokręciła tylko głową i zniknęła w sypialni. Nash pobiegł za nią.

- Wymyśliłam dla ciebie frajdę, Nash. Mam nadzieję... - Wyjęła z torby czarną, jedwabną koszulę i rzuciła ją niedbale na łóżko.

Wyobraził sobie w niej Morganę. Wyobraził sobie, że zdejmuje z jej ramion cieniutkie ramiączka. Zacisnął drżące palce.

- Zatrzymałam się po drodze - powiedziała, wyjmując z torby następne pakunki - żeby przywieźć kilka... rzeczy.

- Świetny początek... - Nie odrywając oczu od jej ręki, położył na stoliku różę.

- O, mam coś lepszego. - Wręczyła mu kasetę wideo.

- Filmy dla dorosłych? - spytał z niewyraźnym uśmiechem.

- Przeczytaj tytuł.

Odwrócił kasetę, wyraźnie rozbawiony.

- Co?! - krzyknął, nie wierząc własnym oczom. - „Pełzające oko”? - Szeroki uśmiech rozpromienił jego twarz.

- Może być?

- Czy może być?! Kochanie, przecież to cudo! Klasyka. Nie oglądałem tego od lat.

- Mam więcej takich cudów. - Rozsunęła sznurek skórzanego worka, odwróciła go do góry nogami i całą zawartość wysypała na łóżko.

Spod stosu kosmetyków i damskich drobiazgów Nash wygrzebał jeszcze trzy kasety. Oczy płonęły mu jak dziecku, któremu pozwolono wyjąć spod choinki prezenty. - „Amerykański wilkołak w Londynie”, „Koszmarne noce na Elm Street”, „Drakula”. Pysznie.

- Nash zaniósł się śmiechem. - Boże, co za kobieta. Czy naprawdę masz ochotę przez cały wieczór oglądać horrory?

- Z kilkoma dostatecznie długimi przerwami. Rozebrał ją tak błyskawicznie, że nie zdążyłaby zaprotestować, nawet gdyby zechciała.

- Ja też mam pomysł - szepnął. - Zaczniemy wieczór od uwertury.

- Genialny! - Zawtórowała mu śmiechem. - I jaki oryginalny...

Czy można sobie wyobrazić doskonalszy weekend? Oglądali filmy - z „dostatecznie długimi” przerwami - do bladego świtu. Spali, dokąd mieli ochotę, czyli do południa, potem zjedli śniadanie w łóżku.

Nie wyobrażał sobie także doskonalszej partnerki - do wspólnego weekendu i wspólnego... czegokolwiek. Morgana była nie tylko piękna i nie tylko pociągająca, ale umiała docenić takie filmowe perełki jak „Pełzające oko”.

Nawet się nie skrzywił, kiedy w niedzielne popołudnie zaprzęgała go do pracy w ogrodzie. Sprzątał podwórze, kosił trawę, wrywał chwasty... Nagle wszystkie te czynności nabrały nowego sensu, kiedy zobaczył Morganę klęczącą w trawie, ubraną w jego podkoszulkę i jego dzinsy ściągnięte sznurkiem w pasie.

Zaczął się zastanawiać. Jak by to było... jak by to mogło być, gdyby tak codziennie... Gdyby miał ją tu zawsze. W zasięgu ręki.

Przerwał na chwilę pielenie. Drapiąc za uszami psa, który od wyjścia na dwór nie odstępował go na krok i wciąż domagał się pieszczot, Nash przyglądał się Morganie.

Nuciła coś pod nosem. Nie rozpoznawał melodii, ale brzmiało to egzotycznie. Pewnie jakaś stara pieśń czarownic, pomyślał natychmiast. Przekazywana z pokolenia na pokolenie. Morgana Donovan wydała mu się nagle cudowna. Naprawdę emanowała z niej magia. Nawet gdyby nie odziedziczyła swoich talentów, i tak byłaby cudowna.

Z włosami schowanymi pod czapką, bez śladu makijażu na twarzy i w tych nieszczęsnych wytartych dzinsach - wyglądała równie zmysłowo jak w jedwabnej bieliźnie.

W wyrazie jej twarzy było coś niewinnego, ale nie mającego nic wspólnego z naiwnością. Raczej naturalna pewność siebie, zadowolenie z tego, że jest tym, kim jest. Żadnej pozy, żadnego nadrabiania miną. Żadnych kompleksów.

Jeżeli nawet kiedyś, w głębi duszy, tęsknił za taką kobietą, to i tak nie wierzył w jej istnienie.

Ale w czarownicy też nie wierzył.

Potrafił wyobrazić sobie Morganę - klęczącą w tym samym miejscu - za rok. Za dziesięć lat. Był święcie przekonany, że i wtedy serce biłoby mu równie szybko.

Wielki Boże. Ręka, którą głaskał Pana, znieruchomiała nagle i opadła bezwładnie na ziemię. Zakochał się. On, który bronił się przed... - ze strachu nawet nie wymawiał tego słowa - tym razem naprawdę się zakochał.

Do diabła, co się z tym robi?

I pomyśleć, że nie dalej jak wczoraj opowiadał sobie trzy po trzy, jak to panuje nad sytuacją, trzyma rękę na pulsie... Dyrzymały. Oczywiście, w każdej chwili może się wycofać! Gadanie.

Ogarnął go paniczny strach. Podniósł się na miękkich nogach, rękami uciskając żołądek.

- Coś nie tak? - spytała Morgana.

- Nie, nie... Pójdę do kuchni i przyniosę coś zimnego do picia.

Biegnąc niemal do domu, czuł na plecach jej pytający wzrok. A może ona już wie...

Tchórz. Szczeniak. Idiota. Złorzeczył sobie przez całą drogę. Nalał do szklanki wody z kranu i wypił ją duszkiem. Może to porażenie słoneczne. Brak snu. Nie zaspokojone libido.

Odstawił powoli szklankę. Nie bądź dzieckiem, Nash. To miłość.

Panie i panowie, proszę o uwagę! Oto największy numer programu! Macie przed sobą przeciętnego mężczyznę, który drży jak osika ze strachu. Spójrzcie na jego ręce. Wiecie, czego się boi? Biedaczysko zamienił się w kłębek nerwów z powodu miłości do pięknej, dobrej kobiety.

Obmył twarz zimną wodą. Nie rozumiał, jak to się stało, ale wiedział, że nie ma dokąd uciec. Był dorosłym człowiekiem i w dorosły sposób musiał zmierzyć się z sytuacją.

Może powinien jej powiedzieć. Po prostu.

Morgano, oszalałem na twoim punkcie.

Wypuścił wolno powietrze. Jeszcze raz umył twarz. Błado i nijako.

Morgano, zrozumiałem w końcu, że to, co do ciebie czuję, to więcej niż... fascynacja. Nawet więcej niż zakochanie.

Syknął ze złością. Za dużo słów. Głupie gadanie. Nigdy by czegoś podobnego nie napisał.

Morgano, kocham cię.

Proste. Trafne. I strasznie groźne.

Ale to on się trzęsie ze strachu. Morgana nie wygląda na bojaźliwa. Powinien natychmiast się opanować. Wyprostował ramiona i ruszył do drzwi.

Na dzwonek telefonu stanął jak wryty. Ciarki przeszły mu po plecach.

- Spokojnie, chłopie - mruknął.

- Nash? - Morgana stała na progu kuchni, mierząc go niespokojnym wzrokiem. - Naprawdę dobrze się czujesz?

- Ja? Tak, tak... Wspaniale. - Przeczesał włosy nerwowym ruchem. - A ty?

- Też - powiedziała cicho. - Odbierzesz telefon?

- Telefon? - Rozbieganymi oczami spojrzał na słuchawkę. - Rzeczywiście... Tak, jasne.

- To odbierz. A ja zrobię to picie, jeśli pozwolisz. - Ze zmarszczonym czołem, coraz bardziej zdziwiona, podeszła do lodówki.

Dopiero kiedy dotknął słuchawki, poczuł, że ma zupełnie mokre dłonie. Z nieporadnym uśmiechem wytarł wolną rękę o spodnie.

- Halo. - Nikły uśmiech zamienił się w ponury, okropny grymas. Morgana znieruchomiła - z jedną ręką opartą na butelce lemoniady, drugą na drzwiach lodówki.

Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Stężałe rysy twarzy. Lodowaty wzrok. Metaliczny głos.

Przeszył ją gwałtowny dreszcz. Mężczyzna, któremu się przygląda, może być niebezpieczny. Nie zostało ani śladu po jego uroku, swobodzie, pogodnym nastroju. Tak jak wyimaginowani bohaterowie jego filmów, ten człowiek mógłby z zimną krwią popełnić zbrodnię. W białych rękawiczkach.

Otrząsnęła się, świadoma, że wyobraźnia poniosła ją za daleko. Tak czy owak człowiek, z którym rozmawiał Nash, powinien dziękować losowi, że dzieli ich teraz bezpieczna odległość.

- LEEANNE. - Wycodził to imię z lodowatą pogardą. Stare wspomnienia, stare rany, wszystko ożyło, kiedy usłyszał trajkoczący, charakterystyczny głos. Zaciśnął zęby. Pozwolił jej mówić, dopóki nie odzyskał pewności, że zapanuje nad swoim głosem. - Przejdźmy do rzeczy, LEEANNE. Ile?

Słuchał cierpliwie jej pochlebstw, utyskiwań na życie, pretensji. Pozwolił, żeby przypomniała mu o jego obowiązkach. O poczuciu odpowiedzialności. O jego rodzinie.

- Nie. Nie obchodzi mnie ani trochę. Nie moja wina, że związałaś się z kolejnym nieudacznikiem.

- Uśmiechnął się cierpko. - Tak, jasne. Jak pech, to pech. Ile? - powtórzył zniecierpliwionym tonem, nie mrugnawszy nawet powieką, kiedy usłyszał konkretną sumę. Z westchnieniem otworzył szufladę, w której znalazł pomiętą kartkę i ogryzek ołówka.

- Dokąd je przesłać? - Zapisał coś niedbale. - Tak, zrozumiałem. Jutro. Powiedziałem, że to zrobię, o co ci jeszcze chodzi? Skończmy już, dobrze? Naprawdę nie mam teraz czasu. Oczywiście. Na pewno wiesz, co mówisz.

Kiedy odłożył słuchawkę, z jego ust wydobył się potok przekleństw. Dopiero wtedy zauważył Morgane. Zapomniał o niej na śmierć. Odezwała się pierwsza, ale Nash pokręcił głową.

- Idę na spacer - powiedział szorstko i zniknął za drzwiami.

Morgana postawiła na blacie butelkę. Ktokolwiek to był, pomyślała, udało mu się wyprowadzić Nasha z równowagi. Oprócz złości widziała w jego oczach bolesny, zapiekły żal. Nie wiadomo, co gorsze...

W pierwszym odruchu chciała pobiec za nim od razu, ale szybko się zreflektowała. Człowiek w tym stanie potrzebuje chwili samotności.

Wielkimi krokami szedł przez ogród, który - zaledwie godzinę temu - pielił i porządkował z taką przyjemnością. Teraz o nim nie myślał. Nie zauważył pnących się do słońca kwiatów ani skoszonego trawnika. Zupełnie bezwiednie zmierzał do usypiska skał, które oddzielały jego posiadłość od zatoki.

Nawet w tej chwili, wyprostowany, z rękami w kieszeniach, wyglądał na spokojnego, zadowolonego z siebie człowieka, któremu do szczęścia mogło brakować jedynie gwiazdki z nieba. I coś w tym było... Ale bardzo często, może zbyt często, tracił nad sobą panowanie, ogarniała go pasja, rozsądek ustępował miejsca szaleństwu.

Usiadł na skale, z twarzą odwróconą ku morzu. W takim stanie duszy godzinami mógłby patrzeć na mewy, przyplływające i odpływające fale, na sunące po zatoce żaglówki. I czekać na ukojenie.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Dzięki Bogu - to jedyne słowa, które przychodziły mu do głowy. Dzięki Bogu nie zaczął rozmawiać z Morgana o swoich uczuciach. Wystarczył jeden telefon. Widmo przeszłości, które przypomniało mu, że w jego życiu nie ma miejsca na

miłość. A tak niewiele brakowało. Powiedziałyby, że ją kocha. Może nawet... zaczęłyby snuć jakieś plany.

Wtedy on, swoim zwyczajem, wszystko by zniweczył. Skłonność do niszczenia kolejnych związków musiał odziedziczyć po przodkach.

Otwierał i zamykał dłonie, rytmicznie, na próżno starając się odzyskać spokój. Leeanne... Wybuchnął gorzkim, urywanym śmiechem. Kiedy dostanie pieniądze, zniknie na jakiś czas z jego życia. Tak jak zawsze. Nie będzie go niepokoiła, póki nie wyda całej forsy.

Potem historia się powtórzy. Będzie się powtarzała do końca życia.

- Pięknie tutaj - powiedziała cicho Morgana, stanąwszy za jego plecami.

Nie drgnął nawet, tylko ciężko westchnął. Obawiał się, że przyjdzie. I spodziewał się, że będzie oczekiwać od niego jakichś wyjaśnień.

Zastanawiał się, do jakiego stopnia mógłby popisać się przed Morganą twórczą inwencją. Czy opowiedzieć jej o kochance, którą porzucił dawno temu, która nie przyjmuje tego do wiadomości, wyłudza od niego pieniądze i prześladowuje telefonami? A może coś zabawniejszego... Na przykład historyjka o szantażującej go żonie wielkiego mafiosa, z którą, nieświadomy konsekwencji, przeżył krótki, burzliwy romans. Niezłe...

Mógł też odwołać się do jej współczucia: Leeanne jest wdową po jego najlepszym przyjacielu. Pomógł jej, kiedy została bez środków do życia, ale ona, niestety, bardzo się przywiązała do tej pomocy i teraz nie daje mu spokoju.

A niech to! Mógłby jej nawet powiedzieć, że był to telefon w sprawie jakiejś fundacji dobroczynnej. Wszystko jedno. Cokolwiek, byle nie gorzką prawdę.

Usiadła na sąsiedniej skale i dotknęła jego ramienia. O nic nie zapytała. Nic nie mówiła. Patrzyła, tak jak on, na zatokę. Cierpliwa. Pachnąca nocą i różami.

Czuł neodpartą potrzebę dotknięcia jej. Chciał się odwrócić, przytulić twarz do jej piersi. Czekać w jej objęciach, aż wyparuje z niego cała ta trująca, bezsilna złość.

Wiedział przecież, że nie będzie kłamać. Morgana nie uwierzyłaby w żaden, najzgrabniejszy nawet, wykręt. Mógł jej powiedzieć jedynie prawdę.

- Lubię to miejsce - powiedział zwyczajnie, jakby od ostatniego słowa Morgany wcale nie minęło tych kilka bardzo długich minut. - W Los Angeles, z okna mojego mieszkania, zaglądałem w okna innych mieszkań. I pomyśleć, że nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak strasznie się duszę. Póki nie przyjechałem tutaj.

- Każdy od czasu do czasu czuje, że się dusi. Bez względu na to, gdzie mieszka. - Położyła rękę na jego udzie. - Kiedy mnie się to zdarza, jadę do Irlandii. Spaceruję po pustej plaży i myślę o wszystkich ludziach, którzy robili to samo przede mną, i o tych, którzy będą

chodzić po moich śladach. Wtedy sobie przypominam, że nic nie trwa wiecznie. I dobre, i złe rzeczy - wszystko przemija, ulatuje, przenosi się w inny wymiar.

- Wszystko się zmienia, nic nie ginie... - wymamrotał do siebie.

- Właśnie. - Dopiero teraz się uśmiechnęła. - I tak jest dobrze, nie sądzisz? - Ujęła w dłoń jego twarz. - Nash, porozmawiaj ze mną. Może nie będę umiała ci pomóc, ale...

- Naprawdę nie ma o czym mówić.

Jej jasne, łagodne oczy zaszły mgłą. Nash przeklął w duchu siebie i swoje głupie, raniące słowa.

- Zapraszasz mnie do łóżka, ale wara od twoich myśli, prawda?

- Boże święty! Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. - Nie miał najmniejszego zamiaru obnażać się, odsłaniać zakamarków swojej duszy, które nie nadawały się do pokazywania. Już dawno postanowił, że nikt go do tego nie zmusi.

- Rozumiem. - Jej ręce opadły bezwładnie na kolana. Nagle przez głowę przemknęła jej myśl, że mogłaby mu pomóc... bez słów. Nie pytając o zgodę. Jednym prostym zaklęciem uspokoić nerwy. Nie. To nie byłoby w porządku. Nie byłoby prawdziwe. Gdyby zaczęła używać czarów do manipulowania uczuciami, oboje, prędzej czy później, czuliby się zranieni.

- Dobrze - powiedziała półszeptem. - W takim razie wracam do nagietek.

Wstała. Żadnych pretensji, żadnych gniewnych słów. Właściwie wolałby usłyszeć jej wybuch niż takie chłodne „dobrze”. Chwycił jej rękę, kiedy zbierała się do odejścia. Na jego twarzy malowała się udręka, ale Morgana milczała.

- Leeanne jest moją matką.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jego matka.

Przypomniała sobie lodowaty ton, jakim wymówił jej imię. Skamieniałe rysy twarzy. A przecież nic nie mogło zmienić faktu, że kobieta, z którą rozmawiał, jest jego matką.

Jaka tragedia, jakie winy mogą sprawić, że dorosły człowiek czuje odrazę i niechęć do kobiety, której zawdzięcza życie?

Tym człowiekiem był Nash. Żeby zrozumieć - żeby chociaż spróbować go zrozumieć - musiała oderwać się od swoich doświadczeń, sielskiego dzieciństwa, od wszystkich cudownych wspomnień związanych z rodziną. Musiała myśleć tylko o Nashu. Wyobrazić sobie, co czuł. Wpatrywała się w jego nieruchomą twarz, szukając jakiegoś śladu odpowiedzi.

Ból. W czasie tamtej nieszczęsnej rozmowy jego głos przepełniony był złością i bólem. Teraz widziała to samo w jego oczach. Zniknęła arogancja, pewność siebie, swoboda. Współczuła mu całym sercem, ale nie umiała go pocieszyć. Żałowała, że nie ma talentu Anastazji. Tylko ona by potrafiła.

Nie wypuszczając z dłoni jego ręki, usiadła z powrotem na skale.

- Opowiedz mi.

Od czego powinien zacząć? W jaki sposób ma wytłumaczyć Morganie wszystko to, czego nie potrafił wytłumaczyć samemu sobie? Przez tyle lat.

Spojrzał na jej palce splecione kurczowo z jego palcami. Od początku ofiarowywała mu wsparcie, ale jeszcze wczoraj do głowy by mu nie przyszło, że będzie potrzebował jej pomocy.

Uczucia, które uparcie w sobie dusił i których nie chciał z nikim dzielić, musiały wreszcie kiedyś dojść do głosu.

- Żeby zrozumieć cokolwiek, musiałabyś znać moją babkę, która była... - szukał odpowiednio delikatnego określenia - despotką. Wszyscy musieli tańczyć, jak ona zagra. O tolerancji lepiej nie mówić - w jej domu nie używało się tego słowa. Owdowiała, kiedy Leeanne miała jakieś dziesięć lat. Mój dziadek był właścicielem dobrze prosperującej firmy ubezpieczeniowej, więc, jak się domyślasz, bieda jej nie groziła, ale babunia do końca życia skąpiła grosza sobie i dzieciom. Krótko mówiąc, należała do tego nieszczęsnego gatunku ludzi, którzy nie potrafią korzystać z życia. I nie znosiła ludzi, którzy tę umiejętność posiadali.

Przez kilka sekund napiętej ciszy wpatrywali się w mewy szybujące nad wodą. Nash poruszył nerwowo palcami, ale Morgana nie odezwała się. Czekala cierpliwie.

- Gdyby spojrzeć na to z drugiej strony, można by powiedzieć, że to smutna, wzruszająca do łez historia. Wdowa wychowująca samotnie dwie córki. Tylko, widzisz, ona kochała swoje brzemie. Dźwigała ten krzyż z masochistyczną przyjemnością. Dumna wdowa Kirkland, tolerująca wyłącznie własne towarzystwo. Wyobrażam sobie, jaka była czuła dla córek, jak je ćwiczyła wpajając surowe zasady, strasząc ogniem piekielnym za nieskromne myśli. Domyślasz się, jak wyglądało ich wychowanie seksualne? Ale przeliczyła się. Z Leeanne jej nie wyszło. Zaszła w ciążę, zanim skończyła siedemnaście lat - nie wiedząc nawet, komu ją zawdzięcza...

- Masz do niej żal?

- O to? Nie. Nie o to. Starsza pani na pewno się postarała, żeby urządzić swojej zepsutej córce piekło na ziemi. Ale przecież zależy, jak na to spojrzymy. Ktoś by powiedział, że Leeanne była biedną, samotną dziewczyną, ukaraną bezlitośnie za jeden grzech młodości. A można podejść do sprawy inaczej. Moja babka, święta męczennica, przygarnęła córkę marnotrawną, zamiast wyrzucić ją z domu. Moim skromnym zdaniem, obie były sobie warte. Skrajne egoistki, nie widzące świata poza własnym nosem.

- Nash, ona miała tylko siedemnaście lat - powiedziała cicho Morgana.

- I co z tego?! - Gniew wykrzywił mu usta. - Czy dlatego, że miała tylko siedemnaście lat, miała prawo puszczać się z tyloma facetami? Nawet się nie domyślała, biedactwo, który jej zrobił dziecko! Miała tylko siedemnaście lat, więc powinienem ją rozgrzeszyć z tego, że zostawiła mnie na wychowanie tej starej, zgorzkniałej jędzy. Że uciekła bez słowa w kilka dni po porodzie i nie odezwała się, nie zadzwoniła nawet, przez dwadzieścia sześć lat.

Morgana milczała ze ściśniętym sercem, przerażona, bezradna wobec jego rozpacz. Chciała go po prostu objąć, przeczekać najgorsze, ale kiedy wyciągnęła rękę, Nash odsunął się gwałtownie i wstał.

- Muszę się przejść.

Podjęła decyzję natychmiast. Mogła pozwolić mu odejść, żeby sam uporał się z własnym bólem, albo dzielić z nim ten koszmar, słuchając dalej.

- Tak mi przykro, Nash. - Była przy jego boku, zanim zrobił trzy kroki.

- To mnie jest przykro. - Potrząsnął rozpaczliwie głową. - Nie powinienem cię w to wciągać... Opowiadać horrorów.

- Mówisz głupstwa. - Musnęła dłonią jego policzek. - Nie boję się horrorów. Chcę wiedzieć...

- Mieszkałem u babki do piątego roku życia. Potem moja ciotka, Carolyn, wyszła za męża. On był zawodowym żołnierzem, więc przez kilka dobrych lat włóczyłem się z nimi po całych Stanach, od bazy do bazy. Nie znosiłem go. Brutalny cham - tolerował mnie z konieczności. Kiedy upijał się i wrzeszczał, że wyrzuci mnie na zbity pysk, Carolyn wpadała w histerię i jakoś rozchodziło się po kościach. Do następnego razu.

Była w stanie to sobie wyobrazić. Mały chłopiec żyjący w pustce. Przeważający z kąta w kąt przez wszystkich, nie kochany przez nikogo.

- Nienawidziłeś tego życia.

- Tak, trafiłaś w sedno. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale nienawidziłem. Kiedy myślę o nich dzisiaj - moich dobroczyńcach - dochodzę do wniosku, że Carolyn była równie niestała jak Leeanne. Na swój sposób. Czasami rzucała się na mnie z pieszczotami, byłem jej „kochanym chłopcem”, a za pięć minut traktowała mnie jak powietrze. Jakoś długo nie mogła zajść w ciążę, ale kiedy skończyłem osiem lat, stało się. Ciotka upewniła się, że będzie mieć własne dziecko i z radości odesłała mnie z powrotem do babki. Nie potrzebowała już substytutu.

Morgana miała ochotę wyć, płakać ze złości. Czowała tę samą nienawiść, o jakiej mówił Nash. Widziała tamto dziecko. Bezbronne, przerzucane z rąk do rąk przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o miłości.

- Czy wiesz, że ona nigdy nie spojrzała na mnie jak na człowieka? Widziała we mnie pomyłkę. I to było najgorsze ze wszystkiego - powiedział szeptem, jakby tylko do siebie. - Sposób, w jaki wbijała mi tę prawdę do głowy. Musiałem zapamiętać, że każdy oddech, każde uderzenie serca zawdzięczam tylko temu, że pewna lekkomyślna, zbuntowana dziewczyna popełniła błąd.

- Nie miała racji. Wiesz o tym - powiedziała Morgana głośno.

- Tak, być może nie miała. Ale takie rzeczy zapamiętuje się na całe życie. Koszmary rosną razem z człowiekiem, olbrzymieją. Sporo się też nasłuchiwałem o grzechach ojca, o piekle cielesnych pokus... Jej zdaniem byłem leniwy, krnąbrny i złośliwy. - Odwrócił się do Morgany z cierpkim uśmiechem. - Nie spodziewała się po mnie niczego lepszego, wiedząc, w jaki sposób zostałem poczęty.

- Straszna kobieta - warknęła Morgana. - Nie zasługiwała na ciebie.

- Chętnie by się zgodziła z tym drugim stwierdzeniem. Bez przerwy dawała mi do zrozumienia, że powinienem być jej dogonnie wdzięczny: za dach nad głową i za to, że nie przymieram głodem. Nic z tego. Zamiast okazywać babuni wdzięczność, coraz częściej uciekałem z domu. W dwunastym roku życia przeszedłem na wikt państwowy. Zacząłem

zwiedzać sierocińce. - Przerwał na chwilę, żeby uspokoić oddech. - Niektóre były w zupełnie przyzwoite. Przygarniały dzieciaków z otwartymi ramionami. Opiekunki traktowały nas jak własne dzieci. Ale były też płatne przechowalnie, w których z radością przyjmowano wyłącznie miesięczne czeki. Czasami komuś dopisywało szczęście i lądował w normalnym domu. Mnie się kiedyś udało pojechać na Boże Narodzenie do takiej prawdziwej rodziny... - W jego głosie pojawiła się ciepła nuta. - Nazywali się Hendersonowie. Byli niesamowici. Fantastyczni. Traktowali mnie na równi z własnymi dziećmi. Ciągłe piekli jakieś ciasto - jeszcze dzisiaj czuję ten zapach. Pamiętam wielką choinkę. I te wszystkie prezenty, w kolorowych opakowaniach, ze wstążeczkami. Dostałem od nich rower - powiedział cicho. - Pan Henderson kupił używany. Oddał do naprawy, a potem sam pomalował na czerwono i wypolerował chromowane części. Wyglądał niesamowicie, tylko że ja, dwunastoletni prawie koń, nie umiałem na nim jeździć. Nigdy przedtem nie miałem roweru. No więc... gapiłem się na to cudo, czerwony ze wstydu, jakby to był co najmniej harley. Zresztą nie widziałem wtedy specjalnej różnicy między rowerem a motorem.

- Ale to chyba żaden wstyd, jeżeli...

- Widać, że nigdy nie byłeś jedenastoletnim chłopcem. Wstydziłem się cholernie i wykręcałem jak piskorz, byle tylko nie zacząć jeździć. Najpierw skręciłem sobie nogę w kostce, potem zbierało się na deszcz... Byłem już wtedy niezłym cwaniakiem, ale pani Henderson przejrzała mnie na wylot. Pewnego dnia obudziła mnie o świcie - kiedy cały dom jeszcze spał - i zarządziła lekcję. Biegła obok roweru i trzymała siodełko. Rozśmieszała mnie, kiedy wykladałem się na ziemię. A kiedy w końcu przejechałem samodzielnie kilka metrów po chodniku, rozplakała się. Przedtem nikt, nigdy...

- Cudowni ludzie. - Morgana pomogła Nashowi ukryć wzruszenie, chociaż łyzy paliły jej gardło.

- Owszem. Spędziłem u nich pół roku. Sześć najpiękniejszych miesięcy mojego życia. Niestety. Jak tylko zaczynałem się gdzieś dobrze czuć, moja babka wyczuwała to na odległość, podnosiła rwetes i ściągała mnie z powrotem. Nie pozostało mi nic innego, jak liczyć dni do skończenia osiemnastu lat. Nie mogłem wprost doczekać się chwili, kiedy nikt nie będzie mi rozkazywał.

- Co zrobiłeś, kiedy ta chwila nadeszła?

- Musiałem z czegoś żyć, więc chwytałem się różnych zajęć. - Po raz pierwszy, od rozmowy z Leanne, Nash uśmiechnął się. - Byłem nawet agentem ubezpieczeniowym. Dość krótko.

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić...

- Ja też nie mogłem. No i długo nie wytrzymałem. Właściwie powinienem podziękować starej jędzy za to, co robię dzisiaj. Jak tylko zauważyła, że coś gryzmolę, grzmociła mnie na oślep.

- Słucham? - Była pewna, że czegoś nie zrozumiała. - Biła cię za pisanie?

- No cóż, święta kobieta nie znajdowała moralnego posłania w historyjkach o wampirach - powiedział drewnianym głosem. - A im gorliwiej mnie do tego grzesznego zajęcia zniechęcała, tym bardziej się przykładałem. Pojechałem do Los Angeles, gdzie udało mi się wyżebrać najgorzej płatną pracę w wytwórni. Zaczynałem od robota w ekipie technicznej, potem terminowałem u scenarzystów, poznałem właściwych ludzi. W końcu udało mi się sprzedać pierwszy scenariusz. W czasie kręcenia „Szamana” babka umarła. Nie pojechałem na pogrzeb.

- Chyba nie sądzisz, że wytknę ci nieczułość...

- Nie wiem, co sądzić - mruknął. Zatrzymał się przy kępie cyprysów i odwrócił do niej twarzą. - Miałem dwadzieścia sześć lat, a mój film stał się wydarzeniem sezonu. Wyobrażasz sobie? Złapałem wiatr w żagle. Następny scenariusz dostał nominację do Złotego Globusa. Płynę na tej fali do dzisiaj, prawdziwe dziecko szczęścia... Gdyby nie to, że od czasu do czasu odzywają się duchy z przeszłości. Pierwsza zadzwoniła moja ciotka. Poprosiła o czek, który wyciągnąłby ją z tarapatów. Jej mąż nigdy nie miał szansy na awans ponad sierżanta, a ona musiała troje swoich dzieci posłać do college'u. Potem Leeanne.

- Zadzwoniła.

- Otóż nie. Pewnego dnia zapukała do moich drzwi. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było tak ponure. Obca kobieta, z okropnym, pretensjonalnym makijażem, odwiedza mnie niespodziewanie i oświadcza, że jest moją matką. Nawet nie mogłem jej nie uwierzyć, bo... zobaczyłem w niej siebie. Stała tak, opowiadając smutną historię swojego życia, a ja miałem ochotę zatrzaskać jej drzwi przed nosem. Okazało się, że jestem jej coś winien. Usłyszałem, że to ja - swoim przyjściem na świat - pokrzyżowałem jej cholernie ambitne plany. Wreszcie przeszła do sedna. Rozwiodła się po raz drugi i została bez grosza na dalsze obiecujące życie. Wypisałem czek i posłałem ją do wszystkich diabłów.

Zmęczony, usiadł na ziemi, oparł się plecami o pień drzewa i zamknął oczy. Morgana uklękła przed nim.

- Nash, dlaczego dałeś jej te pieniądze?

- Bo chciała tylko pieniędzy. Zresztą nie miałbym dla niej niczego innego. Forsa wystarczyła jej na rok. Potem dzwoniła jeszcze ciotka i jedna z kuzynek. - Zaciśniętą w pięść dłońią uderzył w kolano.

- Minie kilka miesięcy, życie będzie mi się wydawało coraz piękniejsze... aż do następnego telefonu. One nigdy nie pozwolą mi zapomnieć, skąd się wziąłem. Ale jeżeli za kilka tysięcy dolarów mogę kupić chociaż chwilowy spokój, to i tak nie jest to wygórowana cena.

Oczy Morgany płonęły oburzeniem.

- Nash, one nie mają prawa! Nie mają prawa rozszarpywać cię na strzępy.

- Mam mnóstwo pieniędzy.

- Nie mówię o dolarach, tylko o tobie.

- Przypominają mi po prostu, kim i czym jestem.

- Nawet cię nie znają - syknęła z furją.

- Nie. Ja też ich nie znam. Ale jakie to ma znaczenie? Morgano, doskonale wiesz, czym jest klan, spuścizna pokoleń, wspólna krew. Wiesz, ile od tego zależy. Ty odziedziczyłeś po przodkach magię, a ja egoizm.

- Nie. - Pokręciła głową. - Dziedziczymy talenty, które możemy rozwijać, albo zaprzepaścić. Tak samo jest z wadami. Zawsze mamy wybór. W niczym nie przypominasz ludzi, o których mi opowiedziałeś. W niczym!

Nash wyprostował się i zacisnął palce na ramionach Morgany.

- W większym stopniu, niż sądzisz. Ja dokonałem już wyboru. Przestałem uciekać, bo przekonałem się, że nie można uciec przed samym sobą. Wszystkie ucieczki prowadziły mnie donikąd. Ale wiem przynajmniej, kim jestem. Facetem, który najlepiej sobie radzi w samotności. Póki żyję na własny rachunek, nikomu nie zagrażam. Rodzina Hendersonów to nie moja przyszłość. Nawet o tym nie myślę. Po prostu nie chcę. Będę wypisywał kolejne czeki, potem zamykał się w swojej bezpiecznej skorupie, gdzie zawsze jestem sobą. Takie wybrałem życie. Bez obowiązków, stałych więzów. Bez ryzyka.

Nie miała zamiaru go nawracać. Nie w takiej chwili - kiedy kipiała w nim złość i uraza. Później przekona go, jak bardzo się mylił. Mężczyzna, który patrzył na nią takim zapiekłym wzrokiem, potrafił być czuły i hojny. Delikatny. Mimo że nikt go czułością nie darzył, niczego nie uczył... Sam odkrywał swój lepszy świat.

Wiedziała, że może mu coś ofiarować. Chciała o niego walczyć, choćby mieli przeżyć tylko chwilę szczęścia.

- Nie musisz mi tłumaczyć, kim jesteś. - Dotknęła jego policzka. - Sama wiem. Nie bój się. Nie poproszę cię o nic, czego nie mógłbyś mi dać. I na pewno nie wezmę tego, czego dać mi nie zechcesz.

- Sięgnęła po swój amulet, zacisnęła na nim rękę Nasha, a potem przykryła ją własną dłonią. Jej oczy pociemniały. - To przysięga.

Zbity nieco z tropu, Nash spuścił głowę. Zobaczył, że metal w jego dłoni iskrzy się dziwnym, pulsującym światłem.

- Ja nie...

- Chciałabym, żebyś przyjął to, co na pewno mogę ci ofiarować. Zaufasz mi?

Owładnęło nim uczucie lekkości i chłodu. Napięte mięśnie rozluźniły się, bezwładne powieki przysłoniły oczy. Usłyszał jeszcze wymówione przez siebie jej imię - jakby z dalekiej odległości - i zapadł w sen.

Obudziły go promienie jaskrawego słońca. Usłyszał śpiew ptaków, plusk wody uderzającej o skały... Podniósł się gwałtownie, otwierając oczy.

Siedział na rozległej, ukwieconej polanie. Powiódł wzrokiem za najpiękniejszym motylem, jakiego widział w życiu... Oniemiał z wrażenia. Łania o wielkich, łagodnych oczach przyglądała mu się z odległości kilku kroków. Roześmiał się niepewnie i podniósł.

Patrzył w zachwycie na falującą trawę i kwiaty. Rozłożył szeroko ręce. Zaczął obracać się w koło, coraz szybciej, nie wierząc własnym oczom. Bajeczna łąka sięgała aż po horyzont, a ponad nim był tylko błękit wiosennego nieba.

Nash poczuł, jak wreszcie spływa na niego upragniony spokój.

Usłyszał muzykę. Dźwięki harfy, które poraziły go swoim pięknem. Ruszył przed siebie jak lunatyk, z sennym uśmiechem na twarzy. Przedzierając się przez gęstą trawę, dotykał palcami kwiatów, czasami musnął skrzydło spłoszonego motyla.

Znalazł ją nad brzegiem strumyka. W białej sukni do kostek, kapeluszu z szerokim rondem, który ocieniał połowę jej twarzy. Na kolanach trzymała małą, złotą harfę. Nie przerywając gry, odwróciła do niego głowę. Uśmiechnęła się zagadkowo.

- Co tutaj robisz? - spytał.

- Czekam na ciebie. Odpocząłeś trochę? Przyklęknął przed nią, powoli uniósł rękę i dotknął jej ramienia. A więc nie była zjawą... Czuł ciepło jej skóry, delikatny oddech.

- Morgana?

- Nash? - szepnęła z czułą drwiną.

- Gdzie jesteśmy?

- We śnie. Twoim i moim. - Odłożyła na bok harfę i ujęła w dłonie jego ręce. - Jeżeli podoba ci się to miejsce, możemy na chwilę zostać. Jeżeli wolisz być gdzie indziej, przeniesiemy się tam, gdzie zechcesz.

- Dlaczego?

- Bo ci to potrzebne. - Musnęła wargami jego rękę. - Dlatego, że cię kocham.

Ani cienia paniki... Słowa, których nie lubił - których się bał - zachwyciły go swoim brzmieniem. Przepęłniły radością serce. Uśmiechnął się.

- Czy to się dzieje na jawie?

- Jeżeli chcesz, żeby tak było... Jeżeli mnie pragniesz.

Powoli zsuwał z jej głowy kapelusz, patrząc zauroczony, jak czarne włosy rozsypują się po ramionach i plecach.

- Morgano, czy ja śnię? Czy zostałem zaczarowany?

- Nie bardziej niż ja, kochany. - Ujęła w ręce jego głowę, potem przyciągnęła do siebie gwałtownie, jakby bojąc się, że czar pryśnie. - Nash, tak bardzo cię pragnę - szeptała, dotykając jego ust. - Kochaj się ze mną... Tutaj, w tej chwili. Tak jakby to był nasz pierwszy i ostatni raz. Jedyny raz...

Czy mógł się jej oprzeć? Skoro to sen... Niech będzie, co chce.

Znalazł się poza miejscem i czasem. Donikąd się nie spieszył, rozkoszował się każdą chwilą, odczuwał wyraźniej każdy zapach i każdy dotyk. Gdyby wiedział, jakie to proste, myślała Morgana. Tak niepodobni jedno do drugiego, śnili teraz wspólny sen. Przez godzinę, albo dwie, będą należeć do siebie bez reszty. Wszystko będzie możliwe.

Uniósł się na łokciach. Opuszkami palców błędził po jej policzkach, linii nosa i brody, jakby od nowa poznając rysy twarzy.

- Chcę się obudzić - powiedział. - Chcę, żeby to się działo naprawdę.

- Wszystko zależy od ciebie. Cokolwiek postanowisz stąd zabrać, będzie nasze na zawsze. Najprawdziwsze.

Rozwiązał pasek jej sukni, zsuwał z ramion cienką tkaninę, rozpoznając dłońmi upragnione kształty. Po chwili na trawie leżało ich porzucone ubranie, a delikatne promienie światła igrały po złocistej skórze Morgany. Wszystko było realne. Kiedy przykrył ją swoim ciałem, przysięgłby, że ich serca biją naprawdę - szybkim, niespokojnym rytmem.

Objął ją mocno i schował twarz w jej włosach.

Wyrężyła się i cichym pomrukiem zadowolenia przywitała ciepłe, zachłanne wargi, przesuwające się od piersi do brzucha, coraz niżej. Poczula szorstkie policzki między udami, usta pieszczące ją coraz żarliwiej.

Krew napłynęła jej do twarzy. Pocałunki Nasha parzyły, przyprawiały ją o zawrót głowy, oszalały.

- Nash, jak to... - szepnęła niskim, łamiącym się głosem.

- Magia, kochanie. Przecież wiesz...

- Och, Nash, kochaj mnie - błagała. Zaśmiał się cicho i pocałował ją w usta. Potem spojrzał na nią, jakby czekając na odpowiedź. Dygotała spragniona, błędziła palcami nieprzytomnie po jego plecach, poruszała się pod nim prosząco.

Zwlekał nadal, chociaż czuł, że zbliża się do granic wytrzymałości. Jej gotowość, jej giętkie ciało, wszystko go rozpalało.

Smak jej skóry. Miód i płatki róży. Zamglone oczy. Wszystko, co było Morgana, wzmagało jego pożądanie.

- Kochaj mnie, Nash.

Gładził ją delikatnie, a kiedy w końcu ułożył wygodnie pod sobą, westchnęła z ulgą. Zadowolona z jego rytmu, odpowiadała mu nieznacznymi ruchami bioder, witając kolejne fale przypiływu. Oddychała coraz szybciej.

- Nash!

- Cicho, kochanie... Nie myśl o niczym... To nasz sen... Twoje zakłęcie.

Morgana zamarła na moment, wpiła się palcami w jego ramiona, otwierając szeroko oczy. Jej ciało przeszył dreszcz, który załamał się w połowie i przemienił w błogie uczucie spełnienia.

Bardzo pragnął, żeby to trwało, żeby krzyczała z rozkoszy i nigdy nie zapomniała tej chwili.

Nagle jego twarz zastygła w bolesnym uśmiechu. Opadł nią bez tchu, w wyciągnięte ramiona.

Ukojony biciem jej serca, zamknął oczy. Powrócił świat, który na krótką chwilę przestał istnieć. Poczul słońce grzejące go prosto w plecy, zapach polnych kwiatów, usłyszał śpiew ptaków.

Morgana westchnęła i położyła ręce na jego głowie. Pomogła odzyskać mu spokój. Przeżyła chwilę rozkoszy. I złamała swoją żelazną zasadę... Wpłynęła na jego uczucia, wykorzystując magię.

Może i popełniła błąd, ale nie żałowała.

- Morgano... - mruknął przeciągle, wtulając się w jej piersi.

- Śpij - powiedziała z uśmiechem, jeszcze pewniejsza, że nigdy tego nie pożałuje.

Wyciągnął do niej rękę, ale łóżko okazało się puste. Nieprzytomny, z trudem otworzył oczy. Spał w swoim domu, we własnym pokoju... Przez uchylone, nie zasłonięte okna wkradał się świt.

- Morgano? - Sam nie wiedział, po co wymówił jej imię.

Sen? Odsunął gwałtownie prześcieradło i wyskoczył z łóżka. Nawet jeśli to był sen, to jeszcze nigdy, na jawie, nie przeżywał niczego tak mocno.

Stanął w otwartym oknie, żeby odetchnąć chłodnym powietrzem.

Kochali się... jak szaleńcy - na łące koło strumyka.

Nie, to niemożliwe. Siedzieli pod drzewem, rozmawiając o... Tak, to pamiętał wyraźnie.

Uderzył głową o framugę okna. Opowiedział jej całe swoje zakichane dzieciństwo. Wywlókł wszystkie rodzinne brudy. Dlaczego? Po jaką cholere?

Przekłęty telefon. Przypomniał sobie jednak, że to właśnie rozmowa z Leeanne powstrzymała go od popełnienia jeszcze większego głupstwa.

Bardzo dobrze. Teraz przynajmniej wszystko jest jasne. Morgana nie powinna mieć już żadnych złudzeń.

Ale co się stało później? Po tym, jak rozmawiali pod drzewem... Zasnął? Tak po prostu?

Jeżeli tak, to najpiękniejsze było snem. Niemożliwe. Czuł jeszcze zapach tamtych kwiatów. Pamiętał każdy szczegół... Pamiętał dokładnie, co czuł. Kiedy leżał na trawie obok kobiety, którą kocha - wydało mu, że całe jego życie prowadziło do tamtej chwili szczęścia.

Mary. Urojenia. Zasnął pod drzewem i koniec.

W takim razie... skąd, do diabła, wziął się w swoim pokoju, sam, w środku nocy? Dlaczego jej tu nie ma?

Mogła go tu przyprowadzić. Podnieść na wpół śpiącego, przyciągnąć do łóżka i zostawić.

Brzydko. Nie upieczesz jej się ten numer... Zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

Przypomniał sobie tamtą ciszę. Cudowny spokój ducha, kiedy obudził się na łące, a potem szedł przez trawę i zobaczył ją - grającą na harfie, uśmiechniętą.

Zapytał, dlaczego, a ona odpowiedziała, że...

Powiedziała, że go kocha.

Ścisnął rękami skronie. Może to urojenia? Chora wyobraźnia? Może wymyślił to wszystko, od początku do końca, łącznie z Morganą. Może przyśnił mu się sen jego życia - a teraz obudził się w swoim dawnym mieszkaniu w Los Angeles?

Przecież nie wierzy w czarownice ani w zaklęcia. Mimowolnym ruchem zacisnął dłoń na amulecie...

Jasne, że nie wierzy. Koń by się uśmieł.

Morgana istniała naprawdę. Podarowała mu kamień. Kocha go. Najgorsze, że on także ją kocha.

Czyste szaleństwo. Nie chciał tego. Nie pragnął żadnej miłości. Ale stało się. Zakochał się nieprzytomnie. Myślał o niej dzień i noc. Pożądał obsesyjnie. Marzył w cichości ducha, że może... może miałyby to sens. Gdyby spróbował...

Absurd. Gdzie się podziały resztki jego rozsądku?

Zaślepienie. Nareszcie właściwe słowo. Jest zaślepiony, zgoda, ale co to ma wspólnego z miłością?

A jeżeli jednak? Może miłość od zaślepienia dzieli długa, ale całkiem bezpieczna droga? Czy życie w zaślepieniu, z taką kobietą jak Morgana, nie byłoby piękne? Czy trzeba chcieć więcej?

Znów zaczyna fantazjować. O czym on, do diabła, myśli?

O niej. Bez przerwy i tylko o niej.

Powinien zafundować sobie wakacje. Pojechać gdzieś, jak najdalej, wymazać ją z pamięci.

Łatwo powiedzieć.

Wiedział przecież od początku, czuł przez skórę, że nigdy o niej nie zapomni.

Bo to nie jest zaślepienie, pomyślał zrezygowany. Ani zadurzenie, ani wyłącznie namiętność. Tylko jedno słowo pasowało do tego, co czuł... Słowo, którego bał się jak ognia.

Miłość. Rozkochała go w sobie...

Ta prosta myśl poraziła go jak piorun. Zrobiła to. Czarownica Morgana rzuciła na niego urok. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Nie chciał się w niej zakochać, opierał się, więc jednym pstryknięciem palców pomogła mu... Zakpiła z niego w okrutny sposób.

Absurd... Niepewny niczego, Nash zmieniał zdanie jeszcze wiele razy, wpadając ze skrajności w skrajność.

Rano, postanowił. Jutro rano stanie oko w oko z czarownicą. Jeżeli naprawdę to zrobiła - zaklęcie przestanie działać. Uwolni się spod jej uroku, albo nie nazywa się Nash Kirkland... Będzie dokładnie tym, kim chce być.

Wolnym człowiekiem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wyrzucała sobie, że w poniedziałek rano nie otworzyła sklepu, ale czuła się fatalnie. Wyczerpana po nie przespanej nocy, słała się na nogach i nie mogła pozbierać myśli. Na szczęście Mindy obiecała, że zwolni się z zajęć przed południem i do końca dnia poradzi sobie sama.

Stało się, myślała w popłochu. Sprawy wymknęły się z jej rąk. Klamka zapadła. Wzdychając ciężko, zaczęła parzyć herbatę. Tak naprawdę, myślała smętnie, nigdy żadne sprawy nie są w naszych rękach do końca... Każda władza jest ograniczona, podporządkowana innym, potężniejszym mocom. Nie powinna była o tym zapominać.

Ale przecież nie zakochała się na własne życzenie! Nie chciała burzy uczuć, cierpień, miłosnych zawodów... Nie marzyła o zmianach w swoim życiu.

Oczywiście, z każdej sytuacji są przynajmniej dwa wyjścia... Nie. Ona już wybrała.

Sięgnąwszy po dzbanek z herbatą, usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Zrezygnowana, wyjęła jeszcze dwie filiżanki.

- Morgano! - Anastazja weszła pierwsza. - Widzisz? - Anastazja zwróciła się do Sebastiana. - Mówiłam ci, że coś jest nie tak.

- Ależ wszystko w porządku... - Morgana pocałowała kuzynkę w policzek.

- Tak też myślałem - powiedział z uśmiechem Sebastian. - Tłumaczyłem Anie, że masz po prostu zły humor. Ale wysyłałaś takie sygnały, że umarłego podniosłyby z łóżka.

- Przepraszam. - Morgana podała mu filiżankę.

- Widocznie tęskniłam za waszym towarzystwem.

- Przecież widzę, jak się czujesz. - Anastazja nie dawała za wygraną.

- A jak można wyglądać po nie przespanej nocy...

Sebastian sączył spokojnie herbatę. Od razu zauważył jej blade policzki i podkrążone oczy, ale dostrzegł też coś gorszego - coś, co Morgana bardzo starała się ukryć. A on uwielbiał potyczki ze swoją impulsywną kuzynką.

- Zakłócenia w raju - powiedział oschle.

- Dziękuję za diagnozę, ale sama sobie poradzę z osobistymi kłopotami.

- Sebastianie - Anastazja pogroziła mu palcem - przestań ją drażnić. Pokłóciłaś się z Nashem, Morgano?

- Nie. - Opadła bezwładnie na krzesło. - Ale martwię się o niego. Dowiedziałam się o nim takich rzeczy... O jego rodzinie.

Opowiedziała im wszystko - począwszy od telefonu Leeanne, a skończywszy na rozmowie pod cyprysem. To, co się wydarzyło później, należało tylko do niej i Nasha.

- Biedny chłopiec - mruknęła Anastazja. - Od dziecka nie chciany i nie kochany...

- Tacy chłopcy wyrastają ma mężczyzn, którzy nie potrafią kochać - powiedziała smętnie Morgana.

- Czy można go winić za to, że teraz nie ufa swoim uczuciom?

- Ale ty to robisz. - Sebastian piorunował ją wzrokiem czekając, aż się podda.

- Nie winię go... - Morgana opuściła głowę. - Ale to boli. Nie wiem, jak mam kochać człowieka, który nie umie albo nie chce mojej miłości odwzajemnić.

- Kochanie, on potrzebuje trochę czasu - powiedziała miękko Ana.

- Wiem. Dlatego zastanawiam się, jak długo potrafię czekać. Złożyłam przysięgę... Że wezmę od niego tyle, ile sam mi zechce dać. I dotrzymam jej, choćby... nie wiem co. - Dokończyła zdanie ochryłym, łamiącym się głosem.

Sebastian chwycił jej rękę, a potem zajrzał głęboko w oczy.

- Mój Boże, Morgano. Ty jesteś w ciąży. Wściekła z powodu wścibstwa kuzyna i własnej słabości, zerwała się na równe nogi, przesywając go wzrokiem.

- Do diabła, Sebastianie! Może byś pozwolił, żebym ja sama składała oświadczenia dotyczące mojego stanu!

- Usiądź - rozkazał. I pewnie sam by ją posadził na krześle, gdyby Anastazja go delikatnie nie odepchnęła.

- Od dawna? - zapytała cicho.

- Od wiosennego zrównania dnia z nocą. Ale dopiero od kilku dni jestem pewna.

- Dobrze się czujesz? - Zanim Morgana otworzyła usta, Ana położyła dłoń na jej brzuchu. - Pozwól mi... - Odnalazła puls matki i nowe, śpiące, bardzo młode życie. Uśmiechnęła się promiennie. - Wszystko w porządku. Z dzieckiem i z tobą.

- Tylko rano jestem strasznie ospała. - Morgana pogładziła Anę po ramieniu. - Nie martw się o mnie.

- Ona naprawdę powinna usiąść albo się położyć.

Spójrz na jej twarz, Ano. jest blada jak ściana. - Sebastian miał coraz bardziej przerażone oczy.

Morgana roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Braciszku, chyba nie masz zamiaru zostać moją niańką? - Potem ucałowała go w drugi policzek i usiadła zadowolona. - Właściwie... Dlaczego by nie?

- Cała rodzina w Irlandii, to niby kto miałby się tobą zająć, jeśli nie ja i Ana?

- A skąd ci przyszło do głowy, że wymagam jakiejś specjalnej troski?

- Jako najstarszy członek rodziny mieszkający po tej stronie oceanu... - Sebastian jakby nie usłyszał pytania - ...chciałbym poznać zamiary Kirklanda.

- Mój Boże, Sebastianie! - Ana uśmiechnęła się znad filiżanki. - W jakich ty żyjesz czasach? Chcesz go skrócić o głowę za uwiedzenie kuzynki? Być wykonawcą zemsty rodowej?

- Po pierwsze, chciałbym mieć jasność, bo na razie ta sytuacja nie wydaje mi się tak śmieszna jak wam. Morgano, czy ty chcesz być w ciąży?

- Ja jestem w ciąży.

- Dobrze wiesz, o co pytam. - Zacisnął rękę na jej dłoni, czekając aż podniesie głowę i spojrzy mu w oczy.

Oczywiście, że wiedziała. Westchnąwszy kilka razy, odpowiedziała ostrożnie, ważąc każde słowo.

- Miałam zaledwie dzień na przemyślenie wszystkiego, ale... Tak, podejmam decyzję. Mogłabym to zrobić, Anastazjo. Bez wstydu. Wiem, że sam pomysł cię przeraża, ale myślałam o tym.

- To twoje dziecko. - Ana schyliła głowę. - Sama musisz dokonać wyboru.

- Właśnie. Używałam... środków antykoncepcyjnych, a jednak los z nich zakpił. W pierwszej chwili nie mogłam wprost uwierzyć, a potem pomyślałam, że to przeznaczenie. Czuję się głupio, boję się, ale... Tak. Chcę urodzić to dziecko. Chcę być w ciąży.

Sebastian odetchnął z ulgą.

- A Nash? Co on na to? - Nie czekał nawet sekundy na odpowiedź. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. - Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - zagrzmiał święcie oburzony. - Jak mogłaś mu nie powiedzieć?

- Trzymaj się z daleka od moich myśli - syknęła purpurowa ze złości. - Albo przysięgam: zamienię cię w ślimaka i wyrzucę przez okno.

- Najpierw odpowiedz na pytanie.

- Mówiłam ci, że upewniłam się dopiero dwa dni temu. A wczoraj, po tym, co Nash mi opowiedział... nie mogłam. Dostałby zawału.

- Ma prawo wiedzieć - powiedziała cicho Ana.

- Dobrze. - Morgana zacisnęła ręce w pięści. - Powiem mu. Kiedy będę gotowa. Nie sądzicie chyba, że spróbuję go przywiązać do siebie... w taki sposób, co? - Skrzywiła z niesmakiem usta. Potem poczuła spływającą po policzku gorącą łzę. Otarła ją wierzchem dłoni, zawstydzona i zła na samą siebie.

- On sam musi dokonać wyboru. - Mówiąc to, Sebastian był już całkowicie zdecydowany, że jeśli Nash dokona niewłaściwego wyboru, z przyjemnością porachuje mu kości. W zupełnie konwencjonalny sposób.

- Sebastian ma rację. - Ana otoczyła Morganę ramieniem. - Nash, jak i ty, ma prawo do własnej decyzji. Ale musisz dać mu szansę.

- Wiem. - Nagle uspokojona, oparła głowę na ramieniu Anastazji. - Powiem mu dzisiaj.

- Będziemy blisko. - Sebastian pogłaskał ją po głowie i ruszył do wyjścia.

- Byle nie za blisko. - Uśmiechając się przez łzy, pomachała im na pożegnanie dłonią.

Nash przewracał się z boku na bok, mruczając coś w poduszkę. Natłok snów. Jeden za drugim, jak gdyby, nie wychodząc z kina, oglądał film za filmem.

Morgana. Zawsze Morgana, uśmiechnięta, tuląca się do niego, obiecująca raj na ziemi. Czuł się przy niej taki silny, spokojny, pełen nadziei.

Jego babka, jej oczy pałające gniewem. Bijąca go po plecach drewnianą łyżką, powtarzająca sto razy, że jest darmozjadem, bękartem nie wartym funta kłaków.

Pędzi pod wiatr na czerwonym rowerze, z rozwianymi włosami, zachłystując się wiosennym powietrzem.

Leeanne stoi obok niego z wyciągniętymi rękami, zbyt blisko. Przypomina mu o więzach krwi, o tym, że zawdzięcza jej życie.

Morgana na miotle, śmiejąca się dzikim, przerażającym śmiechem.

On sam, zanurzony w dymiącym kotle. Babka miesza w nim swoją drewnianą łyżką. I głos Morgany - głos jego matki? - bełkoczący słowa szekspirowskiej Wiedźmy.

„Trzykroć tak i trzykroć wspak,
trzykroć jeszcze do dziewięciu”.

Usiadł gwałtownie, oddychając pospiesznie, zasłaniając oczy przed oślepiającymi promieniami słońca. Drżącymi rękami otarł twarz z potu.

Wspaniale. Po prostu cudownie. Jakby nie dosyć miał kłopotów, zaczyna świrować.

Może to też jej sprawka?

Wyskoczywszy z łóżka, Nash potknął się o własne buty. Kopnął je z furią i przeklinając głośno, poczłapał do łazienki. Zmyje z siebie trudy nocy i wyruszy na rozmowę z Boską Czarownicą z Monterey.

Kiedy stał pod prysznicem, Morgana przekraczała bramę jego posiadłości.

Zerknąwszy we wsteczne lustro, z jękiem opadła na siedzenie. Jak mogła sądzić, że ślady zmęczenia i napięcia zatuszuje kosmetykami?

Zaciskając usta, spojrzała na piękny dom Nasha.

Nie. Nie pokaże mu się w tak żalonym stanie. Powinna wyglądać lepiej niż zwykle, a nie jak kupka nieszczęścia... I żadnych płaczliwych tonów. On potrafi utrzymać styl. Tyle czasu myślała, że jest beztróskim, pewnym siebie facetem. Nie będzie od niego gorsza.

Odetchnęła głęboko. Potem szeptem wypowiedziała zakłęcie. Cienie spod oczu zniknęły, policzki nabrały koloru. Kiedy wysiadła z samochodu, jej twarz promieniała świeżością. Może serce biło za mocno, ale o tym wiedziała tylko ona.

Z przyklejonym do ust uśmiechem zapukała do drzwi. Paniczny strach ścisnął ją za gardło.

- Zaraz, cholera, chwileczkę! - Mruczając wściekle pod nosem, Nash wciągnął spodnie na mokre nogi. Boso, z nagim torsem i nie rozczesanymi włosami, szarpnął za klamkę. - Słucham... - Oślupiał. Przez kilka długich sekund stał jak rażony piorunem, nie odrywając od niej oczu.

Była piękna i świeża jak poranek. Miał wrażenie, że woda na jego skórze zaczyna parować. Oparł się plecami o framugę.

- Cześć. - Pocałowała go pierwsza. - Wyciągnęłam cię spod prysznica?

- Tak jakby... - Palcami próbował uładzić mokre włosy. - Dlaczego nie jesteś w sklepie?

- Wzięłam wolny dzień - powiedziała naturalnym głosem i, nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. - Dobrze spałeś?

- Powinnaś wiedzieć. - Jej łagodny uśmiech drażnił go, a zarazem podniecał. - Morgano, co ty ze mną zrobiłaś?

- Ja? Z tobą? - Zwlekała z odpowiedzią, żeby nie stracić panowania nad głosem. - Zdaje się, że nie wypiełeś jeszcze porannej kawy. Zaraz ci podam.

Chwycił ją gwałtownie za ramiona, zanim zdążyła się odwrócić.

- Sam zrobię kawę.

- Dobrze. - Dostrzegła gniew w jego oczach. - Może wolisz, żebym wpadła trochę później?

- Nie. Załatwimy to teraz. - Kiedy zniknął w korytarzu, Morgana zacisnęła powieki. Katastrofa wisiała w powietrzu. „Załatwimy to” zabrzmiało w jego ustach jak „skończymy z tym”. Chciała zrozumieć natychmiast - pójść za nim do kuchni, ale zabrakło jej odwagi. Usiadła w salonie na brzegu krzesła.

Nie spodziewała się zastać Nasha w złym humorze. Był zimny i opryskliwy. Tak jak wczoraj, kiedy rozmawiał z Leeanne. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Aż do dzisiaj nie miała pojęcia, jak bardzo można zranić człowieka takim lodowatym wzrokiem...

Zaczęła krążyć po pokoju, jedną rękę trzymając na brzuchu. Dopiero po chwili dostrzegła swój mimowolny gest i blado się uśmiechnęła. Przysięgła sobie w duchu, że bez względu na to, co się stanie - będzie bronić tego życia. Za wszelką cenę.

- Twoje kwiaty potrzebują więcej wody - rzuciła przytłumionym głosem.

- Chyba nie jestem w nastroju do rozmowy o kwiatkach.

- Właśnie widzę. Więc o czym będziemy rozmawiać?

- Chcę poznać całą prawdę.

Morgana posłała mu twarde, kpiące spojrzenie.

- Do usług. Od czego mam zacząć?

- Wszystko jedno, tylko przestań grać ze mną w ciuciubabkę. Mam tego serdecznie dosyć, rozumiesz? Jestem zmęczony. - Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ponurą miną i pałającym wzrokiem Nash zaczął przemierzać salon w tę i z powrotem, od okna do przeciwległej ściany. - Cała ta historia była dla ciebie komedią, prawda? Jak długo mogłabyś ją ciągnąć? Od pierwszej chwili, kiedy wszedłem do sklepu, upatrzyłaś mnie na swoją ofiarę - partnera do zabawy, w której tylko ty wiedziałaś, co jest grane. Mój stosunek do twoich... talentów drażnił cię, ranił twoją ambicję, więc postanowiłaś pokazać, co potrafisz.

Jej serce pękało z bólu, ale odpowiedziała silnym głosem, patrząc mu prosto w oczy.

- Powiedz lepiej otwarcie, o co ci chodzi. Bo jeśli mówisz, że pokazałam, kim jestem, to nawet nie mogę zaprzeczyć. I wcale się tego nie wstydzę.

Odstawił z traskiem filiżankę i prawie cała kawa rozlała się po stole. Czuł się zdradzony. To uczucie było tak dojmujące, że odbierało mu rozum. Kochał ją. To ona sprawiła, że ją pokochał. Zdemaskował jej grę, a ona stała teraz przed nim - spokojna, piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Chcę wiedzieć, co ze mną zrobiłaś. Chcę, żebyś to cofnęła... zdjęła ze mnie swój urok.

- Mówiłam ci, że nie...

- Spójrz mi w oczy. - Chwycił ją za ramiona. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie wymachiwałaś nade mną swoją różdżką ani nie wypowiedziałaś żadnego zaklęcia, przez które czuję do ciebie... to, co czuję.

- Co czujesz?

- Dobrze wiesz. Jestem zakochany. Nie potrafię o tobie nie myśleć, pożądam cię jak opętaniec. Nie mogę wyobrazić sobie życia za rok, za dziesięć lat... bez ciebie.

- Nash... - Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Podniosła rękę, ale zanim zdążyła go dotknąć, Nash odtrącił ją i cofnął się gwałtownie.

- Jak to zrobiłaś? W jaki sposób pomieszałaś mi w głowie? Do tego stopnia, że zacząłem myśleć o małżeństwie i rodzinie! I po co ci to było? Chciałaś potrenować, zabawić się zwykłym śmiertelnikiem? Do czasu, kiedy nie znajdziesz sobie ambitniejszej rozrywki?

- Jestem takim samym śmiertelnikiem jak ty - powiedziała dobitnie. - Muszę jeść, spać i krwawić, kiedy się skaleczę. Starzeję się. I czuję.

- Nie jesteś taka jak ja!

- Nie. Masz rację. Jestem inna i nic na to nie poradzę. Ale jeżeli nie możesz się z tym pogodzić, odejdę.

- O, nie. Nie odejdziesz stąd tak po prostu. Nie zostawisz mnie w tym żalnym stanie. Wybij to sobie z głowy. - Potrząsnął nią brutalnie. - Cofnij zakłęcie.

- Jakie zakłęcie? - spytała zmęczonym głosem, czując, jak pryskają jej ostatnie złudzenia.

- To, którego użyłaś. Zmusiłaś mnie do opowiadania rzeczy, o których nikomu jeszcze nie mówiłem - i nie miałem zamiaru mówić nigdy w życiu. Obnażyłaś mnie, Morgano. Podstępnie. Wbrew mojej woli. Gdybyś nie pomieszała mi zmysłów, nie paplałbym o swojej cholernej rodzinie, o swoim dzieciństwie. Niby po co miałbym to robić? Nie jestem ekshibicjonistą. To należało tylko do mnie. - Zwolnił uścisk, a potem odwrócił się gwałtownie, bojąc się, że straci nad sobą panowanie. - Wyciągnęłaś to ze mnie, używając swoich cyrkowych sztuczek. Używałaś moich uczuć... do zabawy.

- Nigdy nie używałam twoich uczuć - zaczęła z furją, ale natychmiast zawiesiła głos. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Doprawdy? - wycedził z satysfakcją.

- Wczoraj, jeden raz, złamałam zasadę. Po telefonie twojej matki, kiedy opowiedziałeś mi to wszystko, chciałam podarować ci spokój.

- Więc zauroczyłaś mnie czy nie?

- Dałam się ponieść uczuciom. Wiedziałam, że nie powinnam, ale to było silniejsze ode mnie. Jeżeli postąpiłam źle... teraz wiem na pewno, że popełniłam błąd... to przepraszam.

- W porządku. Przepraszam, Nash, że zabrałam cię na wycieczkę. A co z resztą?

- Z resztą czego? - Drżącą ręką odgarnęła do tyłu włosy.

- Dalej masz zamiar twierdzić, że nie ty zamąciłaś mi w głowie? Że nie manipulowałaś moimi uczuciami? Nie ty sprawiłaś, że uwierzyłem w miłość, że zacząłem myśleć o wspólnym życiu, ba, nawet o dzieciach z tobą? Wiesz równie dobrze jak ja, że to do mnie nie pasuje. Broniełem się dotąd skutecznie, bo nie chciałem się zakochać. Na samą myśl o rodzinie dostawałem dreszczy.

- Krótko mówiąc uważasz, że przywiązałam cię do siebie za pomocą magii? Czarami zmusiłam do miłości?

- Tak właśnie uważam.

Coś w niej pękło. Puściła wodze. Kolor powrócił na jej policzki, oczy zajaśniały normalnym blaskiem. Zapadła cisza przed burzą.

- Ty durniu.

Oburzony otworzył usta, ale zamiast słów wydobyło się z nich beczenie osła. Z przerażeniem w oczach próbował jeszcze kilka razy, Morgana tymczasem uniosła się w powietrze.

- Czujesz się jak w zaklętym kręgu? Zmuszany do miłości? - mruzczała złowrogo, zrzucając z półek wszystkie książki, które, zamiast upaść na podłogę, latały po pokoju jak zbłąkane pociski. Nash pochylał się, osłaniał głowę, próbował je łapać, ale nie zdołał uniknąć wszystkich ciosów. Zaklął, kiedy wyjątkowo ciężki tom wylądował na jego nosie.

- Posłuchaj, kochanie... - Odetchnął z ulgą, słysząc własny głos.

- Nie, to ty posłuchaj, kochanie. - Jednym gestem ręki sprowadziła porywisty wiatr. Meble jeździły po pokoju jak w okrętowej kajucie podczas sztormu, wpadały jedne na drugie, roztrzaskiwały się z hukiem. - Uważasz, że marnowałabym swój talent na oczarowywanie takiego faceta jak ty? Ty zarozumiały, beczelny durniu. Znajdź mi chociaż jeden powód, dla którego miałabym się zlitować i nie zamienić cię w gada - którym jesteś.

- Ani myślę... - Zbliżał się do niej z oczami zwężonymi w szparki.

- Rzeczywiście myślenie nie jest twoją najmocniejszą stroną. Lepiej sobie daruj.

- Nie mam zamiaru ciągnąć tej głupiej zabawy...

- No to popatrz. - Pstryknięciem palców wyrzuciła go w powietrze, metr ponad ziemię, starając się, żeby lądowanie było dostatecznie twarde.

- Trzeba być wyjątkowym głupcem, żeby złościć czarownicę. Czy możesz sobie wyobrazić, co zrobiłby na moim miejscu ktoś równie zdolny, ale mniej zrównoważony, pozbawiony skrupułów?

- No więc dobrze. Dojdźmy do jakiegoś... - Zaczął wstawać, ale Morgana usadziła go z powrotem jeszcze brutalniej. Usłyszała zgrzyt jego zębów.

- Nie podchodź do mnie. Ani teraz, ani nigdy więcej. - Oddychała ciężko, chociaż starała się nad sobą panować. - Przysięgam, że jeśli to zrobisz, do końca dni swoich będziesz chodził na czterech nogach i wył do księżyca.

Nie wierzył, że byłaby do tego zdolna, ale wolał nie ryzykować. Jego pokój wyglądał jak pobojuwisko. Jego życie było pobojuwiskiem. Cholera, trzeba jakoś z tego wybrnąć.

- Przestań, Morgano - poprosił nad podziw spokojnym głosem. - Niczego tym nie udowodnisz.

Opadła z niej furia, odsłaniając pustkę i ból, poczucie żalu oraz wielkiego niespełnienia.

- Oczywiście, masz rację. Gwałtowny charakter, tak jak gwałtowne uczucia, ponoszą mnie czasami. Niepotrzebnie. Nie. - Podniosła rękę, zanim Nash zdążył wstać z krzesła. - Zostań tam, gdzie jesteś. Nie rękę za siebie.

Kiedy odwróciła się do niego plecami, wiatr zamarł. W pokoju zapanowała cisza. Nash westchnął z ulgą, wierząc, że burza przeszła i najgorsze mają za sobą.

Jakże się mylił.

- A więc nie chcesz być we mnie zakochany. - W głosie Morgany zabrzmiała nowa, niepokojąca nuta.

- Nie chcę być w nikim zakochany - powiedział cedząc słowa, starając się w nie uwierzyć...

- W nikim - powtórzyła jak echo.

- Morgano, zrozum. Jestem fatalną partią. A poza tym lubiłem swoje życie. Takie, jakim było.

- Takie, jakim było, zanim mnie poznałeś.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. A ja... Do diabła, nie muszę się tłumaczyć, dlaczego nie lubię być zaklinany. Ani w gada, ani w zakochanego szaleńca. - Poderwał się z krzesła. - Jesteś taka piękna i...

- Proszę cię - powiedziała zduszonym głosem, odwracając się od okna. - Tylko nie wysilaj się na błyskotliwe wykręty. Nie chcę tego słyszeć.

Serce zamarło mu ze zgrozy. Morgana płakała.

- Błagam, przestań. Nie chciałem cię... - Urwał w pół słowa, kiedy poczuł, że dzieli ich twarda, niewidzialna ściana. Wyciągał rękę i za każdym razem trafiał na opór. - Przestań.

- Ogarniała go coraz większa panika. Niesmak. Wstręt do samego siebie. - Morgano, to nie jest odpowiedź.

- Jest. Dopóki nie znajdę właściwszej.

Jej serce krwawiło. Próbowała go znienawidzić. Rozpaczliwie chciała go znienawidzić za to, że ją upokorzył. Płacząc bezgłośnie, przycisnęła do brzucha obie dłonie.

- Morgano, nie wytrzymam tego. Zniosę wszystko oprócz twojego płaczu.

- Zniesiesz to jeszcze przez chwilę. Nie bój się, łyzy czarownicy są równie bezsilne i bezużyteczne jak łyzy każdej kobiety. Nash, chcesz odzyskać swoją wolność?

- Boże, nie widzisz, że sam nie wiem, czego chcę? Morgano, zrób coś z tą cholerną ścianą...

- Obiecałam, że nie wezmę od ciebie więcej, niż sam zechcesz mi dać. Zawsze dotrzymuję słowa.

Ogarnęło go zupełnie nowe uczucie. Nie zwykły lęk - przed nieznanym, przed tym, czego nie pojmował, przed samym sobą - tylko paraliżujący strach, że to, czego najbardziej pragnął, przecieka mu przez palce. Na własne życzenie.

- Pozwól mi się dotknąć, błagam.

- Pozwoliłabym. Gdybym była dla ciebie przede wszystkim kobietą. - Położyła rękę na ścianie. - Czy sądziłeś, że przez to, że jestem inna, nie tęsknię za normalną miłością? Widziałeś we mnie tylko czarownicę?

- Zburz to świństwo między nami...

- Nash, spotkaliśmy się gdzieś po drodze, mieliśmy jakieś wspólne sprawy... To niczyja wina, że zaczęłam cię kochać.

- Morgano, proszę.

Kręciła głową przyglądając się jego twarzy, zapisując ją pamięci i w swoim sercu.

- Będzie jak chcesz - powiedziała dumnie. - Miłość wyczarowana jest fałszywą miłością. Dlatego, jeżeli miałam nad tobą jakąś władzę, oddaję ją bez żalu. Od tej chwili wszystko przepadło. Jeżeli za pomocą magii wzbudziłam w tobie jakieś uczucia.

odwołuję zaklęcie. Uwalniam cię od siebie i od wszystkiego, co robiliśmy wspólnie.

- Morgano, nie odchodź w ten sposób.

- Mój Boże! - Uśmiechnęła się przez łyzy. - Mogę sobie chyba pozwolić na efektowne, dramatyczne wyjście, nie sądzisz? Przynajmniej na to. Niech ci się dobrze wiedzie, Nash. Żegnaj.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie miał wątpliwości, że jest bliski obłędu. W dzień błąkał się po domu bez żadnego celu, w nocy przewracał z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Powiedziała, że uwalnia go od siebie... Przysięgała. Więc dlaczego nie czuł się wolny?

Dlaczego nie przestał o niej myśleć, tęsknić za nią? Dlaczego nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy, łez na policzkach - ani jednej sekundy ich ostatniego spotkania?

Próbował sobie tłumaczyć, że Morgana skłamała mówiąc, że cofnęła miłosne zakłęcie. Czuł jednak w głębi duszy, że to on okłamuje samego siebie.

Dopiero po tygodniu dał za wygraną i pojechał do niej. Dom wyglądał na opuszczony. W sklepie zastał Mindy, która spojrzawszy na niego z pogardą oświadczyła, że Morgana wyjechała, ale nie jego sprawa dokąd, ani na jak długo.

Powinien odetchnąć z ulgą. Zapomnieć o niej i wrócić do normalnego życia. Tak postanowił. Przez kilka dni naprawdę starał się zapomnieć. I wrócić.

Spacerując pewnego dnia po plaży wyobraził sobie, że idą obok siebie, trzymając za ręce podskakujące, roześmiane dziecko...

Uciekł więc z Monterey do Los Angeles.

Wmawiał sobie, że nareszcie dobrze się czuje: w wielkomijskim hałasie, zgiełku bezimiennego tłumu. Umówił się na lunch ze swoim agentem, żeby porozmawiać o obsadzie aktorskiej filmu. Wieczorami rzucał się w wir zabawy. Wędrując od klubu do klubu zastanawiał się, czy nie popełnił błędu porzucając miasto tętniące życiem dla wielkiego domu z ogrodem...

Po trzech dniach miał dosyć rozrywek oraz miasta tętniącego życiem. Tęsknił za wiatrem w kominie, szumem fal... i za Morganą.

Jeszcze raz pojechał do sklepu, ale Mindy była nieubłagana. Nie zaszczyciła go ani jednym słowem.

Doprowadzony do ostateczności, zatrzymał samochód przed domem Morgany. Postanowił śledzić go dzień i noc. Pocieszał się, że minął już prawie miesiąc, że przecież Morgana musi wrócić - do domu, do pracy...

Na litość boską! Przecież na nią czeka. Gotów był błagać, walczyć o nią, zrobić wszystko, byle tylko wróciła. Do domu, który tak kochała... i do jego życia.

Położył rękę na talizmanie. Zamknął oczy, żeby myśleć tylko o niej.

- Kochanie, wiem, że usłyszysz mnie, jeśli tylko zechcesz. Nie możesz mnie skreślić... tak po prostu. Nie zrobisz tego. Zachowałem się jak idiota, naopowiadałem bzdur, ale to nie powód, żeby skazywać mnie na dożywocie.

Czuł jej obecność. Naprawdę wierzył, że Morgana jest blisko. Otworzył powoli oczy, z bijący sercem podniósł głowę... Zobaczył nad sobą rozbawioną twarz jej kuzyna.

- Co to? - Sebastian zakpił bezlitośnie. - Nocne polowanie?

- Gdzie ona jest? - Nash wyskoczył z samochodu z zaciśniętymi pięściami. - Musisz wiedzieć i prędzej czy później powiesz mi... - Chwytał Sebastiana za koszulę.

- Uważaj, przyjacielu. Zastanów się, zanim zadasz następne pytanie, bo odpowiem ci bez słów - warknął groźnie. - Marzyła mi się taka rozmowa od kilku tygodni...

Perspektywa męskiej walki przemówiła Nashowi do wyobraźni. Uśmiechnął się złowrogo.

- W takim razie nic prostszego, jak...

- Opanujcie się, z łaski swojej - rozkazała Anastazja. - Jeden i drugi. Domyślam się, z jaką przyjemnością rozkwasiłobyście sobie nosy, ale nie przy mnie!

- Chcę wiedzieć, gdzie ona jest... - syknął Nash, opuszczając bezwładnie ręce.

- Twoje zachcianki guzik nas obchodzą. - Sebastian wzruszył ramionami. - Ale co jest z tobą, chłopie? Zrobiłeś się strasznie nerwowy. Sumienie cię gryzie, czy co?

- Przestań, Sebastianie... - W spokojnym głosie Any zabrzmiała nuta współczucia. - Nie widzisz, że on cierpi?

- To prawda - jęknął Nash, wpatrując się tępo w ziemię.

- I że ją kocha?

- Ano, nie zmienisz chyba zdania z powodu jego zbolącej miny. - Sebastian wybuchnął sardonycznym śmiechem.

- Na litość boską, kuzynie! Sam możesz zajrzeć do jego duszy - powiedziała Ana.

Sebastian spoważniał na chwilę, przymknął oczy, a potem znów się roześmiał.

- Święta prawda. No, no... - Zaczął kręcić głową z pełną świadomością, że prowokuje Nasha. - Co za diabeł musiał cię podkusić, żeby tak to wszystko zabagnić...

- Nie będę się przed tobą tłumaczył - warknął Nash. - Wszystko, co mam do powiedzenia, powiem Morganie.

- Słusznie. Tylko widzisz... Coś mi się zdaje, że Morgana doszła do wniosku, że powiedziałeś już wszystko. Nie sądzę, żeby czuła się teraz na siłach wysłuchiwać twoich obrzydliwych pomówień po raz kolejny.

- Na siłach? - Serce skoczyło mu do gardła. - Czy ona jest chora? Możesz mi powiedzieć, co się z nią dzieje?!

- Nie jest chora - szepnęła łagodnie Anastazja. - Czuje się całkiem dobrze.

Nash uspokoił się i z rezygnacją opuścił głowę.

- W porządku. Chcecie, żebym was błagał. Więc błagam... Muszę się z nią spotkać. Jeżeli mnie wyrzuci, pogodzę się z tym i zniknę wam z oczu. Ale proszę was o tę jedną, jedyną szansę.

- Pojechała do Irlandii - powiedziała z uśmiechem Ana. - Masz ważny paszport?

Po tygodniu spędzonym w Irlandii Morgana czuła się jak nowo narodzona. Irlandia zawsze na nią tak działała. Bez względu na pogodę - nawet jeżeli wiał porywisty wiatr od morza - powietrze wydawało jej się kojące i aromatyczne.

Każdy dzień spędzony z rodziną dodawał jej sił, przywracając cząstkę dzieciństwa. Nigdzie na świecie nie czuła się tak spokojnie i bezpiecznie. Wyciągnęła się w fotelu przy oknie, zamknęła oczy i odwróciła twarz do słońca. Jej matka szkicowała coś zapamiętałe w przeciwległym kącie salonu. Zupełnie jak dawniej, chociaż było to w innym domu i w innym pokoju. Bryna tak niewiele się zmieniła przez te wszystkie lata...

Miała równie ciemne i równie gęste włosy jak córka. Kobaltowe oczy wydawały się bardziej rozmarzone niż oczy Morgany, ale widziały jeszcze wyraźniej.

- Jesteś taka piękna, mamo. - Jej głos przepelniony był miłością i tęsknotą.

- Nie będę się z tobą spierać. - Bryna uśmiechnęła się żartobliwie. - Nie masz pojęcia, jak przyjemnie to słyszeć od dorosłej córki. - Zamilkła na chwilę, nie kryjąc wzruszenia, które ścisnęło jej gardło. - Żebyś wiedziała, kochanie, jaką zrobiłaś mi niespodziankę swoimi odwiedzinami... Nam wszystkim.

- Codziennie rano, kiedy otwieram oczy, gratuluję sobie pomysłu... - Morgana roześmiała się cicho. - Tak mi z wami dobrze. I strasznie jestem wam wdzięczna, że... nie zadaliście mi do tej pory ani jednego pytania.

- I słusznie! Ojciec ledwie wytrzymał. Wiesz, jak on cię uwielbia.

- Wiem. - Łzy zasłoniły jej oczy. - Przepraszam. Te moje humory... - Podniosła się z fotela. - I pomyśleć, że jako dziecko nie byłam beksą!

- Kochanie. - Bryna wyciągnęła ręce, czekając, aż Morgana podejdzie i spojrzysz jej w oczy. - Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko. Naprawdę wszystko. Kiedy tylko zechcesz.

- Mamo. - Morgana uklękła i położyła głowę na kolanach matki. - Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jaka jestem szczęśliwa dzięki wam. Dzięki temu, że mam takich

rodziców. Nigdy nie musiałam się zastanawiać, czy mnie kochacie, czy obchodzi was, co się ze mną dzieje. Wszystko było takie oczywiste, więc... nigdy wam nie podziękowałam.

- Ależ, kochanie... - Bryna kołysała córkę w ramionach, coraz bardziej zdumiona. - Po to człowiek ma rodzinę: żeby się wszyscy kochali, nie oczekując wdzięczności. Czy dziękuję się za powietrze?

- Nie wszystkie rodziny tak myślą. - Kiedy Morgana podniosła głowę, w jej oczach nie było już śladu łez. - Prawda, mamó? Nie wszystkie rodziny się kochają.

- Ich strata. Powiesz mi wreszcie, co naprawdę cię trapi?

- Wciąż sobie wyobrażam, co czuje człowiek, którego od urodzenia nikt nie chciał, nikt nie kochał. Dziecko, któremu powtarzano, że jest pomyłką, okrutnym zrzędzeniem losu. Czy może być coś gorszego? Coś bardziej niepojętego dla takich dzieci szczęścia jak ja, Sebastian czy Anastazja?

- Nie. Nie ma nic gorszego niż życie bez miłości. Morgano - Bryna zniżyła głos do najczulszego szeptu - czy ty się przypadkiem nie zakochałaś?

Nie musiała odpowiadać.

- Właśnie o nim wciąż myślę. Nigdy nie miał tego, co my uważaliśmy za naturalne. W powietrzu, którym on oddychał, nie było miłości. A mimo to... - w kącikach jej ust zakwitł uśmiech - wyrósł na wspaniałego człowieka. Polubiłabyś go. Jest zabawny. Błyskotliwy. Jak przystało na artystę, nie cierpi stereotypów. Ale jest w nim coś niedostępnego... Zamknięty rewir duszy. To nie jego wina. W dzieciństwie doznał wielu krzywd od własnej rodziny. A ja nie znalazłam żadnego sposobu, żeby przebić się przez tę obronną skorupę. Nie ma zaklęcia, które uwolniłoby go od jarzma koszmarów, nie okaleczając całej reszty. Nash nie chce mnie kochać, a Ja nie mogę, nie chcę zdobywać jego uczuć podstępem.

- Nie. - Bryna patrzyła na córkę ze ściśniętym sercem. - Jesteś na to zbyt silna, zbyt dumna i zbyt mądra. Ale ludzie się zmieniają, Morgano. Może z czasem...

- Nie mam czasu. Przed Bożym Narodzeniem urodzę jego dziecko.

Wszystkie słowa pocieszenia uwięzły Brynie w gardle. Myślała tylko o jednym: jej córka będzie matką.

- Dobrze się czujesz? - spytała zdławionym głosem.

- Tak. - Morgana uśmiechnęła się. Właśnie takie pytanie chciała usłyszeć.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Och, kochanie. - Bryna podniosła się i przytuliła Morganę jak małe dziecko. - Moja mała dziewczynka...

- Niedługo przestanę być małą dziewczynką. Wybuchnęły jednocześnie nerwowym śmiechem.

- Cieszę się z twojego szczęścia. Ale i martwię...

- Wiem. Chcę mieć to dziecko, mamó. Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie tylko dlatego, że będzie mi przypominało jego ojca, ale dla niego samego. Może po prostu dojrzałam.

- Więc jak się naprawdę czujesz w tej trudnej sytuacji?

- Dziwnie. Czasami mi się zdaje, że jestem silna jak drzewo, niczego się nie boję, a po chwili drzę ze strachu, czuję się taka krucha...

Bryna, zamyślona, kiwała ze zrozumieniem głową.

- I uważasz, że jego ojciec jest dobrym człowiekiem?

- Tak, na pewno jest dobrym człowiekiem.

- To znaczy, że kiedy mu powiedziałaś, był... po prostu zaskoczony, nieprzygotowany? - Zauważyła, w jaki sposób Morgana uciekła wzrokiem. - Kochanie, kiedy byłaś dzieckiem, robiłaś to w identyczny sposób: spojrzenie w przestrzeń przez ramię, kiedy rozmowa staje się kłopotliwa.

- Nie powiedziałam mu. Proszę cię, mamó... Wiem, co o tym myślisz. Miałam zamiar, ale wszystko przepadło, zanim się zdecydowałam. Kiedyś ci wytłumaczę. Wiem, że nie powinnam przed nim tego ukrywać, ale też nie zamiaru wiązać go ze sobą takim wyznaniem. Musiałam dokonać wyboru.

- Dokonałaś złego wyboru. - Bryna wypowiedziała każde słowo oddzielnie.

- Trudno. - Rysy jej twarzy wyostrzyły się. - Dobry czy zły, ale mój własny. Nie proszę cię, żebyś go pochwaliła, ale szanujesz chyba moje prawo do podejmowania decyzji. I proszę cię, mamó, żebyś na razie nikomu nie mówiła. Nawet tacie.

- Nawet tacie co? - Matthew, wkraczając do pokoju, usłyszał ostatnie słowa.

- Babskie plotki. - Morgana podeszła do niego z uśmiechem i pocałowała w policzek. - Cześć, przystojniaku.

- Wyczuwam na odległość, kiedy moje dziewczyny dzielą się sekretami. - Uszczypnął Morganę w nos.

- Tylko bez węszenia! - Pogroziła mu palcem, doskonale wiedząc, że jej ojciec potrafi czytać w myślach nie gorzej od Sebastiana. - Co robi reszta rodziny?

Matthew był niezbyt zadowolony, postanowił jednak cierpliwie czekać. Jeżeli wkrótce mu nie powiedzą, sam się dowie. W końcu, jest przecież jej ojcem.

- Douglas i Maureen kłócą się w kuchni o to, kto i co przygotowuje na lunch. Camilla ogrywa Patricka. Biedaczek coraz gorzej to znosi. Zarzuca jej jak zwykle, że zaczarowała karty.

- A zaczarowała? - Bryna uśmiechnęła się pod nosem.

- Oczywiście. Twoja siostra jest urodzoną szulerką.

- A twój brat wiecznym pechowcem. Niebożątko. Morgana objęła ich oboje, wybuchając śmiechem.

- Pojęcia nie mam, jak wy wszyscy wytrzymujecie ze sobą w jednym domu. Chodźcie. Zrobimy na dole jeszcze większe zamieszanie.

Schodziła do jadalni jak na skrzydłach, wędząc, że rodzinna biesiada - z całą szóstką Donovanów - na pewno poprawi jej humor. Oglądanie z bliska tych wszystkich gier i przekomarzań pomiędzy rodzeństwem, małżeństwami, szwagrami... To lepsze niż miejsce w pierwszym rzędzie najlepszego cyrku.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że choć nie zawsze się zgadzają, mają swoje konflikty i tarcia - to jednak zawsze, w obliczu rodzinnego kryzysu, staną murem jedno przy drugim.

Nie zamierzała prowokować rodzinnego kryzysu. Chciała spędzić z nimi trochę czasu, pooddychać atmosferą ich domu, ożywić wspomnienia.

Możliwe, że bracia Donovanowie byli trojaczkami, możliwe też, że ożenili się z siostrami trojaczkami. Musiała wierzyć im na słowo, chociaż nie dostrzegała między członkami tego klanu fizycznego podobieństwa.

Oto jej ojciec, wysoki i szczupły, z bujną czupryną stalowosiwych włosów i nienagannie przyciętą brodą, która nadawała jego twarzy wyraz dostojności.

A to Patrick, ojciec Anastazji, wzrostem nie przewyższający Morgany, zbudowany jak atleta, o usposobieniu figlarza.

W końcu Douglas, liczący prawie dwa metry wzrostu, z resztką włosów zaczesanych dramatycznie do tyłu, ekscentryk z natury i z zamiłowania. Od pewnego czasu nie rozstawał się ze szkłem powiększającym. Oglądał przez nie wszystko i wszystkich - kiedykolwiek przyszła mu na to ochota. Kapelusz myśliwski i pelerynę zdejmował w domu tylko dlatego, że jego żona Camilla zagroziła kiedyś, że nie usiądzie z nim do stołu.

Camilla, traktowana przez wszystkich jak niesforne dziecko, o ładnej twarzy i pulchnej figurze - miała w istocie żelazny charakter, a w ekscentrycznych pomysłach z łatwością dorównywała mężowi. Tego ranka pojawiła się w nowej fryzurze: jaskrawopomarańczowych lokach w stylu Shirley Temple.

Maureen - wysoka, postawna - genialne medium o zdolnościach, które nawet Morganę wprawiały w osłupienie. Kiedy wybuchała swoim zaraźliwym, wibrującym śmiechem, wtórowały jej szyby w oknach. Jeśli dodać do tego rodziców Morgany - łagodną matką oraz wyciszzonego, pełnego godności ojca - można by stwierdzić, że lokatorzy Zamku Donovanów stanowili dość osobliwą komunę.

- Twój kot znowu łąził po moich firankach - zwróciła się Camilla do Maureen.

- To dopiero wydarzenie... - Maureen wzruszyła barczystymi ramionami. - Polował na myszy, wielkie mi co!

- Wiesz dobrze, że w tym domu nie ma ani jednej myszy. Douglas je dawno przepędził.

- Sfuszerował zakłęcie - mruknął Matthew.

- Sfuszerowana to jest dzisiejsza szarlotka. Zakalec. - Camilla wykrzywiła pogardliwie usta, występując w obronie męża.

- Robiłem ją z Dougiem - zachichotał Padrick. - Za to moje ciasteczka - palce lizać. Próbowałaś?

- Według nowego przepisu. - Douglas spojrzął na nie przez szkło powiększające. - Bardzo zdrowe.

- Wróćmy lepiej do kota. - Camilla nie dawała za wygraną.

- Kot jest zdrowy jak koń - powiedział radośnie Padrick. - Prawda, aniołku? - Puścił oko do Maureen.

- Zgadnij - syknęła Camilla - co mnie obchodzi zdrowie waszego kota.

- No, nie... Nie przesadzaj, kochanie. - Douglas poklepał żonę po ramieniu. - Nie chcemy, żeby jakiś chory kot błąkał się po domu. Prawda? Reenie sporządzi mu jakąś uzdrawiającą miksturę.

- Ten kot nie jest chory - wycodziła Camilla zmienionym głosem. - Douglas, na miłość boską, uważaj... Dobrze ci radzę.

- Na co znowu mam uważać? - zapytał oburzonym głosem. - Jeżeli kotu nic nie dolega, to w czym, do licha, problem? Morgano, nie smakuje ci szarlotka?

- Jest pyszna. Oszczędzam ją na później. - Morgana wstała. Zrobiła rundę wokół stołu i każdego pocałowała w policzek. - Kocham was wszystkich.

- Morgano - zapytała Bryna - dokąd się wybierasz?

- Na spacer. Na bardzo długi spacer po plaży. Zapadła cisza. Douglas spojrzął na nią przez szkło powiększające.

- Ta dziewczyna zachowuje się dziwnie. - Uznawszy lunch za skończony, wcisnął na głowę kapelusz. - Nie sądzicie?

Nash czuł się gorzej niż dziwnie. Miał za sobą dwadzieścia godzin lotu, w czasie których tylko raz, nad Atlantykiem, na chwilę przysnął. Z lotniska w Dublinie pojechał prosto na dworzec kolejowy. W Waterford okazało się, że do Zamku Donovanów dotrzeć może wyłącznie samochodem, i to własnym. Zmitrężył sporo czasu, usiłując kupić lub wypożyczyć samochód. W końcu, kiedy już był zdecydowany go ukraść, jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Już niedługo, powtarzał sobie uparcie, próbując oszukać zmęczenie. Kilkanaście cholernych kilometrów. ..

Pamiętał, że musi trzymać się właściwej strony drogi, a więc lewej, a nie prawej. Właściwej? Co za idiotyzm. Ten ciąg wertepów z rowem zamiast pobocza nazywać drogą - to lekka przesada...

Używany pojazd, który nabył po wielu perypetiach za tysiąc dwieście dolarów (niech mu ktoś powie, że Irlandczycy nie mają wyjątkowej głowy do interesów) przypominał samochód tylko z wyglądu. Na każdym wyboju Nash miał wrażenie, że grat rozleci się w drobny mak, a on zostanie z kierownicą w ręku. I dostanie zawału, zanim wdrapie się na ostatnie zbocze...

- Jeśli przeżyję - zaczął mrużyć pod nosem - jeżeli znajdę ją i nie padnę trupem, będę ją mordował własnymi rękami... Powoli, żeby wiedziała, że to nie żarty.

Potem wyobraził sobie, że zanieśie ją na własnych rękach w jakieś odludne miejsce i będą się kochali przez tydzień. Potem przez cały tydzień będzie spał, a potem zaczną od nowa...

Jeżeli przeżyje.

Nagle samochód zatrząsł się, coś w nim zaczęło dudnić, terkotać, a potem strzelać. Zaciskając zęby, Nash zaklinał go na wszystkie świętości, błagał i groził, żeby tylko pokonał ostatnie wzniesienie. Na szczycie zbocza wcisnął hamulec. Mając przed sobą ostatni odcinek drogi prowadzącej prosto do zamku, nie czuł smrodu palonej gumy, ani nie zauważył dymu, który wydobywał się spod maski.

Widział tylko zamek.

Spodziewał się, że Zamek Donovanów to nazwa posiadłości, olbrzymiego domu, tymczasem na horyzoncie rysowała się autentyczna kamienna twierdza położona nad urwiskiem, prawie czarna na tle błękitnego morza. Z najwyższej wieży powiewała biała flaga w kształcie pentagramu. Stopa Czarownika...

Przetarł oczy, ale wizja nie znikwała. A niech to... Gdyby teraz rycerz na koniu wpadł galopem na zwodzony most - bo był tam zwodzony most - wcale by się nie zdziwił.

Nash zaczął się śmiać. Pierwsze oszołomienie zastąpiła radość. W brawurowym odruchu nacisnął gaz... i z głośnym śmiechem wjechał do rowu.

Złorzecząc wściekle, wygrzebał się z tego, co zostało po samochodzie. Kopnął kilka razy w zardzewiałe zderzaki, wyciągnął torbę i ruszył przed siebie. Pieszy etap podróży ocenił na dobre pięć kilometrów.

Kiedy jego zmęczonym oczom ukazał się biały koń galopujący przez most od strony zamku, przystanął na chwilę, żeby zdecydować, czy widzi go naprawdę, czy raczej doznaje halucynacji. Jeździec co prawda nie miał na sobie zbroi - w takim wypadku odpowiedź byłaby prosta - ale też nie wyglądał pospolicie: szczupły, wysoki, z falistą, srebrną grzywką. Nash nie zdziwił się nawet na widok sokoła, który siedział na lewym przedramieniu mężczyzny.

Doszedł do smutnego wniosku, że już nic nie jest w stanie go zdziwić.

Matthew Donovanowi wystarczyło jedno spojrzenie na mężczyznę, który tak głupio wpadł do rowu, a teraz ledwie powłóczył nogami.

- Żałosny. Mówię ci, Ulissiesie, żałosny. Nie pożywiłbyś się takim chuderlakiem.

Sokół łypnął okiem na znak zgody. Matthew ściągnął wodze i stępem, z wyniosłą miną, podjechał do przybysza.

- Zabłądziłeś, kawalerze?

- Nie. Wiem, dokąd idę. - Nash wskazał palcem zamek.

- Do Zamku Donovanów? - Matthew uniósł brwi. - Nie wiesz, że tam grasują czarownice? Wybacz szczerze, ale w tym stanie... nie chcesz chyba zadzierać z wiedźmami?

- Tylko z jedną - syknął Nash przez zęby. - Tylko z jedną konkretną wiedźmą.

- Hmm. Zauważyłeś, że jesteś ranny?

- Gdzie? - Nash podniósł ostrożnie ręce i obejrzał z niesmakiem swoje lepkie, zaplamione krwią palce. - Rzeczywiście. To ona musiała mnie tak urządzić. Zaczarowała samochód, żebym nie mógł dojechać.

- Ciekaw jestem, którą z nich masz na myśli...

- Morganę. Morganę Donovan. - Wtarał ręce w brudne dżinsy. - Przejechałem kawał drogi, żeby dostać ją w swoje ręce...

- Hola, młody człowieku - przerwał mu łagodnie Matthew. - Mówisz o mojej córce.

Zmęczony, obolały, u granic wytrzymałości psychicznej, Nash pomyślał, że nie ma nic do stracenia. Nawet gdyby starszemu panu przyszło do głowy zaczarować go w

karalucha... Trudno. Będzie co będzie, ale przyleciał tu po właśnie to, żeby postawić sprawę jasno.

- Nazywam się Kirkland, panie Donovan. Przyjechałem po pana córkę. To wszystko.

- Ach, tak? - Wyraźnie rozbawiony, Matthew przechylił na bok głowę. - W takim razie, wsiadaj. Zobaczmy, co na to nasza wiedźma. - Odgonił sokoła i podał Nashowi rękę. - Cieszę się, Kirkland, że to ja ci wyszedłem na spotkanie.

- Tak. - Nash, krzywiąc się z bólu, wskoczył na siodło. - Ja też się cieszę, że to pan.

W chwili, kiedy galopem wjeżdżali na dziedziniec, wysoka, ciemnowłosa kobieta zbiegała ze schodów. Nash z tłumionym jękiem zeskoczył z konia i ruszył ku niej najszybciej, jak potrafił.

- Będiesz musiała się wytłumaczyć, kochanie. Obcięłaś włosy. Co ci, do diabła, przyszło do... - Stał jak wryty, kiedy kobieta, która wydała mu się Morgana, zatrzymała się w pół drogi. Z rękami opartymi na biodrach, patrzyła na niego rozbawionym wzrokiem.

- Myślałem, że pani jest... Przepraszam.

- Pan mi pochlebia - odparła ze śmiechem Bryna. - Matthew, kogo ty mi przywiozłeś?

- Młodego człowieka, który nie wiadomo dlaczego wjechał do rowu i, jeśli dobrze zrozumiałem, chce nam zabrać Morgana.

- Naprawdę? - Bryna zmrużyła oczy. - Chce pan mojej córki?

- Ja... Tak, proszę pani.

- A czy ona pana unieszczęśliwiła? - Na jej wargach drżał ledwie dostrzegalny uśmiezek.

- Tak... Nie. - Westchnął ciężko. - To wszystko moja wina. Błagam panią... Czy ona tu jest?

- Proszę wejść do środka. Opatrzę panu ranę, a potem powiem, gdzie ją pan znajdzie.

- Gdyby pani mogła... - Spostrzegł utkwione w nim wielkie oczy.

- Kogo to, u diabła, mamy zaszczyt gościć? - Douglas opuścił swoje szkło powiększające i leniwym krokiem wyszedł z za drzwi.

- Znajomego Morgany.

- Aha. Ta dziewczyna zachowuje się dziwnie - mruknął Douglas, klepiąc Nasha po plecach. - Ja wam to mówię.

Morgana spacerowała po plaży, wystawiając twarz do wiatru. Jak dobrze... Jak to dobrze, że zdecydowała się na tę podróż. Za kilka dni gotowa będzie wrócić i zmierzyć się z rzeczywistością. Czuje się prawie uzdrowiona.

Z cichym, bezradnym jękiem usiadła na kamieniu. Przynajmniej tutaj, w samotności, nie powinna się oszukiwać. Musi to sobie powiedzieć. Nigdy nie wyzdrowieje. Nigdy nie zasmakuje pełni szczęścia. Oczywiście, że sobie poradzi. Nie będzie rozpaczać, stworzy swojemu dziecku najlepszy dom, jaki potrafi. Dlatego, że jest silna. I bardzo dumna. Ale zawsze będzie jej czegoś brakowało.

Jedno wiedziała na pewno: koniec ze łzami i rozczulaniem się nad swoim losem. Po to właśnie przyjechała do Irlandii. Żeby poukładać sobie w głowie i przypomnieć, że nic - nawet ból - nie trwa wiecznie.

Tylko miłość.

Podniosła się i ruszyła w przeciwną stronę, patrząc, jak fale rozbijają się o skały. Może zaparzy herbatę, ułoży pasjansa - albo pozwoli, żeby Padrick uraczył ją jedną ze swoich niesamowitych opowieści. Zniesie nawet bardzo długą... A potem powie im o dziecku.

Zrozumieją, bo po to człowiek ma rodzinę, żeby rozumiała... Uśmiechnęła się na wspomnienie rozmowy z matką.

Jaka szkoda, że Nash nigdy tego nie zaznał.

Wyczuła jego obecność, zanim usłyszała kroki. W pierwszej chwili pomyślała, że to zmęczony umysł splątał jej figła - zakpił z udawanej odwagi, niepotrzebnych gier, którymi próbowała zagłuszyć własny strach. Powoli, oddychając głęboko, odwróciła głowę.

Zbliżał się do niej długimi, szybkimi krokami. Zauważyła bandaż na głowie. I wyraz oczu, który poraził jej serce.

Cofnęła się o krok, odruchowo, nie domyślając się nawet, jak bardzo przestraszyła go tym gestem.

Jej wzrok... Patrzyła w taki dziwny sposób - jak gdyby się go bała. Żadnych łez w oczach, tylko błysk paniki. Lżej by mu było, gdyby rzuciła się na niego z pięściami, przeklęła, zwymyślała.

- Morgano...

- Co ci się stało? Miałeś wypadek?

- To... - Dotknął ręką bandaża. - Nic. Nic takiego, naprawdę. Pewien samochód rozsypał się w drobny mak akurat wtedy, kiedy nim jechałem. Twoja matka założyła mi to...

- Moja matka? Widziałeś się z moją matką?

- I z całą resztą. - Uśmiechnął się blado. - Są... nie z tej ziemi. Wspaniali. Wpadłem do rowu, dojeżdżając do zamku. A potem spotkałem na drodze twojego ojca. Na białym koniu, z sokołem. - Nash miał świadomość, że zaczyna mówić od rzeczy, ale nie potrafił się opanować. - Zabrali mnie do kuchni, napoili jak dziecko herbatą i... Boże, co ja gadam.

Morgano, tak długo nie wiedziałem, gdzie jesteś. A powinienem był się domyślić. Przecież mówiłaś mi, że jeździsz do Irlandii, żeby połączyć po plaży. Powinienem był wiedzieć. Powinienem wiedzieć o tylu rzeczach.

Oddychała niespokojnie. Śmiertelnie się bała, że zemdleje i padnie jak długa u jego stóp. To by dopiero była scena...

- Miałaś męczącą podróż - powiedziała drewnianym głosem.

- Powinienem przyjechać od razu, ale... Hej! - Złapał ją w ostatniej chwili.

- Nie, proszę, puść mnie, nic mi nie jest. - Próbowwała go odepchnąć, ale Nash otoczył ją ramionami, schował twarz w jej włosach i ani myślał wypuścić.

- Boże, Morgano, daj mi jedną minutę. Pozwól...

- Nie, Nash, nie zaczynajmy. - Jej zdradliwe ramiona, którymi objęła go kurczowo w pasie, mówiły coś innego. Jej spragnione wargi przyjęły jego pocałunek z westchnieniem ulgi.

- Nie mów nic - szepnęła błagalnie - póki nie usłyszysz wszystkiego, co mam ci do powiedzenia.

- Nie, Nash. - Zadrżała na wspomnienie tego, co już jej powiedział. - Nie przesłabym przez to... jeszcze raz. Nie chcę. Nie mogę.

- Nie. - Chwycił ją za nadgarstki. - Żadnych murów tym razem. Daj mi słowo. Przysięgam, że nie mam nic do ukrycia. Daj mi szansę, kochanie.

- Masz moje słowo - szepnęła bezradnie. - Ale muszę usiąść.

- Dobrze. - Wypuścił Morganę z objęć. Patrząc, jak siedzi na skale skulona, z drżącymi dłońmi na kolanach, przypomniał sobie, ile razy pragnął ją zamordować...

- Bez względu na to, co się stało, nie powinnaś była uciekać.

- Ja?

- Tak, ty. Może byłem idiotą - na pewno byłem - ale to nie powód, żeby mnie karać w taki sposób. Kiedy odzyskałem rozum, okazało się, że przepadłaś jak kamień w wodę.

- A więc to moja wina...

- ...że przez ostatni miesiąc odchodziłem od zmysłów? Tak. Cała reszta obciąża moje sumienie. - Musnął dłonią jej policzek. - Przepraszam.

Musiała odwrócić głowę, żeby nie jęknąć.

- Nie, Nash. Nie przyjmuję twoich przeprosin, póki nie zrozumie, za co mnie przepraszasz.

- Wiedziałem, że każesz mi się płaszczyć - powiedział z niesmakiem w głosie. - A więc dobrze. Przepraszam za wszystkie głupstwa, jakie wyszły z moich ust.

- Wszystkie?

Wyprowadzony z równowagi, wstał gwałtownie i podniósł Morganę.

- Spójrz na mnie. Teraz lepiej. Chcę widzieć twoje oczy, kiedy będę mówił, że cię kocham. Że nasze uczucia nie mają nic wspólnego z czarami... i nigdy nie miały. Że wszystko zależało od nas: ode mnie i od ciebie.

Kiedy Morgana zamknęła oczy, paniczny strach przebiegł mu po skórze.

- Nie odpychaj mnie. Morgano, wiem, co zrobiłem. Byłem głupi. Wystraszony jak szczeniak. Niech to szlag. Byłem śmiertelnie przerażony. Proszę cię. - Ujął w ręce jej twarz. - Spójrz na mnie. - Westchnął głośno i omal nie krzyknął ze szczęścia, kiedy wyczytał w jej oczach, że nie jest za późno. - To po pierwsze. Proszę cię o wybaczenie za wszystkie cholerne kłamstwa, którymi chciałem cię dotknąć. Wyrzucić ze swojego życia...

- Dość. Rozumiem, że można się bać. Nash, jeżeli przyjechałeś po moje wybaczenie, wybaczam ci z całego serca. Nie musimy do tego wracać, rozdrapywać ran. Oszczędź mi tego.

- Tak po prostu? - Przyłgął wargami do jej czoła. - Wybaczasz mi? I nie chcesz zaczarować mnie we flądre na jakieś trzy, cztery lata?

- Za pierwsze przewinienie wydaje się wyrok z zawieszeniem. Posłuchaj, Nash, jesteś wykończony podróżą, chodźmy teraz na herbatę i nie wracajmy do tego. Nigdy.

- Morgano... - Trzymał ją kurczowo w ramionach. - Powiedziałem, że cię kocham. Nie mówiłem tego nikomu... jeszcze nigdy, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Przyznaję, że trudno mi to przyszło. Nie znosiłem takich słów, ale z czasem... Może przy tobie znormalnieję.

Morgana uciekła wzrokiem w przestrzeń. Milczał cierpliwie, ale nie miał zamiaru pozwolić, żeby ich rozmowa zawisła w próżni.

- Kochanie, powiedziałaś wtedy, że mnie kochasz, prawda?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Kocham.

- To dobrze - powiedział drżącym głosem. - Skąd mogłem wiedzieć, że to takie... - roześmiał się nerwowo - przyjemne uczucie. Teraz dopiero możemy zacząć - szepnął cicho i niewyraźnie. - Krok po kroku. Wiem, że trudny ze mnie facet. Przez całe życie myślałem wyłącznie o sobie, lubiłem tylko własne towarzystwo, ale... może nie jest za późno. Będę o ciebie walczył, Morgano. Przysięgam. Zrobię wszystko, żebyś nie żałowała.

- Co ty powiedziałeś? - Twarz Morgany nie wyrażała żadnych uczuć, jakby słowa Nasha nie docierały do jej świadomości.

Wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok, przerażony na nowo.

- Proszę, żebyś za mnie wyszła. To mniej więcej chciałem powiedzieć.

- Mniej więcej?

- Jezu! - Przetarł twarz rękami, a potem wsunął je do kieszeni. - A więc posłuchaj. Jeszcze nigdy się nie oświadczałem, w ogóle o nic nie prosiłem. Nie wiem, jak to się robi, ale jeśli chcesz, przygotuję tę scenę, jak należy: padnę na kolana, pierścionek zaręczynowy w kieszeni, kwiaty, garnitur... Proszę bardzo. Ale chodzi o to, że... cię kocham - tak mi się wydaje - i proszę, żebyś za mnie wyszła. Do tej pory nie wierzyłem... Uważałem miłość za głupie, puste słowo.

- Nash, nie musisz urządzać dla mnie tej sceny. Chciałabym, żeby to mogło być proste.

- Nie chcesz być moją żoną.

- Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. O Boże...

Tak. Chciałabym. Ale, Nash, ja nie jestem sama. Musiałbyś wziąć na plecy cięższe jarzmo.

Zamarł na moment, a potem jego twarz rozjaśniła się promiennym uśmiechem.

- Masz na myśli rodzinę? Cały klan Donovanów? Kochanie, jesteś dla mnie wszystkim, czego pragnę. Ale także czymś więcej. Ani na chwilę o tym nie zapominam. Twoje zdolności są fascynujące, chociaż... - wybuchnął krótkim wesołym śmiechem - nie dlatego oszalałem na twoim punkcie, że jesteś czarownicą.

- Nash, jesteś dla mnie chodzącym ideałem, ale nie chodzi o rodzinę. Ja... będę miała twoje dziecko.

- Słucham? - Jego twarz stała się porcelanowo blada. Poszukał rękami skały i opadł na nią bezwładnie, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Dziecko? Jesteś w ciąży? Nosisz nasze dziecko?

- Właśnie. - Czekala cierpliwie, aż Nash ochłonie i powie coś, obojętne co, ale on milczał jak zakłęty.

- Dostyc jasno wyrażales się na temat rodziny. Wiedzialam, ze nie chcesz... Ale to się stalo. Będę miała dziecko. I teraz to jest dla mnie najważniejsze.

- Wiedziałaś. Tamtego dnia... przyszałaś mi powiedzieć, prawda?

- Tak. Chciałam ci powiedzieć. Przypomniał sobie, jak wyglądała, co mówiła - każde słowo i gest. Nagle przestał się dziwić - że wyjechała bez słowa, że nie chciała go znać.

- Myślisz, że nie chcę mieć tego dziecka?

- Rozumiem, że czujesz się dziwnie. Żadne z nas tego nie planowało. Możesz mi wierzyć lub nie...

- Istnieją błędy, które można popełnić tylko raz w życiu. Ja nie powtórzę swojego błędu. Kiedy?

- Przed Bożym Narodzeniem.

- Przed Bożym Narodzeniem... - powtórzył jak echo i pomyślał o czerwonym rowerze, zapachu pieczonego ciasta, o rodzinie, która mogła być jego rodziną. Kobieta, którą kochał, gotowa była mu ofiarować coś, czego nigdy nie zaznał, o czym bał się nawet marzyć.

- Powiedziałaś, że uwalniasz mnie od siebie, od wszystkiego, co robiliśmy wspólnie, co nas połączyło. Miałaś na myśli dziecko.

- Kocham to dziecko - powiedziała silnym, srebrzystym głosem. - Ono nie jest pomyłką, lecz darem. Wolałabym żyć samotnie, niż ryzykować, że choćby przez jedną chwilę swojego życia moje dziecko poczuje się nie chciane.

- Chcę dziecka i ciebie. I chcę wszystkiego, co nas łączy.

- Teraz możesz prosić, o co chcesz... - Patrzyła na niego zamglonym wzrokiem, pewna, że oboje do końca życia zapamiętają tę chwilę, swoje twarze i każde słowo.

- Daj mi szansę, Morgano. Tylko o to cię proszę.

- Czekałiśmy - albo czekałyśmy - na ciebie tak długo - powiedziała radośnie, kładąc rękę Nasha na swoim brzuchu.

- Będę ojcem - powiedział powoli, wsłuchując się w brzmienie własnych słów. - Mamy dziecko.

- Tak.

- Jesteśmy rodziną.

- Tak.

Pocałowali się uroczyście, jakby na przypieczętowanie ślubu, i powoli ruszyli do domu.

- Morgano... Może będziemy mieli więcej niż jedno dziecko...

- Może! - wybuchnęła szalonym śmiechem.

- Moja rodzina - mruknął. - Widzę to. Scena we wnętrzu. Słoneczny pokój, bładoniebieskie ściany.

- Żółte.

- W porządku. Jasnożółte ściany. Przy oknie stoi kołyska z takimi śmiesznymi zabawkami, które wiszą nad nią i ciągle się ruszają, no wiesz. Dziecko próbuje dosięgnąć błyszczącego samolociku... Przerwał nagle, jakby wizja znikła. - O rany...

- Co? Co ci się stało?

- Pomyślałem sobie... Jakie są szanse, że dziecko będzie... No wiesz, że odziedziczy twój talent?

- Zastanawiasz się, jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że dziecko będzie czarownicą? Bardzo duże. Donovanowie mają silne geny. Ale założę się, że ma twoje oczy.

- Aha... Dobrze i to.

URZECZONA

PROLOG

Wiedział, że z wyroku losu, jako jeden z nielicznych, został obdarzony nadzwyczajną mocą. Wyróżniała go ona spośród innych, pozwalała bowiem inaczej dostrzegać i pojmować świat. Wcześniej sam to rozumiał, niczyja pomoc nie była mu do tego potrzebna.

Posiadał dar widzenia.

Jego wizje nie zawsze były przyjemne, lecz, poza nielicznymi wyjątkami, niezwykle fascynujące. Ilekroć go nachodziły - nawet gdy był jeszcze małym dzieckiem, ledwie stąpającym po ziemi - przyjmował je w ten sam sposób, w jaki wita się wschodzące każdego dnia słońce.

Matka często przykucała obok niego i przybliżała twarz do jego twarzy, spoglądając mu czujnie w oczy. Jej pełen miłości wzrok wyrażał nadzieję, że syn przyjmie ów dar i nigdy nie pozwoli się skrzywdzić.

Kto mógł to wiedzieć lepiej niż ona?

- Kim jesteś? - słyszał jej myśli, jakby wypowiadała je na głos. - Kim będziesz?

Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Już wtedy rozumiał, że najtrudniej jest zajrzeć w głąb siebie - znacznie trudniej niż w dusze innych.

Kiedy podrosł, dar ten nie przeszkadzał mu w zabawach i drażnieniu się z kuzynkami. Mimo iż nieraz wściekle walczył z jego ograniczeniami, co kosztowało go naprawdę wiele sił, potrafił cieszyć się porcją lodów w letnie popołudnie albo śmiać z telewizyjnych kreskówek, wyświetlanych w niedzielny ranek.

Był normalnym, aktywnym, psotnym chłopcem o bystrym, czasami błądzącym umyśle, uderzająco przystojnej twarzy, hipnotycznych, szaroniebieskich oczach i pełnych ustach, chętnych do śmiechu.

Czas płynął swoim rytmem, nie przynosząc żadnych nadzwyczajnych wydarzeń. Podrapane nogi, małe i wielkie bunty, pierwsze porywy serca... W końcu, jak wszyscy chłopcy, dorósł i stał się mężczyzną. Opuścił terytorium rodziców i osiedlił się na obszarze, który uznał za własny.

A w miarę jak dorastał, rosła też jego moc.

Życie wiódł uregulowane i wygodne.

I niezmiennie godził się z tym, że jest czarownikiem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Śniła o mężczyźnie, który na jawie marzył o niej. Z niezwykłą jasnością, tak rzadką w nocnych majakach, widziała, jak z opuszczonymi rękami stał przy dużym, ciemnym oknie. Twarz miał spiętą i pełną determinacji, a jego oczy, szare, choć z lekka przetkane błękitem, były wprost bezlitosne. Ich drażniący i napawający lękiem kolor raz upodabniał się do skały, a kiedy indziej do spokojnej toni jeziora.

Choć nie było jej dane ujrzeć jego twarzy, wiedziała, że malował się na niej wyraz skupienia i napięcia. Zobaczyła tylko te oczy, tak fascynujące i budzące niepokój.

Była pewna, że myślał o niej, co więcej, że widział ją. Jakby stał za szybą, którą mogłaby bez trudu stłuc i po drugiej stronie uchwycić jego dłoni.

Gdyby tylko potrafiła się na to zdecydować...

Lecz ona jedynie rzucała się po zmiętej pościeli i mamrotała coś przez sen. Mel Sutherland nawet we śnie kierowała się logiką. Życie miało swoje twarde, jasne zasady, a Mel gorąco wierzyła, że jeśli się ich przestrzega, człowiekowi żyje się lepiej. Dlatego nie stłukła szyby, co więcej, by odpędzić zgubną i szaloną pokusę, wściekle walnęła w poduszkę, która spadła na podłogę, i gwałtownie odwróciła się na drugi bok.

Obraz zbladł, a Mel z ulgą, choć jednak nieco zawiedziona, zapadła w jeszcze głębszy, pozbawiony majaków sen.

Kilka godzin później nocne wizje zapadły w przepastną głębinę jej podświadomości, zaś ona sama zerwała się na terkot budzika w kształcie Myszki Miki. Uciszyła go jednym celnym ciosem. Nie obawiała się, że znów zagrzebie się w pościeli i powtórnie zaśnie, bowiem umysł Mel był równie dobrze wyregulowany, jak jej ciało.

Usiadła i ziewnęła, przeczesując palcami spletaną masę jasnych włosów. Ciemnozielone oczy, odziedziczone po ojcu, którego nie pamiętała, przez chwilę patrzyły nieprzytomnie, potem jednak jej wzrok wyostrzył się. Spojrzała na pogniecioną pościel.

Ciężka noc, pomyślała, zrzucając z nóg prześcieradło. Bo i dlaczego miałyby być inna? Jak mogła się spodziewać, że będzie spała jak dziecko, mając w perspektywie taki dzień? Nałożyła spodenki gimnastyczne i trykotową koszulkę, a pięć minut później rozpoczęła swój codzienny pięciokilometrowy bieg.

Wychodząc z domu, ucałowała koniuszki palców i zastukała nimi we frontowe drzwi na znak, że właśnie tutaj jest jej miejsce. Ponieważ po czterech latach nie była tego jeszcze pewna, dlatego często powtarzała ten nieracjonalny, magiczny gest.

W zasadzie to nic takiego, myślała, biegnąc przed siebie. Przecież to tylko mały budynek pokryty stiukami, wciśnięty pomiędzy pralnię i biuro rachunkowe. Lecz ona nie potrzebowała wiele.

Zlekceważyła gwizdy dobiegające z przejeżdżającego samochodu, którego kierowca w ten sposób wyraził podziw dla jej długich, zgrabnych nóg. Nie biegała dla urody, lecz by zachować dyscyplinę ciała i umysłu. Prywatny detektyw, którego ciało byłoby rozlazłe, a umysł leniwy, szybko znalazłby się w kłopotach, a zaraz potem bez pracy.

Równym, dość wolnym tempem biegła na wschód, zachwycona perłową poświatą nieba, zwiastującą początek pięknego dnia. Był sierpień. Pomyślała, jak okropnie musi być teraz w Los Angeles, gdy zaś tutaj, w Monterey, panowała wieczna wiosna. Niezależnie od pory roku, powietrze było świeże jak różany pączek.

Nie było jeszcze dużego ruchu, a w śródmieściu, w przeciwieństwie do okolicznych plaż, rzadko można było natknąć się na kogoś, kto uprawiał jogging, co bardzo odpowiadało Mel, jako że lubiła biegać sama.

Powoli jej mięśnie rozgrzewały się, dlatego zwiększała tempo. Przez pierwszy kilometr nie myślała o niczym, przyglądając się temu, co działo się wokół niej. Z hałasem przejechał samochód z zepsutym tłumikiem, ledwie zwalniając przed znakiem „stop”.

Plymouth rocznik 82, czterodrzwiowy, ciemnoniebieski. Listę układała w myślach dla zachowania wprawy. Wgniecione drzwi od strony kierowcy. Stan Kalifornia, Able Charlie Robert 2289.

Ktoś leżał na trawniku, twarzą do ziemi. Kiedy Mel zwolniła kroku, usiadł, przeciągnął się i włączył przenośne radio.

Pewnie jakiś student - autostopowicz, pomyślała, znów przyspieszając kroku i odnotując w pamięci brązowe włosy chłopaka oraz jego niebieski plecak z amerykańską flagą na klapie.

- Jaka to melodia? - zapytała samą siebie, gdy muzyka zaczęła cichnąć za jej plecami.

Bruce Springsteen. „Cover Me”.

Niezbyt zdarty głos, pomyślała z uśmiechem, skręcając za róg. Poczowała zapach chleba z piekarni, delikatny, drożdżowy aromat na dzień dobry. Doleciała ją również cudowna woń róż. Z rozkoszą aż zachłysnęła się powietrzem, choć prędzej dałaby się pokroić na kawałki, niżby się zdradziła ze swoją słabością do kwiatów. Drzewa poruszały się łagodnie pod wpływem wiatru, który niósł ze sobą ledwie wyczuwalny, delikatny zapach morza.

Czyż mogło być jej lepiej? Czowała się silna, w pełni kontrolowała swoje życie i była sama. Dobrze było znać te ulice i wiedzieć, że jest się u siebie. Mel nigdy już nie będzie

musiała włączyć się po kraju rozklekotaną furgonetką, bo jej matka preferowała taki właśnie styl życia.

- Czas w drogę, Mary Ellen. Wydaje mi się, że trzeba teraz skręcić na północ.

I tak właśnie robiły. Matka, którą Mel uwielbiała, zawsze była bardziej dziecinna od własnej córki. Reflektory wytyczały w ciemności drogę do nowego miejsca, nowej szkoły, nowych ludzi.

Nigdzie jednak nie zapuściły korzeni, nie starczało im bowiem na to czasu, a jedynym miejscem, do którego należały naprawdę, była nigdy nie kończąca się, bezkresna droga. Matkę, gdy tylko jako tako zdołała rozejrzeć się w nowym miejscu, natychmiast „zaczynało nosić”, i znów ruszały przed siebie. Mel zawsze się wydawało, że nie tyle gdzieś jada, lecz że przed czymś uciekają.

To, oczywiście, dawno już minęło. Alice Sutherland miała teraz przytulną przyczepę, którą Mel jeszcze przez dwadzieścia sześć miesięcy będzie musiała spłacać, i była szczęśliwa jak nigdy, przeskakując ze stanu do stanu, od przygody do przygody.

Natomiast Mel ugrzęzła na dobre. Wprawdzie w Los Angeles jej nie wyszło, zdołała jednak posmakować, jak to jest, gdy się gdzieś zapuści korzenie. Spędziła też dwa bardzo frustrujące, a zarazem niezwykle pouczające lata w tamtejszej policji. Właśnie wtedy panna Sutherland ostatecznie zrozumiała, że urodziła się po to, by stać na straży prawa, choć na pewno nie po to, by wypisywać mandaty za złe parkowanie oraz wypełniać liczne kwestionariusze.

Dlatego przeniosła się na północ i otworzyła własną agencję detektywistyczną. I choć nadal wypełniała setki kwestionariuszy, tym razem robiła to na własny rachunek.

Minęła już połowę trasy i zawróciła. Mimo przebytego dystansu wciąż biegła ładnym, harmonijnym krokiem. Niegdyś była zbyt wyrośniętym i niezdarnym dzieckiem, składającym się z samych wiecznie poobijanych kolan i łokci. Kosztowało ją to dużo czasu i samozaparcia, ale teraz, gdy miała dwadzieścia osiem lat, w pełni kontrolowała własne ciało.

Mel nie przejmowała się tym, że pozostała tą samą szczupłą dziewczyną, bez wybujałych kobiecych krągłości, bowiem dzięki temu była bardzo sprawna i zachowywała dobrą kondycję, co ogromnie liczyło się w jej pracy. Długie jak u żrebaka nogi, z powodu których kiedyś przezywano ją „bocianem” i „tyką grochową”, były teraz silne i bardzo zgrabne, co wywoływało niekłamany podziw w męskich spojrzeniach.

Nagle usłyszała płacz dziecka. Drażniący, niepokojący dźwięk dobiegał z otwartego okna budynku, który właśnie mijała. Panna Sutherland natychmiast posmutniała.

Malutki synek Rose, słodki, puciołowaty David.

Mel wciąż biegła przed siebie, a przed jej oczyma zaczęły przesuwać się obrazy.

Rose, gadatliwa i trochę roztrzepana, z masą rudych kręconych włosów i z przyjaznym uśmiechem... Nawet Mel, zwykle tak pełna rezerwy, po prostu musiała się z nią zaprzyjaźnić.

Rose pracowała jako kelnerka w małej włoskiej restauracyjce. Nad talerzem spaghetti i filiżanką cappuccino tak miło się gawędziło, zwłaszcza że mówiła głównie Rose.

Mel z podziwem obserwowała Rose, która będąc w zaawansowanej ciąży, z niebywałą zręcznością roznosiła tace. Młoda mężatka opowiadała, jak bardzo są ze Stanem szczęśliwi i z jaką radością oczekują pierwszego dziecka.

Mel została nawet zaproszona na tradycyjne przyjęcie przed urodzeniem malca, i choć była pewna, że będzie się czuła obco, z przyjemnością wysłuchiwała zachwyków nad maleńkimi ubrankami i pluszowymi przytulankami. Polubiła także Stana, chłopaka o nieśmiałym spojrzeniu i łagodnym uśmiechu.

Kiedy osiem miesięcy temu urodził się David, Mel odwiedziła Rose w szpitalu. Patrząc na noworodki, śpiące lub wierzące się w przezroczyстых kołyskach, nagle zrozumiała, dlaczego ludzie tak bardzo pragną mieć dzieci. Te maleństwa były wprost cudowne i niebywale rozkoszne.

Gdy stamtąd wyszła, cieszyła się szczęściem swoich przyjaciół... i poczuła się bardzo, ale to bardzo samotna.

Odtąd co jakiś czas wpadała do Rose i Stana, by obdarować Davida kolejną zabawką i chociaż z godzinkę się z nim pobawić. Zakochała się w synku Rose i wcale nie czuła się głupio, zachwycając się jego pierwszym zębkiem czy próbami raczkowania.

A potem, dwa miesiące temu, odebrała ten przerażający telefon. Głos Rose był ostry i ledwo zrozumiały.

- Nie ma go! Zniknął! Zniknął!

Odległość między biurem a domem Merricków Mel pokonała w rekordowym tempie. Policja już tam była.

Stan i Rose siedzieli na sofie, wczepieni w siebie, jak para rozbitków na bezkresnym oceanie. I oboje płakali.

David zniknął. Został porwany z kojca ustawionego na maleńkim trawniczku, znajdującym się za kuchennymi drzwiami parterowego mieszkania.

Od tamtej pory minęły dwa miesiące, a kojec wciąż był pusty.

Ani policyjna wiedza Mel, ani jej wyostrzony instynkt nie pomogły odnaleźć Davida. A teraz Rose chciała spróbować czegoś tak absurdalnego, że Mel pewnie by ją wyśmiała, gdyby nie błysk determinacji w łagodnych zazwyczaj oczach przyjaciółki. Rose nie dbała o

to, co mówił Stan, co mówiła policja i co mówiła Mel. Gotowa była na wszystko, byle tylko odzyskać dziecko.

Nawet jeżeli oznaczało to wizytę u jasnowidza.

Kiedy jechały wzdłuż wybrzeża zdezelowanym, obdrapanym samochodem, Mel po raz ostatni próbowała przemówić Rose do rozumu.

- Kochanie...

- Nawet nie próbuj mnie przekonywać. - W miękkim głosie Rose zabrzmiała stalowa nuta. - Stan już wcześniej próbował, lecz ja nie ustąpię.

- Oboje martwimy się o ciebie. Nie chcemy, abyś znowu cierpiała, gdy po raz kolejny trafisz w ślepy zaułek.

Rose miała dopiero dwadzieścia trzy lata, ale wydawało jej się, że jest równie stara i twarda jak wrastająca na brzegu oceanu skała.

- Chcecie oszczędzić mi cierpień? Nic już nie jest w stanie bardziej mnie zranić. Wiem, że chodzi ci o moje dobro, Mel. Już i tak dużo zrobiłaś, jadąc dziś ze mną...

- To drobiazg...

- Nie. - Oczywiście Rose, niegdyś tak radosne, teraz były pełne smutku i lęku. - Wiem, że uważasz to za nonsens, i pewnie czujesz się dotknięta, bo przecież robisz wszystko, aby odnaleźć Davida, ale ja muszę spróbować również tej szansy.

Mel zamilkła na chwilę. Wstyd jej było przyznać się przed samą sobą, że istotnie poczuła się urażona. Przeszła wszystkie potrzebne szkolenia, była profesjonalistką, i na co jej przyszło? Błądziły teraz wzdłuż wybrzeża, żeby się spotkać z jakimś wróżbitą.

Jednak to nie ona straciła dziecko i nie ona musiała codziennie patrzeć na puste łóżeczko.

- Znajdziemy Davida, kochanie. - Oderwała dłoń od kierownicy i ucisnęła lodowate palce przyjaciółki. - Przysięgam!

Zamiast odpowiedzi, Rose odwróciła głowę i utkwiała wzrok w osnutych mgłą skałach. Jeżeli jej dziecko wkrótce się nie odnajdzie, wystarczy stanąć na skraju urwiska, zrobić krok do przodu i opuścić ten świat...

Wiedział, że przyjadą, i nie miało to nic wspólnego z jego darem. Sam podniósł słuchawkę, gdy zadzwoniła ta zrozpaczona kobieta, i wciąż jeszcze był na siebie za to wściekły. Po pierwsze miał zastrzeżony telefon, po drugie kupił aparat z sekretarką właśnie po to, by unikać bezpośrednich kontaktów z tymi, którym udało się wydobyć spod ziemi jego numer.

Coś jednak kazało mu wtedy podnieść słuchawkę, a teraz sposobił się do przykryj rozmowy. Bo o cokolwiek będzie proszony, z całą pewnością odmówi.

Był taki zmęczony. Dopiero co, po trzech tygodniach nieobecności, wrócił do domu. Pomagał policji z Chicago wytropić człowieka, którego prasa tak trafnie ochrzciła „Rozpruwaczem z South Side”, i była to naprawdę ciężka robota. Ujrzał rzeczy, których miał nadzieję nigdy więcej nie oglądać.

Podszedł do okna wychodzącego na rozległy trawnik i kolorowy skalny ogródek oraz na przyprawiające o zawrót głowy urwisko, opadające wprost do morza.

Lubił ten groźny widok, tę dramatyczną przepaść wiodącą ku kłębiącej się toni, a także wstęgę drogi wykutą w kamieniu, stanowiącą dowód ludzkiej determinacji, by wciąż dążyć przed siebie. Najbardziej jednak lubił to, że żył na odludziu, co uwalniało go od intruzów, gotowych wtargnąć nie tylko na jego terytorium, lecz i w jego myśli.

Ktoś jednak zdołał pokonać tę odległość i już dobijał się do jego świata, a on wciąż zastanawiał się, co to mogło oznaczać.

Poprzedniej nocy śniło mu się, że stał tutaj, dokładnie w tym miejscu, a po drugiej stronie szyby była kobieta, której rozpaczliwie pragnął. Był jednak tak bardzo zmęczony, że nie zdołał odpowiednio się skoncentrować, i zjawa zniknęła, z czego tak naprawdę był zadowolony. Pragnął tylko kilku spokojnych, leniwych dni, podczas których zajmie się końmi oraz swoimi interesami, jak również wtrącaniem się w życie kuzynek.

Stęsknił się za swoją rodziną. Zbyt długo nie był w Irlandii, nie widział się z rodzicami, ciotkami i wujami. Kuzynki natomiast mieszkały kilka kilometrów stąd.

Morgana zrobiła się taka okrągła za sprawą dziecka, które właśnie nosiła pod sercem. A raczej dzieci, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Ciekawe, czy domyślała się, że będzie miała bliźnięta?

Anastasia, łagodniejsza z kuzynek, wiedziała o tym na pewno, znała się bowiem na uzdrawianiu i medycynie ludowej. Póki jednak Morgana nie zapyta jej o to wprost, na pewno nic jej nie powie.

Naprawdę pragnął się z nimi zobaczyć, miał nawet ochotę pogadać ze swoim szwagrem, choć wiedział, że Nash tkwi po uszy w pracy nad scenariuszem. Wolałby wskoczyć na rower i popedałować do Monterey, aby znaleźć się w rodzinnym gronie i znajomym otoczeniu. Za wszelką cenę pragnął uniknąć spotkania z tymi dwiema kobietami, które już się zbliżały, razem ze swoimi żądaniami, błaganiami i beznadzieją.

Nie zgodzi się na nic, o co go poproszą. Potrafił być egoistą i nie wstydził się tego, choć z drugiej strony rozumiał, jaką na sobie dźwiga odpowiedzialność z powodu daru, który ofiarował mu los.

Nie można wszystkim odpowiadać „tak”, bo po prostu by zwariował. Czasami mówił „tak”, a potem okazywało się, że droga jest zablokowana, takie bowiem było przeznaczenie. Kiedy indziej bardzo chciał powiedzieć „nie” z przyczyn, których inni nigdy nie rozumieją. Zdarzały się również takie przypadki, kiedy to, co chciał, było niczym w porównaniu z tym, co musiał zrobić.

I to także było przeznaczenie.

A teraz bał się. Miał dziwne przeczucie, że był to jeden z tych przypadków, kiedy jego życzenia się nie liczą.

Nim jeszcze go zobaczył, usłyszał pnący się z wysiłkiem pod górę samochód. Lekko się uśmiechnął. Swój dom wznosił wysoko, na pustkowiu, a prowadząca do niego wąska, wyboista ścieżka, także nie była zachęcająca.

Już tu są Im prędeż je odeśle, tym lepiej.

Wyszedł z sypialni i szedł po schodach. Prezentował się naprawdę doskonale. Czarnowłosa i wysoki, wąski w biodrach, szeroki w ramionach. Przybrał uprzejmy, a zarazem nieprzystępny wyraz twarzy. Mocne, wystające kości policzkowe, odziedziczone po celtyckich przodkach, opięte były pociemniałą skórą, bo Sebastian kochał słońce.

Schodząc na dół, przeciągnął dłonią po gładkim jak jedwab drewnie poręczy. Ametyst, który nosił na ręku, rozsiewał fioletowe błyski.

Kiedy samochód wgramolił się wreszcie na szczyt, a Mel opanowała pierwszy odruch zdumienia na widok ekscentrycznej i jakby płynnej konstrukcji z drewna i szkła, Sebastian stał już na werandzie.

Zafascynowana patrzyła na budowlę sprawiającą wrażenie, jakby powstała z rzuconych dziecięcych klocków, które przez czysty przypadek ułożyły się w fascynujący wzór.

Wzrok Sebastiana poszybował ku Mel. Patrzył na nią przez chwilę, mrużąc oczy. A potem, marszcząc lekko brwi, odwrócił wzrok i spojrzał na Rose.

- Pani Merrick?

- Tak, panie Donovan. - Rose była bliska histerycznego płaczu. - To miło z pana strony, że zgodził się pan ze mną spotkać.

- Proszę nie chwalić dnia przed zachodem słońca - powiedział chłodno i patrzył na zbliżającą się kobietę. Rose Merrick przed wyjazdem zrobiła sobie makijaż i włożyła

skromną, lecz elegancką w kroju niebieską sukienkę, nieco za szeroką w biodrach, bo zboląła matka ostatnio spadła na wadze. Jej oczy podejrzenie lśniły, a na twarzy malowały się rozpacz i nadzieja.

Próbował zwalczyć nagłą falę współczucia.

Druga kobieta zdawała się zupełnie nie przywiązywać wagi do wyglądu, przez co wydała mu się jeszcze bardziej tajemnicza. Podobnie jak on, miała na sobie stare dżinsy i sfatygowane wysokie buty. Bawełniany podkoszulek, niedbale upchnięty w spodnie, musiał być kiedyś jaskrawoczerwony, ale spłóciał po licznych praniach.

Nie nosiła żadnej biżuterii, nie używała też kosmetyków. Za to cała jej postać - Sebastian widział to równie dobrze jak kolor jej włosów i oczu - tchnęła niechęcią i uprzedzeniem.

Twarda z siebie sztuka, pomyślał... Spróbował przypomnieć sobie jej nazwisko i nagle, w dziwnym przebłysku, zrozumiał, że w duszy tej kobiety panuje równie wielki zamęt, jak w duszy Rose Merrick.

No tak, właśnie tego mu było trzeba...

Rose była coraz bliżej. Resztką sił próbował zachować obojętność, ale czuł, że przegrywa. A ona usiłowała powstrzymać łzy, które, o czym wiedział, musiały płynąć z głębi serca.

Nic tak bardzo nie osłabia mężczyzny, jak dzielna kobieta.

- Panie Donovan, nie zajmę panu dużo czasu. Potrzebuję tylko... - głos jej zamarł.

Mel natychmiast przysła jej w sukurs. Spojrzenie, jakim obrzuciła Sebastiana, dalekie było od życzliwości.

- Pozwoli nam pan wejść i usiąść, czy będziemy tak... Teraz z kolei ona urwała, lecz nie wzbierające pod powiekami łzy pozbawiły ją głosu, tylko szok.

Jego oczy! Przez chwilę zastanawiała się tak intensywnie, że Sebastian niemal słyszał jej myśli, odbijające się echem w jego głowie.

To śmieszne, powiedziała sobie, odzyskując równowagę. To był przecież tylko sen, nic więcej. Czasami bywa tak, że głupi majak może mieszać się z rzeczywistością.

Chodzi tylko o te oczy! Najbardziej niepokojące i najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Mężczyzna przyglądał jej się jeszcze przez chwilę i chociaż wprost płonął z ciekawości, ograniczył się tylko do jej twarzy, która, co musiał przyznać, nawet w ostrych promieniach słońca była całkiem atrakcyjna. Może sprawiało to wyzwanie, które tak wyraźnie malowało się w nieugiętych, zielonych oczach, a może dumnie uniesiony podbródek, z lekko

zarysowanym i wielce intrygującym dołkiem. Tak, jest bardzo atrakcyjna, pomyślał, nawet jeśli włosy ma o dobrych parę centymetrów krótsze niż on, a ostrzygła je pewnie sama kuchennymi nożycami.

Odwrócił się i uśmiechnął do Rose.

- Proszę wejść - powiedział i podał jej rękę, ignorując Mel, która poszła oczywiście za nimi.

Kiedy znalazła się już w salonie, marszcząc lekko brwi pomyślała, że wołałaby, aby to pomieszczenie było mniej efektowne, z tymi ścianami w odcieniu miodu, sprawiającymi, że światło stawało się ciepłe i ekscytujące. Była tam niska, szeroka sofa, długa jak rzeka, obita lśniącem granatem. Sebastian podprowadził do niej Rose po wielkim jak jezioro dywanie w soczystych kolorach, Mel tymczasem taksowała wzrokiem jego mieszkanie.

Panowała tu idealna czystość, choć nie odnosiło się wrażenia przesadnej pedanterii. Nowoczesne rzeźby z marmuru, drewna i brązu przeplatały się z cennymi antykami. Wszystkie sprzęty i dzieła sztuki harmonijnie wplecione były w przestrzeń, dzięki czemu pokój, mimo swoich rozmiarów, był niezwykle przytulny.

Tu i ówdzie, porozmieszczane jakby od niechcienia na wypolerowanych antykach, leżały kiście kryształów, jedne naprawdę olbrzymie, inne tak małe, że mogły zmieścić się w dziecięcej piątce. Mel wpatrywała się w nie jak urzeczona, a one lśniły i połyskiwały, uformowane w kształcie smukłych obelisków, gładkich kul albo strzępiastych gór. Zauważyła, że gospodarz przygląda jej się z życzliwą pobłażliwością. Wzruszyła ramionami.

- Niezła chata. Sebastian uśmiechnął się.

- Dzięki. Proszę usiąść.

Sofa mogła sobie być długa jak rzeka, ale Mel wybrała krzesło, oddzielone wyspą bogato inkrustowanego stolika. Sebastian odwrócił się do Rose.

- Napije się pani kawy, pani Merrick? A może coś zimnego?

- Nie, proszę sobie nie robić kłopotu. - Uprzejmość była jeszcze gorsza, bo podstępnie niszczyła jej rozpaczliwą samokontrolę. - Wiem, że to z naszej strony duża śmiałość, ale kiedyś czytałam o panu, a moja sąsiadka mówiła mi, że w zeszłym roku bardzo pan pomógł policji, gdy zaginął ten chłopiec, który uciekł z domu.

- Joe Cougar - odezwał się Sebastian. - Chłopak postanowił spróbować życia w San Francisco. Jego rodzice odchodzili od zmysłów. Moim zdaniem młodość po prostu lubi ryzyko.

- Ale on miał piętnaście lat. - Głos Rose się załamał.

- Ja... ja nie chcę wcale powiedzieć, że jego rodzice nie mieli powodów, żeby się bać o syna, ale on miał piętnaście lat. A mój David to jeszcze maleńkie dziecko. Porwali go z kojca.

- Błagalnym wzrokiem spojrzała na Sebastiana.

- Zostawiłam go tylko na minutę, bo zadzwonił telefon. Był tuż przy drzwiach. Spał. Nie zostawiłam go na ulicy czy w samochodzie. Kojec stał przy otwartych drzwiach, a ja odeszłam tylko na minutkę.

- Rose. - Mel wstała i przeniosła się na sofę, obok przyjaciółki, choć szczerze mówiąc, wolałaby siedzieć możliwie jak najdalej od Sebastiana. - To nie twoja wina. Każdy to zrozumie.

- Zostawiłam go - bezdźwięcznym głosem powiedziała Rose. - Zostawiłam moje dziecko i ktoś je ukradł.

- Pani Merrick... Rose! Czy była pani złą matką? - rzucił Sebastian, jakby od niechcenia. Najpierw zobaczył strach w oczach Rose, a zaraz potem błysk furii we wzroku Mel.

- Nie! Nie! Kocham Davida! Zawsze chciałam dla niego jak najlepiej. Ja tylko...

- No, to niech pani tego nie robi. - Ujął ją za rękę, a jego dotyk był tak delikatny, tak kojący, że na moment powstrzymał wzbierające łzy. - To nie pani wina. Obwiniając siebie, nie pomoże nam pani odnaleźć chłopca.

Furia Mel w jednej chwili przygasła. Ten człowiek powiedział dokładnie to co trzeba i tak jak trzeba.

- Pomoże mi pan? - wyszeptwała Rose. - Policja przez cały czas próbuje. A Mel... Mel robi co w jej mocy, lecz Davida wciąż nie ma.

Mel, pomyślał. Interesujące imię dla wysokiej, szczupłej blondynki o niewyparzonym języku.

- Znajdziemy Davida. - Mel poderwała się, podniecona. - Mamy pewne tropy. Na razie wątle, ale...

- My? - przerwał jej Sebastian. Przed oczyma stanął mu jej obraz, jak stoi z uniesioną bronią, z oczami jak lodowate szmaragdy. - Czy pani jest z policji, panno...?

- Sutherland. Jestem prywatnym detektywem - rzuciła mu w twarz. - Chyba powinien pan to wiedzieć.

- Mel... - ostrzegawczym tonem odezwała się Rose.

- W porządku. - Mężczyzna poklepał ją po rękę. - Mogę próbować zobaczyć albo mogę pytać. W przypadku osób obcych uprzejmiej jest pytać, niż ingerować w ich wnętrze. Zgodzi się pani ze mną?

- Racja - prychnęła pogardliwie Mel i znowu opadła na krzesło.

- Pani przyjaciółka jest cyniczna - skomentował Sebastian - a cynizm może być zarówno wielką zaletą, jak wadą. - Zaczął szykować się do powiedzenia Rose, że nie może jej pomóc. Nie jest w stanie otworzyć się na kolejne traumatyczne przeżycia oraz ryzyko poszukiwania kolejnego zaginionego chłopca.

To Mel wszystko zmieniła. Tak widocznie musiało być.

- Nie jest cynizmem nazwać po imieniu szarlatana, który udaje samarytanina. - Wychyliła się do przodu. Oczy jej płonęły. - Całe to jasnowidzenie to takie samo oszustwo, jakie popełnia magik w wyświeconym ubraniu, gdy za dziesięć dolarów wyciąga królika z kapelusza.

Sebastian uniósł lekko brwi. Była to jedyna oznaka zainteresowania... a może irytacji?

- Doprawdy?

- Drań to drań, panie Donovan, bo tutaj stawką jest życie dziecka. Nie pozwolę na to, żeby prezentował pan tu przed nami te swoje oszukańcze sztuczki tylko po to, by później zobaczyć swoje nazwisko w gazecie. Przykro mi, Rose. - Wstała, dygocąc z gniewu. - Chodzi mi o ciebie. I o Davida. Jesteście mi bardzo bliscy. Nie potrafię patrzeć spokojnie, jak ten typ nabija cię w butelkę.

- To moje dziecko. - Długo powstrzymywane łzy popłynęły po policzkach Rose. - Muszę wiedzieć, gdzie on jest. Czy jest zdrowy? Czy się boi? Nie ma nawet swojego ukochanego misia... - Ukryła twarz w dłoniach.

Patrząc na załamana przyjaciółkę, Mel przeklinała w duchu siebie i swoją popędliwość, jak również Sebastiana i w ogóle cały świat. Gdy jednak uklękła obok Rose, jej ręce i głos były łagodne.

- Przepraszam, kochanie. Przepraszam. Wiem, jaka jesteś przerażona. Ja też się boję. Jeżeli chcesz, żeby pan Donovan nam... pomógł... - omal nie zadławiła się tym słowem - to niech to zrobi. - Uniosła ku Sebastianowi wściekłą, zbuntowaną twarz. - Pomoże nam pan, prawda?

- Tak. - Pokiwał powoli głową, czując, że nie może walczyć z przeznaczeniem. - Pomogę.

Udało mu się namówić Rose, by napiła się wody i otarła oczy. Podczas gdy Mel patrzyła z ponurą miną przez okno, Rose wyjęła z torebki małego, żółtego misia.

- To jego przyjaciel, coś więcej niż zwykła zabawka A to... - podała mu małą fotografię - to jego zdjęcie. Pomyślałam sobie... pani Ott powiedziała, że może się panu przydać.

- To prawda. - Biorąc z jej rąk niedźwiadka, poczuł wewnętrzne szarpnięcie, które odczytał jako rozpacz Rose. Będzie musiał przez to przejść. I nie tylko przez to. Jednak na fotografię nie spojrział, bowiem właściwa pora jeszcze nie nadeszła. - Proszę mi to zostawić. Będziemy w kontakcie. - Pomógł Rose wstać. - Ma pani moje słowo. Zrobię, co w mojej mocy.

- Nie wiem, jak panu dziękować za to, że się pan zgodził. Że mogę liczyć... Dał mi pan nadzieję. My, to znaczy Stan i ja, mamy trochę oszczędności...

- Później o tym porozmawiamy.

- Rose, poczekaj na mnie w samochodzie. - Mel powiedziała to łagodnym głosem, ale Sebastian wiedział, że wszystko się w niej gotuje. - Przekażę panu Donovanowi informacje, jakie posiadamy. Mogą mu się przydać.

- W porządku. - Usta Rose drgnęły w uśmiechu. - Dziękuję.

Mel poczekała, aż Rose znajdzie się poza zasięgiem głosu, a potem odwróciła się i wybuchnęła:

- Jak pan myśli, ile uda się panu z niej wycisnąć za ten kit? Ona jest kelnerką, a jej mąż mechanikiem.

Sebastian oparł się o futrynę.

- Panno Sutherland, czy wyglądam na człowieka, który potrzebuje pieniędzy?

Prychnęła pogardliwie.

- Nie, bo ma pan ich przecież całe worki, prawda? Dla pana to tylko zabawa.

Palce mężczyzny zacisnęły się na jej ramieniu ze stalową siłą, która na moment wytrąciła ją z równowagi.

- To nie jest zabawa. - Głos miał tak niski, tak pełen stłumionej gwałtowności, że Mel zachnęła się ze zdumienia. - To, co mam, i to, kim jestem, to nie zabawa. A kradzież dzieci z kojców to także nie jest zabawa.

- Nie zniosę tego, aby Rose znów miała cierpieć.

- Rozumiem, ale skoro jest pani temu wszystkiemu przeciwna, po co ją tu pani przywiozła?

- Bo się przyjaźnimy, a ona mnie o to poprosiła. Pokiwał ze zrozumieniem głową Mimo niechęci czuł, że ta dziwna kobieta jest niezwykle lojalna.

- A mój zastrzeżony numer? To pani go zdobyła, prawda?

Pogardliwy grymas wykrzywił usta Mel.

- To moja praca.

- I jest pani w tym dobra?

- Jak cholera.

- Świetnie, bo ja też jestem dobry w swoim fachu. Będziemy więc współpracować.

- Na jakiej podstawie sądzi pan...?

- Bo pani bardzo zależy. A jeżeli jest jakaś szansa, czy bodaj jej cień, że jednak jestem tym, za kogo się podaję, podejmie pani to ryzyko.

Czuła żar bijący od jego palców. Przepalał jej skórę aż do kości. Nagle uświadomiła sobie, że się boi, choć nie był to lęk fizyczny, z którym łatwo umiała sobie radzić. Przyczyna była o wiele głębsza. Bała się, bo nigdy dotąd nie zetknęła się z tego rodzaju siłą.

- Pracuję sama.

- Ja też - odparł ze spokojem. - Lecz znaleźliśmy się w tak nietypowej sytuacji, że będziemy musieli złamać nasze zasady. - Zajrzał na moment w jej wnętrze. Chodziło mu tylko o jakiś drobiazg, by zrozumiałej kobiecie nieco utrzyć nosa. Po chwili uśmiechnął się. - Wkrótce się odezwę, Mary Ellen.

Ze złośliwą satysfakcją patrzył, jak Mel otworzyła usta i zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć, czy Rose użyła jej pełnego imienia. Niestety, nie miała co do tego pewności. Zdenerwowana, odskoczyła.

- Szkoda mojego czasu, Donovan. I proszę mnie tak więcej nie nazywać! - Z dumnie uniesioną głową odmaszerowała do samochodu. Nie musiała być jasnowidzem, by wiedzieć, że się uśmiechał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sebastian nie wszedł z powrotem do domu nawet wtedy, gdy szary samochód odjechał wijącą się drogą numer 1. Stał nadal na werandzie, rozbawiony, a zarazem lekko poirytowany aurą gniewu i frustracji, jaką Mel pozostawiła po sobie w powietrzu.

Ma silną wolę, pomyślał, i wręcz tryska energią. Taka kobieta bez trudu wykończy spokojnego mężczyznę, a za takiego uważał siebie. Oczywiście nie znaczy to, że chętnie by się z nią trochę nie podroczył, co jednak łatwo może przeistoczyć się w igranie z ogniem.

W innej sytuacji z radością podjąłby tak ekscytującą grę, teraz jednak był zbyt wyczerpany. Tak naprawdę był na siebie zły, że zgodził się wziąć udział w poszukiwaniu chłopca. Doszedł do wniosku, że uległ tej prośbie, bowiem w dziwny sposób urzekły go obie kobiety, tak bardzo różniące się od siebie. Rose, załamana i zarazem pełna rozpaczliwej nadziei, oraz Mel, buchająca furią i pogardliwym niedowierzaniem. Wchodząc na górę, pomyślał, że z jedną łatwo by sobie poradził, lecz został z dwóch stron zaatakowany tak różnymi emocjami, że skruszyło to jego serce i wolę i stało się przyczyną klęski.

Dlatego, mimo iż obiecał sobie długi, spokojny urlop, znów będzie musiał użyć swojego daru. I wzniesie modły do każdego boga, który zechce go wysłuchać, aby pomógł mu żyć z tym, co ujrzy w chwili jasnovidzenia...

Teraz jednak zafunduje sobie choć jeden długi, leniwy poranek, by dać oddech znużonemu umysłowi i poszarpanej duszy.

Za domem, przy niskiej, białej stajni, był padok. Gdy Sebastian tam podszedł, usłyszał ciche, powitalne rzenie. Dźwięk ten był tak zwyczajny, tak prosty i przyjazny, że aż się uśmiechnął.

Lśniący kary ogier i dumna biała klacz czekały już na niego. Stały tak spokojnie, że przypominały dwie misternie wyrzeźbione figury szachowe, hebanową i alabastrową. A potem klacz zalotnie machnęła ogonem i podbiegła do ogrodzenia.

Wiedział, że potrafią je przeskoczyć, i robiły to niejedną raz, gdy on siedział w siodle. Same nie uciekały jednak z padoku, traktowały bowiem ogrodzenie nie jako klatkę, ale jak mury przyjaznego domu.

- Witaj, moja śliczna. - Podniósł rękę i poklepał klacz po pysku, a potem po długiej, wdzięcznie wygiętej szyi. - Trzymałaś krótko swojego męża, Psyche?

Parsknęła. W jej ciemnych oczach zobaczył radość i coś, co chętnie uznawał za wyraz poczucia humoru. Zarżała cicho, kiedy przechylił się przez ogrodzenie, a potem stała cierpliwie, kiedy przesunął dłonie wzdłuż jej boków, aż po nabrzmiały brzuch.

- Jeszcze tylko kilka tygodni - mruknął. Niemal czuł drzemiące w niej życie. Znowu pomyślał o Morganie, choć wątpił, czy jego kuzynka byłaby zadowolona, że porównywał ją do brzemiennej klaczy, nawet tak czystej krwi arabskiej jak Psyche.

- Czy Ana dobrze się tobą opiekowała? - zapytał. Jej spokój przynosił mu ukojenie. - Oczywiście, że tak.

Mruczał coś jeszcze i głaskał ją przez chwilę. Potem odwrócił się i spojrzał na ogiera, który stał z czujnie uniesioną głową.

- A ty, Eros, opiekowałeś się swoją damą?

Na dźwięk swojego imienia koń stanął dęba, a jego triumfalne rzenie przypominało ludzki okrzyk. Ta demonstracja dumy rozbawiła Sebastiana, który podszedł ze śmiechem do ogiera.

- Też stęskniłeś się za mną, choć pewnie za nic byś się do tego nie przyznał. - Wciąż śmiejąc się, poklepał lśniąca sierść, a Eros zaczął tańczyć po padoku. Przy drugim okrążeniu Sebastian uchwycił się jego grzywy i wskoczył mu na grzbiet, a koń puścił się galopem.

Kiedy przeskakiwali ogrodzenie, Psyche patrzyła na nich z wyrozumiałą wyższością, jak matka, która przygląda się zabawom małych chłopców.

Po południu Sebastian poczuł się lepiej. Uczucie pustki, towarzyszące mu od powrotu z Chicago, zaczynało powoli ustępować. Wciąż jednak unikał małego żółtego misia, leżącego samotnie na długiej, pustej sofie. Musiał też jeszcze obejrzeć fotografię.

W bibliotece o kasetonowych stropach i ścianach zastawionych książkami usiadł przy masywnym mahoniowym biurku i zajął się papierkową robotą. Był właścicielem albo głównym udziałowcem kilku spółek, co stanowiło jego hobby. Nieruchomości, firmy importowo - eksportowe, sklepy, hodowla ryb w Misisipi, a także jego ostatni konik, czyli trzecioliigowa drużyna bejsbolowa z Nebraski.

Był na tyle bystry, by umieć zrobić dobry interes, na tyle mądry, aby oddać zarządzanie w ręce specjalistów, i na tyle kapryśny, żeby w mgnieniu oka kupować bądź sprzedawać.

Lubił to, co mogły dać mu pieniądze, i często bywał rozrzutny. Dorastał wśród bogactwa i sumy, które wielu wprawiały w osłupienie, dla niego były jedynie cyframi na papierze. Prosta zabawa w matematykę, dodawanie i odejmowanie, była dla niego źródłem nieustającej rozrywki.

Był hojny, bo wierzył w dobre uczynki, a jego darowizny wynikały z określonych zasad moralnych, choć pewnie czułby się zażenowany, gdyby wyszło to na jaw.

Do zachodu słońca pracował, czytał oraz wypróbowywał nowe zaklęcia. Magia była specjalnością Morgany i Sebastian dobrze wiedział, że nigdy nie dorówna swojej kuzynce, mimo to, wiedziony przemożną chęcią rywalizacji, wciąż podejmował nowe próby.

Potrafił rozpalić ogień, ale to umiała nawet najpodrzedniejsza czarownica, bez trudu też lewitował, lecz to także należało do podstaw. Znał też kilka sztuczek z kapeluszem, czym na pewno do końca rozzłościłby Mel, gdyby tylko się z tym zdradził, lecz tak naprawdę nie był prawdziwym magikiem. Za to posiadał dar widzenia.

To mu jednak nie wystarczało. Podobnie jak wybitni aktorzy nieraz marzą, by śpiewać i tańczyć, tak Sebastian pragnął nauczyć się rzucać czary.

Po dwóch godzinach nie do końca udanych prób zrezygnował. Przygotował sobie wykwintny posiłek, nastawił irlandzkie ballady i z taką samą nonszalancją, z jaką inni otwierają puszkę z piwem, odkorkował butelkę wina za trzysta dolarów.

Potem wziął długą kąpiel z hydromasażem, zapadając w stan błęgiego umysłowego nieróbstwa, a następnie ubrał się w jedwabną piżamę i z zadowoleniem patrzył na krwawy zachód słońca. Czekał, aż niebem zawładnie noc.

Teraz nie można już było dłużej tego odkładać. Ociągając się, zszedł na dół i zapalił świece, bowiem ich światło działało na niego krzepiąco, jako należące do tradycyjnych atrybutów wiedzy tajemnej.

Rozszedł się aromat drzewa sandałowego i wanilii. Zapachy te zawsze przynosiły mu ukojenie, bo przypominały pokój jego matki w Castle Donovan. Przyćmione światło zdawało się wręcz zapraszać moce.

Przez kilka długich chwil Sebastian stał przy sofie, a potem, z ciężkim westchnieniem, spojrzął na fotografię Davida Merricka.

Przedstawiała uroczą, pogodną buzię, na widok której Sebastian byłby się uśmiechnął, gdyby nie to, że skoncentrował na niej całą swoją uwagę. W głowie narastały mu prastare, tajemne zaklęcia. A kiedy był już pewny, odstawił zdjęcie i sięgnął po smutnookiego, żółtego misia.

- W porządku, David - powiedział, a jego głos odbił się echem w pustych pokojach. - Zaraz sobie popatrzymy.

Oczy Sebastiana zmieniły się, od siwych, poprzez ciemnoszare, aż po kolor burzowych chmur, a jego wzrok poszybował przez pokój, przez mury domu, przez noc.

Obrazy powstawały i rozplýwały się w jego umyśle. Palce Donovana delikatnie dotykały niedźwiadka, ale ciało było napięte jak struna. Oddychał regularnie, coraz wolniej i równiej, jakby zapadał w sen.

Na początek musiał pokonać płynący z zabawki zadawniony ból i strach. Nie tracąc koncentracji, musiał prześlizgnąć się obok płaczącej matki, ściskającej misia, i oszołomionego ojca, tulącego ich oboje.

To były niezwykle silne emocje - ból, przerażenie i furia, ale najsilniejsza, jak zwykle, była miłość.

Jednak nawet i ona zbladła, gdy Sebastian przemknął obok, zmierzając w głąbiny przeszłości.

Teraz już patrzył oczyma dziecka.

Ładna twarz Rose, nachylająca się nad łódeczkiem. Uśmiech, ciche słowa, miękkie ręce. Wielka miłość. A potem inna twarz: twarz mężczyzny - młoda, prosta. Niepewne palce, szorstkie, pełne odcisków. Tutaj także była miłość. Trochę inna niż miłość matczyna, lecz równie głęboka. Zabarwiona lękiem. A także... Sebastian uśmiechnął się... także chęcią, żeby pobawić się w berka na podwórku.

Wizje przechodziły jedna w drugą. Płacz w nocy. Bezkształtne lęki, szybko odpędzane przez silne, troskliwe ręce. Dotkliwy głód, sycony ciepłym mlekiem z chętniej piersi. I zwykłe radości małego dziecka - napawanie się kolorami, dźwiękami, ciepłem słońca.

Potężna siła życia, powodująca błyskawiczny rozwój dziecka w pierwszym, oszałamiającym roku istnienia.

A potem gorączka i nieznan, pulsujący ból dziąseł. I ukojenie znajdowane w tym, że ktoś cię nosi na rękach, kołysze i śpiewa.

I znów inna twarz, promieniejąca innym rodzajem miłości. Mary Ellen, która sprawia, że żółty miś tańczy mu przed oczami. Jej śmiech, jej delikatne i niepewne ręce, gdy podnosi chłopca do góry i wyciska mu na brzuchu łaskoczące pocałunki.

Od niej także bije tęsknota, jednak zbyt niesprecyzowana, aby można ją było wyraźnie zobaczyć. Jedno wielkie uczucie, zawieszona w chaosie.

Czego chcesz? miał ją ochotę zapytać. Czego tak bardzo się boisz? Że coś cię ominie w życiu i umrzesz niespełniona?

Po chwili Mel zniknęła, jak portret, narysowany kredą, splukany strugami deszczu.

Sen. Proste sny, z wiązką promieni słonecznych obok zaciśniętej piąstki. I cień, chłodny i miękki jak pocałunek.

Sen został przerwany, wywołując rozdrażnienie. Małe, zdrowe płuca napełniają się do krzyku, stłumionego czyjąś dłonią. Obce ręce, obcy zapach, a potem rozdrażnienie przeradza się w strach. Twarz... Mgnienie oka. Sebastian stara się utrwalić ten obraz, by później go wykorzystać.

Ktoś niesie cię, ściskając zbyt mocno, do auta. Samochód pachnie starym jedzeniem, rozlaną kawą i spoconym mężczyzną.

Sebastian widzi to, czuje, podczas gdy obraz raptownie przeskakuje w kolejny obraz. Zgubił trop, kiedy strach i lzy sprawiły, że dziecko zapadło w sen.

Ujrzał jednak wystarczająco dużo, aby wiedzieć, od czego zacząć.

Morgana otworzyła sklep punktualnie o dziesiątej. Luna, wielka biała kotka, prześlizgnęła jej się między nogami, a potem usadowiła się na środku pomieszczenia, żeby wylizać sobie ogon. Latem zawsze panował tu duży ruch, dlatego Morgana od razu weszła za ladę, żeby sprawdzić taśmy w kasie. Przy okazji trąciła delikatnie brzuchem szybę i roześmiała się.

Była coraz grubsza, co ogromnie ją cieszyło. Kochała swoją ociążałość i wiążącą się z nią świadomość, że nosi w sobie dziecko. Nowe życie, które stworzyli razem z Nashem.

Przypomniała sobie, jak pewnego ranka jej mąż zaczął całować rosnący z każdym dniem brzuch, a potem nagle odskoczył ze zdumieniem, bo ten ktoś, kto drzemał w środku, kopnął go.

- Boże, Morgana, poczułem stopę! - Położył dłoń na małej wypukłości i roześmiał się.

- Mógłbym nawet policzyć palce.

Mam nadzieję, że na każdej stopie jest ich pięć, pomyślała. Kiedy zadzwonił dzwonek i drzwi się otworzyły, wciąż się uśmiechała.

- Sebastian! - Rozpromieniona wyciągnęła do niego ręce. - Wróciłeś.

- Kilka dni temu. - Ujął jej ręce i wycałował, a potem cofnął się i przyjrzał kuzynce, unosząc brwi.

- No, no, ale się zrobiłaś wielka!

- Wielka? W sam raz. - Poklepała się po brzuchu i wyszła zza lady.

Ciąża nie tylko nie pozbawiła jej atrakcyjności, ale jeszcze bardziej ją podkreśliła, bowiem Morgana wprost jaśniała. Gęste loki opadały jej czarną kaskadą na plecy, a wzywająco czerwona sukienka odsłaniała wspaniałe nogi.

- Nie ma po co pytać, czy dobrze się czujesz - skomentował Sebastian - bo sam to widzę.

- Wobec tego ja zapytam. Słyszałam już, że pomogłeś oczyścić Chicago. - Powiedziała to z uśmiechem, ale wzrok miała zatroskany. - Czy to było trudne?

- Tak, ale jest już po wszystkim. - Nim zdążył powiedzieć coś więcej, trójka klientów wtargnęła do sklepu i zaczęła oglądać kryształy, zioła i rzeźby. - Chyba nie pracujesz tu sama?

- Nie, lada chwila przyjdzie Mindy.

- Mindy już jest - odezwała się od drzwi jej pomocnica. Dziewczyna miała na sobie obcisły biały top i białe spodnie, a na twarzy zalotny uśmiech, przeznaczony dla Sebastiana.

- Cześć, przystojniaku!

- Cześć, ślicznotko!

Zamiast wyjść albo dać nura na zaplecze, jak zwykle robił, gdy pojawiali się klienci, Sebastian zaczął buszować po sklepie, bawiąc się nerwowo kryształami i wachając świece. Morgana skorzystała z pierwszej okazji, żeby znów się do niego przyłączyć.

- Szukasz czegoś magicznego?

- Nie potrzebuję pomocy wzrokowych - mruknął, trzymając w ręku gładką kulę z obsydianu.

- Masz kłopoty z jakimś zaklęciem, kochanie? Choć kula bardzo mu się podobała, odstawił ją na półkę.

Nie da Morganie tej satysfakcji.

- Dobór rekwizytów zostawiam tobie.

- Gdybyś tylko zechciał tak zrobić... - Sięgnęła po kulę i wręczyła ją Sebastianowi. - Masz, to prezent. Na zablokowanie złych wibracji najlepszy jest obsydian.

Przetoczył kulę po dłoni, aż po czubki palców.

- Przypuszczam, że jako właścicielka sklepu wiesz najlepiej, kto jest kim w naszym miasteczku.

- Mniej więcej. A czemu pytasz?

- Co wiesz o agencji Sutherland?

- Sutherland? - Morgana zamyśliła się. - To brzmi znajomo. Co to jest? Agencja detektywistyczna?

- Na to wygląda.

- Wydaje mi się, że... Mindy, czy twój chłopak nie załatwiał czegoś w tej agencji?

Dziewczyna zerknęła znad kasy.

- Który chłopak?

- Ten o wyglądzie intelektualisty, z długimi włosami. Od ubezpieczeń.

- Ach, masz na myśli Gary'ego. - Mindy przerwała i posłała klientce promienny uśmiech. - Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona. Serdecznie zapraszamy. Gary to mój były chłopak - powiedziała do Morgany. - Był zbyt zaborczy. Sutherland dostaje masę zleceń od firmy ubezpieczeniowej, w której Gary pracuje. Mówił, że ona jest naprawdę dobra.

- Ona? - Morgana z chłodnym uśmiechem spojrzała na Sebastiana. - Aha.

- Nie ma żadnego „aha”! - prychnął. - Zgodziłem się komuś pomóc, a ta Sutherland też ma w tym swój udział.

- Hmm... Ładna?

- Nie - odparł z głębokim przekonaniem.

- Czyli brzydka?

- Nie. Jest... niezwykła.

- Czyli najlepsza. W czym jej pomagasz?

- Chodzi o porwanie. - Wzrok mu spoważniał. - Porwano malutkie dziecko.

- Och! - Morgana machinalnie zakryła dłońmi własne. - To straszne! A to dziecko... czy ono... Wiesz coś?

- Żyje. I jest zdrowe.

- Dzięki Bogu. - Z ulgą zamknęła oczy i nagle coś sobie przypomniała. - Dziecko? Czy to ten chłopczyk, którego porwano z kojca na podwórku, kilka miesięcy temu?

- Tak.

Morgana chwyciła go za rękę.

- Odnajdziesz, go Sebastian. I to już wkrótce.

- Na to liczę - powiedział, kiwając głową.

Mel pisała akurat fakturę dla firmy ubezpieczeniowej Underwriter's Insurance. Płacili miesięczny ryczałt, co pozwalało jej spać spokojnie, ale w poprzednich miesiącach miała dodatkowe wydatki, i to dość znaczne. Miała także blednącego siniaka na lewym ramieniu. Mężczyzna, cierpiący rzekomo na wypadający dysk, przyłożył jej, gdy robiła mu zdjęcie podczas zmiany koła, na którym sama wcześniej potajemnie przebiła oponę.

Pomijając sińce, była to niezła robota.

Gdyby wszystko chciało wyglądać tak prosto.

David. Nie mogła przestać o nim myśleć. A przecież, jako dobrze wykształcony detektyw, powinna była pamiętać, że osobiste zaangażowanie najczęściej prowadziło do klęski. Jak dotąd, wszystko co zrobiła, potwierdzało tę regułę.

Sprawdziła sąsiedztwo Rose, pytała ludzi, którzy już byli przesłuchiwanymi na komisariacie. I, podobnie jak policja, wylądowała z trzema opisami samochodu parkującego

w pobliżu bloku, w którym mieszkała Rose. Miała także cztery zupełnie różne rysopisy „podejrzanego osobnika”.

Określenie to wywołało uśmiech na jej twarzy, bowiem brzmiało jak cytata z powieści detektywistycznej. Nauczyła się już, że życie jest znacznie bardziej prozaiczne niż fikcja. W rzeczywistości praca dochodzeniowa polegała na tonach papierkowej roboty, długich godzinach spędzanych w samochodzie, kiedy walczy się z nudą i czeka, aż coś się wydarzy, na dziesiątkach telefonów, kiedy próbuje się wydobyć coś z ludzi, którzy nie chcą mówić. Albo - co gorsza - rozmawia się z osobami, które mówią za dużo, nie mając nic do powiedzenia.

Czasami zdarzały się dodatkowe atrakcje, jak na przykład ucieczka przed stukilowym gorylem w obroży.

Jednak Mel za żadne skarby świata nie zamieniłaby się z nikim.

Cóż jednak z tego, pomyślała z goryczą, że człowiek zarabia na życie, dobrze wykonując swą pracę, skoro nie jest w stanie pomóc bliskim sobie ludziom? Stan, Rose i David byli tak ważni, stanowili bowiem dla Mel namiastkę normalnej rodziny, której nigdy nie miała. Dlatego gotowa była skoczyć w ogień, żeby uratować chłopca.

Odłożyła rachunek i sięgnęła po teczkę, która od dwóch miesięcy nie opuszczała jej biurka. Niestety, jej zawartość była żałośnie skąpa.

W środku znajdowały się wszystkie dane dziecka: wzrost i waga, kolor oczu, włosów i skóry. Miała też odciski jego stóp i palców. Znała jego grupę krwi i wiedziała o malutkim dołeczku w lewym kąciku ust.

Raporty nie wspominały jednak o tym, że dołeczek ten tak słodko się pogłębiał, gdy chłopczyk się śmiał. Nie potrafiły opisać rozkosznego uczucia, kiedy mały przyciskał w pocałunku swe miękkie, wilgotne usteczka do jej ust. Nie mówiły nic o tym, jak świeciły mu się oczka, gdy podnosiło się go wysoko nad głowę podczas zabawy w samolot.

Czuła pustkę, smutek i przerażenie, wiedząc zarazem, że nawet gdyby pomnożyła te uczucia przez tysiąc, i tak nie stanowiłoby to nawet ułamka tego, co każdego dnia i o każdej godzinie przeżywała Rose.

Otworzyła teczkę i wyjęła duże zdjęcie Davida w wieku sześciu miesięcy. Zostało zrobione w ostatnim tygodniu przed porwaniem. Chłopczyk śmiał się do obiektywu, tuląc do pulchnego policzka żółtego misia, którego Mel kupiła mu w dniu przyjazdu ze szpitala. Ciemne włoski zaczynały już gęstnieć, a w tle widać było dojrzewające truskawki.

- Znajdziemy cię, mój mały. Znajdziemy cię i przywieziemy do domu. I to już wkrótce. Przysięgam.

Szybko odłożyła fotografię. Było to konieczne, jeżeli zamierzała postępować w sposób profesjonalny. Roztkliwienie się nie pomoże Davidowi, tak jak na nic się nie przyda zatrudnienie jakiegoś jasnowidza o ustach pirata i nawiedzonych oczach.

Ten człowiek naprawdę ją drażnił, jak nikt jeszcze dotąd. Ta jego mina, te na wpół wykrzywione, na wpół uśmiechnięte usta sprawiały, że miała ochotę przyłożyć mu pięścią.

A jego głos, przymilny, z lekkim irlandzkim akcentem, od którego zęby same się zaciskały. Było w nim tyle lodowatej wyższości, poza chwilami, gdy zwracał się do Rose. Wtedy stawał się łagodny, miły i nieskończenie cierpliwy.

Starał się podtrzymać ją na duchu, pomyślała, przeskakując stertę książek telefonicznych, by dostać się do lodówki po mrożoną kawę. Chciał pocieszyć Rose i natchnąć ją nadzieją, mimo że nie miał prawa tego robić.

Bo oczywiście odnajdą Davida, ale przy pomocy żmudnych, policyjnych metod.

Właśnie zamierzała pociągnąć wściekły haust, gdy w drzwiach ujrzała znajome wysokie buty.

Nie powiedziała nic, tylko nadal stała oparta o futrynę, z butelką przy ustach, a jej oczy miały zielone strzały. Sebastian zamknął drzwi, na których widniał napis „Agencja Sutherland”, po czym leniwie rozejrzał się wokoło.

Jeżeli chodzi o biura, widywał już gorsze, choć co prawda rzadko. Stalowe biurko z demobilu było wprawdzie funkcjonalne i solidne, lecz zupełnie pozbawione urody. Równie nieciekawe były dwie metalowe szafki i dwa foteliki, jeden w kolorze trupiego fioletu, a drugi w wyblakły rzucik, ustawione przy rozchwianym stoliku, na którym leżały stare pisma i którego blat nosił liczne ślady po papierosach.

Na przeciwległej ścianie, rozpaczliwie domagającej się farby i pędzla, wisiała przepiękna akwarela przedstawiająca Monterey Bay, pasująca tu jak elegancka kobieta do portowej spelunki. W pokoju pachniało wiosenną łąką.

Zerknął do pomieszczenia znajdującego się za panią detektyw i zobaczył, że jest to maleńka i niebywale zagracona kuchenka.

Nie mógł sobie tego odmówić. Wsunął ręce do kieszeni i uśmiechnął się do Mel.

- Niezły lokal.

Spokojnie pociągnęła kolejny łyk.

- Masz do mnie jakiś interes, Donovan?

- Masz jeszcze jedną butelkę tego czegoś? Wzruszyła ramionami, a potem znów przekroczyła książki telefoniczne i sięgnęła do lodówki.

- Nie sądzę, abys spuścił się z tej swojej góry tylko po to, by się napić.

- Ale rzadko odmawiam, gdy ktoś mnie częstuje. - Otworzył butelkę i zlustrował Mel uważnym wzrokiem, od zdartych butów i starych dzinsów, poprzez spiczasty podbródek, z tą fascynującą dziurką pośrodku, aż po pełne nieufności zielone oczy.

- Wyglądasz dziś zdecydowanie ponętniej, Mary Ellen.

- Proszę tak do mnie nie mówić! - Chciała, by zabrzmiało to stanowczo, jednak efekt nie był najlepszy.

- Dlaczego? To takie śliczne, staroświeckie imię. - Kokieteryjnie przechylił głowę. - Jednak chyba Mel lepiej do ciebie pasuje.

- Czego chcesz, Donovan? Nagle przestał żartować.

- Znaleźć Davida Merricka.

O mały włos dałaby się nabrać. To proste stwierdzenie zabrzmiało tak poważnie i Uczciwie, że omal nie podała ręki Sebastianowi. Zaraz jednak zgaśniła się w myślach, przysiadła na rogu biurka i zaczęła mu się przyglądać.

- Tak między nami, koleś, to nie twoja działka. Uległam Rose, bo nie udało mi się wyperswadować jej wyprawy do ciebie, a także dlatego, że na chwilę ją to uspokoiło. Wiedz jednak, że ja znam facetów twojego pokroju. Może jesteś zbyt cwany, aby otwarcie grać drania. Znasz ten chwyt - przyślij mi dwadzieścia dolców, a odmienię ci życie. Pomogę ci zdobyć pieniądze, władzę i seks, a wszystko za niewielką opłatą.

Znów pociągnęła łyk.

- Ty jesteś inny, nie będziesz robił byle czego za byle jakie grosze. Przypominasz tych od kawioru i Dom Perignon. Pewnie cię bawi wpadanie w trans, oglądanie miejsc zbrodni i wysnuwanie wniosków. Pewnie od czasu do czasu udaje ci się trafić i z tego żyjesz, ale nie będziesz sobie kpił z cierpienia Rose i Stana Nie będziesz sobie polepszał samopoczucia kosztem ich synka. Jesteś oszustem, Donovan.

Sebastian uznał, że guzik go obchodzi, co myśli o nim ta wygadana, zielonooka lala. Chodzi tylko o Davida Merricka.

Lecz jego palce zacisnęły się wokół butelki, a głos, kiedy się odezwał, był przesadnie miękki.

- Widzę, że mnie rozgryzłaś, Sutherland.

- Załóż się o swój tyłek, że tak. - Złość spowodowała, że arogancja przychodziła jej bez trudu. - Więc nie marnujmy sobie nawzajem czasu. Jeżeli uważasz, że wysłuchując Rose, naharowałeś się jak wół, wystaw mi rachunek. Dopilnuję, żebyś dostał te pieniądze. A teraz spadaj.

Przez chwilę milczał. Potem uświadomił sobie, że jak dotąd nigdy nie miał ochoty udusić kobiety, oczywiście poza kuzynką Morgana. A teraz z rozkoszą wyobraził sobie, jak zaciska ręce na długiej, opalonej szyi Mel.

- Masz język jak żmija. - Odstawił na wpół opróżnioną butelkę, a potem pogrzebał niecierpliwie wśród bałaganu na biurku i wyciągnął ołówek i kartkę papieru.

- Co robisz? - zapytała, kiedy zrobił sobie trochę miejsca i zaczął szkicować.

- Narysuję ci obrazek. Wyglądasz na osobę, która potrzebuje namacalnych dowodów.

Zmarszczyła brwi. A potem, patrząc, jak jego ręka jakby od niechcenia kreśli na papierze czyjś wizerunek, jeszcze bardziej spochmurniała. Zawsze zazdrościła ludziom, którzy potrafili bez wysiłku rysować, a zarazem nimi gardziła. Popijając z butelki, mówiła sobie, że jej to nie interesuje, ale jej wzrok mimowolnie kierował się ku twarzy wyłaniającej się z kresek i łuków, stawianych przez Sebastiana.

Wbrew sobie nachyliła się w jego stronę i mimowiednie zarejestrowała, że delikatnie pachniał koźmi i skórą. Uwagę jej przykuł głęboki fiolet ametystu na jego małym palcu. Popatrzyła na kamień, zahipnotyzowana blaskiem, z jakim iskrzył się w złotym pierścieniu.

Ręce artysty, pomyślała ponuro. Silne, zręczne i eleganckie. Potem uświadomiła sobie, że pewnie potrafią też być delikatne, gdy otwierają szampana i rozpinają damskie guziczki.

- Czasami robię obie te rzeczy naraz.

- Co?! - Zaszokowana podniosła wzrok i zobaczyła, że przestał rysować. Stał obok niej, bliżej niż się spodziewała, i patrzył.

- Nic. - Uśmiechnął się, choć w głębi ducha był zły, że pozwolił sobie na coś takiego. Był jednak ciekawy, dlaczego tak wpatrywała się w jego ręce. - Czasami lepiej nie myśleć tak głośno - powiedział i wręczył jej szkic. - Oto człowiek, który porwał Davida.

Chciała oddać rysunek i przepędzić jego autora, nie wolno jej było jednak tak postąpić. Bez słowa podeszła do biurka i otworzyła teczkę Davida, gdzie znajdowały się cztery policyjne szkice. Wybrała jeden i porównała go z pracą Sebastiana.

Sporządzony przez niego wizerunek był zdecydowanie bardziej szczegółowy. Świadek nie zauważył ani małej blizny w kształcie litery C pod lewym okiem, ani ułamanego przedniego zęba, policyjny rysownik nie uchwycił też wyrazu paniki. Był to jednak ten sam człowiek, czego dowodziły kształt twarzy, osadzenie oczu, kręcone włosy i początki łysiny.

Pewnie ma jakieś znajomości w policji, pomyślała, próbując uspokoić rozdygotane nerwy. Dostał kopię szkicu, a potem go trochę poprawił.

Rzuciła rysunek na biurko i usiadła na krześle. Kiedy się odchyliła do tyłu, krzesło zaskrzypiało.

- Dlaczego właśnie on?

- Bo to jest człowiek, którego zobaczyłem. Prowadził brązowego Mercury'ego, rocznik 83 albo 84, beżowa tapicerka, tylne siedzenie rozdarte z lewej strony. Lubi muzykę country. A przynajmniej taka szła z radia w samochodzie, kiedy odjeżdżał z dzieckiem. Na wschód - mówił półgłosem, a jego oczy na moment wyostrzyły się jak klingi. - Na południowy wschód.

Jeden ze świadków mówił o brązowym samochodzie, zaparkowanym w pobliżu domu, w którym mieszkała Rose. Mel pomyślała, że i tę informację mógł Sebastian dostać od policji. To czysty bluff Ten facet próbuje ją oszukać.

A jeśli nie... jeżeli jest bodaj cień szansy...

- Dobra, mamy twarz i samochód - powiedziała, udając kompletny brak zainteresowania, ale zdradziło ją nieznaczne drżenie głosu. - Żadnego nazwiska, adresu, żadnych numerów rejestracyjnych?

- Twarda z siebie sztuka, Sutherland. - Mógłby poczuć do niej antypatię, gdyby nie to, że wiedział, jak strasznie jej zależało na Davidzie.

A zresztą, co go to obchodzi. Przecież z całego serca nie cierpi tej pyskatej i aroganckiej baby.

- Stawką jest życie dziecka.

- On jest bezpieczny - powiedział. - Bezpieczny i zadbany. Jest tylko zdezorientowany i trochę więcej płacze, jednak nikt nie zrobił mu krzywdy.

Na moment zabrakło jej tchu. Tak bardzo chciała w to uwierzyć!

- Chyba nie masz zamiaru mówić o tym Rose - powiedziała z naciskiem. - Mogłaby oszaleć.

Nie zwracając na nią uwagi, Sebastian ciągnął dalej:

- Człowiek, który go porwał, był przerażony. Można to było wyczuć. Zawiózł dziecko do jakiejś kobiety gdzieś na wschodzie, a ona ubrała go w kolorowe śpioszki i czerwoną koszulkę w paski. Siedział w foteliku samochodowym i miał kółko z plastikowymi kluczami do zabawy. Jechali prawie przez cały dzień, a potem zatrzymali się w motelu. Na szyldzie był dinozaur. Kobieta nakarmiła małego, a kiedy zaczął płakać, wzięła go na ręce i nosiła, póki nie zasnął.

- Gdzie to było?

- W Utah. - Zamyślił się. - Albo w Arizonie, ale raczej w Utah. Na drugi dzień pojechali dalej, wciąż na południowy wschód. Ona się nie boi. Dla niej to interes. Jadą do supermarketu, gdzieś w wschodnim Teksasie. Ona siedzi na ławce. Obok niej siada jakiś mężczyzna. Zostawia na ławce kopertę i odjeżdża z Davidem w wózku. To samo powtarza się następnego dnia. David jest już zmęczony podróżą i przerażony ilością obcych twarzy. Wreszcie zabierają go do dużego kamiennego domu, ze starymi drzewami na podwórzu. To jest Południe, chyba Georgia. Dają chłopca kobiecie, która tuli go z płaczem, i mężczyźnie, który obejmuje ich oboje. David ma tam swój pokój, z niebieskimi żagielkami na ścianie, a nad łóżeczkiem ruchomą zabawkę ze zwierzętami. Teraz mówią do niego Erie. Mel słuchała, blada jak kreda.

- Nie wierzę ci - powiedziała, kiedy udało jej się wydobyć z siebie głos.

- Wiem, lecz jakaś część w tobie waha się, czy jednak nie powinnaś mi uwierzyć. Daruj sobie to wszystko, co o mnie myślisz, Mel, i pomyśl o Davidzie.

- Wciąż myślę tylko o nim. - Zerwała się ze szkicem w rękę. - Podaj mi nazwisko! Nazwisko, do cholery!

- Myślisz, że to działa w ten sposób? - odparował. - Pytanie i odpowiedź? To jest sztuka, a nie telewizyjny quiz.

Rzuciła szkic na biurko.

- No właśnie.

- Posłuchaj mnie! - Walnął pięścią w blat. - Byłem w Chicago przez trzy tygodnie i patrzyłem, jak jakiś potwór kroi ludzi na wstążki w mojej głowie. Czułem radość, z jaką to robił. I starałem się użyć wszystkich moich mocy, żeby go odnaleźć, zanim zrobi to po raz kolejny. Jeżeli nie pracuję na tyle prędko, aby cię zadowolić, Sutherland, to tym gorzej dla ciebie, do cholery!

Na jego twarzy zobaczyła cień przeżytego horroru.

- W porządku - powiedziała. - Prawda wygląda tak, że nie wierzę w żadnych jasnowiedzów ani wróżki.

- To musisz kiedyś poznać moją rodzinę - mruknął i uśmiechnął się.

- Wykorzystam jednak wszystko - ciągnęła dalej, ignorując jego słowa - co może pomóc w odnalezieniu Davida. - Znow sięgnęła po rysunek. - Mam przynajmniej twarz. I od tego zacznę.

Nim zdążył wymyślić stosowną odpowiedź, zadzwonił telefon.

- Agencja Sutherland. Tak, tu Mel. Co słyhać, Rico? Uśmiechnęła się, a Sebastian z niechętnym zdumieniem pomyślał, że ta kobieta jest nawet ładna.

- Hej, stary, naprawdę możesz mi zaufać. - Zaczęła notować coś szybkim, niedbałym pismem. - Tak, wiem, gdzie to jest. Czy to nie dziwne? - Znow zaczęła słuchać, kiwając głową i potakując od czasu do czasu. - Spokojnie, znam zasady. Nigdy o tobie nie słyszałam i nigdy nie widziałam twojej pięknej facjaty. Zostawię ci forszę u O'Rileya. - Przerwała i roześmiała się. - Chyba w twoich snach, kotku.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Sebastian poczuł emanujące z niej podniecenie.

- Idź na spacer, Donovan, bo ja muszę zabrać się do pracy.

- Pójdę z tobą. - Powiedział to impulsywnie i natychmiast tego pożałował. Chętnie by się wycofał, gdyby jej reakcja była mniej pogardliwa. Mel parsknęła śmiechem.

- Koleś, nie pora na amatorów. Niepotrzebny mi dodatkowy bagaż.

- Przecież mamy razem pracować, choć mam nadzieję, że potrwa to krótko. Wiem, co sam potrafię, Sutherland, lecz o tobie nie mam zielonego pojęcia. Chciałbym cię zobaczyć w akcji.

- Marzą ci się filmowe sceny? - Mel wolno pokiwała głową. - Dobra, pistolecie. Poczekaj tu, muszę się przebrać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rzeczywiście, było to wielce interesujące przebranie. Kobieta, która po dziesięciu minutach zjawiała się w pokoju, ubrana w pomarańczową skórzaną spódniczkę, ledwo zakrywającą pupę, dość zasadniczo różniła się od tej, która z niego przed chwilą wyszła.

Sebastian musiał przyznać, że nogi miała cudowne!

Zrobiła też coś z twarzą, bo jej oczy pod ciężkimi powiekami wydały się wręcz olbrzymie i dziwnie rozmarzone. Usta miała czerwone i kształtne, a włosy natapirowała i rozczesała tak, że wyglądała, jakby właśnie wstała z łóżka tylko po to, by natychmiast z powrotem do niego wskoczyć.

Z uszu zwisały jej dwie lśniące złote kule, sięgające niemal ramiączek czarnego i obcisłego podkoszulka, pod którym w kuszący sposób przeżyło się nagie, nie skrupowane stanikiem ciało.

SEKS! Dziki, nieobliczalny seks... oto czego żywym symbolem była teraz Mel.

Już miał rzucić jakąś kąśliwą uwagę albo zrobić sugestywną, jednoznaczną aluzję, lecz z jego ust padły zupełnie inne słowa:

- Do jasnej Anielki, a gdzie to się wybierasz się w takim stroju?

Uniosła pociągnięte ołówkiem brwi.

- A cóż to za Anielka? Nie znam jej - odpowiedziała drwiąco.

Zrezygnowany, machnął ręką i postanowił nie patrzeć na jej nogi. I co to za perfumy? Ich zapach sprawiał, że miał ochotę wystawić język jak pies.

- Wyglądasz jak...

- Oczywiście. - Z zadowoleniem obróciła się wokół własnej osi. - Tak wyglądam jako dziwka. Większość facetów nie zwraca uwagi na urodę, o ile tylko pokażesz dużo gołej skóry, a resztę okryjesz czymś obcisłym.

Nie zamierzał tego analizować.

- Po co się tak ubrałaś?

- Narzędzie pracy, Donovan. - Zarzuciła na ramię pokaźną torebkę, w której miała inne akcesoria detektywa. - Jeżeli chcesz ze mną jechać, to ruszamy. Po drodze podam ci szczegóły.

Nie była już zdenerwowana. Kiedy wsiadała do samochodu, a jej spódniczka podsunęła się jeszcze o kilka centymetrów do góry, wyczuł, jak bardzo Mel jest skupiona na swoim zadaniu, a przy tym lekko podekscytowana. Jak kobieta, która wybiera się na zakupy...

- Dobrze - powiedział, sadowiając się na fotelu pasażera. - Umowa stoi.

Ruszyli. Mel szybko wyjaśniła, w czym rzecz.

Od sześciu tygodni w okolicy panowała plaga kradzieży. Łupem złodziei padał wyłącznie sprzęt elektroniczny, to znaczy telewizory, odtwarzacze wideo, odbiorniki stereofoniczne. Większość ofiar ubezpieczona była w firmie Underwriter's. Policja miała wprawdzie kilka poszlak, ponieważ jednak nikogo nie okradziono na więcej niż kilkaset dolarów, nie przejmowała się tym zbytnio.

- Underwriter's to średniej wielkości firma ubezpieczeniowa - powiedziała Mel, kiedy przejeżdżali na żółtym świetle - a to znaczy, że nienawidzą wypłacać odszkodowań. Dlatego pracuję nad tym od kilku tygodni.

- Powinnaś sobie wyregulować silnik - odezwał się Sebastian.

- Tak. W każdym razie rozejrzałam się trochę i wiesz co? Okazuje się, że kilku facetów sprzedaje taki właśnie sprzęt prosto z ciężarówki. Nie, nie tutaj. Jadą do Salinas albo do Soledad.

- Jak na nich wpadłaś?

- Musiałam się niezłe nachodzić, Donovan. Mimowolnie spojrział na jej długie, opalone uda.

- O, tak, mogę się założyć.

- Mam kapusia. Wprawdzie kilka razy go przymknęli, ale jest dość cwany, a przy tym, o dziwo, polubił mnie. Pewnie dlatego, że jestem prywatnym detektywem.

Sebastian chrząknął znacząco.

- Tak, jestem pewny, że właśnie z tego powodu.

- Pozostały mu różne kontakty z czasów, gdy jeszcze był drobnym złodziejaszkiem.

- Masz fascynujących przyjaciół.

- To całkiem niezłe życie - powiedziała z tłumionym śmiechem. - On przekazuje mi pewne informacje, a ja daję mu czeki. To go powstrzymuje przed następnymi włamaniami. Na ogół kręci się po dokach, gdzie żaden turysta nie powinien się pokazywać. Jest tam taki bar, w którym popił sobie wczorajszej nocy i skolegował się z jednym facetem, który był już niezłe wstawiony. Mój przyjaciel lubi sobie wypić, zwłaszcza jeżeli ktoś mu postawi. Zaprzyjaźnili się, jak to pijacy, i mój kumpel dowiedział się, że facet oblewa dobry interes, bo właśnie wysłał ładunek sprzętu elektronicznego do King City. A potem ten facet wyprowadził mojego kapusia tylnym wyjściem do sąsiedniego budynku. I jak myślisz, co było w środku?

- Używany sprzęt po obniżonej cenie.

- Jak na to wpadłeś, Donovan? - zawołała z udanym podziwem.

- Dlaczego po prostu nie wezwiesz policji?
- Bo to moja zdobycz - mruknęła z uśmiechem. - I to nieźła.
- A nie przyszło ci do głowy, że oni... mogą się nie palić do współpracy?

Kiedy się znów uśmiechnęła, z jej oczu bił żar.

- Nie martw się, Donovan, nie pozwolę zrobić ci krzywdy. A teraz posłuchaj, co zamierzam.

Kiedy kilka minut później zatrzymali się przed barem, Sebastian znał już szczegółowy plan działania. Cała ta sprawa bardzo mu się nie podobała.

Jako człowiek wybredny, popatrzył z obrzydzeniem na niski dom bez okien. Barak zbudowano z żużlowych pustaków, pomalowanych na zielono. Farba, w szczególnie ohydny odcieniu, łuszczyła się jak stary strup, odsłaniając pod spodem szary mur.

Dochodziło południe, ale na wysypanym żużlem placyku stało już kilkanaście samochodów.

Mel wrzuciła kluczyki do torebki i spojrzała na Sebastiana.

- Spróbuj wyglądać trochę mniej...
- Jak człowiek? - odpowiedział.

„Elegancko”, to właśnie słowo przyszło jej na myśl, jednak za żadne skarby by go nie użyła.

- Jak czytelnik „Gentleman's Quarterly”. I, na miłość boską, nie zamawiaj białego wina!

- Spróbuję się powstrzymać.
- Idź za przykładem innych, Donovan, a nie zginiesz w tej dżungli występku.

Teraz jednak szedł za parą kołyszących się bioder i wcale nie był pewny, czy sobie w ogóle poradzi.

Zapach tego miejsca zwałił go z nóg już w chwili, kiedy Mel otworzyła drzwi. Dym, piwo, pot. Z grającej szafy dobywało się jakieś rżenie, co dla Sebastiana stało się dodatkową torturą.

Przy barze siedzieli mężczyźni o muskularnych ramionach, pokrytych tatuażem. Wyglądało na to, że ten rodzaj sztuki szczególnie preferował węże i trupie czaszki. Stuknęły kule na stole bilardowym. Niektórzy klienci podnieśli wzrok. Ich spojrzenia prześlizgnęły się z pogardą po Sebastianie, a potem z sympatią spoczęły na Mel.

Sebastian starał się skupić na rozproszonych wokoło myślach. Było to dość łatwe, bo przeciętny iloraz inteligencji bywalców tego lokalu z reguły nie przekraczał setki. Usta

drgnęły mu w uśmiechu. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tyle sposobów na określenie... damy.

Bo dama, o której mowa, jedna z trzech bawiących w tym przybytku, podeszła do baru i posadziła swoją odzianą w skóry pupę na wysokim stołku, wydymając ponętnie szerokie, kształtne usta.

- Mógłbyś mi chociaż postawić piwo - zwróciła się do Sebastiana zmysłowym szeptem, który wytrącił go z równowagi. Kiedy ostrzegawczo zmrużyła oczy, przypomniał sobie o swojej roli.

- Posłuchaj, pączuszk, już ci mówiłem, że to nie moja wina.

Pączuszk? Mel omal nie wzniosła oczu do nieba.

- Jasne, zawsze jesteś niewinny. Wsadzają cię do pudła, to nie twoja wina. Przegrywasz sto docłów w pokera, to też nie twoja wina. Dla mnie piwo, dobrze? - zawołała do barmana, zakładając nogę na nogę.

Sebastian podniósł w górę dwa palce, a potem opadł na stołek obok Mel.

- Przecież już ci mówiłem, że ten cholerny gad wziął się na mnie w pracy. A zresztą, zejdź ze mnie.

- Jasne! - prychnęła, kiedy dwa piwa z hukiem wylądowały przed nimi na ladzie. Kiedy Sebastian sięgnął do tylnej kieszeni, przyszło jej nagle do głowy, że jego portfel jest więcej wart niż cała siła nabywczą wszystkich klientów baru. A poza banknotami znajdowały się w nim jeszcze zapewne złote karty kredytowe...

Syknęła ostrzegawczo.

Natychmiast ją zrozumiał. Zawahał się opuścić rękę.

- Znowu się splukales? - prychnęła z pogardą. - Fantastycznie. - Sięgnęła niechętnie do torebki i wyjęła dwa wymięte banknoty. - Jesteś kompletne zero, Harry.

Harry? Grymas Sebastiana był jak najbardziej autentyczny.

- Będę miał trochę forsy. Obstałem dziesiątkę.

- Jasne, będziesz miał forsy jak lodu. - Pokazała mu plecy i sącząc piwo, rozejrzała się po barze.

Rico podał jej rysopis tego faceta. W niecałe dwie minuty udało jej się wypatrzeć mężczyznę zwanego Eddiem. Wedle słów kumpla Rica, był naprawdę równym gościem. Pracował za dnia, sortując towar. I podobno miał wielką słabość do pań.

Mel zaczęła kiwać nogą w takt muzyki, starając się wpaść w oko Eddiemu. Kiedy jej się to udało, uśmiechnęła się przymilnie i zaczęła wysyłać sprzeczne ze sobą sygnały.

Jej uśmiech, skierowany do Eddiego, mówił: „Hej, przystojniaczku, kogoś takiego jak ty szukałam całe życie”.

Do Sebastiana, który wczuł się już na tyle w sytuację, że nie dał się zaskoczyć, posłała spojrzenie: „To ten tłusty debil ogolony na zero”.

Odwrócił się i rozejrzał wokoło. Rzeczywiście, facet był ogolony na zero, lecz to nie tłuszcz rozpychał jego przepocony podkoszulek, tylko całkiem niezłe muskuły.

- Posłuchaj, kotku... - Położył Mel rękę na ramieniu. Strząsnęła ją ze złością.

- Mam po uszy twoich tłumaczeń, Harry. Rzygam nimi. Mam wszystkiego dość. Nie masz forsy, moją tracisz, nie stać cię nawet na pięćdziesiąt dolców, żeby naprawić telewizor. A przecież wiesz, jak lubię moje telenowele.

- Tak czy owak, za dużo oglądasz.

- Co? - syknęła wściekle. - Nogi mi wchodzą w tyłek, bo przez pół nocy podaję w knajpie, a ty się czepiasz, bo chcę sobie chwilę posiedzieć z nogami do góry i pooglądać telewizję. To nic nie kosztuje.

- To będzie kosztowało pięćdziesiąt dolców. Odepchnęła go i zsunęła się ze stołka.

- Przegrałeś w karty dwa razy tyle, a część tej forsy była moja!

- Mówiłem ci, zejdz ze mnie! - Powoli zaczynał się w to wciągać, a nawet zaczynało go to bawić, przy okazji mógł bowiem trochę podokuczać Mel. - Umiesz tylko narzekać, to wszystko. - Chwycił ją ostentacyjnie, próbując zrobić z tego niezłe przedstawienie. Głowa opadła jej do tyłu, oczy rzucały błyskawice. Była taka... seksowna, taka pociągająca z tymi kapryśnie wyдутymi ustami, że musiał wziąć się w garść, aby nie wypaść z roli.

Mel dostrzegła w jego oczach coś, co spowodowało, że serce podskoczyło jej do gardła i zaczęło bić jak dzwon.

- Nie muszę tego słuchać! - Potrząsnął nią z całych sił.

- Jak ci się nie podoba, droga wolna.

- Zabieraj swoje łapy! - powiedziała drżącym głosem. Było to krępujące, ale konieczne. - Uderz mnie jeszcze raz, to zobaczysz!

Uderzyć ją? Dobry Boże!

- Zabieraj tyłek w troki, Crystal. - Popchnął ją w stronę drzwi i nagle natrafił twarzą na mięsisty tors, okryty przepoconym podkoszulkiem, na którym napis głosił wszem i wobec, że jego właściciel kocha szybką jazdę.

- Nie słyszałeś, gnojku? Ta pani sobie życzy, żebyś zabrał łapy.

Sebastian spojrział w uśmiechniętą twarz Eddiego, a za plecami usłyszał pochlipywanie Mel. Wstał ze stołka i znalazł się oko w oko z błędnym rycerzem.

- Nie twój zafajdany interes.

Eddie jednym celnym ciosem rzucił go na kontuar. Sebastian był pewny, że przez najbliższe lata będzie czuł na piersi cios tej stalowej pięści.

- Czego sobie teraz życzysz, złotko? Mam wyjść z nim na dwór i załatwić go?

Mel otarła oczy i wahała się wystarczająco długo, by Sebastian zdążył się spocić.

- Nie. - Położyła Eddiemu na ramieniu drżącą dłoń.

- On nie jest tego wart. - Zatrzepotała rzęsami. - Fajny z ciebie chłopak - powiedziała z uznaniem. - Mało jest dżentelmenów, na których kobieta może liczyć.

- Może byś się przysiadła do mojego stolika? - Eddie otoczył jej talię potężnym ramieniem. - Postawię ci coś do picia, a ty się zrelaksuj.

- Jak to miło z twojej strony.

Odplynęła z Eddiem, a Sebastian udał, że chce za nimi iść. Jeden z bilardzistów uśmiechnął się i uderzył kijem w dłoń. Było to poważne ostrzeżenie. Sebastian pokuśtykał na koniec baru i wsadził nos w kufel.

Kazała mu czekać półtorej godziny. Nie mógł nawet zamówić sobie drugiego piwa, bo musiałby zdradzić zawartość swojego portfela. Barman co jakiś czas obrzucał go zjadliwym wzrokiem, a on chrupał powoli orzeszki i w nieskończoność przeciągał ostatnie łyki.

Zaczynał mieć już tego dosyć. Nie widział niczego zabawnego w siedzeniu w śmierzącym barze i patrzeniu, jak jakiś zapaśnik sumo podrywa kobietę, z którą przyszedł, nawet jeżeli nie był nią zainteresowany. I nawet, pomyślał ponuro, jeżeli ta kobieta chichotała radośnie za każdym razem, kiedy któraś z tych łap jak polec szynki głaaskała ją po nodze.

Najchętniej wyszedłby, wziął taksówkę, a jej zostawił cały ten pasztet.

Jednak zdaniem Mel wszystko układało się jak najlepiej. Eddie był coraz bardziej pijany i bardzo dużo mówił. Faceci kochają wywnętrzać się przed życzliwą kobietą, zwłaszcza gdy są wstawieni.

Eddie powiedział jej, że właśnie trafiła mu się większa kasa i chciałby, aby pomogła mu ją wydać.

Bardzo chętnie, czemu nie? Wprawdzie za kilka godzin i musi iść do pracy i jej zmiana kończy się o pierwszej, ale potem...

Kiedy już całkiem go rozmiękczyła, poczęstowała go łzawą historyjką. Związała się z Harrym pół roku temu, ale ten drań przepuszcza całą forszę i odmawia jej wszystkich przyjemności. A przecież nie prosi o wiele. Tylko parę ładnych ciuchów i trochę zabawy. A teraz jest naprawdę niedobrze, po prostu okropnie, bo zepsuł jej się telewizor. Oszczędzała, żeby

sobie kupić wideo, a tu jak na złość wysiadł telewizor. Co gorsza, Harry przegrał ich wspólną forszę w karty i nie ma już nawet pięćdziesięciu dolców na naprawę.

- Lubię oglądać telewizję - mówiła, popijając drugie piwo. Eddie w tym czasie wlewał w siebie siódme. - Po południu dają telenowełe, a tam wszystkie kobiety mają takie ładne stroje. A potem przenieśli mnie na dzienną zmianę i nie mogę się już połapać, co się dzieje, a bez wideo nigdy się już nie dowiem, co naprawdę jest grane. I wiesz co... - Wychyliła się ku niemu tak, że jej piersi otarły się o jego ramię. - Jest tam dużo scen miłosnych. Kiedy je oglądam, robię się taka... napalona.

Eddie patrzył, jak obwodzi językiem czerwone usta, i pomyślał, że jest w niebie.

- Przykro oglądać coś takiego w pojedynkę - powiedział rezolutnie.

- Jasne, we dwójkę byłaby lepsza zabawa. - Rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Gdybym miała dobry telewizor, mogłoby być całkiem miło. Lubię dzień. Kiedy wszyscy są w pracy albo na zakupach, a ja mogę sobie leżeć... w łóżku. - Obwiodła czubkiem palca kufel i westchnęła.

- Teraz jest dzień - zauważył Eddie.

- Tak, ale nie mam telewizora - zachichotała, jakby to był świetny żart.

- Mógłbym ci pomóc, złotko.

Otworzyła szeroko oczy, a potem skromnie spuściła wzrok.

- Rany, to naprawdę miło z twojej strony, Eddie, ale nie wzięłabym od ciebie pięćdziesięciu dolców. Tak nie można.

- Tak czy owak, po co miałabyś wyrzucać forszę na starego grata? Możesz przecież mieć nowy.

- Jasne! - parsknęła w swój kufel. - Mogę mieć też brylantowy diadem.

- W tym nie mogę ci pomóc, ale mogę ci dać nowy telewizor.

- Daj spokój. - Położyła mu rękę na kolanie i spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Jak?

Eddie wypiął masywną pierś.

- Tak się akurat składa, że robię w branży.

- Sprzedajesz telewizory? - zapytała, wpatrując się w niego jak zafascynowana. - Robisz mnie w konia.

- Teraz nie - Mrugnął znacząco. - Może później. Mel zachichotała.

- Ale z ciebie numer, Eddie! - Pociągnęła łyk piwa i znowu westchnęła. - Szkoda, że to tylko żarty. Gdybyś mógł mi skombinować nowy telewizor, byłabym ci bardzo, ale to bardzo wdzięczna... - zamruczała powabnie.

Eddie przysunął się bliżej. Czują jego oddech, przesycony piwem i tytoniem.

- Jak bardzo?

Przytknęła mu usta do ucha i wyszeptwała propozycję, od której takiego światowca jak Sebastian pewnie by zatkało.

Eddie jednym haustem dopił piwo i chwycił ją za rękę.

- Chodź, złotko. Pokażę ci coś.

Mel poszła za nim, nawet nie spojrzawszy w stronę Donovana. Miała głęboką nadzieję, że Eddie chciał jej pokazać tylko telewizor.

- Gdzie idziemy? - zapytała, kiedy poprowadził ją na tyły budynku.

- Do mojego biura, złotko. - Mrugnął chytrze. - Razem z moimi partnerami mamy tu pewien mały interes.

Poprowadził ją między śmietnikami do kolejnego betonowego budynku, o połowę mniejszego niż bar, i zapukał trzy razy. Otworzył im chudy chłopak w rogowych okularach. W rękę trzymał tabliczkę do pisania.

- Co jest grane, Eddie?

- Ta pani potrzebuje telewizora. - Eddie objął Mel i mocno ścisnął jej ramię. - Crystal, kotku, to jest Bobby.

- Cześć. - Bobby skinął głową. - Posłuchaj, Eddie, to nie jest dobry pomysł. Frank będzie wściekły jak cholera.

- Zaraz, zaraz, ja też mam tu coś do gadania. - Eddie władował się do środka, a za nim wsunęła się Mel.

- Och! - westchnęła, tym razem naprawdę. Fluorescencyjne żarówki nad ich głowami oświetlały całe rzędy telewizorów, przytulonych do odtwarzaczy wideo, radiomagnetofonów oraz wież stereo. Było tam też kilka komputerów, automatycznych sekretarek, a także samotna kuchenka mikrofalowa.

- O rany! - Mel klasnęła w ręce. - O rany, Eddie! Coś podobnego! Przecież to prawdziwy sklep!

Eddie zachwiał się lekko i porozumiewawczo mrugnął do zdenerwowanego Bobby'ego.

- Jesteśmy hurtownikami. Nie prowadzimy tutaj normalnej sprzedaży. To nasz magazyn. Idź, rozejrzyj się trochę.

Nie przestając odgrywać swojej roli, Mel podeszła do telewizorów i przeciągnęła palcami po ekranach, jakby to było furto z norek.

- Zobaczysz, że Frankowi się to nie spodoba - syknął Bobby.

- Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal - powiedział Eddie, który miał nad Bobbym z pięćdziesiąt kilo przewagi.

- Jasne, Eddie, ale po co zaraz przyprowadzać tu swoją lalę...

- Ona jest w porządku. Nogi super, ale w głowie pusto. Dam jej telewizor, a potem się zabawię. - Minął Bobby'ego i podszedł do Mel.

- Widzisz jakiś, który ci się podoba?

- Ach, są fantastyczne. Naprawdę mogę sobie jeden wybrać? Tak po prostu wziąć do domu?

- Jasne. - Eddie dyskretnie ją uściskał. - Jesteśmy ubezpieczeni od włamań, więc powiem Bobby'emu, aby zapisał, że ktoś rąbnął jedną sztukę. Franka łatwo zrobić w konia.

- Naprawdę? - Cofnęła się i wsunęła rękę do torebki.

- To fantastycznie, Eddie. Ale wydaje mi się, że sam się zrobiłeś w konia. - Wyciągnęła z torebki niklowaną trzydziestkę ósemkę.

- Glina! - zaskrzeczał Bobby, a Eddiemu twarz zastygła w grymasie skupienia. - Jezu, Eddie, to glina!

- Nie ruszaj się! - ostrzegła, kiedy Bobby skoczył do drzwi. - Siadaj na podłodze. Na własnych rękach, dobrze?

- Ty dziwko! - wysapał Eddie. - Powinienem być wyczuć glinę.

- Jestem prywatnym detektywem - powiedziała mu.

- Może dlatego mnie nie wyczułeś. - Machnęła rewolwerem. - Wychodzimy na dwór, Eddie.

- Żadna baba mnie nie wykołuje, z bronią czy bez! Rzucił się na nią.

Nie chciała go postrzelić. Naprawdę nie chciała. Był tylko tłustym, marnym złodziejaszkiem i nie zasługiwał na kulę. Odwróciła się i uskokzyła w lewo, licząc na swoją zręczność i prędkość oraz jego pijacką ociężałość.

Eddie chybił i wałnął głową w dwudziestopięciocalowy ekran. Mel nie potrafiła powiedzieć, kto wyszedł z tej próby zwycięsko - ekran chrupnął jak skorupka jajka, a Eddie runął na ziemię.

Z tyłu rozległ się jakiś hałas. Mel odwróciła się i zobaczyła, jak Sebastian chwytła Bobby'ego od tyłu za gardło. Jeden mocny uścisk i chłopak wypuścił z rąk młotek, którym zamierzał się na Mel.

- Można tym kogoś nieźle uszkodzić - powiedział przez zaciśnięte zęby, kiedy Bobby osunął się bezwładnie na betonową posadzkę. - Nie powiedziałaś mi, że masz broń.

- A po co? Podobno jesteś jasnowiedzem. Sebastian podniósł młotek i poklepał się nim po dłoni.

- Zatrzymaj to sobie, Sutherland.

Wzruszyła tylko ramionami i raz jeszcze spojrzała na zgromadzony towar.

- Niezły łup. Idź wezwać policję, a ja ich popilnuję.

- Dobrze. - Chyba zbyt wiele żądał, spodziewając się podziękowania za to, że uchronił ją przed wstrząsem mózgu albo czymś jeszcze gorszym. Jedyne co mógł zrobić, to głośno zatrzaskać za sobą drzwi.

Godzinę później Sebastian patrzył na Mel, siedzącą na masce samochodu. Omawiała szczegóły akcji z jakimś na oko znudzonym detektywem.

Haverman, przypomniał sobie Sebastian. Zetknął się już z nim kilka razy.

Potem spojrzał na Mel.

Zdjęła już kolczyki i od czasu do czasu rozcierała uszy, ligninową chusteczką starła też prawie cały makijaż. Jej nie umalowane usta i zarumienione policzki dziwnie kontrastowały z wielkimi oczami o ciężkich powiekach.

Ładna? Czy może uznać ją za ładną? A niech to, przecież ona jest cudowna! Oglądana we właściwym świetle i pod właściwym kątem, była porażająco piękna. A potem wystarczyło, aby się odwróciła, i stawała się najwyżej dość atrakcyjna.

Miała w sobie jakiś dziwny, niepokojący czar.

Nie jest jednak ważne, jak wyglądała. Nie cierpiał tej baby i był na nią wściekły. To ona go w to wszystko wrobiła. I nie miało znaczenia, że sam się zgłosił, bo kiedy już to zrobił, ona wyznaczyła reguły, a on miał wystarczająco dużo czasu, aby dojść do wniosku, że mu się to nie podoba.

Poszła sama do tego magazynu z jakimś zwałistym typem. Miała przy sobie broń. I to nie żadną zabawkę, tylko prawdziwą spluwę.

Co by zrobiła, gdyby musiała jej użyć? Gdyby tej górze mięsa udało się wyrwać jej broń?

- Posłuchaj - mówiła Mel do Havermana - ty masz swoje źródła, ja mam swoje. Dostałam cynk i poszłam tam. - Wzruszyła ramionami, ale widać było, że ją to bawi. - Więc przestań zrędzić, poruczniku.

- Chcę wiedzieć, kto ci to nadał, Sutherland. - Miało to dla niego zasadnicze znaczenie. W końcu był prawdziwym gliną, a ona tylko prywatnym detektywem, i do tego kobietą.

- Nie muszę ci nic mówić. - Potem nagle usta jej drgnęły, bo wpadła na niezły pomysł.
- Ponieważ jednak jesteśmy kumplami, podrzucę ci coś. - Wskazała palcem na Sebastiana. -
To jego zasługa...

- Sutherland... - zaczął Sebastian.

- Posłuchaj, Donovan, co ci zależy? - Uśmiechnęła się. - To jest porucznik Haverman.

- Już się kiedyś poznaliśmy.

- Owszem. - Haverman był nie tylko wściekły, ale i przerażony. - Co za czasy?
Kobiety zostają prywatnymi detektywami, a do tego korzystają jeszcze z usług jasnowidzów.
Policja schodzi na psy! Nie wiedziałem, że zajmujesz się kradzionymi telewizorami.

- Widzenie to widzenie - odparł z satysfakcją Sebastian, a Mel prychnęła pogardliwie.

- Jakim cudem do niej trafiłeś? - Haverman nie mógł się z tym pogodzić. - Przecież
zawsze przychodziłeś na policję.

- Tak. - Sebastian rzucił Mel promienne spojrzenie. - Niestety, ona ma lepsze nogi.

Mel roześmiała się, a Haverman poburczał jeszcze trochę, a potem odszedł.
Cokolwiek by mówić, miał w garści dwóch podejrzanych, a jeśli mocniej przycisnie
Donovana, to złapie bossa tej szajki.

- Dobra robota. - Mel chichocząc, klepnęła przyjaźnie Sebastiana w plecy. - Nie
wiedziałam, że jesteś taki bystry.

Donovan uniósł tylko brwi.

- Mało o mnie wiesz. Jest jeszcze dużo rzeczy, którymi mogę cię zadziwić.

- Na pewno. - Spojrzała na Havermana, który wsiadał właśnie do samochodu. -
Porucznik wcale nie jest taki zły, tylko uważa, że miejsce prywatnych detektywów jest w
książkach, a kobiet przy kuchni. - Ponieważ słońce mocno przygrzewało, a robota poszła im
dobrze, chciała przez kilka minut posiedzieć na samochodzie, aby nacieszyć się sukcesem. -
Dobrze się spisałeś... Harry.

- Dzięki, Crystal - powiedział, próbując zachować powagę. - Byłbym ci wdzięczny,
gdybyś następnym razem przed akcją raczyła mi podać cały plan.

- Nie wydaje mi się, aby nastąpiło to szybko. Przyznaj jednak, że mieliśmy niezły
ubaw.

- Ubaw? - powtórzył powoli, bo nagle dotarło do niego, że to dokładnie miała na
myśli. - Naprawdę cię to bawiło? Przebieranie się za dziwkę, zarządzanie scen i zaloty tego
umięśnionego debila? Uśmiechnęła się kwaśno.

- Chyba należą mi się pewne dodatkowe korzyści z tej pracy?

- I to też był ubaw, kiedy ten typ o mały włos nie rozłupał ci czaszki?

- „O mały włos” to dobre określenie. - Poczula do niego coś w rodzaju życzliwości i poklepała go po ramieniu. - No, rozluźnij się, Donovan. Przecież powiedziałam, że byłeś dobry.

- Rozumiem, że to ma być podziękowanie.

- Daj spokój! Sama poradziłabym sobie z Bobbym, ale doceniam twoje dobre chęci. W porządku?

- Nie. - Oparł dłonie na masce, po obu stronach bioder Mel. - Nie jest w porządku. Jeżeli to ma być przykład na to, jak prowadzisz swoje interesy, to musimy uzgodnić pewne zasady.

- Mam zasady. Swoje własne. - Pomyślała, że jego oczy mają teraz kolor dymu, jaki nocą wzlataje z trzaskającego ogniska. - A teraz odsuń się, Donovan.

„Wyzywam cię!”. Pogardzał sobą za to, że pierwsze co przyszło mu do głowy, to właśnie owo dziecinne zawołanie. Nie był przecież małym chłopcem ani ona nie była dziewczynką, tylko kobietą, która z ironicznym półuśmiechem przyglądała mu się.

Poczuł, jak prawa dłoń zaciska mu się w pięść. Kusiło go, żeby raz a dobrze przyłożyć w ten arogancko uniesiony podbródek, lecz jej usta proponowały coś lepszego.

Ściągnął Mel z maski samochodu tak szybko, że nawet nie zdążyła użyć żadnego z tych chwytów obronnych, które stały się jej drugą naturą. Wciąż mrugała w osłupieniu oczami, kiedy otoczyły ją jego ramiona, a szeroko rozpostarta dłoń przytuliła jej głowę.

- Co ty sobie wyobrażasz... ?

O to właśnie chodziło. W chwili gdy jego usta zamknęły się na jej ustach, słowa rozpadły się bezładnie, a myśli zawirowały. Nie wrywała się i nie próbowała przerzucić go przez ramię. Nie uniosła nogi, by zadać kolanem cios, po którym z jękiem wylądowałby na ziemi. Po prostu stała, pozwalając, by jego usta miażdżyły jej wargi.

Było mu bardzo przykro, że przez nią złamał własne zasady, jako że szarpanie się z opornymi kobietami było obce jego naturze. Było mu przykro również i z tego powodu, że jej pocałunek nie smakował tak, jak się tego spodziewał. Kobieta taka jak Mel powinna smakować octem, pieprzem i ostrą przyprawą.

Ona tymczasem była taka słodka!

Przywodziła mu na myśl nie cukier, nie ciasteczko z kremem w złotej folii, ale miód, gęsty złocisty miód, który aż się prosi, aby zlizać go z palca.

Kiedy otworzyła usta, wtargnął w ich głąb, pragnąc dostać jeszcze więcej.

Jego ręce nie były wcale miękkie. Była to pierwsza chaotyczna myśl, jaka przyszła jej do głowy. Były twarde, silne i trochę szorstkie. Czowała na karku jego palce. Skóra wokół nich zdawała się płonąć.

Przyciągnął ją bliżej, tak że ich ciała rzuciły jeden długi cień na parking. Zrzuciła mu ręce na szyję, odpowiadając pożądaniem na pożądanie.

Nagle wszystko się zmieniło. Usłyszała, jak cicho zaklął, a potem wpił się zębami w jej usta. Mel zdawało się, że za chwilę uleci gdzieś w górę, gnana przemożnym pragnieniem...

- Hej!

Nie usłyszała tego okrzyku, za to Sebastian najpierw wymówił jej imię, a potem zaklął.

- Hej!

Donovan usłyszał okrzyk i chrzęst kroków na żwirze. I pomyślał, że z rozkoszą zabiłby intruza. Nie wypuszczając Mel z uścisku, odwrócił głowę i spojrzał w zasmuconą twarz pod bejsbolową czapkę.

- Spadaj! - warknął. - No, już!

- Posłuchaj, stary, chciałem tylko spytać, czemu bar jest zamknięty?

- Bo zabrakło wódki. - Sebastian poczuł, jak Mel się cofa. Miał ochotę zakląć, ale co by to dało?

- Dobra, dobra, ja chciałem się tylko napić piwa. - Nieszczęśnik wgramolił się do swojej furgonetki i odjechał.

Mel skrzyżowała ręce na piersi i zaczęła rozcierać ramiona, jakby chciała się zasłonić od wiatru.

- Mary Ellen... - zaczął Sebastian.

- Nie mów tak do mnie! - Odskoczyła, uderzając się o samochód.

Usta jej drżały. Chciała przycisnąć do nich dłoń, aby je uspokoić, lecz nie śmiała się ruszyć. Puls łomotał w szalonym rytmie. To także chciała powstrzymać, by wreszcie wszystko wróciło do normalności.

O Boże! Dobry Boże! Stała przy nim, wtulała się w niego, pozwalając się dotykać i całować.

Teraz jednak był o dobry metr od niej, była więc jako tako bezpieczna, choć wyglądał tak, jakby znów zamierzał porwać ją w ramiona. Duma nie pozwoliła jej uciec, za to nakazywała jej zmysłom chłód i opanowanie.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Oparł się pokusie, by zajrzeć w jej myśli i w ten sposób sprawdzić, co naprawdę czuła, oraz porównać to ze swoimi odczuciami. Już i tak zachował się nie fair, wykorzystując swoją przewagę.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Zabolała ją ta odpowiedź, lecz czego innego mogła się spodziewać? Że wyzna jej, iż nie potrafił się jej oprzeć? Że dał się ponieść zmysłom? Uniosła dumnie głowę.

- Mogę jeszcze znieść, gdy ktoś dobiera się do mnie w pracy, ale nie wtedy, gdy mam wolny czas. Jasne?

W oczach Sebastiana pojawił się krótki błysk, a potem, ze spokojem, jakiego się po nim nie spodziewała, podniósł ręce do góry.

- Jasne - powtórzył. - Łapy przy sobie.

- No, to w porządku. - Szukając kluczyków w torebce, pomyślała, że nie ma sensu robić z tego afery. Już po krzyku. To, co między nimi zaszło, było bez znaczenia.

- Muszę już wracać.

Kiedy zrobił krok w jej stronę, natychmiast poderwała się jak sarna, która poczuła zapach wilka.

- Chciałem ci tylko otworzyć drzwi - powiedział, po czym ze zdumieniem stwierdził, że jej reakcja nie była mu wcale niemiła.

- Dzięki. - Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Musiała chrząknąć, żeby jej głos zabrzmiał normalnie.

- Ładuj się na pokład, Donovan. Muszę jeszcze pojechać w kilka miejsc.

- Mam pytanie - powiedział, sadowiąc się obok niej.

- Czy zdarza ci się czasami jeść?

- Czasami, kiedy jestem głodna. A dlaczego pytasz?

- W jej wzroku odmalował się niepokój.

- Od rana miałem w ustach tylko orzeszki. Pomyślałem o późnym lunchu albo wczesnym obiedzie. Może byś gdzieś przystanęła? Postawię ci hamburgera.

Zmarszczyła brwi, szukając możliwych pułapek.

- Może być hamburger - uznała w końcu - ale każdy płaci za siebie.

Sebastian z uśmiechem rozsiadł się na siedzeniu.

- Jak sobie życzysz, Sutherland.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez większą część przedpołudnia Mel przepytowała sąsiadów Rose, pokazując im wykonany przez Sebastiana szkic. Do wieczora bilans tych rozmów przedstawiał się następująco: trzy pozytywne identyfikacje, cztery zaproszenia na kawę i jedna nieprzyzwoita propozycja.

Jedna z przesłuchiowanych osób potwierdziła podany przez Sebastiana opis samochodu, łącznie z wgnieceniem na drzwiach. A to sprawiło, że Mel poczuła się dość niepewnie.

Nie powstrzymało jej to zresztą przed sprawdzeniem innych jeszcze tropów. Na liście znajdowało się pewne nazwisko, które nie dawało jej spokoju. Wciąż miała wrażenie, że pani O'Dell z mieszkania numer 317 wie więcej, niż powiedziała.

Po raz drugi tego dnia zapukała w brązowe drzwi i wytarła buty o zieloną wycieraczkę z białą stokrotką. Z mieszkania dochodził płacz dziecka oraz gromkie oklaski, stanowiące tło telewizyjnego programu.

Podobnie jak za pierwszym razem, drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i Mel spojrzała w dół na umazaną czekoladą buzię małego chłopca.

- Cześć! Mama jest w domu?

- Mama nie pozwala mi rozmawiać z obcymi.

- A może byś ją tu poprosił? Chłopiec zamyślił się.

- Gdybym miał broń, mógłbym cię zastrzelić.

- Widocznie mam dziś dobry dzień. - Przykucnęła, by ich oczy znalazły się na jednym poziomie. - Budyń czekoladowy, prawda? - zapytała, patrząc na ciemne smugi wokół jego ust. - Oblizywałeś łyżkę?

- Tak. - Chłopiec przyjrzał jej się z zainteresowaniem.

- Skąd wiesz?

- To proste, łakomczuszkę. Ślady są całkiem świeże, a zbliża się pora lunchu, więc mama na pewno nie dała ci jeszcze całej porcji deseru.

Chłopczyk przekrzywił głowę.

- A może go gwizdnąłem?

- Może - przyznała Mel - ale byłbyś wtedy na tyle sprytny, żeby zmyć ślady.

Chłopczyk właśnie zaczynał się uśmiechać, kiedy zza jego pleców wyłoniła się matka.

- Billy! Mówiłam ci, żebyś nie otwierał drzwi!

- Szarpnęła go wolną ręką, podczas gdy drugą trzymała wrywającą się, zapłakaną dziewczynkę. Pani O'Dell z irytacją spojrzała na Mel. - Co pani tu znowu robi? Już powiedziałam pani wszystko, co wiedziałam.

- Bardzo mi pani pomogła, pani O'Dell. To moja wina. Próbuję tylko uporządkować zdobyte informacje - powiedziała Mel, wsuwając się krok za krokiem do zabałaganionego saloniku. - Przepraszam, że znów pani przeszkadzam. .. - przerwała, pełna zwątpienia. Kiedy wcześniej rozmawiały, pani O'Dell była podejrzliwa, niechętna i małomówna. Tak samo będzie i tym razem, pomyślała, siląc się na przepraszający uśmiech.

- Widziałam już ten pani rysunek. - Pani O'Dell posadziła sobie córeczkę na biodrze. - Powiedziałam wszystko, co wiedziałam. Tak samo jak policji.

- Wiem. To musi być okropne. Ciągłe ktoś pani przeszkadza, a przecież ma pani tyle roboty. Ale widzi pani, okna tego pokoju wychodzą dokładnie na to miejsce, gdzie porywacz zaparkował swój samochód.

Pani O'Dell postawiła córeczkę na podłodze. Dziewczynka poradzowała w stronę telewizora, przed którym z impetem usiadła na grubej od pieluch pupie.

- I co z tego?

- Zauważyłam, że ma pani takie czyste okna. Najczystsze w całym budynku. Jak się w nie patrzy z ulicy, błyszczą jak kryształ.

Pochlebstwo sprawiło, że pani O'Dell nieco się rozchmurzyła.

- Dbam o swój dom. Nie mówię o tym bałaganie, bo przy dwójce małych dzieci tak jest zawsze, ale brudu nie toleruję.

- To widać. Wydaje mi się, że trzeba się zdrowo namęczyć, aby mieć takie czyste okna.

- Mnie to pani mówi? Jak się mieszka blisko morza, ma się ciągle kłopoty ze słonym osadem. - Zerknęła przez ramię. - Billy, pilnuj, żeby mała nie wkładała twoich brudnych żołnierzyków do buzi! Daj jej lepiej samochodzik.

- Ale mammo...

- Tylko na chwilę. O czym to ja mówiłam? - Pani O'Dell odwróciła się znów do Mel.

- O słonym osadzie - przypomniała jej Mel.

- No tak. A do tego kurz z przejeżdżających samochodów, i te wszystkie odciski palców... - Niemal się uśmiechnęła. - Mam fioła na ich punkcie...

Ja też, pomyślała Mel, a głośno powiedziała:

- Musi się pani nieźle napracować, żeby utrzymać mieszkanie w czystości i to przy dwójce małych dzieci.

- Nie wszyscy tak myślą. Niektórym się wydaje, że jak ktoś nie chodzi codziennie z teczką do biura, to znaczy, że nic nie robi.

- Moim zdaniem utrzymanie domu i rodziny jest sto razy ważniejsze niż jakaś tam kariera.

Pani O'Dell sięgnęła po ściereczkę do kurzu, która zwisała jej z tylnej kieszeni spodni, i zaczęła wycierać stół.

- No, tak.

- A te okna... - Mel nie dawała za wygraną. - Zastanawiałam się, jak często musi je pani myć?

- Raz w miesiącu. Przez okrągły rok.

- Ma pani stąd niezły widok na całą okolicę.

- Nie mam czasu na podglądanie sąsiadów.

- Wiem, ale czasami może pani zobaczyć coś przypadkiem.

- No... nie jestem przecież ślepa. Widziałam tego typu, jak się tu kręcił. Już pani mówiłam.

- Owszem. Może widziała go pani, myjąc okna? Ile czasu zajmuje pani ta robota? Pewnie z godzinę... ?

- Równe czterdzieści pięć minut.

- Ho, ho! A gdyby on siedział tam tak długo w swoim samochodzie, nie wydałoby się to pani podejrzanę?

- On wysiadł i chodził po ulicy.

- Ach, tak? - Mel zaczęła się zastanawiać, czy może wyjąć notesik, ale doszła do wniosku, że zapisze wszystko później, żeby nie płoszyć rozmówczynie.

- Chodził tak przez dwa dni - dodała pani O'Dell. - Przez dwa dni?

- Tak, tego dnia, kiedy myłam okna, i później, kiedy prałam zasłony. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Nie interesują mnie cudze sprawy.

- Oczywiście, że nie. - Lecz mnie interesują, i to bardzo, pomyślała Mel z bijącym sercem. - Pamięta pani może, jakie to były dni?

- Okna zawsze myję pierwszego każdego miesiąca, a kilka dni później zauważyłam, że zasłony wyglądają nieświeżo, więc je zdjęłam i wzięłam do prania. Wtedy znowu go zobaczyłam. Chodził tam i z powrotem, po drugiej stronie ulicy.

- David Merrick został porwany czwartego maja. Pani O'Dell zmarszczyła brwi, a potem spojrzała na dzieci. Kiedy się upewniła, że są zajęte i nie zwracają uwagi na rozmowę, skinęła głową.

- Wiem. I jak już pani mówiłam, ile razy o tym pomyślę, pęka mi serce. Małe dziecko wykradzione prawie z objęć matki! Po tym wszystkim przez całe lato nie pozwalałam Billy'emu wychodzić samemu na dwór.

Mel położyła rękę na jej ramieniu.

- Nie musi pani znać Rose Merrick, aby wiedzieć, co ona teraz przeżywa. Sama jest pani matką.

Nareszcie udało jej się dotrzeć do pani O'Dell. Poznała to po jej nagle zwilgotniałych oczach.

- Chciałabym pani pomóc, ale widziałam tylko to. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy, że to nie w porządku. Że nasza okolica powinna być bezpieczna. Że człowiek nie powinien się bać, kiedy pozwala dzieciom przejść na drugą stronę ulicy, by się pobawiły z kolegami. I nie powinien się też obawiać, że ten ktoś jeszcze tu wróci i tym razem ukradnie ci twoje dziecko.

- Ma pani rację. Rose i Stan Merrick nie powinni się teraz zastanawiać, czy jeszcze kiedyś zobaczą swojego synka. Ktoś odjechał z Davidem, pani O'Dell. Ktoś, kto zaparkował tuż pod pani oknem. Może wtedy nie zwróciła pani na to uwagi, ale gdyby zechciała się pani zastanowić i jeszcze raz przypomnieć sobie ten dzień... Może zauważyła pani jego samochód albo jakiś związany z nim szczegół?

- Tego gruchota? Nie zwróciłam na niego uwagi.

- Czy był czarny? A może czerwony? Pani O'Dell wzruszyła ramionami.

- Był zaniedbany, i tyle. Chyba brązowy, ale równie dobrze mógł pod tym brudem być zielony.

Mel poczuła, że w jej duszy zaczyna kiełkować nadzieja.

- Pewnie miał tablice rejestracyjne z innego stanu? Pani O'Dell zamyśliła się, a potem potrząsnęła głową.

- Nie. O ile pamiętam, zastanawiałam się nawet, po co on tam tak długo siedzi. Czasami, kiedy sprzątam, myślę o różnych rzeczach. Wtedy pomyślałam sobie, że on pewnie przyjechał do kogoś z wizytą i czeka, aż ci ludzie wrócą do domu. A potem pomyślałam, że nie przyjechał z daleka, bo ma tablice rejestracyjne naszego stanu.

Mel poczuła dreszcz podniecenia.

- Kiedy byłam dzieckiem, dużo jeździłam z matką. Sama pani wie, jak się podróżuje z dziećmi.

Pani O'Dell wzniosła oczy do nieba. Po raz pierwszy błysnęły w nich iskierki humoru.

- O, tak, wiem.

- Żeby mnie czymś zająć, mama zawsze grała ze mną w taką grę. Kazała mi układać słowa z liter na tablicach albo wymyślać śmieszne imiona.

- My robimy to samo z Billym. On jest już wystarczająco duży, ale mała...

- Może zauważyła pani jego numery, kiedy myła pani okna? Tak przy okazji, rozumie pani, o co mi chodzi?

Przez chwilę pani O'Dell próbowała sobie przypomnieć. Zaciśnęła wargi i zmrużyła oczy. A potem niecierpliwie machnęła ściereczką.

- Mam dużo ważniejszych spraw na głowie. Widziałam, że to były tablice Kalifornii, ale nie stałam w oknie i nie bawiłam się w żadne zgadywanki.

- Oczywiście, że nie, ale czasami zapamiętuje się coś mimochodem. A kiedy się człowiek dobrze zastanowi...

- Panno...

- Sutherland - odpowiedziała Mel.

- Naprawdę chciałabym pani pomóc. Całym sercem jestem z tą biedną kobietą i jej mężem, mam jednak zwyczaj pilnować swoich własnych spraw. Nie mam już nic więcej do powiedzenia, a poza tym jestem bardzo spóźniona.

To był ten mur, o który raz już się rozbiła. Mel wyjęła wizytówkę.

- Gdyby sobie pani coś przypomniała w sprawie tych tablic, proszę do mnie zadzwonić.

- Kot, kot, ja widziałem - odezwał się nagle Billy.

- Billy, nie przerywaj, kiedy dorośli rozmawiają. Chłopczyk wzruszył ramionami i zaczął jeździć swoim samochodzikiem po nóżkach siostrzyczki, która zanosila się od śmiechu.

- Proszę, niech mu pani pozwoli mówić - powiedziała Mel. Przykucnęła przed Billym i zapytała: - Widziałeś ten samochód, Billy? Ten brudny, brązowy?

- Jasne, że tak. Kiedy wróciłem ze szkoły, stał przed naszym domem. Mama Freddy'ego mnie wtedy przywiozła. Wysadziła mnie zaraz za tym samochodem. Nie lubię jeździć z Freddyem, bo on mnie szczypie.

- Czy wtedy bawiliście się w układanie słów z liter na tablicach rejestracyjnych?

- Tak. Było na nich napisane kot.

- Jesteś pewny, że to był ten brązowy samochód? A nie jakiś inny, który widziałeś w drodze ze szkoły do domu?

- Jestem pewny. On stał tam przez cały tydzień, kiedy jeździłem z mamą Freddy'ego. Czasem stał po drugiej stronie ulicy, ale kiedy moja mama zaczęła mnie odwozić, już go tam nie było.

- Pamiętasz numery, Billy?

- Nie lubię numerów, litery są lepsze. K - o - t - powtórzył.

Mel z uśmiechem pocałowała go w umazany czekoladą policzek.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję, Billy.

W drodze powrotnej do biura Mel podśpiewywała z radości. Nareszcie miała coś. Wprawdzie tylko pół tablicy, a informacja pochodziła od sześciolatka, ale dobre i to.

Włączyła automatyczną sekretarkę, po czym poszła do kuchni, żeby się napić. Odsłuchując nagrania, nie przestawała się uśmiechać.

Dobra robota, powiedziała sama do siebie. Tak należy brać się do rzeczy. Dociekliwość nigdy nie zaszkodzi. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, żeby policji udało się zbliżyć do Billy'ego O'Dell, nie mówiąc już o tym, że z pewnością nie uznaliby go za wiarygodnego świadka.

Solidna robota dochodzeniowa, wytrwałość... oraz intuicja. Wierzyła w intuicję i uważała ją za jedno z narzędzi pracy detektywa. Lecz od tego daleko jeszcze do jasnowidzenia.

Uśmiech przeszedł w ironiczny grymas, pomyślała bowiem o Sebastianie. Może miał po prostu szczęście z tym szkicem i samochodem, a może było jednak tak, jak przedtem podejrzewała. Miał po prostu kogoś w policji, kto podał mu te dane.

Teraz, kiedy zdobyła nowe informacje, chętnie utarłaby mu nosa. Oczywiście on nie jest aż taki zły, pomyślała w nagłym przypływie łaskawości. Kiedy poprzedniego wieczora poszli na hamburgera, nie próbował już jej podrywać, choć była pewna, że miał w zanadrzu taki plan. I nie wypróbował też na niej tych swoich sztuczek.

Dużo rozmawiali, głównie o książkach i filmach, bo to najbezpieczniejsze tematy. Sebastian okazał się całkiem interesującym rozmówcą. Kiedy nie próbował się z nią drażnić, jego głos brzmiał nawet sympatycznie, a lekki irlandzki akcent nie raził.

Akcent, który stawał się silniejszy, gdy coś mruczał, muskając ustami jej usta.

Otrząsnęła się, poirytowana. Nie będzie o tym myśleć. Przedtem także się całowała i nie miała nic przeciwko tej miłej czynności, tyle tylko, że sama wolała wybierać miejsce i czas.

A jeśli nawet wcześniej nie reagowała w taki sposób, to tylko dlatego, że Sebastian kompletnie ją zaskoczył.

To także już się więcej nie powtórzy.

Prawdę mówiąc, sprawy zaczynały układać się tak, że Donovan i jego sztuczki przestaną jej być potrzebne. Miała swoje kontakty w wydziale komunikacji, więc kiedy poda częściowe numery...

Głos Sebastiana, płynący z automatycznej sekretarki, przerwał jej rozmyślenia.

- Ach, Sutherland, przykro mi, że cię nie zastałem. Pewnie, jak zwykle, wędzysz gdzieś po mieście.

Wykrzywiła się do telefonu. Bardzo niedojrzała reakcja, ale jego głos, nabrzmiaty śmiechem, sam się o to prosił.

- Pomyślałem sobie, że może zainteresują cię nowe informacje. Pracowałem trochę nad tym samochodem. Lewa tylna opona jest prawie łyśa. Facet może mieć z tego powodu pewne kłopoty, bo zapasowa jest dziurawa.

- Daj mi wytchnąć, Donovan - mruknęła i wstała, żeby wyłączyć sekretarkę.

- A tak przy okazji, samochód ma kalifornijską rejestrację. KOT 2544.

Otworzyła usta i zawahała się.

- Pomyślałem sobie, że może będziesz chciała wypróbować na tym smakowitym kasku swoje detektywistyczne sztuczki. Daj mi znać, jak ci się coś uda. Dobrze, kochanie? Będę w domu wieczorem. Pomyślnych łowów, Mary Ellen.

- Ty sukin... - Mel zgrzytnęła zębami i wyłączyła sekretarkę.

Nie podobało jej się to. Ani trochę. Mimo to po załatwieniu kilku spraw wsiadła w samochód i pojechała krętą, wyboistą drogą do domu Sebastiana. Ani przez moment nie wierzyła, że udało mu się zobaczyć numery rejestracyjne, ale skoro podrzucił jej tę wskazówkę, czuła się w obowiązku pójść tym tropem.

Kiedy wyjechała na górę, walczyły w niej dwa przeciwstawne uczucia - radość z postępów, jakie osiągnęła w tej sprawie, a także irytacja, że znów będzie miała do czynienia z Sebastianem. Parkując pomiędzy potężnym harleyem a najnowszym modelem furgonetki, powiedziała sobie, że będzie zachowywać się jak profesjonalistka.

Wspięła się po schodach i energicznie zastukała do drzwi. Mosiężna kołatka przypominała kształtem wyszczerzoną paszczę wilka. Mel bawiła się nią przez chwilę, zaintrygowana, czekając, aż ktoś ją wpuści. Kiedy nikt nie otwierał, wybrała inną metodę, czyli zajrzała przez okno.

W środku nie zobaczyła nikogo, tylko olbrzymi pusty salon z jednej strony i bibliotekę z drugiej. Właściwie powinna była zawrócić i pojechać do domu. Byłoby to jednak dowodem jej tchórzostwa i małostkowości. Wobec tego zeszła na dół i zaczęła okrążyć dom.

Sebastiana zobaczyła na padoku. Czule obejmował ramieniem szczupłą blondynkę ubraną w obcisłe džinsy.

Gwałtowne uderzenie krwi do głowy zaskoczyło Mel. Gwizdże na to, czy on ma kobietę. Może sobie mieć nawet cały harem. Łączą ją z nim tylko interesy.

A co do sytuacji, w jakiej go przyłapała - skoro jednego dnia potrafił szaleńczo całować jakąś kobietę, a drugiego podrywać inną, to tylko dowód na to, jakiego pokroju mężczyzną jest Sebastian Donovan.

Drań - i tyle.

Mimo to zachowa zimną krew. Wsunęła ręce do kieszeni i pomaszzerowała przez trawnik do drewnianego ogrodzenia.

- Cześć, Donovan!

Odwrócili się oboje. Mel zobaczyła, że towarzyszka Sebastiana jest nie tylko zgrabną blondynką, ale i uroczą kobietą. Z tymi swoimi spokojnymi, szarymi oczami i miękkimi, różowymi ustami, składającymi się do uśmiechu, była wręcz zjawiskowa.

Mel poczuła się nagle jak niezdarny kundel, który stanął oko w oko z parą rasowych psów.

Na jej widok Sebastian szepnął coś do ucha swojej towarzyszce, pocałował ją w skroń, a potem podszedł i przechylił się przez płot.

- Jak leci, Sutherland?

- Odebrałam twoją wiadomość.

- Tak też przypuszczałem. Ana, to jest Mel Sutherland, prywatny detektyw. Mel, to Anastasia Donovan, moja kuzynka.

- Miło mi cię poznać. — Kiedy Mel podeszła do ogrodzenia, Ana podała jej rękę. - Sebastian opowiadał mi o sprawie, którą się teraz zajmujesz. Mam nadzieję, że już wkrótce znajdziecie to dziecko.

- Dzięki. - W głosie Any, a także w dotyku jej dłoni było coś tak kojącego, że Mel w jednej chwili poczuła się o połowę mniej spięta. - W każdym razie posuwam się do przodu.

- Wyobrażam sobie, co przeżywają rodzice tego dziecka.

- Są przerażeni i zrozpaczeni, ale jakoś się trzymają.

- Jak to dobrze, że mają przy sobie kogoś naprawdę oddanego, kto stara się im pomóc.

Anastasia cofnęła się. Żałowała, że nie była w stanie nic dla nich zrobić, ale, podobnie jak Sebastian, nie mogła być wszystkim dla wszystkich.

- Macie pewnie dużo spraw do omówienia - dorzuciła.

- Nie chcę wam przeszkadzać. - Mel spojrzała na Sebastiana, a potem na konie. - To nie potrwa dłużej niż kilka minut.

- Nie, nie, możecie spokojnie porozmawiać. - Ana zręcznie, niczym sarna, przeskoczyła ogrodzenie. - Już i tak miałam wyjść. Wybierzemy się jutro do kina, Sebastianie?

- Czyja przypada kolej?

- Morgany. Powiedziała, że ma ochotę na morderstwo, więc obejrzymy thriller.

- Wpadnę do was. - Sebastian przechylił się przez płot i jeszcze raz ją pocałował. - Dzięki za zioła.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że wróciłeś. Miło mi było cię poznać, Mel.

- Ja też się cieszę, że cię poznałam. - Odgarnęła włosy, które przysłaniały jej oczy, i popatrzyła za odchodzącą Anastasią.

- Jest urocza, prawda? - rzucił jakby od niechcenia Sebastian.

- Jak na kuzynów, jesteście sobie bardzo bliscy.

- Tak. - Sebastian uśmiechnął się. - Ana, Morgana i ja spędziliśmy razem prawie całe dzieciństwo, tutaj i w Irlandii. A poza tym mieliśmy pewne wspólne cechy, które są uznawane za odstające od normy, więc siłą rzeczy trzymaliśmy się razem.

Mel odwróciła się do niego, unosząc brwi.

- Chcesz powiedzieć, że ona też jest jasnowidzem?

- Nie do końca. Ana ma inny dar. - Wyciągnął rękę i odgarnął Mel włosy z czoła. - Nie przyjechałaś tu jednak po to, by rozmawiać o mojej rodzinie.

- Nie. - Odsunęła się i spróbowała podziękować mu w najmniej upokarzający dla siebie sposób. - Sprawdziłam te tablice, a zresztą, kiedy dostałam twoją wiadomość, miałam już połowę danych.

- Ach, tak?

- Przycisnęłam świadka. - Nie miała najmniejszego zamiaru przyznać się, ile zachodu kosztowało ją, żeby poznać te trzy litery. - Tak czy inaczej, zadzwoniłam do wydziału komunikacji i kazałam to sprawdzić.

- I co?

- Wóz został zarejestrowany na nazwisko James T. Parkland. Adres gdzieś w Jamesburgu. - Oparła się o płot. Wiatr rozwiewał jej włosy. Lubiła zapach koni. Patrząc na nie, czuła, że się odpręża. - Pojechałam tam. Facet zniknął. Kobieta, u której wynajmował mieszkanie, okazała się bardzo rozmowna, bo jest jej winien za dwa miesiące czynszu.

Klacz podeszła do ogrodzenia i trąciła ją nosem w ramię, a Mel machinalnie podniosła rękę i poklepała ją po gładkim, białym pysku.

- Dużo się dowiedziałam o tym Jimmym. To był facet z rodzaju tych, co to sami proszą się o kłopoty. Całkiem niebrzydki chłopak, jak twierdzi owa gospodyni, ale wciąż bez grosza przy duszy. Mimo to zawsze starczało mu na piwo. Gospodyni mówiła, że miała dla niego macierzyńskie uczucia, mam jednak wrażenie, że jej zainteresowanie nie było czysto platoniczne. W przeciwnym wypadku nie byłaby taka wściekła.

- Winien jej był za dwa miesiące - przypomniał Sebastian, patrząc, jak Mel głaszcze konia.

- Być może, ale nie o to chodzi. Ona mówiła z goryczą porzuconej kobiety.

- Dlatego tak chętnie zwierzyła się jakiejś współczującej duszy. - Sebastian wierzył w intuicję Mel.

- Tak. Powiedziała, że lubił hazard. Obstawiał głównie sporty, ale w sumie każda okazja była dobra. Przez ostatnie miesiące nieźle się zadłużył, aż w końcu zaczął miewać gości. - Zerknęła na Sebastiana. - Takich, co mają złamane nosy, a spod płaszczy wystają im spluwy. Próbował wydebić od niej trochę forsy, ale udawała, że jest splukana. Potem opowiedział jej, że ma pomysł, jak się raz na zawsze wydobyć z finansowych kłopotów. Był zdenerwowany i rozkojarzony, a potem nagle zniknął. Ostatni raz widziała go na tydzień przed porwaniem Davida.

- To ciekawe.

- Przynajmniej mam od czego zacząć. Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

- Co dalej?

- Przykro o tym mówić, ale wszystko, co miałam, przekazałam lokalnej policji. Im więcej ludzi szuka tego Parklanda, tym lepiej.

Sebastian pogłaskał lśniący bok klaczy.

- Tak. On jest w tej chwili tak daleko od Monterey, jak to tylko możliwe.

- Przypuszczam, że on jest...

- Ja nic nie przypuszczam. - Sebastian spojrzał na nią swoimi fascynującymi oczyma. - Ja wiem. Podróżuje po Nowej Anglii, wciąż zbyt zdenerwowany, żeby gdzieś osiąść.

- Posłuchaj, Donovan...

- Kiedy przeszukiwałaś jego pokój, zauważyłaś że druga szuflada od dołu w komodzie ma obłuzowany uchwyt?

Zauważyła, ale nic na to nie powiedziała.

- To nie są salonowe zabawy, Mel - zirytował się Sebastian. - Chcę odnaleźć tego chłopca, i to szybko. Rose zaczyna już tracić nadzieję. A kiedy straci ją do reszty, może się porwać na jakiś desperacki krok.

Strach z miejsca schwycił Mel za gardło.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dobrze wiesz, co chcę przez to powiedzieć. Użyj wszystkich możliwych wpływów. Dopilnuj, żeby policja stanów New Hampshire i Vermont zaczęła go szukać. On jeździ teraz czerwoną toyotą, na tych samych numerach rejestracyjnych.

Nie chciała przyjąć tego do wiadomości, ale musiała.

- Wpadnę do Rose.

Nim zdążyła się cofnąć, Sebastian położył dłoń na jej ręce.

- Dzwoniłem do niej kilka godzin temu. Wytrzyma jeszcze przez jakiś czas.

- Już ci mówiłam, że nie życzę sobie, żebyś wciskał jej ten swój kit.

- Ty masz swoje metody, a ja swoje. - Mocniej ścisnął jej rękę. - Rose potrzebuje czegokolwiek, jakiegoś drobiazgu, którego mogłaby się uchwycić, aby przeżyć kolejną noc, podczas której znów będzie wstawać i zaglądać do pustego łóżeczka. Ja jej to dałem.

W jego głosie zabrzmiały strach i przygnębienie, tak podobne do jej własnych obaw, że Mel się poddała.

- W porządku, może rzeczywiście trzeba było tak zrobić. Nie mam prawa podważać twoich intencji, ale jeżeli to prawda, że Parkland krąży gdzieś po Nowej Anglii...

- I tak nie dotrzesz do niego pierwsza. - Sebastian uśmiechnął się, wyraźnie rozluźniony. - I to właśnie nie daje ci spokoju.

- Tutaj rzeczywiście trafiłeś w dziesiątkę. - Mel zawahała się, a potem odetchnęła i postanowiła powiedzieć mu wszystko. - Skontaktowałam się z moim współpracownikiem w Georgii.

- Masz daleko idące powiązania, Sutherland.

- Przez dwadzieścia lat tłułam się po całym kraju. Tak czy inaczej, jest tam pewien prawnik, który skierował mnie do zaufanego detektywa, a ten w ramach zawodowej uprzejmości coś dla mnie sprawdzi.

- Czy to znaczy, że uwierzyłaś mi, że David jest w Georgii?

- To znaczy, że nie będę ryzykować. Gdybym była pewna, sama bym tam pojechała.

- Kiedy będziesz pewna i zdecydujesz się udać w drogę, zabiorę się z tobą.

- Dobrze. - Prędej mi kaktus wyrośnie na dłoni, pomyślała Wprawdzie tego wieczora nie mogła już nic więcej zrobić, lecz miała coś na początek. Chcąc nie chcąc, musiała

przyznać, że było tego znacznie więcej niż przed pojawieniem się Sebastiana. - Czy to, czym się z takim zapalem zajmujesz, można studiować na wyższych uczelniach?

Uśmiechnął się. Mel, zgodnie ze swoją naturą, doszukiwała się logiki w tym, co samo z siebie jest w racjonalny sposób niepoznawalne.

- Nie, niezupełnie. To, o czym mówisz, to dodatkowy zmysł, który większość ludzi w pewnym stopniu posiada, lecz zazwyczaj nie przywiązuje do tego większej wagi. Te małe przebłyski świadomości, przeczucia, deja vu, i tym podobne. A ja jestem kimś lepszym, a zarazem gorszym.

Chciała czegoś bardziej namacalnego, bardziej zgodnego z logiką, wątpiła jednak, by udało jej się to uzyskać.

- Wydaje mi się to dość niesamowite.

- Ludzie często boją się tego, co uważają za niesamowite. W dawnych czasach wieszano, palono lub topiono ludzi, uznanych za odmieńców. - Przyjrzał jej się uważnie, wciąż nie wypuszczając jej dłoni. - Ty jednak się nie boisz, prawda?

- Kogo? Ciebie? - Mel parsknęła śmiechem. - Nie, ciebie się nie boję, Donovan.

- Może jeszcze zaczniesz się mnie lękać, nim to wszystko się skończy - powiedział półgłosem. - Często jednak myślę, że najlepiej jest żyć chwilą obecną, bez względu na to, co się wie o jutrze.

Poruszyła palcami. Poczowała się dziwnie, bo nagle niezwykle ciepło przepłynęło z dłoni Sebastiana do jej ręki, lecz jego twarz pozostała niewzruszona.

- Lubisz konie?

- Co? - Zdezorientowana, uwolniła się z jego uścisku.

- Tak, oczywiście. Czemu nie?

- A jeździsz konno?

Wzruszyła ramionami. Uczucie gorąca zniknęło, lecz nadal miała wrażenie, jakby trzymała rękę zbyt blisko płonącej świecy. - Kiedyś nawet siedziałam w siodle, ale to było dawno temu.

Sebastian nie odezwał się, mimo to jego ogier zareagował, jakby odebrał jakiś sygnał. Podbiegł do ogrodzenia i zaczął uderzać kopytem w ziemię.

- Ten to musi mieć temperament! - powiedziała ze śmiechem Mel i wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać.

- Wiesz, że jesteś piękny, prawda?

- Potrafi nieźle dać w kość - stwierdził Sebastian - choć gdy ma na to ochotę, bywa też łagodny jak baranek. Psyche będzie się żrebić za kilka tygodni, więc nie można jej teraz dosiadać. Gdybyś chciała, moglibyśmy pojechać na zmianę na Erosie.

- Może innym razem - powiedziała szybko, nim pokusa stała się zbyt silna. - Teraz muszę już lecieć.

Sebastian skinął głową, nim pokusa, by zaprosić Mel do siebie, stała się nie do opanowania.

- Tak szybko dotarłaś do tego Parklanda. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

Mel ze zdumieniem uświadomiła sobie, że się czerwieni.

- To była rutynowa sprawa. Jeżeli uda mi się dotrzeć do Davida, to dopiero będzie sukces.

Już wkrótce weźmiemy się do roboty, pomyślał, a głośno zapytał:

- Sutherland, co powiesz na kino?

- Nie rozumiem? - Zamrugła oczami.

- Pytam, co powiesz na kino. - Sebastian przysunął się nieco bliżej. Mel nie potrafiła powiedzieć, czemu poczuła się nagle tak bardzo zagrożona i podniecona zarazem. - Jutro wieczorem - ciągnął dalej Donovan. - Wybieram się z kuzynkami. Może chciałabyś poznać moją rodzinę?

- Jestem mało towarzyska.

- To może być całkiem ciekawe spotkanie. - Przeskoczył przez ogrodzenie równie zręcznie jak Ana, ale tym razem Mel nie pomyślała o sarnie, tylko o wilku. Bez rozdzielającego ich płotu wzrosło uczucie zagrożenia i podniecenia. - Kilka godzin czystej rozrywki, żeby rozjaśnić umysł. A potem może będziemy musieli gdzieś pójść.

- Jeżeli będziesz mówił zagadkami, daleko nie zajdziemy.

- Zaufaj mi. - Sebastian dotknął jej policzka. Jego palce spoczęły na nim lekko jak skrzydła motyla, mimo to nie znalazła dość siły, aby je strącić. - Wieczór z Donovanami dobrze zrobi nam obojgu.

Nim zdążyła się odezwać, już wiedziała, że znów zabraknie jej tchu, i przeklinała za to Sebastiana. A przecież tylko lekko dotykał jej twarzy!

- Ja już wiem, że nic, co wiąże się z tobą, nie może być dla mnie dobre.

Sebastian uśmiechnął się i pomyślał, jak bardzo wieczorne światło jest korzystne dla jej cery, a nieufność dodaje dziwnego blasku jej oczom.

- Mel, przecież to tylko zaproszenie do kina, a nie jakaś nieprzystojna propozycja. A przynajmniej nie taka, jaką wydusiłaś tego ranka z pewnego samotnego faceta, który mieszka na trzecim piętrze nad Rose.

Cofnęła się, zaniepokojona. Tym razem dobrze trafił. Wyjątkowo dobrze.

- Skąd o tym wiesz?

- Przyjadę po ciebie tak, żebyśmy zdążyli na seans o dziewiątej, może wtedy ci to wyjaśnię. - Podniósł rękę, nim zdążyła odmówić. - Podobno się mnie nie boisz, Sutherland, więc spróbuj tego dowieść.

Było to pierwszorzędne zagranie, i oboje o tym wiedzieli.

- Dobrze, ale płacę za siebie. To nie jest randka.

- Nie, oczywiście, że nie.

- W porządku. - Cofnęła się o krok, a potem odwróciła. Łatwiej było jej zebrać myśli, kiedy nie stała z nim twarzą w twarz i nie musiała patrzeć w te jego wyrozumiałe, rozbawione oczy. - Zobaczymy się jutro wieczorem.

- O, tak - mruknął. - Z całą pewnością.

Kiedy patrzył, jak odchodzi, uśmiech zniknął powoli z jego twarzy. Nie, to nie miała być randka. Wątpił, czy w ich wzajemnych relacjach znajdzie się miejsce na coś tak prostego jak zwyczajne, beztrioskie spotkanie dwojga lubiących się osób. I choć myśl ta wprawiała go w pewne zakłopotanie, wiedział już, że te relacje będą bardzo bliskie.

Kiedy położył dłoń na rękę Mel, zanim ją wyrwała, nagle poczuł dziwne ciepło i miał widzenie. Nie starał się niczego świadomie ujrzeć, a jednak zobaczył.

Ich dwoje w pomarańczowej poświacie zmierzchu. Skóra Mel jak dojrząła brzoskwinia pod jego dłońmi. Strach w jej oczach, strach i coś jeszcze potężniejszego. Przez otwarte okna słycać pierwsze odgłosy nocy - tajemną pieśń ciemności.

Zobaczył też, gdzie byli - i gdzie będą, choć oboje próbowali się temu oprzeć.

Zasepiony odwrócił się i spojrzął w górę, na olbrzymie okno, w którym odbijały się promienie zachodzącego słońca. Za tym oknem znajdowało się łóżko, na którym spał i w którym śnił. Łóżko, które będzie dzielić z Mel jeszcze przed końcem tego lata.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez cały dzień Mel była bardzo zajęta. Musiała przejrzeć dane pewnej zaginionej osoby, zając się kolejną próbą wyłudzenia ubezpieczenia od firmy Underwriter's, a na koniec pojawił się mały chłopiec, który chciał wynająć prywatnego detektywa, ponieważ zginął mu pies.

Zgodziła się przyjąć to zlecenie - za całe dwa dolary i siedem pensów, w drobnych monetach. A potem z uśmiechem patrzyła, jak chłopiec odchodzi, uszczęśliwiony, że sprawa jest w dobrych rękach.

Obiad zjadła przy biurku. Żując frytki i śledzia w koperkowym sosie, załatwiała telefony na policję, a także do Vermont i New Hampshire. Odbyła także rozmowę ze swoim znajomym w Georgii, ale kiedy się rozłączyła, poczuła się głęboko zawiedziona.

Wszyscy szukali Jamesa T. Parklanda, podobnie jak wszyscy szukali Davida Merricka. I nikt nie potrafił ich znaleźć.

Zerknęła na zegarek, po czym zadzwoniła do miejscowego schroniska dla zwierząt, podając opis zaginionego kundla oraz nazwisko młodego klienta i numer jego telefonu. Zbyt podminowana, aby usiedzieć w domu, wzięła zdjęcie psa, które zostawił jej jego stęskniony właściciel, i wyruszyła na miasto.

Trzy godziny później znalazła Konga, mieszańca o zdumiewających proporcjach, buszującego na zapleczu rybnego sklepu na nabrzeżu.

Za pomocą długiej linki, którą dał jej właściciel sklepu, udało jej się zaciągnąć psa do samochodu i wcisnąć na siedzenie pasażera. W obawie by kundel nie próbował wyskoczyć przez okno, przypięła go pasami, za co została polizana po twarzy wielkim, mokrym jęzorem.

- Ale jesteś bezczelny! - mruknęła, siadając za kierownicą. - Myślałam, że poszedłeś na dziewczynki. Twój mały pan się zamartwia, a ty po prostu wcinasz sobie ryby.

Kiedy odjeżdżała sprzed sklepu, pies, nie zrażony reprimendą, wyglądał, jakby się uśmiechał.

- Wiesz, co to lojalność? - zwróciła się do Konga, a on uniósł się, położył jej na ramieniu swój masywny łeb i cicho zaskowyczał. - Jasne, jasne, znam takich jak ty. Wiem, kochasz każdego, z kim jesteś, ale o mnie możesz zapomnieć. Ty już masz swojego pana. - Oderwała rękę od kierownicy i podrapała psa za uszami.

Kiedy zajęła przed biuro, Sebastian już tam czekał, oparty o swój motocykl. Popatrzył przeciągle na Mel oraz na sześćdziesiąt kilogramów mięśni i futra sapiących obok niej w ciasnym samochodzie, i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Typowa kobieta. Myślałem, że jesteśmy umówieni, a ty poderwałaś sobie innego kawalera.

- On jest bardziej w moim typie. - Odgarnęła włosy opadające jej na twarz, otarła zaśliniony przez psa policzek, po czym chwyciła koniec linki. - Co ty tu robisz? - zapytała, i nim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Ach, rzeczywiście. Kino. Zupełnie zapomniałam.

- Wiesz, jak pochlebić mężczyźnie, Sutherland. - Odsunął się od wozu, kiedy odpięła pasy przytrzymujące Konga. - Ładny pies!

- Jasne. Chodź, Kong, koniec jazdy. - Zaczęła szarpać za sznurek, ale pies zaparł się na siedzeniu i tylko sapał i jakby się uśmiechał, rozsiewając we wnętrzu płową sierść.

Rozbawiony Sebastian oparł się o maskę.

- Nie myślałaś o szkółce dla psów?

- Raczej o poprawczaku - mruknęła. - Ale to nie mój pies. - Zaciskając zęby, z całych sił szarpnęła za sznurek. - Należy do klienta. Cholera, Kong, rusz tyłek!

Pies jakby tylko na to czekał. Wyskoczył z wozu, a Mel straciła równowagę i poleciała do tyłu, prosto na Sebastiana, który chwycił ją mocno w talii.

- Jesteś wariat! - zwróciła się ze złością do psa, który siedział teraz grzecznie na chodniku. A on, jakby się z nią w stu procentach zgadzał, wykonał cały repertuar swoich sztuczek. Położył się na wznak, przetoczył na bok, potem znów usiadł i na koniec podał jej łapę.

Mel roześmiała się i dopiero wtedy dotarło do niej, że ciągle opiera się plecami o szeroką, twardą pierś Sebastiana. Chwyciła go za rękę.

- Puść mnie!

- Jesteś pani strasznie niedotykalska, panno Sutherland.

- To zależy, kto mnie dotyka - odcięła się, zadzierając głowę. Czekać, aż wyrówna jej się tętno, pogłaskała psa, który łąsił jej się do nóg. - Bądź tak dobry i poczekaj z tym kudłaczem, a ja pójdę zadzwonić. Pewien mały chłopiec, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, chce odzyskać tego potwora.

- To idź i dzwoń. - Sebastian przykucnął i pogłaskał zakurzoną sierść.

Kilka minut po wyjściu Mel z biura pojawił się zdyszany właściciel Konga, ciągnąc za sobą czerwoną smycz.

- Kong! Jesteś! Kong!

Pies podbiegł do niego, szczekając jak oszalały, po czym obaj zaczęli się tarzać po chodniku.

Trzymając psa za szyję, chłopiec zwrócił się z uśmiechem do Mel:

- Jest pani najlepszym detektywem. Takim jak ci z telewizji. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Spisała się pani na medal!

- Dzięki. - Uścisnęła wyciągniętą rękę chłopca.

- Czy jestem jeszcze coś winien?

- Nie, jesteśmy kwita. Kup mu breloczek z jego imieniem i twoim numerem telefonu, na wypadek gdyby mu się znowu zachciało wycieczek.

- Racja! - Chłopiec przypiął czerwoną smycz do obroży. - Ale się mama ucieszy! Chodź, Kong! Idziemy do domu, - Rzucili się biegiem, a pies ciągnął za sobą swojego pana. - Dzięki! - raz jeszcze zawołał chłopiec, a jego śmiech niósł się echem po ulicy.

- On ma rację - mruknął Sebastian, po czym pogładził Mel po głowie. - Spisałaś się na medal.

Wzruszyła ramionami. Wolałaby, żeby jego ton i dotyk nie robiły na niej takiego wrażenia.

- Zarobiłam na życie.

- Założę się, że tym razem były to kokosy. Mel roześmiała się.

- Aż dwa dolary i siedem centów! Powinno wystarczyć na popcorn w kinie.

Śmiech zamarł jej na ustach, kiedy Sebastian dotknął ustami jej warg. W zasadzie... nie był to pocałunek... pomyślała, tylko takie przyjacielskie muśnięcie...

- Po co to zrobiłeś?

- Po to - odpowiedział. Podprowadził motocykl i zapiął kask. - Wskakuj, Sutherland. Nie znoszę spóźniać się do kina.

W sumie okazało się, że to całkiem niezły sposób, aby się odprężyć. Mel zawsze lubiła chodzić do kina, od dzieciństwa była to jej ulubiona rozrywka. Kiedy gasły światła i ożywał ekran, natychmiast zapominała o tym, że jest tu nowa i prawie nikogo nie zna...

Kina w całym kraju były do siebie podobne, co w jej sytuacji było bardzo przyjemne. Zapach prażonej kukurydzy i słodyczy, lepkie podłogi, odgłos szurania, z jakim publiczność rozsiadała się, żeby obejrzeć film. Filmy wyświetlane w El Paso bawiły także i w Tallahassee.

Wędrując z matką po kraju, Mel każdego tygodnia wykradała dla siebie kilka godzin na kino. Wtedy przestawało się liczyć, gdzie i kim naprawdę jest.

Dzisiaj także, przy nastrojowej muzyce i mrocznej intrydze dziejącej się na ekranie, doświadczała podobnego uczucia anonimowości. Zabójca krążył po ulicach, a Mel, jak i reszta widzów, cieszyła się, że może być świadkiem odwiecznej walki dobra ze złem.

Siedziała między Sebastianem a jego kuzynką, Morgana, kobietą po prostu cudowną, jak zdążyła zauważyć.

Słyszała już opowieści o Morganie Donovan Kirkland, i cicho szeptane plotki, że jest czarownicą, Mel zawsze uważała, że to śmiechu warte, a upewniła się o tym teraz, jako że Morgana w niczym nie przypominała złośliwej staruchy pędzącej na miotle.

Pewnie jednak te plotki przyczyniały się do powodzenia prowadzonego przez nią sklepu.

Obok Morgany siedział jej mąż, Nash, znany i ceniony filmowiec, specjalizujący się w horrorach. Jego scenariusze wyrwały z ust Mel niejedną stłumioną okrzyk strachu, a także kazały jej się śmiać z samej siebie.

Nash Kirkland nie miał w sobie nic z typowego przedstawiciela Hollywood, był otwarty, bezpośredni i bardzo zakochany w swojej żonie.

Przez cały film trzymali się z Morgana za ręce, ale bez ckliwej ostentacji, która sprawiłaby Mel w zażenowanie. W ich przypadku gest ten był wyrazem głębokiego przywiązania, którego szczerze im zazdrościła.

Z drugiej strony, obok Sebastiana, siedziała Anastasia. Mel nie mogła się nadziwić, że tak zjawiskowa kobieta jak Ana może kontentować się samotnością. Potem uświadomiła sobie, że jest to myślenie szowinistyczne i głupie. Nie każda kobieta uważa, w tym również i ona sama, że wszędzie musi chodzić uwieszona u męskiego ramienia.

Mel pogrzebała w torebce z popcornem i zagłębiła się w akcji filmu.

- Zamierzasz to wszystko zjeść?

- Co? - Zdezorientowana odwróciła głowę, by natychmiast wrócić do poprzedniej pozycji, gdyż znalazła się niemal usta w usta z Sebastianem. - Co?

- Może byś mnie poczęstowała?

Patrzyła na niego przez chwilę. Jego oczy zdawały się świecić w ciemności. Kiedy postukał palcem w papierową torebkę, którą trzymała na kolanach, ocknęła się.

- Ach, tak, proszę, weź, ile chcesz.

Tak też zrobił, a jej reakcja sprawiła mu równie dużą przyjemność, jak polana masłem prażona kukurydza.

Pachniała tak... świeżo. Sebastian wprawdzie śledził zawile meandry akcji, lecz również oddawał się swobodnym rozmyśleniom. Miło było czuć zapach mydła i wody,

przebijający zapachy panujące w kinie. Kiedy się skupił, mógł nawet usłyszeć, jak bije puls Mel. Równy, bardzo równy i mocno - a potem nagle gwałtowny skok i drzenie, kiedy na ekranie zaczynało się robić gorąco.

Jak zachowałby się puls Mel, gdyby jej teraz dotknął? Gdyby się nachylił i nagle ją pocałował w te jej szerokie, nie umalowane usta?

Pomyślał, że nie powinien niczego nadmiernie przyspieszać.

Nie mógł sobie jednak tego odmówić, by nie zajrzeć na chwilę w jej myśli.

„Co za idiotka! Jeżeli wie, że ktoś ją ściga, po co włącza się nocą po ulicach? Dlaczego zawsze przedstawia się kobiety jako bezradne kretynki? No proszę, teraz idzie do parku. Aż się prosi, żeby zaciągnąć ją w krzaki, a tam poderżnąć jej gardło. Stawiam dziesięć do jednego, że się przejedzie... no, tak! Zasłużyła sobie na to, co ją spotkało”.

Mel zaczęła chrupać kolejną porcję popcornu. Sebastian usłyszał, jak żałuje w myślach, że nie dodała więcej soli.

Potem strumień jej myśli nagle się zatrzymał. Zmieszała się. A to, co działo się w jej głowie, odbiło się również na jej twarzy. Wyczuła go. Wprawdzie nie rozumiała, co się z nią dzieje, ale poczuła intruza i instynktownie się zablokowała.

To, że mogła i potrafiła tak zareagować, zaintrygowało Sebastiana. Rzadko ktoś spoza jego rodziny wyczuwał, że jest przez niego przeświatlany.

Pomyślał, że Mel także musi posiadać jakieś moce, lecz ich nie wykorzystuje i z całą pewnością odżegnuje się od nich. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien jeszcze głębiej zajrzeć w jej wnętrze. Ana poruszyła się w fotelu.

- To nie wypada, Sebastianie - powiedziała łagodnym tonem.

Zrezygnowany, niechętnie skupił się na akcji filmu.

Kiedy sięgnął do torebki po kukurydzę, jego palce musnęły palce Mel. Wzdrygnęła się, a on się uśmiechnął.

- Pizza! - powiedziała Morgana, kiedy wyszli z kina.

- Ze wszystkim co tylko możliwe.

Nash pogłaskał ją po głowie.

- Myślałem, że chciałaś pizzę po meksykańska Morgana z uśmiechem poklepała się po brzuchu.

- Zmieniliśmy zdanie.

- Pizza - zgodziła się Ana - ale bez krewetek. - Uśmiechnęła się do Mel. - Co ty na to?

Mel poczuła się włączona do tego przyjaznego kręgu.

- Chętnie. To brzmi...

- Nie możemy - przerwał Sebastian, kładąc rękę na jej ramieniu.

Zaintrygowana Morgana wydeła wargi.

- Nie wiedziałam, że potrafisz odmówić poczęstunku, kochanie. - Z uśmiechem w oczach spojrzała na Mel.

- Nasz kuzyn Sebastian ma olbrzymi apetyt. Będziesz zdumiona, gdy...

- Mel jest istotą zbyt praktyczną, żeby cokolwiek mogło ją zadziwić - powiedział chłodno Sebastian. - Ona po prostu odrzuci to, co zdumiewające.

- Sebastian się tylko z tobą droczy. - Ana wymierzyła kuzynowi żartobliwy cios pod żebro. - Tak rzadko cię ostatnio widujemy. Nie możesz poświęcić nam jeszcze godziny?

- Nie dziś.

- Aleja mogę... - zaczęła Mel.

- Odwiozę panią do domu. - Nash mrugnął do Mel. - Świetnie sobie poradzę z trójką pięknych kobiet.

- Jesteś bardzo wielkoduszny, kochanie - Morgana poklepała męża po policzku - ale wydaje mi się, że Sebastian ma inne plany względem swojej pani.

- Nie jestem jego...

- No właśnie. - Sebastian mocniej zacisnął palce na ramieniu Mel. - Odłóżmy to do następnego razu. - Ucałował obie kuzynki. - Bóg z wami, moje drogie. - Po czym pociągnął Mel w stronę swojego motocykla.

- Posłuchaj, Donovan, umawialiśmy się, że to nie będzie randka. Może miałam ochotę z nimi pójść? Jestem głodna.

Rozpiął kask i nałożył go Mel na głowę.

- Sam mogę cię nakarmić.

- Bez łaski, nie jestem koniem - mruknęła Mel i zapięła kask. - Naburmuszona, spojrzała przez ramię na oddalającą się trójkę, a potem ulokowała się na siodelku za Sebastianem. Nieczęsto zdarzało jej się przebywać z tak sympatycznymi ludźmi i jeśli nawet miała za złe Sebastianowi, że tak wcześniej się pożegnał, była mu przede wszystkim wdzięczna, że zaprosił ją na to spotkanie.

- Nie marudź.

- Nigdy nie marudzę. - Kiedy ruszyli, położyła mu rękę na biodrach.

Lubiła jazdę na motorze, dawała bowiem poczucie wolności i ryzyka. Może kiedyś, gdy zarobi jakąś większą sumkę, kupi sobie motocykl. Oczywiście rozsądniej będzie najpierw oddać samochód do naprawy i lakiernika, a poza tym kran w łazience cieknie i też trzeba coś

z tym zrobić. Potrzebowała też nowego sprzętu do pracy, a zdobycze najnowszej techniki kosztują krocie.

Może uda jej się przerzucić to na następny rok, bo jak na razie prawie każdego miesiąca miała na koncie debet. Gdyby jednak udało jej się przerwać ten łańcuch kradzieży, firma ubezpieczeniowa Underwiter's zaoszczędziłaby spore sumy na odszkodowaniach, a ona może dostałaby premię.

Pozwoliła myślom podryfować w tę stronę i mimowolnie przywarła do Sebastiana. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że mocniej ścisnęła go w pasie, lecz on od razu to poczuł.

Mel lubiła wiatr, z przyjemnością też wtuliła się w plecy Donovana. Motocykl pędził przed siebie w ciemną noc.

Sebastian miał bardzo interesujące ciało. Jego plecy, okryte skórzaną kurtką, były muskularne, a ramiona szerokie i też mocno umięśnione. Oczywiście nie zrobiło to na niej większego wrażenia, jednak zdumiało ją, że ktoś żyjący z tajemnych wizji był tak dobrze zbudowany. Jak tenisista, a nie jak jasnowidz. Sebastian zapewne, pomiędzy swoimi nadzmysłowymi seansami, miał mnóstwo czasu na jazdę konną i inne sporty. Pomyślała, jak by to było przyjemnie mieć własnego konia.

Ocknęła się dopiero wtedy, gdy spostrzegła, że zjeżdżają z autostrady pasem prowadzącym na wschód.

- Hej! - Zapukała w jego kask. - Jedziemy w przeciwnym kierunku!

Sebastian usłyszał ją, lecz potrząsnął głową.

- Co? Mówiłaś coś?

- Tak. Mówiłam coś - powiedziała i zrobiła dokładnie to, czego się spodziewał. Poruszyła się na siedelku i mocniej na niego napała. Czuł teraz wszystkie jej wypukłości. - Powiedziałam, że jedziemy w złą stronę. Ja mieszkam dwadzieścia kilometrów w przeciwnym kierunku.

- Dobrze wiem, gdzie mieszkasz.

- To co tu robimy? - zawołała, przekrzykując warkot silnika.

- Miła noc na przejażdżkę.

Może i tak, ale nikt Mel o to nie pytał.

- Aleja nie chcę nigdzie jechać.

- Tam na pewno zechcesz.

- Tak? To znaczy gdzie?

Sebastian wyminął samochód i dodał gazu.

- Do Utah.

Następnych dwadzieścia kilometrów Mel przejechała w kompletnym osłupieniu.

Trzecia rano, upiorne światło na parkingu przed sklepem i stacją benzynową. Mel miała wrażenie, jakby dostała zastrzyk nowokainy w oba pośladki.

Jednak umysł miała jasny. Była zmęczona, rozdrażniona i obolała po czterech godzinach spędzonych na siodełku motocykla, lecz jej mózg funkcjonował prawidłowo.

Teraz wykorzystywała go, obmyślając sposób, w jaki najłatwiej można by zamordować Sebastiana Donovana, nie idąc przy tym do więzienia. Innymi słowy, planowała zbrodnię doskonałą.

Jaka szkoda, że nie wzięła ze sobą broni. Mogłaby po prostu zastrzelić tego drania na jakimś odludziu. Ukryłaby zwłoki w jakimś niedostępnym miejscu i wreszcie miałyby spokój.

Strzał z pistoletu miał jednak tę wadę, że mógł spowodować natychmiastową śmierć, co miało się nijak do prawdziwych pragnień Mel, bowiem z największą radością zatłukłaby go gołymi rękami. Wprawdzie był od niej wyższy i ze dwadzieścia kilogramów cięższy, ale potrafiłaby sobie z nim poradzić. Najpierw by go osłabiła celnymi kopniakami, a potem, gdy już ciężko zważyłby się na ziemię, systematycznie miażdżyłaby mu kość po kości, zgodnie z całą swą anatomiczną wiedzą.

Potem zakopałaby motocykl, wskoczyła do autobusu i rankiem byłaby już w biurze.

Krążąc po parkingu, starała się rozprostować nogi. Obok przejechała zdezelowana półciężarówka, której właściciel wybierał boczne drogi, aby uniknąć kontroli drogowej. Poza tym panowała cisza. Raz tylko Mel usłyszała coś, co przypominało wycie kojota, lecz za nic nie chciała przyjąć tej ponurej prawdy do wiadomości.

Powiedziała sobie, że nawet tutaj, w tak dzikiej okolicy, ludzie hodowali psy.

Cholerny cwaniak, myślała, kopiąc pustą puszkę po wodzie mineralnej. Nie zatrzymał się po drodze, póki nie minęli Fresno. Stąd trudno byłoby wrócić piechotą do Monterey.

A kiedy wreszcie zeskoczyła z siodełka i zasypała go gradem bolesnych szturchańców oraz wyzwisk, od których uszy powinny mu odpaść, najpierw z filozoficznym spokojem przeczekał atak jej furii, a potem wyjaśnił, że chciał pojechać śladem Jamesa T. Parklanda.

Chciał też zobaczyć motel, w którym mały David nocował z pierwszą kobietą, która przejęła go od Parklanda.

O ile uda im się znaleźć ten motel. Mel znowu kopnęła ze złością Bogu ducha winną puszkę. Czy on naprawdę spodziewa się po niej, że uwierzy w istnienie jakiegoś głupiego motelu z dinozaurem?

Chyba jednak tak.

Dlatego właśnie znalazła się na tym pustkowiu, zmęczona, głodna i zdrętwiała, w towarzystwie jakiegoś nawiedzonego wróża. Oddalona od domu o czterysta pięćdziesiąt kilometrów, z jedenastoma dolarami i osiemdziesięcioma sześcioma centami w kieszeni.

- Sutherland!

Odwróciła się i złapała batonik, którym w nią rzucił. Chciała znowu obrzucić go gradem wyzwisk, lecz przedtem musiała złapać puszkę z napojem, która nadleciała zaraz potem.

- Posłuchaj, Donovan... - Rozwijając batonik, podeszła do Sebastiana, który wlewał benzynę do baku. - Prowadzę biuro, mam swoich klientów. Ciężko pracowałam na ich zaufanie i nie mogę przez pół nocy uganiać się z tobą za jakąś mrzonką.

- Byłaś kiedyś na kempingu?

- Co? Nie.

- A ja tak. W górach Sierra Nevada. Niedaleko stąd, to bardzo spokojne miejsce.

- Jeżeli natychmiast nie zawrócisz i nie odwieziesz mnie do domu, do końca życia nie zaznasz spokoju. Obiecuję ci to.

Kiedy na nią spojrział, zobaczyła, że nie był wcale zmęczony. Nie wyglądał na kogoś, kto ma za sobą wielogodzinną podróż, ale jak ktoś, kto spędził ostatni tydzień w luksusowym kurorcie.

Pod maską spokoju buzowało podniecenie, które i jej się udzieliło. Zdegustowana, zaczęła gryźć batonik.

- Jesteś skończonym wariatem. Nie możemy jechać do Utah. Wiesz, jak to daleko?

Sebastian nagle uświadomił sobie, że zrobiło się zimno. Zdjął kurtkę i wręczył ją Mel.

- Do tego miejsca, o które nam chodzi? Z Monterey jakieś dziewięćset kilometrów. Rozchmurz się, Sutherland, mamy za sobą już połowę drogi.

Poddała się.

- Musi tu gdzieś być dworzec autobusowy - mruknęła, naciągając kurtkę i idąc w stronę jaskrawo oświetlonego sklepu.

- To właśnie tutaj Parkland zatrzymał się z Davidem - odezwał się cicho Sebastian, kiedy przystanąła. - Tutaj nastąpiła pierwsza wymiana. Parkland nie przyjechał tak szybko jak my. Dolicz do tego ruch, nerwy i ciągle sprawdzanie we wstecznym lusterku, czy nie jedzie za nim policja. Spotkanie zostało wyznaczone na ósmą.

- To wszystko bzdury! - powiedziała Mel, ale gardło miała ściśnięte.

- Stróż nocny rozpoznał go na podstawie szkicu. Zwrócił na niego uwagę, bo Jimmy zatrzymał się na odległym końcu parking, chociaż z przodu było dużo miejsca. Był bardzo

zdeenerwowany, więc stróż miał go na oku, bo podejrzewał, że Jimmy będzie próbował coś ukraść, ale on za wszystko zapłacił.

Mel patrzyła z uwagą na Sebastiana. A kiedy skończył mówić, wyciągnęła rękę.

- Daj mi ten szkic.

Spoglądając jej w oczy, sięgnął do górnej kieszeni kurtki. Jego ręka musnęła przez podszewkę pierś Mel i zatrzymała się na niej na ułamek sekundy. Dopiero potem wyjął złożoną kartkę.

Czuła, że oddycha zbyt szybko. Wiedziała, że nie był to tylko przypadkowy kontakt. Aby się uspokoić, wyrwała mu z rąk kartkę i pomaszerowała w stronę sklepu.

Kiedy weszła do środka, żeby sprawdzić to, co właśnie usłyszała, Sebastian dokręcił korek baku i przetoczył motocykl dalej od pompy.

Zajął jej to niecałe pięć minut. Kiedy wróciła, była śmiertelnie blada, tylko jej oczy płonęły niezwykłym blaskiem. Jednak na pozór była zupełnie spokojna i opanowana. Nie chciała o tym myśleć, jeszcze nie. Czasami lepiej było działać.

- W porządku - powiedziała. - No to ruszajmy.

Nie drzemała po drodze, na motocyklu równałoby się to bowiem samobójstwu, pozwoliła za to myślom błądzić do woli, a stare obrazy nakładały się na nowe. To takie znajome - podróż w środku nocy. Człowiek nigdy nie jest do końca pewny, dokąd jedzie i co będzie robił, kiedy już tam dotrze.

Matka zawsze była taka szczęśliwa, kiedy jechały po bezimiennych drogach, a radio grało na cały regulator. Mel pamiętała, jak wygodnie było wyciągnąć się na przednim siedzeniu, z głową na kolanach matki. Pamiętała też swoją naiwną wiarę, że znów znajdą sobie jakiś dom.

Ocieężała ze zmęczenia, oparła głowę o plecy Sebastiana, po czym poderwała się i szeroko otworzyła oczy.

- Chcesz się zatrzymać na chwilę? - zawołał.

- Nie, jedźmy dalej.

Przed świtem zatrzymali się, by napić się kawy. Mel zdecydowała się na napój z kofeiną, po czym rzuciła się na lukrowane ciastko.

- Jestem ci winien solidny posiłek - stwierdził Sebastian, kiedy zrobili pięciominutową przerwę koło Devil's Playground.

- Oto właśnie on - odparła, zlizując z palców lukier. Oczy miała podkrążone. Kiedy to zobaczył, zrobiło mu się przykro, ale działał instynktownie - a instynkt nigdy dotąd go nie

zawiódł. Kiedy otoczył ją ramieniem, zamarła, ale tylko na chwilę. Może zorientowała się, że był to tylko przyjacielski gest i nic więcej.

- Już niedługo - powiedział. - Jeszcze tylko godzina. Skinęła głową. Nie miała wyboru, jak tylko mu zaufać.

Jemu, a także swoim przeczuciom.

- Chciałabym tylko wiedzieć, czy naprawdę warto. Czy to będzie miało jakieś znaczenie.

- Wkrótce się dowiemy.

- Mam taką nadzieję i gorąco liczę, że odpowiedź będzie brzmiała „tak”. - Zwróciła ku niemu twarz, a jej usta musnęły jego szyję. Poczowała nagły przypływ ciepła. - Przepraszam, jestem strasznie rozdrażniona. - Chciała się odsunąć, lecz Sebastian wzmocnił uścisk.

- Odpręż się, Mel. Popatrz, zbliża się świt.

Razem obejrzelili wschód słońca. Sebastian obejmował ją, a ona oparła mu głowę na ramieniu. Nad pustynią, na horyzoncie, kolory rozlały się krwawo po niebie, barwiąc nisko wiszące chmury. Szare piaski zaróżowiły się, potem spurpurowiały, by na koniec przybrać barwę złota. Za godzinę krajobraz spłowieje w palących promieniach słońca, teraz jednak był piękny jak na obrazie.

Patrząc na tę odwieczną przemianę, otoczona ramieniem Sebastiana, Mel przeżywała dziwną jedność. Delikatne początki więzi, tak oczywistej, choć niemożliwej do nazwania.

Kiedy tym razem ją pocałował, łagodnie i ostrożnie, nie opierała się i nie zadawała pytań. Wszystko działo się pod wpływem chwili. Była zbyt zmęczona, żeby walczyć z tym, co w niej narastało. I zbyt oczarowana magią świtu na pustyni, aby odmówić Sebastianowi tego, o co ją prosił.

A on chciał ją poprosić o coś więcej, bo wiedział, że w tym miejscu i w tym momencie mógłby to zrobić. Wyczuł jednak jej zmęczenie, zmieszanie i dotkliwy lęk o dziecko przyjaciół. Dlatego jego pocałunek był łagodny, przynoszący im obojgu ukojenie. Kiedy wreszcie puścił Mel, pojął że tego, co się między nimi zaczęło, nie da się już zniszczyć.

Bez słowa wsiedli na motor i skierowali się na wschód, ku słońcu.

W południowym Utah, niedaleko granicy z Arizoną, i na tyle blisko Las Vegas, by można było wybrać się tam na wycieczkę i stracić czek, znajdowało się skupisko małych sklepików. W miasteczku była stacja benzynowa, maleńka kawiarnia oferująca tortille oraz motel o dwudziestu pięciu pokojach, z wielkim gipsowym dinozaurem pośrodku wysypanego żwirem parkingu.

- Och - wyszeptała Mel, patrząc na smętnego gada. - Dobry Boże! - Kiedy zsiadła z motoru, nogi drżały jej nie tylko ze zmęczenia.

- Chodźmy zobaczyć, czy ktoś tu czuwa. - Sebastian pociągnął ją w stronę recepcji.

- To właśnie widziałeś, prawda?

- Tak - odparł, a kiedy Mel zachwiała się, silnym ramieniem objął ją w talii. To dziwne, że nagle wydała mu się taka krucha. - Prześpij się teraz, a ja się trochę rozejrzę.

- Nie chce mi się spać. - Pomyślała, że szok przyjdzie później. Teraz pragnęła działać. Pchnęli drzwi i weszli do chłodzonego wentylatorem holu.

Sebastian nacisnął dzwonek w recepcji. Po chwili za spłowiata firanką rozległo się szuranie.

Z pakamery wyłonił się mężczyzna w białym gimnastycznym podkoszulku i wypchanych džinsach. Oczy miał zapuchnięte od snu. Był nie ogolony.

- Mogę w czymś pomóc?

- Tak. - Sebastian wyjął portfel. - Chcielibyśmy wynająć pokój numer 15. - Położył na ladzie szeleszczący zielony banknot.

- Tak się akurat składa, że jest wolny. - Recepcjonista zdjął klucz z tablicy. - Dwadzieścia osiem dolarów za noc. Trochę dalej jest całodobowy bar.

Sebastian wpisał się do księgi meldunkowej i położył na ladzie następną dwudziestkę, a na niej fotografię Davida.

- Widział pan może tego chłopczyka? Prawdopodobnie był tu trzy miesiące temu.

Recepcjonista tęsknym wzrokiem spojrzął na banknot.

- Nie mogę wszystkich pamiętać.

- Był z atrakcyjną kobietą, trochę po trzydziestce. Miała rude włosy. Przyjechała małym chevroletem.

- Może byli, a może nie. Ja pilnuję swoich interesów. Mel wysunęła się przed Sebastiana.

- Wygląda pan na bystrego faceta - zwróciła się do recepcjonisty. - Gdyby taka elegancka babka z ładnym dzieckiem zatrzymała się w tym motelu, na pewno by ją pan zapamiętał. Mógł jej pan na przykład mówić, gdzie może kupić pieluszki albo świeże mleko.

Mężczyzna wzruszył ramionami i podrapał się po głowie.

- Nie interesują mnie cudze kłopoty.

- Ale własne chyba tak? - zapytała z naciskiem Mel. Recepcjonista spojrzął na nią z niepokojem. - Kiedy agent Donovan zapytał, czy widział pan to dziecko, miałam nadzieję, że się pan nad tym zastanowi.

Mężczyzna oblizał wargi.

- Jesteście z policji? FBI, czy coś w tym rodzaju? Mel uśmiechnęła się.

- Powiedziałaabym „coś w tym rodzaju”. I wołałabym nie robić afery.

- Mój motel to spokojne miejsce:

- To widać, dlatego też jestem pewna, że gdyby zatrzymała się tu jakaś kobieta z dzieckiem, musiałby ją pan zapamiętać. Nie ma tu zbyt wielkiego ruchu.

- Ona spędziła tu tylko jedną noc. Zapłaciła z góry, gotówką. Dziecko nie płakało. Wyjechali z samego rana.

Mel uczepiła się tej iskiarki nadziei i próbowała zachować spokój.

- Jak się nazywała?

- Nie pamiętam.

- Ma pan przecież książkę meldunkową. - Mel końcem palca popchnęła dwudziestodolarowy banknot w stronę recepcjonisty. - Są w niej nazwiska gości i numery połączeń telefonicznych. Może jednak coś pan znajdzie? Mój partner dorzuci panu parę groszy.

Klnąc pod nosem, mężczyzna wyjął spod lady kartonowe pudło.

- Tutaj są zapisane telefony. Sami sobie przejrzycie.

Mel sięgnęła po książkę meldunkową, a potem cofnęła się i przepuściła Sebastiana, uznała bowiem, że szybciej niż ona znajdzie to, czego szukali.

- Susan White? - Zatrzymał się przy tym nazwisku. - Pokazywała jakieś dokumenty?

- Zapłaciła gotówką - wymamrotał recepcjonista. - Co miałem robić? Zrewidować ją czy jak? Zamówiła jedną rozmowę zamiejscową, przez centralę.

Mel wyjęła z torebki notes i pióro.

- Dzień i godzina? - Zapisała dane. - A teraz posłuchaj, przyjacielu, to jest pytanie za dodatkową premię. Czy mógłbyś zeznać pod przysięgą, że to dziecko... - podsunęła mu pod nos zdjęcie Davida - zostało tu przywiezione w maju?

Recepcjonista niechętnie wzruszył ramionami.

- Gdybym musiał. Nie lubię chodzić po sądach, ale ona rzeczywiście go tu przywiozła. Pamiętam, że chłopiec miał ten śmieszny dołeczek i rudawe włosy.

- Dobra robota. - Mel powiedziała sobie, że się nie rozplacze, gdy jednak Sebastian schował zdjęcie i wsunął recepcjoniście kolejny banknot, wyszła na dwór.

- Wszystko w porządku? - zapytał, kiedy do niej dołączył.

- Jasne, że tak.

- Muszę obejrzeć pokój, Mel.

- Dobrze.

- Możesz poczekać na dworze, jeśli chcesz.

- Nie, chodźmy.

Milczała, kiedy szli potłuczonym chodnikiem, kiedy otworzyli drzwi i kiedy weszli do dusznego pokoju. Usiadła na łóżku i próbowała zebrać myśli, a Sebastian w tym czasie próbował użyć swoich mocy.

Zobaczył dziecko, śpiące na materacyku na podłodze. Mały rzucał się niespokojnie przez sen.

Kobieta zostawiła światło w łazience, na wypadek gdyby dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Obejrzała program w telewizji i zamówiła telefon.

Nie nazywała się Susan White. W swoim życiu używała już tylu nazwisk, że Sebastian miał trudności z wyborem tego właściwego. Przez chwilę wydawało mu się, że miała na imię Linda, lecz nie okazało się to prawdą.

Kilka tygodni wcześniej przewoziła inne dziecko.

Kiedy Mel odpocznie, musi jej o tym powiedzieć.

Gdy usiadł obok niej na łóżku i położył rękę na jej ramieniu, nawet nie drgnęła, tylko wciąż patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

- Nie chcę wiedzieć, jak to zrobiłeś. Może kiedyś o to zapytam, ale nie teraz. Dobrze?

- Dobrze.

- David był tu z nią w tym pokoju?

- Tak.

- Jest zdrow i cały?

- Tak.

Mel oblizła wyschnięte wargi.

- Dokąd go zabrała?

- Do Teksasu, ale nie wiedziała, skąd go przywieźli. Znała tylko swój fragment trasy.

Mel zaczerpnęła tchu.

- Georgia Jesteś pewny, że on jest teraz w Georgii?

- Tak.

- Gdzie? - zapytała, zaciskając mimowolnie pięści. - Wiesz może, gdzie?

Był zmęczony, i to bardziej, niż chciał się do tego przyznać. A jeśli teraz popatrzy, straci jeszcze więcej sił. Lecz ona chce, by to zrobił. Tyle że nie tu. Ściany tego małego, smutnego pokoju kryją w sobie zbyt wiele niewesołych historii.

- Muszę wyjść na dwór - powiedział. - Chcę być przez chwilę sam.

Skinęła głową i Sebastian wyszedł. Czas upływał, a wraz z nim minęła potrzeba płaczu.

Mel nigdy nie uznawała łez za objaw słabości, uważała tylko, że są zupełnie bezużyteczne. Dlatego gdy Sebastian wrócił, miała oczy suche.

Donovan był blady i kompletnie wyczerpany. To dziwne, ale kilka minut wcześniej nie widziała zmarszczek wokół jego oczu. Z drugiej strony nie przyglądała mu się wtedy zbyt uważnie.

Zrobiła to teraz i nagle, wiedzona impulsem, wstała i podeszła do niego. Może brak korzeni i normalnego życia rodzinnego sprawił, że męczyło ją okazywanie uczuć. Nie lubiła też nikogo dotykać, a mimo to ujęła go za rękę.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował snu bardziej niż ja. Utnij sobie krótką drzemkę. Potem zastanowimy się, co dalej.

Nie odpowiedział, tylko odwrócił jej rękę dłońmi do góry i zapatrzył się w nie. Czy uwierzyłaby mu, gdyby jej powiedział, ile rzeczy z nich wyczytał?

- Nie jesteś wcale taka twarda - powiedział cicho, podnosząc na nią oczy. - W środku jesteś miękka, Mel. To bardzo pociągające.

A potem zrobił coś, od czego zaparło jej dech. Podniósł jej rękę do ust. Nikt nigdy dotąd tego nie zrobił, więc dopiero teraz Mel odkryła, że gest, który zawsze uważała za objaw ckliwej afektacji, może być zarazem wzruszający i uwodzicielski.

- On jest w miejscu, które nazywa się Forest Park, na południowych przedmieściach Atlanty.

Palce Mel na moment mocniej ścisnęły jego dłoń. Nawet jeśli dotąd nie miała zwyczaju przyjmować niczego na wiarę, teraz mu uwierzyła.

- Połóż się na chwilę - powiedziała rozkazująco i zdecydowanie popchnęła go w stronę łóżka. - Ja w tym czasie zadzwonię do FBI i na najbliższe lotnisko.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sebastian wypił jeszcze trochę wina, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął się przyglądać Mel. Spała naprzeciw niego, wyciągnięta na sofie, w pasażerskiej kabinie jego prywatnego samolotu. Nie protestowała, gdy zaproponował, by jego pilot przyleciał po nich do Utah i zabrał ich na wschód. Skinęła tylko z roztargnieniem, pochłonięta robieniem notatek.

Kiedy samolot się wzniósł, położyła się, zamknęła oczy i natychmiast zasnęła jak zmęczone dziecko. Widocznie musiała zregenerować siły i Sebastian postanowił jej nie budzić.

Sam wziął długi prysznic, po czym przebrał się w jedno z zapasowych ubrań, które trzymał na pokładzie samolotu. Podczas lunchu załatwił kilka telefonów. A potem czekał.

Szczerze mówiąc, była to dziwna podróż. On i śpiąca kobieta, odwracająca twarz od słońca, po nocy, podczas której pędzili właśnie ku słońcu. Gdy już będzie po wszystkim, niektórzy będą mieli złamane serca, za to inni odzyskają radość życia. Niestety, za wszystko trzeba płacić.

Dlatego teraz przemierzał cały kontynent z kobietą równie irytującą, jak pociągającą, a przede wszystkim całkowicie nieobliczalną.

Mel poruszyła się, mruknęła coś, a potem otworzyła oczy. Ich ciemna zieleń wyostrzyła się, kiedy zorientowała się, gdzie jest. Przeciągnęła się energicznie - wyglądała przy tym szalenie seksownie - a potem usiadła.

- Długo jeszcze? - Głos wciąż miała ochryply od snu, ale widać było, że już zaczynają rozpierać energia.

- Niecałą godzinę.

- Całe szczęście. - Przyglądała włosy, po czym uniosła głowę i pociągnęła nosem.

- Czy to pachnie jedzeniem? Sebastian uśmiechnął się.

- W kuchence. Jest też kabina z prysznicem, gdybyś chciała się wykapać.

- Dzięki.

Zacząła od prysznica. Prawdę mówiąc, zrobiło na niej pewne wrażenie, że ktoś może tak po prostu pstryknąć palcami i przywołać swój własny samolot - z dywanami, przytulną sypialnią oraz kuchnią, przy której jej własna wyglądałaby jak nędzna komórka. Wniosek z tego, że opłaca się być jasnowidzem.

W drodze do łazienki pomyślała, że powinna była wcześniej dowiedzieć się czegoś więcej o Sebastianie. Była jednak wtedy przekonana, że uda jej się wytłumaczyć Rose, iż zatrudnianie jasnowidza nie ma sensu, więc machnęła ręką. Skutkiem tego znalazła się teraz tysiąc metrów nad ziemią, z mężczyzną, o którym wiedziała zdecydowanie za mało.

Naprawi to, jak tylko wrócą do Monterey. Z tym że jeśli wszystko potoczy się zgodnie z jej oczekiwaniami, nie będzie to właściwie potrzebne. Z chwilą gdy David wróci do domu, ustaną jej kontakty z Sebastianem Donovanem.

Mimo to może jednak, z czystej ciekawości, sprawdzi tego dziwnego faceta.

Zaciskając usta, zajrzała do szafy. Odkryła, że Sebastian lubi jedwab, kaszmir i len. Kiedy natrafiła na dżinsową koszulę, natychmiast ją wyjęła. To dobrze, że trzymał też trochę praktycznych rzeczy, bo miło było przebrać się w coś czystego.

Narzuciła koszulę i odwróciła się do drzwi. Przez moment wydawało jej się, że Sebastian tam jest, była tego nawet pewna. A potem uświadomiła sobie, że to tylko jego zapach, utrzymujący się w koszuli, która miękko ocierała się o jej skórę.

Atak właściwie, co to za zapach? Podniosła rękę i powąchała rękaw.

Nic takiego, co potrafiłaby sprecyzować. Raczej coś prymitywnego, działającego na zmysły. Czymś takim pachnie las w świetle księżyca.

Zła na siebie, naciągnęła dżinsy. Jak tak dalej pójdzie, gotowa jeszcze uwierzyć w czary.

Podwinęła rękawy i zaczęła buszować po kuchni. Nie otworzyła słoika kawioru, wzięła banana, dorzuciła też trochę szynki i sera na kromkę chleba.

- Masz może musztardę? - krzyknęła i aż się zająknęła, kiedy zderzyła się z Donovanem. Ten człowiek poruszał się bezszelestnie jak duch!

Sięgnął nad jej głowę po słoik.

- Napijesz się wina?

- Chętnie. - Smarując kanapkę musztardą, doszła do wniosku, że w kuchni jest zdecydowanie za mało miejsca dla nich dwojga. - Pożyczyłam sobie twoją koszulę. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. - Sebastian nalał Mel wina i dopełnił swój kieliszek. - Dobrze, że się trochę przespałaś. W ten sposób czas szybciej mija.

Nagle samolot wpadł w turbulencje. Donovan położył jej rękę na ramieniu.

- Pilot powiedział, że będzie trochę rzucać. - Dotknął kciukiem puls Mel. Bił mocno i równo. - Niedługo zaczniemy schodzić do lądowania.

Kiedy podniosła na niego oczy, poczuła to samo, co wtedy, na pustyni. Początek czegoś, jeszcze nieokreślonego. I zaczęła się zastanawiać, czy byłaby mniej zdenerwowana, gdyby potrafiła zobaczyć także i koniec.

- Skoro tak, to lepiej usiądźmy i zapnijmy pasy.

- Wezmę twoje wino.

Odetchnęła z ulgą, wzięła talerz i poszła za Sebastianem. Kiedy z apetytem rzuciła się na kanapkę, spostrzegła, że się uśmiechnął.

- O co chodzi?

- Pomyślałem sobie, że wciąż jestem ci winien solidny posiłek.

- Nie jesteś mi nic winien. - Pociągnęła łyk z kieliszka, a potem, ponieważ wino tak zdecydowanie różniło się od tych, do których przywykła, upiła jeszcze jeden łyk.

- Lubię płacić sama za siebie.

- Zdążyłem to zauważyć.

- Niektórych facetów to onieśmiela.

- Naprawdę? - Sebastian ponownie się uśmiechnął.

- Bo mnie nie. Może kiedy to wszystko się skończy, dasz się jednak zaprosić na kolację? Żeby oblać dobrze wykonane zadanie?

- Być może - odparła z pełnym ustami. - Zagramy w marynarza o to, kto stawia.

- Boże, ale ty jesteś czarująca! - roześmiał się Sebastian i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Był zadowolony, że Mel wybrała miejsce naprzeciwko, a nie obok niego, bowiem mógł się jej przyglądać do woli nawet teraz, gdy już nie spała. - Czemu zostałaś prywatnym detektywem?

- Hmm?

Usta znów drgnęły mu w uśmiechu.

- Nie uważasz, że pora już o to zapytać? Dlaczego wybrałaś sobie taki zawód?

- Bo lubię rozwiązywać zagadki. - Wzruszyła ramionami i chciała odstawić talerz, ale Sebastian sam odniósł go do kuchni.

- Więc to takie proste?

- Wierzę w pewne zasady. - Fotele były obszerne. Mel podciągnęła nogi i usiadła po turecku. Było jej naprawdę dobrze. Odpoczęła i znów poczuła przypływ nadziei. Było jej też miło w towarzystwie Sebastiana.

- Uważam także, że jeśli ktoś łamie zasady, powinien za to zapłacić. Lubię też rozwiązywać pewne sprawy, i to sama. Dlatego byłam tylko niezłą policjantką, za to jestem świetnym prywatnym detektywem.

- Nie lubisz pracować w zespole?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - A ty?

- Też nie. - Sebastian uśmiechnął się. - Chyba nie.

- A potem nagle poczuła na sobie, i również w sobie, jego przenikliwy wzrok. - Mel, jednak zasady często się zmieniają. Granica między dobrem a złem bywa czasami niezbyt wyraźna. Jeśli tak się zdarza, w jaki sposób dokonujesz wyboru?

- Pewnych rzeczy nigdy nie wolno zmieniać i jakieś granice muszą pozostać wyraźnie określone. To się po prostu czuje i tym się kieruję.

- Tak. - W nagłym przyływie mocy pokiwał głową.

- To się po prostu czuje.

- W żaden sposób nie łączy się to z jasnowidzeniem.

- Rozumiała, ku czemu zmierzał, ale nie była jeszcze gotowa, by przyznać mu rację. - Nie uznaję tych wszystkich wizji, owego daru widzenia, czy jak to się tam nazywa. Sebastian uniósł kieliszek.

- Mimo to jesteś tutaj.

Wytrzymała jego spojrzenie. Jeśli on sobie wyobraża, że uda mu się zbić ją z tropu, to się myli.

- Tak, jestem tutaj, Donovan, bo nie mogę sobie pozwolić na to, żeby pominąć jakikolwiek trop, bez względu na to, jak bardzo wydaje mi się wąty lub dziwny.

- To wszystko? - zapytał, nie przestając się uśmiechać.

- A także dlatego, że być może rzeczywiście coś zobaczyłeś i poczułeś lub też miałeś zwykłe przeczucie, a ja wierzę w intuicję.

- Ja też, Mel - powiedział, kiedy samolot dotknął lądowiska w Atlancie. - Ja też.

Mel zawsze z trudem przekazywała ster innym. Nie miała oczywiście nic przeciwko współpracy z miejscowymi władzami lub z FBI, ale wolała to robić na własnych zasadach. Teraz, dla dobra Davida, podczas rozmowy z agentem federalnym Thomasem A Devereaux, musiała raz po raz gryźć się w język.

- Mam liczne opinie na pański temat, panie Donovan. Usłyszałem je od moich współpracowników, którzy uważają, że jest pan nie tylko godnym zaufania jasnowidzem, ale wręcz cudotwórcą.

Mel pomyślała, że w tym małym, skąpo umeblowanym gabinecie Sebastian zachowuje się i wygląda jak udzielny książę. Na komplement Devereaux zareagował skinieniem głowy.

- Owszem, brałem udział w kilku śledztwach.

- Ostatnio w Chicago - powiedział Devereaux, przeglądając akta. - To była paskudna sprawa. Szkoda, że nie udało się jej wcześniej zakończyć.

- Szkoda - potwierdził sucho Sebastian. Pewne obrazy dotąd nie zbladły w jego pamięci.

- Teraz, co do pani, panno Sutherland... - Devereaux zatarł ręce. - Władze lokalne Kalifornii uważają, że posiada pani wystarczające kompetencje.

- Chyba zaraz zasnę - odezwała się Mel, udając, że nie widzi ostrzegawczych spojrzeń Sebastiana. Wychyliła się do przodu. - Moglibyśmy ominąć te grzeczności, agencie Devereaux? Mam przyjaciół w Kalifornii, którzy są w najwyższej rozpaczy. David Merrick znajduje się niedaleko stąd...

- To dopiero trzeba sprawdzić. - Devereaux odłożył teczkę i sięgnął po następną. - Po waszym telefonie przefaksowano nam najważniejsze informacje. Federalny śledczy przesłuchał już waszego świadka w motelu w Utah. - Podsunął wyżej okulary. - Świadek rozpoznał na zdjęciu Davida Merricka. Teraz pracujemy nad identyfikacją tej kobiety.

- No to po co tu jeszcze siedzimy?

Devereaux spojrzał na nią znad okularów, które znowu zsunęły mu się na nos.

- Czego pani oczekuje? Że zaczniemy pukać do wszystkich drzwi Forest Park i pytać tych ludzi, czy ostatnio nie ukradli jakiegoś dziecka? - Uprzedzając jej odpowiedź, uniósł pulchny palec. - Właśnie nadchodzą dane na temat dzieci płci męskiej, w wieku od sześciu do dziewięciu miesięcy. Dokumenty adopcyjne, metryki urodzenia. Sprawdzamy, kto w ciągu ostatnich trzech miesięcy zamieszkał w tej okolicy z małym dzieckiem. Nie mam wątpliwości, że do rana uda nam się zawęzić krąg podejrzanych.

- Do rana? Devereaux! Dotarcie tutaj zajęło nam prawie całą dobę. A pan każe nam czekać do rana!

Agent spojrzał na Mel.

- Tak. Jeżeli podacie nam nazwę hotelu, będziemy was informować o dalszych postępach w śledztwie.

Mel poderwała się na równe nogi.

- Znam Davida i potrafię go rozpoznać! Gdybym mogła rozejrzeć się po okolicy i popytać ludzi...

- Tą sprawą zajmuje się policja federalna - przerwał jej Devereaux. - Możemy oczywiście poprosić panią o potwierdzenie identyfikacji chłopca, ale mamy przecież jego fotografię. - Devereaux przeniósł wzrok na Sebastiana. — Przyjąłem tę sprawę za namową agenta Tuckera z Chicago, którego znam od ponad dwudziestu lat. Ponieważ Tucker wierzy,

że jest jednak coś w jasnowidzeniu, a ja sam mam wnuka w wieku Davida, nie będę was namawiał na powrót do Kalifornii i pozostawienie sprawy w naszych rękach.

- Cenimy sobie pańską pomoc, Devereaux. - Sebastian wstał i chwycił Mel za łokieć, zanim zdążyła wyrzucić z siebie liczne inwektywy. - Zarezerwowałem dla nas pokoje w hotelu „Pod Sosnami”. Będziemy czekać na pański telefon.

Agent podniósł się i wyciągnął rękę.

- Powinam była na nią napluć - wściekała się Mel kilka chwil później, kiedy wyszli na dwór. - Policja federalna zawsze traktuje prywatnych detektywów jak piąte koło u wozu.

- On zrobi, co do niego należy.

- Tak. - W zamyśleniu Mel pozwoliła, by Sebastian otworzył przed nią drzwi samochodu, który wypożyczyli na lotnisku w Atlancie. - Tylko dlatego, że olśniłeś jego kumpla w Chicago. A co ty tam w ogóle robiłeś?

- O wiele za mało. - Sebastian zatrzasnął drzwi i obszedł samochód. - Podejrzewam, że nie masz ochoty na spokojnego drinka w hotelowym barze, a potem na lekką kolację?

- Nigdy w życiu! - Zapięła pasy. - Potrzebna mi lornetka. Musi tu gdzieś być jakiś sklep sportowy.

- Możemy poszukać.

- Aparat fotograficzny z długim obiektywem - powiedziała Mel sama do siebie, podwijając rękawy koszuli. - Federalna policja - mruknęła ze złością. - Chyba żadne prawo nie zabrania przejażdżki po przedmieściach?

- Chyba nie - odparł Sebastian, kiedy ruszyli. - Ani przejażdżki, ani też przechadzki. Nie ma nic lepszego w ciepły letni wieczór, jak spacer po miłej okolicy.

Mel posłała mu promienny uśmiech.

- Masz rację, Donovan.

- Ten komplement zachowam w pamięci do końca życia.

Jechali wolno przez obsadzone drzewami ulice Forest Park.

- Potrafisz powiedzieć...? - zaczęła Mel, po czym natychmiast ugryzła się w język.

- Czy potrafię powiedzieć, który to dom? - dokończył za nią Sebastian. - Może tak.

- Jak...? - Znowu urwała i podniosła lornetkę do oczu.

- Jak to się robi? - Uśmiechnął się i udając niezdecydowanie, skręcił w lewo. - To dość ciężko wytłumaczyć. Może kiedyś spróbuję, jeżeli nadal będzie cię to interesować.

Podjechał do krawężnika i zatrzymał wóz.

- Co robisz? - zaniepokoiła się Mel.

- Oni często wyjeżdżają z nim na spacer po kolacji.

- Co?

- Lubię zabierać go na spacer po kolacji, a przed kąpielą.

Mel machinalnie wyciągnęła ręce, odwróciła ku sobie jego twarz i spojrzała mu w oczy. Zamrugła, oszołomiona ich hipnotycznym spojrzeniem. Były tak ciemne, że niemal czarne. Kiedy udało jej się przemówić, jej głos był cichy jak szept.

- Gdzie on jest?

- W domu po drugiej stronie ulicy. Tym z niebieskimi okiennicami i dużym drzewem na trawniku. - Złapał ją za rękę, nim zdążyła otworzyć drzwi. - Nie!

- Jeżeli on tam jest, idę po niego. Niech cię diabli, puść mnie!

- Zastanów się przez chwilę! - Nagle zrozumiał, że Mel jeszcze przez dłuższy czas nie będzie w stanie myśleć. Obiema rękami przycisnął ją do fotela. Nie było to wcale takie łatwe, bo była wprawdzie szczupłą, lecz silną i wysportowaną kobietą. - Mel, posłuchaj mnie! On jest bezpieczny! David jest bezpieczny! Jeżeli tam wpadniesz i będziesz chciała zabrać dziecko, narobisz tylko zamieszania.

Próbowała się wyrwać, a jej oczy miały błyskawice. Wyglądała jak rozsierdzona bogini.

- Przecież oni go ukradli!

- Nie, to nie oni! Nie wiedzieli, że David został porwany, myśleli, że rodzice oddali go do adopcji. Wierzyli w to, bo rozpaczliwie pragnęli dziecka. Czy nigdy nie miałaś ochoty pójść na skróty, żeby dostać to, czego tak bardzo chciałaś?

Mel z wściekłością potrząsnęła głową.

- On nie jest ich dzieckiem!

- To prawda - powiedział ze spokojem - ale przez ostatnie trzy miesiące nim był. Dla nich jest ich synkiem, który nazywa się Erie. Kochają go na tyle mocno, aby uważać, że był im przeznaczony.

- Jak możesz żądać ode mnie, żebym go u nich zostawiła? - zapytała ze wzburzeniem.

- Jeszcze tylko na krótki czas. - Sebastian pogładził Mel po policzku. - Jutro wieczorem David będzie w domu.

Skinęła głową.

- Puść mnie. - A kiedy to zrobił, drżącymi rękami sięgnęła po lornetkę. - Miałaś rację, że mnie powstrzymałeś. To ważne, żeby się najpierw upewnić.

Nastawiła ostrość na duże okno w salonie. Przez muślinowe firanki dostrzegła pastelowe ściany, huśtawkę dla dziecka, ciemną sofę i porozrzucane zabawki. W polu wi-

dzenia pojawiła się kobieta. Szczupła brunetka w szortach i bawełnianej bluzeczce. Kiedy odwróciła się ze śmiechem, jej włosy wdzięcznie zafalowały.

A potem kobieta wyciągnęła ręce.

- O Boże, David!

Palce Mel kurczowo zacisnęły się na lornetce, gdy zobaczyła mężczyznę podającego Davida tej obcej kobiecie. Mimo firanek wyraźnie widziała, że David się uśmiecha.

- Chodźmy na spacer - powiedział cicho Sebastian, ale Mel potrząsnęła głową.

- Muszę zrobić kilka zdjęć. - Odłożyła lornetkę i sięgnęła po aparat z teleobiektywem.

Ruchy znów miała pewne i zdecydowane.

- Jeżeli my nie potrafimy zmusić Devereaux do działania, może to go poruszy.

Wypstrykała pół rolki. Gdy przybrani rodzice i ich dziecko znikali z pola widzenia, czekała, aż znów się pojawią za oknem, i robiła następne zdjęcia. Czuła rozpierający ból w klatce piersiowej. Był tak silny, że zaczęła masować pierś.

- Chodźmy. - Odłożyła aparat na podłogę. - Niedługo mogą zabrać go na spacer.

- Jeżeli będziesz próbowała go porwać...

- Nie jestem głupia - przerwała mu ostro. - Przedtem nie wiedziałam, co mówię. Znam procedurę.

Wysiedli z samochodu i wolnym krokiem ruszyli przed siebie.

- Żeby nie wzbudzać podejrzeń, powinniśmy się trzymać za ręce. - Sebastian wyciągnął dłoń do Mel. Przyjrzała jej się z powątpiewaniem, a potem wzruszyła ramionami.

- Myślę, że to nie zaszkodzi.

- Straszna z ciebie romantyczka, Sutherland. - Sebastian podniósł do ust ich złączone ręce i ucałował jej palce. Epitet, jakim go poczęstowała, wywołał uśmiech na jego ustach. - Zawsze podobały mi się takie osiedla na przedmieściach, chociaż nigdy nie miałem ochoty w nich zamieszkać. Wypielęgnowane trawniki, sąsiad za płotem, rozmowy o hodowaniu róż. - Popatrzył za chłopcem, który pędził uliczką na rowerze. - Bawiące się dzieci, zapach grilla i radosne śmiechy.

Mel zawsze tęskniła za takim miejscem, lecz nie chciała się do tego przyznać ani przed sobą ani tym bardziej Sebastianowi. Wzruszyła ramionami.

- Wścibscy sąsiedzi, podglądający zza firanek, wszechobecna nuda i złe psy.

Jak na zawołanie, potężny pies z głośnym ujadaniem podbiegł ku nim przez trawnik. Sebastian odwrócił głowę i popatrzył na niego. Pies stanął jak wryty, zaskowyczał, a potem umknął z podkulonym ogonem.

Mel musiała przyznać, że zrobiło to na niej wrażenie.

- Niezła sztuczka.

- To dar. - Sebastian puścił jej rękę i otoczył ją ramieniem. - Odpreż się - powiedział. - Nie musisz się o niego martwić.

- Ja się wcale nie martwię.

- Jesteś napięta jak struna. Na przykład tutaj. - Dotknął nasady jej karku. Gdy poczuła łagodny ucisk palców, spróbowała strząsnąć jego rękę.

- Posłuchaj, Donovan...

- Cśśś, to kolejny dar. - Chociaż się wrywała, zrobił coś takiego, że nagle poczuła, jak rozluźniają się napięte mięśnie jej ramion.

- Och! - westchnęła.

- Już lepiej? - Znowu ją objął. - Gdybym miał więcej czasu i gdybyś była naga, wypędziłbym z ciebie wszystkie dziwactwa. - Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny. - Wydaje mi się to fair, jeśli od czasu do czasu zdradzę ci niektóre moje myśli, a przyznaję, że ostatnio dość dużo myślałem o tym, aby cię rozebrać.

Zmieszana i śmiertelnie przerażona, że mogłaby się zarumienić, odwróciła wzrok.

- Durny facecie, pomyśl lepiej o czymś innym.

- To dość trudne, zwłaszcza że tak ci do twarzy w mojej koszuli.

- Nie lubię flirtować, zwłaszcza podczas akcji - zauważyła półgłosem.

- Moja droga Mary Ellen, między flirtem a otwartym stwierdzeniem, że się kogoś pragnie, jest ogromna różnica. Gdybym ci powiedział, że masz piękne oczy, które przypominają mi wzgórza mojej ojczyzny, to byłby tylko flirt. Albo gdybym ci powiedział, że twoje włosy są jak złoto na obrazach Botticellego, albo że masz skórę miękką jak chmury, które płyną wieczorami nad moją górą, to także można by uznać za flirt.

Mel poczuła się naprawdę dziwnie.

- Gdybyś powiedział coś takiego, pomyślałabym, że do końca postradałeś rozum.

- Właśnie dlatego jestem za szczerością. Chce cię mieć w łóżku. W moim łóżku. - Przystanął pod rozłożystym dębem i wziął ją w ramiona, zanim zdążyła się cofnąć.

- Chcę cię rozebrać. Chcę cię dotykać. Chcę widzieć, jak rozkwitasz, kiedy jestem w tobie. - Nachylił się i musnął wargami jej usta. - A potem będę chciał zrobić to wszystko jeszcze raz, i jeszcze raz... - Gdy poczuł, że Mel drży, pocałował ją głęboko i zachłannie. - Czy jestem wystarczająco szczery?

Nagle uświadomiła sobie, że jej ręce spoczywają na piersi Sebastiana. W jaki sposób się tam znalazły? Usta miała nabrzmiąte, rozpalone i głodne.

- Myślę... - Problem w tym, że w tej chwili w ogóle nie myślała. Serce waliło jej tak głośno, że aż dziwne, iż ludzie nie wyszli z domów, by sprawdzić, co to za hałas. - Ty chyba naprawdę oszalałeś!

- Dlatego że cię pragnę, czy dlatego, że o tym mówię?

- Bo... bo sobie wyobrazasz, że interesuje mnie szybki numer. Przecież ledwo cię znam.

Chwycił ją za podbródek.

- Znasz mnie. - Znowu ją pocałował. - Poza tym nie mówiłem, że to ma się odbyć szybko.

Nie zdążyła zareagować, bo nagle Sebastian zeszywniał i nie odwracając się, powiedział:

- Wychodzą z domu. - Ponad jego ramieniem zobaczyła, jak najpierw otwierają się drzwi, a potem szczupła brunetka wytacza wózek. - Przejdźmy na drugą stronę ulicy, będziesz mogła dobrze się przyjrzeć chłopcu.

Wzdrygnęła się. Sebastian znowu otoczył ją ramieniem w opiekuńczym, a zarazem ostrzegawczym geście. Usłyszała, jak mężczyzna i kobieta rozmawiają ze sobą. Była to zwykła, radosna rozmowa młodych rodziców cieszących się małym dzieckiem. Nie potrafiła rozróżnić słów. Bezwiednie objęła Sebastiana w pasie, jakby szukała podpory.

Ale on urósł! Poczowała pod powiekami palące łzy. Szybko zmieniał się z niemowlęcia w małe dziecko. Na nogach miał czerwone buciki, jakby już mógł chodzić. Włoski, nieco dłuższe, kręciły mu się wokół okrągłej, różowej buzi.

A jego oczy... Przystanęła i ugryzła się w język, żeby nie zawołać go po imieniu. A on patrzył na nią, kiedy przejeżdżał obok w jaskrawoniebieskim wózku. Uśmiechał się oczami i było oczywiste, że ją poznał.

- Mojemu synkowi podobają się ładne kobiety. - Brunetka uśmiechnęła się z dumą, kiedy się mijali.

Mel jakby wrosła w ziemię. Patrzyła na Davida, który odwrócił się w wózku i wydał usteczka. Nagle zapłakał w proteście, a kobieta nachyliła się i zagadała do niego.

- On mnie zna - szepnęła Mel. - On mnie pamięta.

- Tak. Trudno zapomnieć miłość. - Sebastian podtrzymał ją w chwili, kiedy robiła chwiejny krok do przodu. - Nie teraz, Mel. Najpierw trzeba zadzwonić do Devereaux.

- Poznał mnie - powiedziała stłumionym głosem. - Nic mi nie jest - nalegała, ale nie próbowała się wyrwać.

- Wiem. - Przycisnął usta do jej skroni, pogłaskał ją po głowie i czekał, aż się uspokoi.

Był to jeden z najtrudniejszych momentów w jej życiu, kiedy stała na chodniku przed domem z niebieskimi okiennicami i dużym drzewem od frontu. Wewnątrz był Devereaux z agentką. Patrzyła, jak wchodzili do środka przez drzwi, które otworzyła im młoda brunetka. Była jeszcze w szlafroku, a w jej oczach błysnął strach i porażające przeczucie, kiedy schyliła się, aby podnieść poranną gazetę.

Mel słyszała teraz płacz. Chciała, żeby jej serce zmieniło się w twardy głaz, ale tak się nie stało.

Kiedy wreszcie wyjdą? Z rękami w kieszeniach krążyła po chodniku. Za długo to wszystko trwało. Devereaux nalegał, by zaczekać do rana, a ona przez całą noc nie zmrużyła oka.

- Idź, poczekaj w samochodzie - powiedział Sebastian.

- Nie potrafiłabym usiedzieć.

- Nie pozwolą nam go zabrać tak od razu. Musi być zachowana procedura. Zanim zdejmią odciski palców i zrobią badanie krwi, minie kilka godzin.

- Ale mnie pozwolą z nim być. Muszą! Nie można Davida zostawić z obcymi. - Zaciśnęła wargi. - Powiedz mi coś o nich - wybuchnęła. - Proszę!

Spodziewał się, że o to zapyta.

- Ona była nauczycielką. Zrezygnowała z pracy, kiedy pojawił się David. To było dla niej bardzo ważne, aby spędzać z nim jak najwięcej czasu. Jej mąż jest inżynierem. Są małżeństwem od ośmiu lat i od samego początku starali się o dziecko. To dobrzy ludzie. Kochają się, a w ich sercach jest dość miłości. Łatwo było ich oszukać, Mel.

Jej wyrazista twarz wyrażała na przemian współczucie i furię.

- Współczuję im - wyszeptwała w końcu. - Przykro mi, że tacy ludzie padli ofiarą oszustów, którzy wykorzystali ich miłość i tęsknoty.

- Życie nie zawsze jest fair.

- Życie zazwyczaj nie jest fair - poprawiła go. Zrobiła jeszcze kilka rundek, nerwowo spoglądając w duże okno. Kiedy drzwi otworzyły się, wspięła się na palce, gotowa pobiec w stronę domu. Devereaux podszedł do niej.

- Czy chłopiec panią zna?

- Tak Mówiłam, że wczoraj mnie poznał. Devereaux pokiwał głową.

- Dziecko jest zdenerwowane i płacze, a co dopiero mówić o panu i pani Frost. Kobiecie trzeba było podać środek uspokajający. Jak już wcześniej mówiłem, będziemy musieli zatrzymać chłopca, póki wszystkiego nie sprawdzimy i nie dokończymy formalności. Lepiej będzie, jeżeli pójdzie tam pani i zajmie się nim, razem z naszą agentką.

- Jasne. - Serce Mel podeszło do gardła. - Donovan?

- Przyjdę za chwilę.

Weszła do domu, próbując uzbroić się przeciwko rozpaczliwemu płaczowi, dobiegającemu zza drzwi sypialni. Poszła korytarzem prosto do dzieciennego pokoju, mijając po drodze plastikowego konika na biegunach.

Ściany pokoju były bladoniebieskie, z wymalowanymi

łódeczkami. Pod oknem stało łóżeczko, a nad nim obracała się karuzela ze zwierzętami.

Dokładnie tak, jak mówił Sebastian, pomyślała.

A potem, zapominając o wszystkim, nachyliła się, żeby wziąć na ręce płaczącego Davida.

- Mój malutki. - Przytuliła twarz do zalanej łzami buzi dziecka. - David, mój słodki. - Próbowała go uspokoić, odgarniając mu wilgotne włosy z czoła, wdzięczna agentce Barker za to, że stoi tyłem i nie widzi jej łez.

- Ale z ciebie duży chłopiec! - Ucałowała jego drżące usteczka. David otarł piąstkami oczy, a potem znużony westchnął i oparł główkę na jej ramieniu. - Mój malutki! Skończyła się twoja straszna przygoda. Wracamy do domu! Do mamy i taty.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nigdy nie będę w stanie podziękować ci za to, co dla nas zrobiłaś. Nigdy! - mówiła Rose, wyglądając przez kuchenne okno. Na podwórku jej mąż z synkiem wygrzewali się w promieniach słońca, turlając pomarańczową piłkę. - Kiedy na nich patrzę, to...

- Wiem. - Mel objęła ją. Gdy w milczeniu słuchały wybuchów śmiechu rozbawionego Davida, Rose ścisnęła ją za rękę. - Dobrze wyglądają razem, prawda?

- Wspaniale. - Rose z westchnieniem otarła oczy. - Po prostu wspaniale. Kiedy sobie pomyślę, jak strasznie się bałam, że już nigdy nie zobaczę mojego synka...

- No to przestań o tym myśleć. David jest już w domu.

- Dzięki tobie i panu Donovanowi. - Rose odeszła od okna, ale nie przestawała spoglądać w stronę podwórka. Ile jeszcze musi minąć czasu, zanim przestanie się niepokoić, ilekroć David zniknie z zasięgu jej wzroku? - A tak przy okazji, mogłabyś mi coś powiedzieć o tych ludziach, u których był? Ci z FBI byli bardzo sympatyczni, ale...

- Małomówni - dokończyła Mel. - To byli dobrzy ludzie, Rose. Dobrzy ludzie, którzy bardzo chcieli mieć rodzinę. Niestety, popełnili ten błąd, że zaufali niewłaściwym osobom. Jednak zapewniam cię, że bardzo dbali o Davida.

- On tak bardzo urósł i rwie się już do chodzenia.

- W głosie Rose zabrzmiała nuta żalu i goryczy, że straciła tak bezcenne miesiące w życiu synka. A także cień współczucia dla tamtej matki, której pozostało tylko puste łódeczko. - Wiem, że go kochali. I wiem też, jak bardzo ta kobieta musi być teraz przerażona i nieszczęśliwa. Ona jest w gorszej sytuacji niż ja, bo wie, że David już nigdy do niej nie wróci.

- Zaciśniętymi pięściami uderzyła w stół.

- Kto nam to zrobił, Mel? Kto wyrządził nam wszystkim taką krzywdę?

- Nie wiem, ale pracuję nad tym.

- Będiesz pracowała z panem Donovanem? On tak bardzo się tym przejmuje.

Sebastian?

- Rozmawialiśmy o tym, kiedy do nas wstąpił.

- Ach, tak? - Mel udała kompletny brak zainteresowania. - Był u was?

Twarz Rose złagodniała. Młoda kobieta wyglądała teraz prawie tak samo, jak w tamtych beztrudnych czasach, przed uprowadzeniem Davida. - Przywiózł Davidowi jego misia i śliczną niebieską łódeczkę.

Łódeczkę, pomyślała Mel. Tak, to do niego podobne, żeby o tym pomyśleć.

- To miły gest - powiedziała.

- Mam wrażenie, że on potrafił zrozumieć obie strony. Wiedział, przez co przeszliśmy ze Stanem i przez co teraz przechodzą tamci ludzie w Atlancie. A wszystko dlatego, że jest ktoś, kogo w ogóle nie obchodzą ani dzieci, ani matki, ani rodziny. Bo ten ktoś chce tylko wyłudzić od nich pieniądze. - Rose zacisnęła drżące usta. - Chyba właśnie dlatego pan Donovan nie chciał wziąć od nas ani grosza.

- Nie wziął honorarium? - z udaną obojętnością zapytała Mel.

- Nie, ani centa. - Rose nagle przypomniała sobie o obowiązkach i zajrzała do piekarnika, żeby sprawdzić, czy mięso już się upiekło. - Powiedział, że możemy przekazać ze Stanem jakąś kwotę na schronisko dla bezdomnych.

- Rozumiem.

- Powiedział też, że zastanawia się, czy nie poprowadzić tej sprawy do końca.

- Jakiej sprawy?

- Mówił, że nie może dłużej tak być, aby ktoś kradł dzieci z wózka i sprzedawał jak szczenięta. Że są pewne granice, których nie wolno przekroczyć.

- To prawda. - Mel chwyciła torebkę. - Muszę już iść, kochanie.

Rose, zdumiona, zatrzasnęła drzwiczki piekarnika.

- Nie zostaniesz na obiad?

- Naprawdę nie mogę. - Mel zawahała się, a potem zrobiła coś, co zdarzało się jej bardzo rzadko, a co chciałaby robić bez skrępowania: pocałowała Rose w policzek. - Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

W zasadzie powinna była zrobić to wcześniej, ale do Monterey wrócili zaledwie kilka dni temu. Wjeżdżając na górę, na której mieszkał Sebastian, Mel przedzierała się przez wiszące nad ziemią chmury. Myślała o tym, że Donovan nie odezwał się do tej pory. Przejeżdżając obok domu Rose i Stana wstąpił do nich, lecz już nie pojechał tych kilku przecznic dalej, aby się z nią zobaczyć.

To oczywiście, że nie mówił serio tych wszystkich nonsensów, jak bardzo Mel jest cudowna i jak ogromnie jej pragnie. Tych głupstw o jej oczach, włosach i cerze. Zabębniła palcami po kierownicy. Gdyby tak uważał, zdecydowałby się do tej pory na jakiś krok. Jak mogła podjąć decyzję, co dalej robić z tym wszystkim, skoro jemu na tym nie zależało?

Dlatego postanowiła zaskoczyć wilka w jego norze. Pewne zobowiązania domagały się wypełnienia, a pytania - odpowiedzi.

Przekonana, że jest już na to gotowa, Mel wjechała na wyboistą szosę, prowadzącą do domu Sebastiana. W połowie drogi musiała wcisnąć hamulce, bo nagle zobaczyła konia z

jeźdźcem na grzbiecie. Kary ogier, ze śniadym mężczyzną w siodle, w ułamku sekundy przemknął przez wysypany żwirem trakt. Mel doznała wrażenia, jakby cofnęła się całe wieki wstecz, do czasów rycerzy, smoków i czarów.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła, jak rumak z głuchym tętentem galopował po stromym, skalistym zboczu, przez pasmo mgły, by znów wyjechać na słońce. Żaden centaur nie mógł wyglądać równie wspaniale.

Kiedy odgłos kopyt zamarł w oddali, ruszyła w dalszą drogę. Znów dosięgła ją rzeczywistość. Silnik rzeził, skarżył się, kaszlał i parskał, aż w końcu wóz dowlóknął się do celu.

Tak jak przypuszczała, Sebastian był z Erosem na padoku. Kiedy stał obok konia, wyglądał równie wspaniale i równie tajemniczo jak w siodle. Emanowały z niego energia i witalność.

Mel była pewna, że gdyby go teraz dotknęła, sparzyłaby sobie palce.

- Dobry dzień na przejażdżkę.

Donovan spojrzał na nią z uśmiechem.

- Każdy dzień jest dobry. Przepraszam, że się nie przywitałem, ale nie lubię zatrzymywać Erosa, kiedy wpada w trans.

- Nie szkodzi. - W duchu była zadowolona, że tego nie zrobił. Na pewno nie potrafiłaby wyjąkać ani słowa, gdyby zatrzymał się i przemówił do niej z wysokości swojego wspaniałego rumaka. - Wpadłam, by zapytać, czy masz kilka minut na omówienie pewnych spraw.

- Dla ciebie zawsze znajdę czas. - Sebastian poklepał lśniący bok Erosa, a potem przyklęknął i zaczął czyścić mu kopyta. - Widziałaś się z Rose?

- Tak, właśnie od niej jadę. Mówiła, że byłeś u nich. Podobno przyniosłeś Davidowi łódkę.

Sebastian podniósł na nią oczy, a potem zabrał się za następne kopyto.

- Pomyślałem, że mały poczuje się mniej zdezorientowany, jeżeli będzie miał przy sobie coś znajomego.

- To bardzo miło z twojej strony. Wyprostował się.

- Miewam dobre momenty.

- Rose mówiła, że nie przyjąłeś zapłaty.

- O ile pamiętam, mówiłem już wcześniej, że nie potrzebuję pieniędzy.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Mel sięgnęła przez ogrodzenie i pogłaskała Erosa po karku. To nie czary, powiedziała sobie. To tylko wspaniałe zwierzę w całej swojej krasie.

Podobnie jak jego pan. - Sprawdziłam parę rzeczy, Donovan. Dowiedziałam się, że trzymasz wiele srok za ogon.

- Można i tak powiedzieć.

- Chyba łatwiej robić pieniądze, kiedy ma się pewne zaplecze?

Obejrzał ostatnie kopyto.

- Oczywiście. Łatwiej też je roztrwonić.

- Punkt dla ciebie. - Spojrzała na niego z ukosa. - A ta historia w Chicago... Ciężko było, prawda?

Zobaczyła, jak twarz mu się zmienia, i z miejsca pożałowała swoich słów.

- Owszem, było ciężko. Klęska zawsze jest przykra.

- Przecież pomogłeś im go znaleźć i powstrzymać.

- Pięć ofiar to żaden sukces. - Klepnął Erosa w zad i koń potruchtał w stronę stajni. -

Może wejdiesz do środka, a ja się doprowadzę do porządku.

- Sebastian!

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Zaskoczyło go to do tego stopnia, że zatrzymał się z ręką na ogrodzeniu i ciałem sprężonym do skoku.

- Pięć ofiar śmiertelnych - powiedziała cicho. Jej oczy pociemniały ze współczucia. - A wiesz, ile ocalonych?

- Nie. - Przeskoczył przez płot i wylądował przed Mel. - Nie wiem, ale dziękuję, że o to zapytałaś - powiedział miękko i wziął ją za rękę. - Chodźmy do domu.

Wolałaby zostać na dworze, gdzie miała mnóstwo miejsca do manewru, głupio by jednak wyglądało i było objawem słabości, gdyby z nim teraz nie poszła.

- Jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

- Tak też przypuszczałem. Jadłaś już obiad?

- Nie.

- To dobrze, porozmawiamy przy jedzeniu.

Przez werandę weszli szklanymi drzwiami prosto do kuchni. Komfortowe pomieszczenie, urządzone w bieli i granacie, wyglądało jak modelowe wnętrze z eleganckiego czasopisma. Sebastian podszedł do lodówki i wyjął butelkę wina.

- Usiądź. - Wskazał na stółek przy wykładanym kafelkami blacie i otworzył butelkę. - Muszę się przebrać - powiedział, stawiając przed Mel napełniony kieliszek. - Czuj się jak u siebie w domu.

- Jasne.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, zsunęła się ze stołka. Nie uważała wcale, że popełnia nietakt. Kierowała nią wrodzona ciekawość. Jak można najlepiej poznać człowieka, jeśli nie po jego najbliższym otoczeniu? A ona rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się wszystkiego o Sebastianie Donovanie.

Kuchnia była sterylnie czysta. Blaty i urządzenia lśniły, a talerze i naczynia w szafkach o przezroczystych drzwiczkach ustawione były według rozmiarów. W pomieszczeniu nie było czuć zapachu detergentów czy środków dezynfekcyjnych, natomiast pachniało świeżym powietrzem i ziołami.

Na oknie nad zlewem wisiało kilka bukietów suszonych ziół. Mel powąchała je, wydzielały przyjemny, mgliście tajemniczy aromat.

Otworzyła pierwszą z brzegu szufladę. W środku były blachy do pieczenia. Zajrzała do innej i odkryła inne przybory kuchenne, starannie poukładane.

Gdzie chował różne osobiste drobiazgi? - zastanawiała się, krążąc po kuchni. Te wszystkie tajemnicze przedmioty, którymi zagracony jest każdy dom?

Bardziej zaintrygowana niż zniechęcona, wróciła na swoje miejsce. Ledwo sięgnęła po wino, w kuchni pojawił się Sebastian.

Ubrany był w czarne dżinsy i czarną koszulę z podwiniętymi do łokcia rękawami. Był boso. Kiedy sięgnął po butelkę, żeby nalać sobie wina, Mel pomyślała, że wyglądał na kogoś, za kogo się uważał. Na czarownika.

Stuknął z uśmiechem kieliszkiem o jej kieliszek, a potem nachylił się i spojrzał jej w oczy.

- Możesz mi zaufać?

- Co?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chciałbym ułożyć menu. Pospiesznie pociągnęła łyk wina.

- Oczywiście. W zasadzie jestem wszystkożerna. Kiedy zaczął wyjmować potrzebne składniki i naczynia, odetchnęła z ulgą.

- Ty będziesz gotować? - Tak. A co?

- Myślałam, że chcesz coś zamówić. - Widząc, że zaczyna nalewać olej na patelnię, zmarszczyła brwi. - To straszny kłopot.

- Ja to lubię. - Sebastian wrzucił do miski trochę ziół. - Świetnie się przy tym odprężam.

Mel spojrzała z powątpiewaniem na zawartość miski.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Przecież ty nie umiesz gotować.
- Skąd wiesz?
- Zajrzałem do twojej kuchni. Czosnek?
- Owszem.

Sebastian zgniótł nożem jeden ząbek.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać, Mel?
- O paru Sprawach. - Rozsiadła się wygodniej i podparła dłonią podbródek. To dziwne, ale z przyjemnością patrzyła, jak szykował jedzenie. - Jak wiemy, dla Rose, Stana i Davida wszystko skończyło się dobrze. Co ty tam dodajesz?

- Rozmaryn.

- Ładnie pachnie. - Podobnie jak Donovan, pomyślała. Ulotnił się seksowny zapach potu i skóry, który rozsiewał wokół siebie po konnej przejażdżce. W jego miejsce pojawił się równie upojny zapach lasu - prymitywny i na wskroś męski. Znów pociągnęła łyk wina i poczuła się mile odprężona. - Jednak państwo Frost z Georgii muszą przeżywać teraz ciężkie chwile.

Wrzucił na patelnię zioła, czosnek i pomidory.

- Tak to już jest. Aby jedni mogli wygrać, inni muszą przegrać.
- Znam tę zasadę. Zrobiliśmy, co do nas należało, lecz to jeszcze nie koniec.

Dorzucił mięso i podniósł oczy na Mel. Podobała mu się, kiedy tak siedziała w swobodnej pozie, śledząc uważnie jego kulinarne poczynania.

- Mów dalej.

- Nie złapaliśmy sprawcy, Donovan. Tego, kto to wszystko zaplanował. Odnaleźliśmy Davida i to się przede wszystkim liczy, ale nie doprowadziliśmy sprawy do końca. David był tylko jednym ze skradzionych dzieci.

- Skąd wiesz?

- Przecież to logiczne. Operacja została przeprowadzona tak sprytnie i gładko. To nie był numer na jeden raz.

- Nie. - Sebastian dolał wina do kieliszków i na patelnię. - Na pewno nie.

- Moim zdaniem, to wygląda tak. - Mel zeskoczyła ze stołka. Uznała, że lepiej myśli jej się na stojąco. - Frostowie mieli kontakt. Być może udało im się naśląć na niego policję, ale może być i tak, że facet dawno się ulotnił.

Według mnie, raczej to drugie. - Urwała i spojrzała na niego.

Sebastian pokiwał głową.

- Mów dalej.

- Moim zdaniem jest to szajka o zasięgu krajowym. Zorganizowana jak firma. Muszą mieć adwokata, który załatwia adopcje. Pewnie mają też lekarza, a przynajmniej kogoś, kto ma powiązania z klinikami, które leczą bezpłodność. Frostowie przeszli wszelkiego rodzaju testy medyczne, sprawdziłam to.

Sebastian mieszał, wachał i raz po raz spoglądał na patelnię, ale słuchał uważnie.

- Pewnie FBI też ich sprawdziło.

- Z całą pewnością tak. Wprawdzie nasz kumpel Devereaux trzyma rękę na pulsie, ale ja lubię kończyć to, co zaczęłam. Są przecież te wszystkie pary, które pragną mieć dziecko. Ci ludzie gotowi są na wszystko: potrafią uregulować swoje życie seksualne, przestrzegać diety, nawet tańczyć nago podczas pełni księżyca. I oczywiście będą płacić: za testy, operacje, lekarstwa. A jeżeli to nie przyniesie pożądanego skutku, zapłacą i za dziecko.

Mel powąchała zawartość jednego z rondli.

- Mmm, pachnie rozkosznie - mruknęła. - Zazwyczaj wszystko działa zgodnie z prawem - mówiła dalej. - Mamy godną zaufania agencję adopcyjną, godnego zaufania prawnika. I, w większości przypadków, wszystko kończy się jak należy. Dziecko zyskuje kochający dom, biologiczna matka następną życiową szansę, a rodzice adopcyjni swój wymarzony cud. Lecz istnieje też pewien czynnik ryzyka. Zawsze może się trafić cwaniak, który w każdych okolicznościach potrafi zrobić forszę na cudzej tragedii.

- Możesz rozstawić talerze na stole pod oknem? Mów, słucham cię.

- Dobrze. - Przygotowała talerze, sztućce i serwetki, nie przestając przy tym mówić. - Nie jest to jednak jakiś tam drobny cwaniaczek, tylko cwaniak dużego formatu, na tyle inteligentny, żeby umieć powołać organizację, która potrafi porwać dziecko na jednym końcu kraju, a potem uruchomić sztafetę przez cały kontynent i podrzucić je jak piłkę, do jakiegoś przyjemnego domu tysiące kilometrów dalej. I do tego człowieka musimy dotrzeć. Oni jeszcze nie złapali Parklanda, ale pewnie wkrótce im się to uda, lecz on nie jest profesjonalistą. To tylko płotka, wystraszony facet, który próbuje znaleźć sposób na szybką spłatę długów. Ten trop nie zaprowadzi nas daleko, ale to już coś. Myślę, że policja będzie chciała utajnić śledztwo.

- Jak na razie twoje rozumowanie wydaje się bez zarzutu. Weź butelkę i usiądź.

Mel usiadła na ławie pod oknem.

- Nie przypuszczam, aby policja chciała podzielić się swoimi informacjami z prywatnym detektywem.

- Na pewno nie. - Sebastian postawił na stole makaron, sos pomidorowy i kurczaka w winie.

- Tobie natomiast powiedzą, wiele ci bowiem zawdzięczają.

Donovan podsunął Mel półmiski, a potem sam sobie nałożył jedzenie na talerz.

- Może i tak.

- Dadzą ci kopię zeznań Parklanda, kiedy już go złapią, może nawet pozwolą ci z nim porozmawiać. A jeżeli powiesz im, że ta sprawa nadal cię interesuje, może będą ci przekazywać dalsze informacje.

- Możliwe. - Sebastian spróbował przyrządzoną przez siebie potrawę i uznał, że jest znakomita. - Czy jednak ta sprawa nadal mnie interesuje?

Chwyciła go za rękę, zanim odkroił plaster mięsa.

- A nie chcesz skończyć tego, co zacząłeś? Podniósł oczy i spojrzał na nią tak przenikliwie, że zaczęły jej się trząść ręce. Puściła go.

- Tak, chcę - powiedział. - Pomogę ci. Uruchomię wszystkie możliwe kontakty.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawił się ciepły blask. - Naprawdę. Będę bardzo zobowiązana.

- Nie, nie sądzę. Nie będziesz zobowiązana, kiedy usłyszysz moje warunki. Będziemy pracowali razem.

- Co takiego? - zdumiała się Mel. - Posłuchaj, Donovan, doceniam twoją propozycję, ale z zasady działam sama. Tak czy inaczej, ten twój styl, owe widzenia i tak dalej, strasznie działają mi na nerwy.

- A mnie działa na nerwy twój styl, te różne strzelaniny i tak dalej. Dlatego pójdziemy na kompromis. Będziemy pracowali razem i tolerowali swoje... dziwactwa. W końcu liczy się tylko cel, prawda?

Mel zamyśliła się przez chwilę.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy udawać bezdzietną parę. - Podniosła na niego oczy. Jej mózg pracował już na pełnych obrotach. - Lecz jeśli zgadzamy się na kompromis, zresztą tylko na ten jeden raz, musimy jasno określić zasady.

- To absolutnie konieczne.

- Nie krzyw się tak, kiedy to mówisz. A swoją drogą, pyszne to twoje jedzenie. I wcale nie takie pracochłonne, jak myślałam.

- Pochlebiasz mi.

- Nie... - roześmiała się. - Zawsze mi się wydawało, że wykwintne dania wymagają ciężkiej pracy. Moja matka była kelnerką i przynosiła różne potrawy do domu, ale zwykle pracowała w barach szybkiej obsługi, więc to były tylko jakieś przekąski. Nie to co u ciebie.

- Co robi teraz twoja matka?

- W zeszłym tygodniu dostałam od niej pocztówkę z Nebraski. Ma się świetnie, wciąż dużo podróżuje. Nigdy nie potrafiła usiedzieć dłużej w jednym miejscu.

- A twój ojciec?

Zawahała się, a cień smutku przemknął przez jej twarz.

- Ojca nie pamiętam.

- A co twoja matka myśli o twoim zawodzie?

- Uważa, że ekscytująca praca, ale ona często ogląda telewizję. A ty? - Mel wskazała kieliszkiem na Sebastiana. - Co twoi rodzice myślą o tym, że jesteś czarownikiem z Monterey?

- Nie ująłbym tego w ten sposób - odparł po chwili, - ale jeżeli już o tym myślą, pewnie cieszą się, że kontynuuję rodzinne tradycje.

Mel prychnęła szyderczo.

- To znaczy co? Sabaty czarownic?

- Nie - odparł z niezmaconym spokojem. - Jesteśmy zwykłą rodziną.

- Dobrze wiesz, że nie uwierzyłabym w ani jedną z tych rzeczy, gdyby nie to, że... że przy tym byłam. To jednak jeszcze nie znaczy, że przełknę każdy kit. - Zlustrowała go badawczym wzrokiem. - Czytałam trochę o testach, badaniach i tym podobnych sprawach. Wielu uznanych naukowców wierzy w zjawiska parapsychologiczne.

- Pocieszasz mnie.

- Nie bądź taki dowcipny. To nie znaczy nic więcej niż tylko to, że oni jeszcze nie do końca poznali ludzki umysł. To całkiem logiczne. Oglądają wykresy EEG i EMG ludzi, którzy potrafią czytać zakryte karty lub robić inne dziwne rzeczy, co wcale jednak nie dowodzi, że wierzą w czary, przepowiednie i wróżki.

- Odrobina czarów na pewno by ci nie zaszkodziła - mruknął Sebastian. - Muszę porozmawiać o tym z Morgana.

- Wiesz co... - zaczęła Mel. - Donovan, do cholery, bądź poważny!

- Jestem jak najbardziej poważny. - Wziął ją za rękę.

- Mam w sobie krew wieszczów. Jestem dziedzicznym czarownikiem, którego przodkowie wywodzą się od Celtów. Posiadam dar widzenia. Nie prosiłem o to ani tego nie żądałem, lecz było mi to dane. I nie ma to nic wspólnego z logiką, nauką czy tańcami nago w świetle księżyca. To moje dziedzictwo. I moje przeznaczenie.

- No dobrze - powiedziała Mel po chwili. - Dobrze - powtórzyła. - Podczas tych badań przeprowadzano testy na telekinezę i telepatię.

- Chcesz dowodów, Mel?

- Nie... Tak. To znaczy jeżeli mamy pracować razem, chciałabym poznać zasięg twoich... talentów.

- Słusznie. Pomyśl jakąś liczbę od jednego do dziesięciu. Sześć - powiedział, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Nie byłam gotowa.

- Lecz to była pierwsza liczba, jaka ci przyszła do głowy.

Rzeczywiście tak było, mimo to potrząsnęła głową.

- Nie byłam gotowa. - Zamknęła oczy. - Już.

Jest dobra, pomyślał, naprawdę bardzo dobra. Czuł, że ze wszystkich sił stara się go zablokować, aby więc odwrócić jej uwagę, pogłaskał ją po rękę.

- Trzy - powiedział. Otworzyła oczy.

- Tak. Skąd wiesz?

- To przeszło z twojej głowy do mojej. - Musnął ustami koniuszki jej palców. - Czasami są to słowa, czasami obrazy, a czasem tylko uczucia, których nie da się opisać. Teraz na przykład zastanawiasz się, czy nie wypiął za dużo, bo serce bije ci szybko i jest ci gorąco. Głowę za to masz dziwnie lekką.

- Moja głowa jest w porządku. - Wyszarpnęła rękę. - A przynajmniej byłaby w porządku, gdybyś w niej nie grzebał. Czuje, jak próbujesz...

- Tak. - Zadowolony, rozsiadł się wygodniej i uniósł kieliszek. - Wiem, co czujesz. To zdarza się bardzo rzadko, żeby ktoś, z kim nie łączą mnie więzy krwi, potrafił wejrzeć we mnie, zwłaszcza w tak błahej sytuacji. Masz w sobie spory potencjał, Sutherland. Gdybyś kiedyś miała ochotę go wykorzystać, będę szczęśliwy, mogąc ci towarzyszyć.

Nie potrafiła ukryć dreszczu, który nią wstrząsnął.

- Nie, dziękuję. Jestem zupełnie zadowolona z mojej głowy. - Patrząc na Sebastiana, na próbę przytknęła do niej rękę. - Nie mam wcale ochoty, żeby ktoś czytał w moich myślach. Jeżeli mamy być przez jakiś czas partnerami, niech to będzie zasada numer jeden.

- Zgoda. Nie będę zaglądał w twoje myśli, chyba że mnie o to poprosisz. Nie kłamie, Mel - dodał, widząc w jej oczach niedowierzanie.

- Zasada czarownika?

- Można to tak określić.

- Dobrze. Po drugie - bezwzględnie dzielimy się informacjami. Niczego przed sobą nie zatajamy.

Uśmiech Sebastiana był czarujący, ale niebezpieczny.

- Absolutnie uważam, że za długo ukrywaliśmy przed sobą pewne sprawy.

- Jesteśmy profesjonalistami i nasza współpraca ma się ograniczyć tylko i wyłącznie do sfery zawodowej - powiedziała urażonym tonem.

- W stosownych okolicznościach. - Stuknął kieliszkiem w kieliszek Mel. - Czy nasz wspólny posiłek zalicza się do sfery profesjonalnej?

- Po co te kpiny? Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli mamy udawać małżeństwo, które pragnie dziecka, nie powinniśmy przy tym...

- Przekraczać pewnych granic - dokończył za nią Sebastian. - Rozumiem. Masz jakiś plan?

- Dobrze by było, gdybyśmy mieli poparcie FBI.

- Zostaw to mnie.

Uśmiechnęła się. Na to właśnie liczyła.

- Mając ich za sobą, możemy dostać autentyczne papiery. Aby zwrócić na siebie uwagę tej organizacji, musimy udawać ludzi w miarę zamożnych, lecz nie krezusów, żeby ich nie odstraszyć. Powinniśmy być też zupełnie nowi w otoczeniu, które sobie wybierzemy. Żadnych znajomych, żadnej rodziny. Będziemy się też musieli wpisać na listy oczekujących w kilku renomowanych agencjach adopcyjnych. Będą nam potrzebne świadectwa lekarskie, potwierdzające bezpłodność. Kiedy nawiążemy kontakt z Parklandem albo z kimś z organizacji, będziemy wiedzieli, co robić dalej.

- Znam łatwiejszy sposób - odezwał się Sebastian..

- Jaki?

- Zaraz ci powiem. Twój plan wymaga dużo czasu.

- Wiem, ale powinien doprowadzić nas do celu.

- Proponuję ugodę. Ja powiem, kiedy, gdzie i jak zaczynamy, a potem ty zajmiesz się resztą.

Zawahała się. Wiedziała, że kompromisy nie są jej mocną stroną.

- Jeżeli ty zdecydujesz, kiedy, gdzie i jak, musisz mieć solidne do tego podstawy, a ja muszę je zaakceptować.

- Zgoda.

- Dobrze. - Wydawało jej się to takie proste. Czowała iskierkę podniecenia na myśl o tym, że ma przed sobą ciekawe, satysfakcjonujące zadanie. - Może ci pomóc przy zmywaniu?

Wstała i zaczęła zbierać ze stołu delikatną porcelanę. Sebastian położył jej rękę na ramieniu. Z drobnej iskierki buchnął płomień.

- Zostaw to.

- Ty gotowałeś - powiedziała i szybko podeszła do zlewu. Pomyślała, że potrzebuje trochę miejsca i jakiegoś konkretnego zajęcia, aby zachować tak potrzebny spokój.

- Sądząc po twojej kuchni, nie należysz do facetów, którzy tolerują stopy brudnych naczyń.

Kiedy się odwróciła, Sebastian stał za nią. Położył jej ręce na ramionach, aby nie mogła mu się wymknąć.

- Tym razem złamię swoje zasady.

- Możesz przecież przywołać elfy, żeby ci posprzątały - mruknęła.

- Nie zatrudniam elfów... w Kalifornii. - Kiedy spojrzała na niego ostro, zaczął masować jej ramiona. - Znowu się usztywniasz, Mel, a podczas posiłku byłaś całkiem rozluźniona. Co więcej, uśmiechnęłaś się do mnie kilka razy. To była naprawdę bardzo miła odmiana.

- Nie lubię, jak mnie ktoś dotyka - powiedziała, jednak nie ruszyła się z miejsca. Zresztą dokąd miałyby pójść?

- Dlaczego? Przecież to tylko jeden ze sposobów porozumiewania się. A jest ich wiele. Głos, oczy, ręce. - Przesunął dłonie po jej ramionach. Pod dotykiem jego rąk mięśnie Mel cudownie się rozprężyły. - Myśli. A dotyk nie musi wcale być niebezpieczny.

- Lecz często bywa.

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po plecach.

- Nie jesteś tchórzem, Mel. Kobieta taka jak ty wychodzi niebezpieczeństwu naprzeciw.

Zgodnie z przewidywaniami, uniosła dumnie głowę.

- Przyjechałam tu, żeby z tobą porozmawiać.

- Przecież odbyliśmy już długą rozmowę. - Przyciągnął ją bliżej. Teraz wystarczyło tylko, aby nachylił głowę, a już miałby w zasięgu ust jej uparty podbródek z delikatnie zarysowanym dołkiem. - To była miła dyskusja.

Nie da się uwieść! Jest przecież dojrzałą kobietą, ma własne poglądy i zasady, i nigdy nie ulegała czarowi ulotnej chwili. Nigdy! Położyła mu dłoń na piersi, jakby go chciała odepchnąć.

- Nie przyjechałam tu dla zabawy.

- A szkoda. - Nachylił się i musnął ustami jej szyję. - B o ja lubię się czasami pobawić, ale niech będzie, odłóżmy to na inną porę.

Mel poczuła, że zaczyna mieć trudności z oddychaniem.

- Posłuchaj, może nawet mi się podobasz, ale... to jeszcze nic nie znaczy.

- Oczywiście, że nie. Masz taką delikatną skórę, Mary Ellen. Mam wrażenie, że puls rozerwie ci ją, jeżeli nadal będzie bił tak mocno i szybko.

- Nie bądź śmieszny!

Kiedy wyjął jej bluzkę ze spodni i powiodł rękami po nagich plecach, poczuła się lekka jak puch i z cichym jękiem przyłgnęła do Sebastiana.

- Zaczynałem już tracić już cierpliwość - wymruczał jej w szyję. - Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie odwiedzisz.

- To zupełnie inaczej niż ja. - Wczepiła palce w jego włosy. I nie dlatego tu przyszłam. - W głębi duszy dobrze wiedziała, że kłamie. - Muszę się zastanowić, bo to może być błąd. - Jednak gdy to mówiła, jej usta łapczywie błędziły po ustach Sebastiana. - A ja bardzo nie lubię popełniać błędów.

- A kto to lubi? - Chwycił ją pod biodra. Z cichym pomrukiem oplotła go nogami w pasie. - Lecz to nie jest błąd - powiedział.

- To się dopiero okaże - mruknęła, kiedy wynosił ją z kuchni. - Naprawdę nie chcę, żeby to miało jakikolwiek wpływ na naszą współpracę. Bo to zbyt ważna sprawa. Chcę, żeby nam się udało. Znienawidziłabym siebie, gdyby się okazało, że coś popsuję tylko dlatego, że... - z jękiem przycisnęła usta do jego szyi - że tak cię pragnę.

Słowa jej sprawiły, że krew uderzyła mu do głowy. Czuł jej powolne, rytmiczne, uwodzicielskie tętno. Odchylił Mel do tyłu, aby mieć łatwiejszy dostęp do jej ust.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

- Ale może mieć - powiedziała, kiedy wnosił ją na górę po schodach. Gdy ich oczy się spotkały, zaczęła spazmatycznie oddychać. - Może mieć.

- No, to raz kozie śmierć. - Otworzył kopniakiem drzwi do sypialni. - Spróbujmy złamać pewne zasady.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mel uważała się za osobę roztrofną. Wprawdzie często ryzykowała, ale zawsze brała pod uwagę wszelkie możliwe konsekwencje. Tym razem jednak nie była w stanie ich przewidzieć, bowiem z Sebastianem było to po prostu niemożliwe. Dlatego zdała się na instynkt. I choć rozum podpowiadał jej, że powinna wziąć nogi za pas i uciekać, jakiś głos, płynący z głębi duszy, nakazywał jej zostać i zaufać Donovanowi.

Mimo to zawahała się.

Nie, nie dlatego, że była kobietą nieśmiałą. Potrzebowała jeszcze chwili do namysłu, a przede wszystkim musiała jeszcze raz uważnie przyjrzeć się Sebastianowi.

A gdy to zrobiła, pozbyła się wszelkich wątpliwości.

Uśmiechnęła się. Kiedy chciała puścić Sebastiana, oparł ją o wezglowie łóżka. Gdy dotknęła stopami podłogi, poczuła, że jest uwięziona między gładkim drewnem a jego ciałem.

Patrzył jej w oczy, a jego ręce powędrowały powoli w górę, muskając koniuszkami palców jej uda, biodra, piersi, szyję i skronie. Zadrzała tylko raz - kiedy wczepił się palcami w jej włosy i zmiażdżył usta pocałunkiem.

Napierał na nią tak mocno, że czuła każdy fragment jego ciała. Czuła też, że rozpierająca go moc jest tak olbrzymia, że nawet gdyby chciała, już nie umiałaby się jej przeciwstawić. Jego usta doprowadzały ją do utraty zmysłów. Nienasycone i zaborcze, wypijały z niej wszystkie uczucia, pragnienia i wątpliwości, tęsknoty i lęki. Czuła, że wysysa z niej całą wolę, a ona chętnie mu ją oddaje.

Sebastian poczuł ten nagły moment poddania, kiedy jej ciało stało się zarazem silne i osłabłe, kiedy jej usta drżały, a potem prosiły o jeszcze. Poczuł dziki, pierwotny spazm pożądania.

Uniósł głowę. Oczy miał ciemne jak noc, pełne szaleńczych pragnień i niepohamowanych żądz. Dostrzegła też w nich moc. Zadrzała - ze strachu, a potem z rozkoszy.

Była to odpowiedź, na jaką czekał.

Jednym szarpnięciem rozdarł jej bluzkę. Nawet kiedy upadli na łóżko, jego ręce były wszędzie, głaszcząc i muskając, zadając tortury.

Zdarła z niego koszulę. Kiedy poczuła jego nagie ciało, westchnęła z aprobatą.

Sebastian dał jej mało czasu na rozmyślenia. Prowadził ją przez burzę pełną piorunów i błyskawic. Wiedziała, że są to odczucia czysto fizyczne. Nie było żadnej magii w zręczności

jego ręk i upajającym smaku jego ust, ale to magia sprawiła, że wzniesli się ponad dotykalaną rzeczywistość, ponad zwyczajną urodę różanego zmierzchu i tryle budzących się właśnie nocnych ptaków.

Tam, dokąd ją zabrał, była oszałamiająca prędkość i niewysłowiona rozkosz. Szepty w jakimś języku, którego nie rozumiała. Litanie? Obietnice kochanka? Już sam ich dźwięk wystarczał, żeby ją uwieść. Dotyk, raz szorstki, to znów łagodny, przyjmowany był przez nią z radością. A smak Donovanana, to słony i gorący, to chłodny i kojący, sprawiał, że była coraz bardziej spragniona.

Jest taka hojna, myślał. Taka silna, taka oddana.

W świetle zachodzącego słońca skóra jej lśniła złociście jak u bogini wojny, szykującej się do bitwy. Była zręczna i szczerą. Zmysłna jak fantazje i gotowa spełnić każde marzenie. W uszach miał jej stłumione jęki. Kiedy doprowadził ją na szczyt, jej palce konwulsyjnie wpiły mu się w ramiona.

Nawet gdy już osłabła w jego objęciach, nie przestawał pieścić jej i całować, póki znów nie usłyszał, jak chrapliwym szeptem wykrzykuje jego imię.

Patrzył teraz na nią z góry, potrząsając głową, póki wzrok nie wyostrzył mu się na tyle, że mógł zobaczyć jej twarz, na wpół przymknięte oczy, zamglone z rozkoszy, usta nabrzmiałe od pocałunków i drżące przy każdym oddechu.

- Chodź ze mną - powiedział.

Kiedy otoczyły go jej ramiona, wszedł w nią po raz kolejny. A kiedy wspólnie wspinali się na szczyt, pojawił, że czasami do czarów potrzeba tylko drugiego, chętnego serca.

Wydawało jej się, że słyszy cudowną i kojącą muzykę. Nie wiedziała, skąd dochodzi. Uśmiechnęła się i odwróciła na drugi bok.

Lecz obok niej nie było nikogo!

Gwałtownie rozbudzona, usiadła w ciemnościach. Mimo iż noc była czarna jak atrament, wiedziała, że jest w pokoju Sebastiana. To, co się wydarzyło, nie było snem. Podobnie jak to, że była teraz sama.

Zapaliła lampkę przy łóżku i zasłoniła oczy, póki nie przyzwyczyły się do światła.

Nie zawołała Donovanana. Czułaby się głupio, krzycząc głośno w pustym łóżku i w ciemnym pokoju. Wstała i podniosła z podłogi jego pomietą koszulę. Wsuwając ręce do rękawów, ruszyła tam, skąd dobiegała muzyka.

Nie był to jakiś określony kierunek. Ciche jak szepty dźwięki zdawały się ją otaczać. I mimo że bardzo wyęczała słuch, nie była w stanie powiedzieć, czy słyszała śpiew, smyczki, flety czy rogi. Były to po prostu cudowne wibracje, niesamowite, a zarazem tak piękne.

Płynęła razem z nimi, wiedziona instynktem. Poszła korytarzem, który skręcał w lewo, a potem zaczęła się wspinać po schodach. Muzyka nie stawała się ani głośniejsza, ani cichsza, tylko bardziej płynna, jakby spływała po jej skórze, wślizgując się do mózgu.

Kiedy weszła do pokoju u szczytu schodów, zobaczyła świece. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanego wosku, drzewa sandałowego i gryzącego dymu.

Wstrzymując oddech, przystanąła w progu i rozejrzała się wokoło.

Pokój nie był duży. Pomyślała, że stosowniej sza byłaby tu nazwa „komnata”, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego przyszło jej do głowy to określenie. Ściany z jasnego drewna ozłoczone były blaskiem dziesiątek cieniutkich, białych świeczek.

Trzy okna miały kształt sierpów księżyca. Przypomniała sobie, że widziała je z zewnątrz, i uświadomiła sobie, że pokój znajdował się w najwyższej części domu, a okna wychodziły na morze i skaliste urwisko.

Przez otwarte świetliki widać było migoczące gwiazdy. W pokoju były też krzesła, siedziska i stoły, a wszystkie wyglądały, jakby pochodziły z jakiegoś średniowiecznego zamczyska, a nie z nowoczesnej rezydencji w Big Sur.

Stały na nich kryształowe kule, kolorowe misy, srebrzone lustra, smukłe kielichy ze szkła i puchary, inkrustowane połyskującymi kamieniami.

Mel nigdy nie wierzyła w czary. Doskonale wiedziała o ukrytej szufladce w skrzynce magika i zapasowym asie kier w jego rękawie. Lecz kiedy tu stanęła, w progu tej dziwnej komnaty, czuła, że powietrze pulsuje i nabrzmiwa, jakby biło w nim tysiąc serc.

Zrozumiała wtedy, że nie wie jeszcze wszystkiego o tym świecie, bo są na nim rzeczy, o których nawet jej się nie śniło.

Sebastian siedział na środku pokoju, wewnątrz srebrnego pentagramu, inkrustowanego w drewnianej podłodze.

Nagle wrodzona ciekawość Mel przegrała z innym, jeszcze silniejszym uczuciem, czyli z nakazem uszanowania cudzej prywatności.

Gdy cofnęła się od progu, Sebastian przemówił do niej:

- Nie chciałem cię budzić.

- Nie zbudziłeś mnie - odparła, kręcąc w palcach jedyny pozostały guzik koszuli. - Sprawiała to muzyka. Obudziła mnie, a wtedy zaczęłam się zastanawiać... - Ze zdumieniem rozejrzała się wokoło. W pokoju nie było żadnej aparatury, która mogłaby być źródłem tych dźwięków. - Zaczęłam się zastanawiać, skąd pochodzi.

- To muzyka nocy. - Donovan wstał. I choć Mel nie uważała się za osobę pruderyjną, na widok nagiego mężczyzny, który w blasku świec wyciągał do niej rękę, spłonęła rumieńcem.

- Z natury jestem Wścibska, ale tym razem nie chciałam ci przeszkadzać.

- Wcale mi nie przeszkadzasz. - Widząc jej wahanie, podszedł bliżej i wziął ją za rękę.

- Chciałem sobie rozjaśnić umysł. Przy tobie mi się to nie udawało. - Podniósł do ust jej dłoń.

- Zbyt wiele myśli zaciemniało mi obraz.

- Rozumiem, że powinnam była wrócić do domu.

- Nie. - Nachylił się i lekko ją pocałował. - Naprawdę nie.

- Rzecz w tym... - Mel cofnęła się, żałując, że nie ma czym zająć rąk. - Ja zazwyczaj tak nie postępuję.

Wyglądała tak młodo i delikatnie, kiedy stała przed nim w jego koszuli, z włosami potarganymi od snu i miłości, i z szeroko otwartymi oczami.

- Czy muszę ci mówić, że jeśli rzeczywiście postanowiłaś zrobić dla mnie wyjątek, spisałaś się bardzo dobrze?

- Nie musisz. - Uśmiechnęła się. Dobrze się spisała. Oboje spisali się wprost rewelacyjnie. - A tak na marginesie, chciałam zapytać, czy zawsze siedzisz nago przy świecach?

- Ilekroć wstępuje we mnie duch.

Rozluźniona, zaczęła swobodnie krążyć po pokoju i oglądać różne zgromadzone w nim tajemnicze przedmioty. Z zaciśniętymi ustami obejrzała stare zwierciadło.

- Czy to ma być czarodziejskie lustro?

Była urocza, kiedy tak stała i podejrzliwym wzrokiem wpatrywała się w bezcenny przedmiot.

- Podobno należało do Niniana.

- Do kogo?

- Ach, Sutherland, masz poważne braki w wykształceniu. Ninian był czarownikiem, który uwięził Merlina w kryształowej grocie.

- Tak? - Obejrzała uważnie lustro, uznała, że jest nawet dosyć ładne, po czym odłożyła je i zainteresowała się kulą z przydymionego kwarcytu. - Po co ci to wszystko?

- Dla przyjemności. - Żeby widzieć, nie potrzebował ani lusterek, ani kryształowych kul. Gromadził je z szacunku dla tradycji oraz dla ich wartości estetycznych. Bawił go widok Mel, patrzącej podejrzliwie na te wszystkie narzędzia mocy.

Nagle zapragnął ofiarować jej prezent. Nie zapomniał przelotnego smutku, jaki pojawił się w jej oczach, gdy powiedziała mu, że nie pamięta swojego ojca.

- Chciałabyś coś zobaczyć?

- Ale co?

- Chodź - powiedział. Chwycił kryształową kulę, wziął Mel za rękę i poprowadził na środek pokoju.

- Nie wydaje mi się...

- Uklęknij. - Pociągnął ją w dół. - Przeszłość czy przyszłość? Co chciałabyś zobaczyć, Mel?

Śmiejąc się nerwowo, przysiadła na piętach.

- Czy nie powinieneś nałożyć turbanu?

- Użyj swojej wyobraźni. - Dotknął jej policzka. - Myślę, że wolisz zobaczyć przeszłość. Swoją przyszłością wolisz się zająć sama.

- Masz rację, ale...

- Połóż dłonie na kuli, Mel. Nie masz się czego bać.

- Ja się wcale nie boję. - Wzdrygnęła się i głęboko westchnęła. - Przecież to tylko kawałek szkła, i tyle - mruknęła, biorąc kulę do ręki. Sebastian nakrył rękami jej dłonie i uśmiechnął się.

- Moja ciotka Bryna, matka Morgany, ofiarowała mi tę kulę na chrzciny. Miałem na niej ćwiczyć.

Kula była chłodna i gładka jak toń jeziora.

- Kiedy byłem dzieckiem, miałam taką kulę z czarnego plastiku. Zadawało się jej pytania, a potem trzeba było nią potrząsnąć i w okienku ukazywał się napis. Zazwyczaj było to coś w rodzaju „odpowiedź niejasna, spróbuj jeszcze raz”.

Znowu go rozśmieszyła. Czuł, jak napływa ku niemu moc, słodka jak wino, ożywcza jak wiosenny wiatr. Postanowił, że pokaże Mel coś prostego.

- Zajrzyj do środka - powiedział, a jego głos odbił się echem od ścian. - I spróbuj zobaczyć.

Czuła, że musi tak zrobić. Najpierw zobaczyła tylko ładną kulę, z wewnętrznymi skazami, rzucającymi tęcze błyski. Potem były cienie, przemieszczające się formy i jaskrawe kolory.

- Och - mruknęła, bo szkło przestało nagle być zimne i stało się gorące jak promień słońca.

- Patrz - powtórzył, a jego głos zdawał się rozbrzmiewać w jej głowie. - Patrz sercem!

Najpierw zobaczyła matkę, taką młodą i ładną, mimo przesadnie umalowanych oczu i zbyt jaskrawej pomadki. Włosy miała jasne, długie do ramion i zupełnie proste. Śmiała się do młodego mężczyzny w białym mundurze, z zawadiacko przekrzywioną marynarską czapeczką na głowie.

Mężczyzna trzymał na rękach dwuletnie dziecko, ubrane w różową sukienkę z falbankami, czarne lakierki i białe skarpetki.

To nie jest jakieś tam dziecko, ze ściśniętym sercem pomyślała Mel. Przecież to ja.

W tle był wielki, szary okręt. Orkiestra grała podniosłe wojskowe melodie, a ludzie tłoczyli się i wszyscy rozmawiali jednocześnie. Nie słyszała jednak słów, tylko same głosy.

Zobaczyła, jak mężczyzna podrzuca ją do góry. W pokoju pełnym świateł poczuła dziwne łaskotanie w żołądku. Pojawiła się miłość, ufność i niewinność. Oczy ojca, patrzące na nią z dumą, radością i podnieceniem. Jego silne ręce. Zapach wody po goleniu. Śmiech, nabrzmiewający w gardle, kiedy ojciec złapał ją i przytulił.

Patrzyła na przesuwane się obrazy. Zobaczyła całujących się rodziców i poczuła dziwną słodycz. A potem ten chłopak, który był jej ojcem, żartobliwie im zaszalował, przerzucił marynarski worek przez ramię i poszedł w stronę statku.

Kula w jej ręku była tylko ładną ozdobą ze szkła, z wewnętrznymi skazami, rozsiewającymi wokół tężowe refleksy.

- Mój ojciec. - Byłaby upuściła kulę, gdyby Sebastian jej nie przytrzymał. - To był mój ojciec. On... był w marynarce. Chciał zwiedzić świat. Tego dnia wypłynął z Norfolk. Miałam tylko dwa lata, dlatego nic nie pamiętam. Matka mówiła, że pojechaliśmy go odwiedzić, a on był bardzo podekscytowany.

Głos jej się załamał. Umilkła na chwilę.

- Kilka miesięcy później zaginął podczas sztormu na Morzu Śródziemnym. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. Był jeszcze młodym chłopcem. Mama ma jego zdjęcia, lecz one nie oddają prawdy. - Mel zapatrzyła się w kulę, a potem przeniosła wzrok na Sebastiana, - Mam jego oczy. Nigdy o tym nie pomyślałam, że właśnie oczy odziedziczyłam po nim.

Zacisnęła powieki, żeby się uspokoić.

- Widziałam to, prawda?

- Tak. - Poglaskał ją po włosach. - Nie pokazałem ci jednak tego po to, żeby cię zasmucić, Mary Ellen.

- Nie zasmuciło mnie to, tylko zrobiło mi się żal. - Otworzyła z westchnieniem oczy. - Żal, że go nie pamiętam. Że moja matka pamięta za dużo, a ja przedtem tego nie rozumiałam.

Lecz jego widok sprawił mi radość; widok ich obojga, całej naszej trójki, chociaż ten jeden, jedyny raz. - Cofnęła się, zostawiając kulę w jego rękach. - Dziękuję.

- To drobiazg w porównaniu z tym, co dostałem od ciebie tej nocy.

- Co ja ci takiego dałam? - zapytała, kiedy wstał, żeby odłożyć kulę na miejsce.

- Siebie.

- Och, głupstwo... - chrząknęła i także wstała. - Nie wiem, czy tak bym to nazwała.

- A jak?

Spojrzała na niego i znów poczuła to dziwne, nieznanne dotąd uczucie.

- Naprawdę nie wiem. W końcu oboje jesteście dorośli.

- Tak. - Ruszył w jej stronę, a ona, ku swemu zdumieniu, cofnęła się.

- I bez zobowiązań.

- Na to wygląda.

- I odpowiedzialni.

- Cudownie. - Przechesał palcami jej włosy. - Zawsze chciałem cię zobaczyć w blasku światec, Mary Ellen.

- Nie zaczynaj. - Odepchnęła jego rękę.

- Co?

- Nie nazywaj mnie Mary Ellen i nie zaczynaj tej zabawy ze świateczkami i skrzypcami.

Patrząc jej w oczy, pogłodził ją po szyi.

- Masz coś przeciwko romansom?

- W zasadzie nie. - Po tym, co zobaczyła w kuli, poczuła się taka bezbronna. Musiała się upewnić, że będą przestrzegać wyznaczonych zasad. - Są mi jednak zupełnie niepotrzebne. Poza tym myślę, że będzie lepiej, jeżeli każde z nas będzie wiedziało, na czym stoi.

- A na czym stoimy? - zapytał, obejmując ją.

- Jak już mówiłam, jesteśmy parą odpowiedzialnych ludzi bez zobowiązań. I podobamy się sobie.

Sebastian musnął ustami jej skroń.

- Jak dotąd nie powiedziałaś niczego, z czym bym się nie zgodził.

- Póki będziemy kierować się rozsądkiem...

- Och, przeczuwam, że mogą być z tym pewne kłopoty.

- Niby dlaczego?

Wsunął dłonie pod koszulę Mel, a jego palce zatoczyły kręgi wokół jej piersi.

- Nie jestem zbyt wrażliwy.

- To... to tylko sprawa ustalenia.. .priorytetów.

- Ja już mam swoje priorytety. - Musnął językiem jej usta. - Na pierwszym miejscu jest kochanie się z tobą do utraty sił.

- Dobrze. - Nie zaprotestowała, kiedy pociągnął ją na podłogę. - To dobry początek.

Najlepiej pracowało jej się z listą, dlatego następnego dnia wieczorem Mel siedziała skulona nad biurkiem, próbując ułożyć listę zadań. Była to pierwsza wolna godzina od chwili, gdy wyjechała z domu Sebastiana o dziesiątej rano, zmęczona i grubo spóźniona.

Mel nigdy się nie spóźniała, lecz dotąd nigdy nie miała romansu z czarownikiem. Wszystko w tym miesiącu przydarzało jej się po raz pierwszy w życiu.

Gdyby nie to, że była umówiona, a poza tym czekała ją masa papierkowej roboty i przesłuchanie w sądzie, pewnie w ogóle nie wyszłaby od niego. Bo on robił wszystko, aby ją odwieść od tego zamiaru.

Ten człowiek miał w sobie rzeczywiście wielkie moce, pomyślała z uśmiechem.

Jednak najważniejsza jest praca. A ona ma mnóstwo obowiązków.

Najbardziej ucieszyła ją wiadomość, że policja stanowa w New Jersey zatrzymała Jamesa T. Parklanda. Znalazł się też pewien sierżant, wdzięczny za przekazane mu informacje i zły, że sprawę przejęła policja federalna. Człowiek ten okazał się bardzo pomocny i przefaksował cichaczem kopię zeznań Parklanda.

To było już coś!

Mel poznała w ten sposób nazwisko człowieka, który miał weksle Parklanda, i zamierzała zrobić dobry użytek z tej informacji. Przy odrobinie szczęścia następne kilka dni spędzi w Lake Tahoe.

Trzeba też będzie sprowadzić agenta Devereaux. On pewnie będzie chciał wziąć swoich ludzi, a ona będzie musiała przekonać go, że razem z Sebastianem świetnie nadają się na przynętę.

Oczywiście jej pomoc i współpraca przy odnalezieniu Davida Merricka będą działały na jej korzyść, ale Mel nie sądziła, żeby był to wystarczający argument. Miała dobrą opinię, nigdy nie brała zleceń na pokaz, czuła też, że Devereaux nie zgodziłby się na byle jakiego prywatnego detektywa. Współpraca z Sebastianem także świadczyła na plus. A to, że była zdecydowana oddać policji federalnej lwią część łupu, mogło przeważać szalę na jej stronę.

- Otwarte dla interesantów? - zapytał Sebastian, wchodząc do biura.

Uśmiechnęła się.

- Prawdę mówiąc, za pięć minut zamykam.

- No, to przyszedłem w samą porę. Co to jest? - Wziął ją za rękę i zmusił, by wstała, chciał bowiem obejrzeć brzoskwiniowy kostium, który miała na sobie.

- Późnym popołudniem mam być w sądzie. - Palce Mel nerwowo bawiły się naszyjnikami z pereł. - Sprawa rozwodowa. Z gatunku tych nieprzyjemnych. Dlatego powinnam wyglądać jak dama.

- Muszę przyznać, że ci się to udało.

- Łatwo ci mówić. Jeśli chce się wyglądać jak dama, trzeba na to poświęcić dwa razy więcej czasu niż normalnie. - Oparła się o biurko i podała mu arkusz papieru.

Dostałam kopię zeznań Parklanda.

- Szybko się uwinęłaś.

- Jak widzisz, to żałosny typ, który znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Po uszy w długach, a wszystko przez hazard. Facet bał się o życie. Dziwne, że nie wspomniał o traumatycznych przeżyciach z dzieciństwa, kiedy to ojciec nie kupił mu na gwiazdkę czerwonego autka.

- Zapłaci za wszystko - powiedział Sebastian. - Bez względu na to, jak bardzo jest godny politowania.

- Słusznie, bo jest przy tym głupi. Zaszкодził sobie jeszcze bardziej tym, że wywiózł Davida poza granicę stanu. - Mel zrzuciła buty i zaczęła pocierać stopą kostkę. - Twierdzi, że dostał to zlecenie przez telefon.

- To bardzo prawdopodobne.

- Też tak myślę. Napijesz się czegoś?

- Tak. - Kiedy Mel poszła do kuchni, Sebastian raz jeszcze przeczytał zeznania.

- Pięć tysięcy dolarów za porwanie dziecka. To niewiele, zważywszy na to, jaki grozi mu wyrok. - Mel odwróciła się z butelką w rękę. Sebastian stał już w progu kuchni. - Jest winien trzydzieści pięć tysięcy w kasynie w Tahoe i wie, że jeżeli szybko nie zapłaci, skują mu buźkę tak, że go rodzona matka nie pozna. Dlatego decyduje się ukraść dziecko.

Słuchał jej uważnie, rozglądając się przy okazji po mieszkaniu.

- Dlaczego akurat wybrał Davida? - zapytał, kiedy przeszli do sąsiedniego pokoju.

- Sprawdziłam to. Pięć miesięcy temu Parkland naprawiał samochód w garażu Stana. Stan, dumny ojciec, pokazywał wszystkim zdjęcia Davida. Kiedy Parkland doszedł do wniosku, że porwanie dziecka jest lepsze niż operacja plastyczna, natychmiast pomyślał o synku znajomego mechanika. David to ładny i bystry chłopczyk. Nawet taki dureń jak Parkland musiał zdawać sobie sprawę, że łatwiej sprzedać ładne dziecko.

- Aha. - Sebastian rozejrzał się po pokoju. Musiała to być sypialnia, gdyż pośrodku stało wąskie, nie posłane łóżko. Pomieszczenie zapewne pełniło też rolę salonu, bo był w nim

fotel, pokryty książkami i czasopismami, przenośny telewizor na rozchwianym stoliku oraz lampa w kształcie ryby. - Więc to jest twoje mieszkanie?

- Tak. - Kopnęła buty na bok. - Sprzątaczką wzięła sobie wychodne. Tak więc - ciągnęła dalej, przysiadając na skrzyni udekorowanej nalepkami pięćdziesięciu stanów - Parkland przez telefon przyjął zlecenie oraz instrukcje od pana X. Spotkał się z tą rudą kobietą w wyznaczonym miejscu i wymienił Davida na kopertę z forszą.

- Co to jest?

Mel zerknęła w jego stronę.

- Bullwinkle. Nie oglądałeś filmów o nim?

- Ten łoś? Pewnie oglądałem. A to?

- Słabiak. Wally Cox podkładał pod niego głos. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Sebastian odwrócił się z uśmiechem.

- Jestem trochę rozkojarzony. Trzeba mieć odwagę, żeby zmieszać fiolet z oranżem w jednym pokoju.

- Lubię jaskrawe kolory.

- A do tego pościel w czerwone paski.

- Była na wyprzedaży - powiedziała zniecierpliwiona. - A zresztą, kiedy idę spać, gaszę światło. Posłuchaj, Donovan, jak długo będziemy mówić o moim mieszkaniu?

- Jeszcze tylko przez chwilę. - Podniósł półmisek w kształcie kota. Mel przechowywała w nim różne drobiazgi: szpilki, agrafki, guziki, kulę rewolwerową, kupon na napoje chłodzące oraz coś, co jego zdaniem wyglądało na wytrych.

- Nie należysz do porządnickich, prawda?

- Moich talentów organizacyjnych używam w pracy.

- Aha. - Odstawił półmisek i sięgnął po książkę.

- „Podręcznik metapsychiczny”?

- Kilka tygodni temu pożyczyłam to z biblioteki - mruknęła.

- No i co?

- Myślę, że ma to niewiele wspólnego z tobą.

- Na pewno masz rację. - Odłożył książkę. - Ten pokój to cała ty. Podobnie jak twoje biuro. Masz umysł tak uporządkowany jak twoja szafka na akta.

Nie była pewna, czy miał to być komplement, czy też wręcz przeciwnie, ale znała już to jego spojrzenie.

- Posłuchaj, Donovan...

- Lecz twoje uczucia - ciągnął, podchodząc do niej - są bardzo chaotyczne i barwne.

Kiedy zaczął się bawić naszyjnikami, odepchnęła jego rękę.

- Próbuje rozmawiać z tobą na tematy zawodowe.

- Przecież mówiłaś, że zamykasz swoje biuro.

- Nie mam stałych godzin pracy.

- Ja też nie. - Odpiął guzik jej żakietu. - Odkąd skończyłem się z tobą kochać dziś rano, myślę tylko o jednym. Żeby się znowu z tobą kochać.

Mel poczuła, że robi jej się gorąco. Z góry wiedziała, że próby powstrzymania Sebastiana spełzną na niczym.

- Widocznie masz za mało spraw na głowie.

- Och, ty jedna najzupełniej mi wystarczysz. Podjąłem pewne kroki, które powinny cię zadowolić.

Odwróciła głowę w samą porę, by umknąć jego ustom.

- Jakie znowu kroki?

- Odbylem długą rozmowę z agentem Devereaux oraz z jego przełożonym.

Otworzyła szeroko oczy, próbując jednocześnie wyrwać się z jego uścisku.

- Kiedy? Co powiedzieli?

- Że wszystko jest na najlepszej drodze. Trzeba będzie poczekać kilka dni. Musisz być cierpliwa.

- Sama chcę z nim porozmawiać. Myślę, że on powinien...

- Musisz go dopaść jutro, a najpóźniej pojutrze. - Sebastian unieruchomił jej rękę. - Co ma być, stanie się niedługo. A ja wiem i kiedy, i gdzie.

- Noto...

- Ale dziś wieczorem jesteśmy tylko my.

- Powiedz mi...

- Wolę ci pokazać - mruknął. - Pokażę ci, jak łatwo jest nie myśleć o niczym innym, nie czuć niczego innego i niczego innego nie pragnąć. - Patrząc jej w oczy, dotknął ustami jej ust. - Przedtem nie byłem zbyt delikatny.

- To nie ma znaczenia.

- I wcale tego nie żałuję. To tylko ten twój grzeczny kostiumik sprawił, że mam ochotę potraktować cię jak damę. Póki nie zaczniesz wariować.

Roześmiała się.

- Już to robisz.

- Nawet nie zacząłem.

Wolną ręką zsunął jej żakiet z ramienia. Pod spodem miała pastelową bluzkę, która przywodziła mu na myśl letnie podwieczorki i przyjęcia w ogrodzie. Podczas gdy jego usta błędziły po twarzy i szyi Mel, palcami wodził po gładkim materiale i koronce.

Mel już drżała. To idiotyczne, że unieruchomił jej ręce, a ona mu na to pozwalała, ale sposób, w jaki jej dotykał - powoli i badawczo - był dziwnie podniecający.

Czuła na skórze jego oddech, kiedy rozpiął jej bluzkę, i wilgotny dotyk języka, krążącego wokół sutków. Wiedziała, że nadal stoi obiema nogami na ziemi, ale miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, podczas gdy Sebastian leniwie smakuje jej ciało.

Spódnica osunęła jej się wzdłuż nóg. Dłoń Sebastiana powędrowała w górę. Kiedy zaczął powoli rozpinąć jej pasek do pończoch, mruknęła z zadowoleniem.

- Tego się nie spodziewałem, Mary Ellen. - Jednym wprawnym ruchem rozpiął go.
- Jest bardzo praktyczny - wydyszała. - Wypada taniej, bo ciągle drę pończochy.
- Jesteś rozkosznie praktyczna.

Walcząc z ogarniającą go namiętnością, położył ją delikatnie na łóżku. Skąd mógł wiedzieć, że widok jej wysportowanego ciała w koronkowej bieliźnie sprawi, że całkowicie straci nad sobą panowanie?

Chciał posiąść ją pochłonać, zagarnąć, ale przecież obiecał jej, że będzie delikatny.

Ukląkł nad Mel, nachylił usta do jej ust i dotrzymał słowa.

I okazało się, że miał rację. W krótkich przeblyskach świadomości zrozumiała, że można nie myśleć o niczym innym, tylko o ukochanym mężczyźnie.

Nurzała się w jego łagodności, z ciałem pobudzonym jak poprzedniej nocy, pożądana jak przedtem, ale z uczuciem, że doceniono i uszanowano jej kobiecość.

Sebastian pieścił ją i całował, i odkrywał przed nią jej największe sekrety. Ostatniej nocy kochali się szaleńczo i pospiesznie - teraz czas płynął leniwie, powietrze było delikatne, a namiętność łagodna i powolna.

A kiedy poczuł wspólny rytm ich serc i zaczął głucho wykrzykiwać jej imię, zrozumiała, że i on uległ magii miłości.

Otworzyła się przed nim, wchłaniając go w siebie, a kiedy jego ciałem wstrząsnął dreszcz, tuliła go, póki się nie uspokoił.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Tracimy tylko czas.

- Wprost przeciwnie - powiedział Sebastian, zatrzymując się przed witryną, żeby obejrzeć suknię na manekinie. - To, co robimy, ma zasadnicze znaczenie dla naszej operacji.

- Zakupy? - Mel prychnęła pogardliwie. - Zakupy przez cały dzień?

- Moja droga Sutherland, mnie podobaś się nawet w dżinsach, ale jako żona zamożnego biznesmena potrzebujesz bardziej urozmaiconej garderoby.

- Zmierzyłam już tyle strojów, że wystarczyłoby dla trzech kobiet na cały rok. Chyba trzeba będzie zamówić przyczepę, żeby ci to wszystko przywieźli do domu.

Sebastian spojrzał na nią z wyrzutem.

- Łatwiej było namówić FBI na współpracę niż ciebie. Nagle poczuła się strasznie niewdzięczna i małostkowa.

- Ależ ja współpracuję z tobą. I to od wielu godzin. Myślę tylko, że już dość nakupowaliśmy.

- Jeszcze nie. - Machnął w stronę sukienki na wystawie. - Myślę, że to jest właśnie to!

Mel przyjrzała się manekinowi, przygryzając wargi.

- Ona ma cekiny.

- Masz jakieś religijne albo polityczne obiekcje co do cekinów?

- Nie, po prostu nie lubię błyskotek. Czuję się jak skończona idiotka. - Popatrzyła na czarną sukienkę bez ramiączek, odsłaniającą nogi manekina do pół uda. - Nie wyobrażam sobie, jak można w niej usiąść.

- To dziwne, bo przypominam sobie pewną sukienkę, którą miałaś w barze kilka tygodni temu.

- To co innego, wtedy byłam w pracy. - Widząc jego spojrzenie, skrzywiła się. - Dobrze, dobrze. Punkt dla ciebie, Donovan.

- Bądź dobrym żołnierzem - powiedział, klepiąc ją po policzku - i idź ją przymierzyć.

Mrucząc i klnąc pod nosem, poszła do przymierzalni. Sebastian tymczasem krążył po sklepie, wybierając dodatki i rozmyślając o Mel.

Nie bawiły ją stroje. Zdążył się o tym przekonać podczas dzisiejszych zakupów. Była raczej zażenowana niż szczęśliwa, mogąc sprawić sobie kreacje, których pozazdrościłaby jej niejedna kobieta. Wiedział jednak, że odegra swoją rolę i zrobi to dobrze. Będzie nosiła stroje, które dla niej wybrał, całkowicie tego nieświadoma, że wygląda w nich oszłamiająco.

Jednak przy pierwszej okazji znowu wskoczy w dżinsy, wysokie buty i męskie koszule. I znów nie będzie miała pojęcia, że wygląda w nich równie oszalamiająco.

Na brodę Merlina, wpadłeś, Donovan, pomyślał, wybierając srebrną wieczorową torebkę ze szmaragdowym zapięciem. Matka już mu kiedyś mówiła, że miłość jest bardziej bolesna, bardziej zachwycająca i bardziej niepohamowana, kiedy przychodzi znienacka.

Niestety, matka miała rację.

Ostatnią rzeczą jakiej się spodziewał, było głębsze uczucie do kobiety takiej jak Mel. Bo panna Sutherland była twarda, uparta, dokuczliwa i radykalnie niezależna. A nie są to cechy, które pociągały go w kobietach.

Była także ciepła i wielkoduszna, lojalna, odważna i uczciwa.

Jaki mężczyzna potrafiłby się oprzeć kobiecie o ostrym języku, kochającym sercu i wnikliwym umyśle? Na pewno nie Sebastian Donovan.

Jeszcze trochę potrwa, zanim uda mu się podbić ją bez reszty. Nie musiał zaglądać w przyszłość, żeby to wiedzieć. Była zbyt ostrożna i mimo buńczucznej pozy zbyt niepewna siebie, żeby ofiarować mu swoje serce, nie wiedząc, jak zostanie przyjęte.

A on miał czas i był cierpliwy. I uważał, że tak właśnie powinno być. W głębi duszy bał się jednak spojrzeć w przyszłość, z obawy że mógłby zobaczyć, jak Mel odchodzi.

- No, włożyłam ją na siebie - odezwała się za jego plecami - ale wątpię, czy to się długo na mnie utrzyma.

Sebastian odwrócił się i zamarł z wrażenia.

- O co chodzi? - Zaniepokojona położyła dłoń na piersi, ponad złotymi cekinami, i spojrzała w dół. - Czy włożyłam ją tyłem na przód?

- Nie - roześmiał się Sebastian. - Wszystko jest jak trzeba. Nie ma nic bardziej podniecającego niż wysoka, szczupła kobieta w czarnej sukience.

- Daj spokój! - prychnęła Mel.

- Wspaniale. Idealnie. - Pojawiła się ekspedientka i zaczęła wygładzać sukienkę na Mel, która wzniosła oczy do nieba. - Leży jak marzenie - zachwycała się kobieta.

- Owszem - zgodził się Sebastian. - Jak marzenie.

- Mam też czerwone wieczorowe spodnie. Pana dziewczyna będzie w nich ślicznie wyglądać.

- Donovan! - zaczęła Mel błagalnym tonem, ale on już szedł za rozradowaną sprzedawczynią.

Pół godziny później Mel opuściła sklep.

- To by było na tyle. Koniec, kropka.

- Jeszcze tylko jeden przystanek po drodze.

- Donovan, nie będę już nic więcej mierzyć. Wolę, żebyś mnie zakopał w mrowisku.

- Koniec z przymiarkami - obiecał.

- To dobrze. Mogłabym pracować nad tą sprawą przez dziesięć lat i jeszcze bym nie zdążyła włożyć tych wszystkich ciuchów.

- Dwa tygodnie - powiedział z naciskiem Sebastian. - To nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie. A przez ten czas zrobimy rundę po kasynach i klubach i będziemy na kilku przyjęciach, więc będziesz miała mnóstwo okazji, żeby się pokazać.

- Dwa tygodnie? - Podniecenie z miejsca zastąpiło uczucie nudy. - Jesteś pewny?

- Możesz to nazwać przecuciem. - Poklepał ją po ręce. - Mam przecucie, że to, co zrobimy w Tahoe, wystarczy, by uruchomić całą lawinę zdarzeń.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, jak udało ci się namówić policję federalną, żeby pozwolili nam działać.

- Mamy swoje rachunki. Wyświadczyłem im kilka przysług i złożyłem kilka obietnic.

Przystanęła przed jakimś sklepem, nie po to, by obejrzeć wystawę, ale dlatego, że potrzebowała trochę czasu, aby dobrać właściwe słowa.

- Wiem, że nie zgodziliby się na mój udział bez twojego poparcia. Wiem też, że tak naprawdę nie masz w tym żadnego interesu.

- Mam taki sam interes jak ty. - Odwrócił ją ku sobie.

- Nie masz klienta, Sutherland, nie masz zlecenia i nie bierzesz za to pieniędzy.

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Nie. - Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. - Nie ma znaczenia. Czasami człowiek angażuje się tylko dlatego, by coś zmienić na tym podłym świecie.

- Myślałam, że robię to z powodu Rose - powiedziała Mel. - I tak też jest, ale również z powodu pani Frost. Wciąż mam w uszach jej płacz, kiedy zabieraliśmy Davida.

- Wiem.

- Ja wcale nie uważam się za dobroczyńcę - przyznała z zażenowaniem. Sebastian znowu ją pocałował.

- Wiem. Chodzi o pewne zasady, których nie wolno złamać. - Wziął ją za rękę i ruszyli przed siebie.

Korzystając z okazji, Mel postanowiła zapytać o coś, co od kilku dni nie dawało jej spokoju.

- Czy jeżeli wszystko będzie gotowe do końca tygodnia, będziemy musieli zamieszkać razem na jakiś czas?

- Masz coś przeciwko temu?
- Nie, o ile tobie to nie przeszkadza. - Zaczynała się czuć jak idiotka, ale było dla niej bardzo ważne, aby Sebastian zrozumiał, że nie należy do kobiet, które łączą fikcję z rzeczywistością.
- Będziemy musieli udawać, że jesteśmy małżeństwem. Że jesteśmy zakochani, i tak dalej.
- Wygodnie jest być zakochanym, kiedy jest się małżeństwem.
- Racja. - Mel głośno odetchnęła. - Wiesz, że potrafię odegrać swoją rolę i że zrobię to dobrze. Więc nie myśl...
- Że co? - zapytał, bawiąc się jej palcami.
- Wiem, że niektórzy ludzie potrafią się zapomnieć albo za bardzo utożsamiają się ze swoją rolą. Nie chcę, abyś się denerwował, że ze mną będzie tak samo.
- Och, myślę, że moje nerwy są w stanie to wytrzymać, jeśli będziesz udawała zakochaną. - Rzucił to jakby mimochodem, a Mel nagle poczuła się dotknięta.
- To dobrze - burknęła. - Chodzi mi tylko o to, abyśmy dobrze wiedzieli, na czym stoimy.
- Myślę, że powinniśmy trochę poćwiczyć. - Sebastian przyciągnął ją do siebie.
- Co robisz?
- Powinniśmy poćwiczyć - powtórzył - abyś była pewna, że potrafisz odegrać rolę kochającej żony. - Przycisnął ją jeszcze mocniej. - Pocałuj mnie, Mary Ellen.
- Jesteśmy na ulicy, w miejscu publicznym!
- Tym bardziej mnie pocałuj. Przecież to nie ma znaczenia dla sprawy, jak zachowujemy się na osobności. Widzę, że się czerwienisz.
- Nieprawda!
- Ależ tak. I będziesz musiała na to uważać. Nie powinnaś się rumienić, całując mężczyznę, którego żoną jesteś już od... ilu?... Pięciu lat? A zgodnie z tym co wspólnie ustaliliśmy, zamieszkaliśmy ze sobą na rok przed ślubem. Miałaś dwadzieścia dwa lata, kiedy się we mnie zakochałaś.
- Umiem liczyć - mruknęła Mel.
- Pierzesz moje skarpetki... Usta Mel drgnęły w uśmiechu.
- Jeszcze czego! Jesteśmy nowoczesnym małżeństwem. To ty robisz pranie.
- No tak, ale to ty zrezygnowałaś z prestiżowej posady, żeby prowadzić dom.
- Nienawidzę tej roboty. - Mel objęła go za szyję. - Co będę robić przez cały dzień?

- Będziesz się krzątać po domu. - Sebastian uśmiechnął się. - Wzięliśmy urlop, żeby urządzić nasz nowy dom. Będziemy spędzać masę czasu w łóżku.

- Dobrze - powiedziała z uśmiechem. - Wszystko dla sprawy.

Pocałowała go. Był to długi, głęboki pocałunek, podczas którego ich serca złączyły się w jednym rytmie. A potem Mel nagle się cofnęła.

- Może nie powinnam cię tak całować po pięciu latach? - stwierdziła.

- Jak najbardziej powinnaś. - Wziął ją za rękę i pociągnął do sklepu kuzynki.

- No, no... - Morgana odłożyła malachitowe jajko, które właśnie polerowała. Przez wystawowe okno miała doskonały widok na ulicę. - Jeszcze chwila, a zatrzymalibyście ruch.

- To był eksperyment - wyjaśnił Sebastian. - Morgana wie o całej sprawie. Nie mam tajemnic przed moją rodziną - dodał, widząc minę Mel.

- Nie musisz się niepokoić. - Morgana dotknęła ramienia Sebastiana, ale wzrok utkwiła w Mel. - Przed sobą nie mamy żadnych tajemnic, potrafimy za to zachować dyskrecję wobec obcych.

- Przepraszam, ale nie mam zwyczaju zwierzać się.

- To rzeczywiście pewne ryzyko - przyznała Morgana.

- Sebastianie, Nash jest na zapleczu i zrzędzi, że musi rozładować towar. Może być mu przez chwilę dotrzymał towarzystwa?

- Jak sobie życzysz.

Kiedy Donovan zniknął na zapleczu, Morgana podeszła do drzwi i wywiesiła tabliczkę z napisem „zamknięte”. - Nash zrobił się bardzo troskliwy - powiedziała, wracając od drzwi.

- Nie chce, żebym nosiła pudła i podnosiła ciężkie rzeczy.

- To chyba normalne. Nie powinno się tego robić w twoim stanie.

- Jestem silna jak wół. - Morgana z uśmiechem wzruszyła ramionami. - Poza tym jest tyle sposobów, żeby podnieść ciężkie pudło.

- Hmm... - Nic lepszego nie przyszło Mel do głowy.

- Nie rozpowiadamy ludziom, kim jesteśmy. Sebastian publicznie używa swojego daru, ale ludzie myślą o tym podobnie jak o sensacjach z pierwszych stron gazet. Nie wiedzą, kim on jest i na czym polega jego moc. Jeżeli chodzi o mnie, plotki i szeptaki napędzają interes. A Ana... używa talentów na swój sposób.

- Nie wiem, co powinnam powiedzieć - westchnęła Mel. - Nie wiem też, czy kiedykolwiek potrafię to zrozumieć. Nawet jako dziecko nie wierzyłam we wróżki.

- A szkoda. Z drugiej strony wydaje mi się, że trzeźwy umysł nie będzie próbował zaprzeczyć temu, co widzi. Ani temu, co wie.

- Nie przeczę, że on jest inny i że posiada pewne umiejętności... pewien dar... i że... - przerwała Mel, zrezygnowana. - Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego jak on.

Morgana cicho się roześmiała.

- Nawet między odmieńcami Sebastian jest wyjątkowy. Może któregoś dnia będziemy miały więcej czasu, to ci opowiem różne rzeczy. On zawsze lubił współzawodnictwo. Nadal jest wściekły, kiedy nie udają mu się czary.

Mel, zaintrygowana, przysunęła się bliżej.

- Naprawdę?

- O, tak. A ja też mu nie mówię, jakie to dla mnie przygnębiające, że muszę przejść przez tyle stopni, żeby dostrzec bodaj przebłysk tego, co on po prostu widzi. - Machnęła ręką - Ale to taka stara rodzinna rywalizacja. Chciałam porozmawiać z tobą, bo widzę, że Sebastian ufa ci i zależy mu na tobie na tyle, że zdecydował się odsłonić przed tobą ten aspekt swojego życia.

- Ja... - Mel odetchnęła głęboko. Co dalej? - Pracujemy razem - powiedziała. - Można też powiedzieć, że jesteśmy ze sobą w pewien sposób związani.

- Nie zamierzam się wtrącać w wasz związek, ale Sebastian jest moim kuzynem i bardzo go kocham. Dlatego proszę cię, nie użyj swojej mocy, żeby go zranić.

Mel zachnęła się.

- Przecież to ty jesteś czarownicą! - wybuchnęła, a potem się opamiętała. - To znaczy, chciałam tylko powiedzieć...

- Powiedziałaś to, co myślisz. I miałaś rację. Jestem czarownicą, ale jestem też kobietą. A kto lepiej rozumie siłę czarów?

Mel potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Nie wiem też, w jaki sposób miałabym zranić Sebastiana. Jeżeli myślisz, że narażam go na niebezpieczeństwo, namawiając na udział w tej akcji...

- Nie. - Morgana podniosła rękę. - Ty naprawdę nic nie zrozumiałaś. - Uśmiechnęła się. Mel po prostu nie miała pojęcia, że Sebastian jest w niej zakochany. - To fascynujące - mruknęła. - I cudowne.

- Morgano, może zechciałabyś wyrażać się jaśniej...

- Ależ nie, absolutnie tego nie chcę. - Wzięła Mel za rękę. - Przepraszam, że wprawiłam cię w zakłopotanie. My, Donovanowie, przywykliśmy chronić się nawzajem. Lubię cię - powiedziała z ujmującym uśmiechem. - Nawet bardzo. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. - Uściskała ją. - A teraz chciałabym ci coś dać.

- Nie, nie trzeba.

- Wiem - powiedziała Morgana, podchodząc do gabloty. - Lecz kiedy wybierałam ten kamień, pomyślałam, że byłoby dobrze, gdyby należał do właściwej osoby. Proszę.

- Wyjęła niebieski wisiołek na cienkim, srebrnym łańcuszku.

- Nie mogę tego przyjąć. To musi mieć dużą wartość.

- Wartość jest rzeczą względną. Wiem, że nie nosisz biżuterii. - Morgana wcisnęła Mel wisiołek do ręki. - Potraktuj to jednak jako amulet. Albo, jeśli tak wolisz, jako narzędzie.

Choć Mel nigdy nie przywiązywała szczególnej wagi do ozdób, które ludzie wieszali sobie w uszach albo nakładali na palce, podniosła do oczu niebieski kamień. Nie był przezroczysty, ale dostrzegła w nim przebłyски światła. Wisiołek mienił się odcieniami od jasnego błękitu po indygo.

- Co to jest?

- Niebieski turmalin. Doskonałe lekarstwo na stres.

- Było to także idealne ogniwo, łączące miłość z mądrością, ale Morgana wolała o tym nie wspominać. - Wyobrażam sobie, że twoja praca musi być bardzo stresująca.

- Taki już mój los. Dzięki. To miło z twojej strony.

- Morgano! - Nash wsunął głowę przez drzwi prowadzące na zaplecze. - O, cześć, Mel!

- Cześć!

- Kotku, znów mam na linii tego świrusa, który chce się czegoś dowiedzieć o zielonej dioptrazie na czwartym czakramie.

- Klienta - poprawiła go Morgana. - To klient, Nash.

- Tak, oczywiście. No więc, ten klient chce powiększyć zasięg swojego serca. - Nash mrugnął znacząco do Mel. - Wygląda na to, że gość jest bardzo zdesperowany.

- Ja z nim porozmawiam. - Morgana przywołała gestem Mel, żeby za nią poszła.

- Wiesz coś o czakramach? - szepnął Nash do Mel, kiedy mijała go w drzwiach.

- Czy to się je, czy tańczy? - zapytała. Nash roześmiał się i poklepał ją po plecach.

- Lubię cię, Mel.

- Mam wrażenie, że wszyscy się tu lubią. Morgana weszła do pokoju na zapleczu. Mel skierowała się do maleńkiej kuchni, gdzie Sebastian rozsiadł się przy stole z kuflem piwa.

- Chcesz się napić?

- Jasne, że tak. - Z doniczek na parapecie unosił się zapach ziół. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał głos Morgany.

- To ciekawy sklep. Sebastian podał Mel butelkę piwa.

- Widzę, że już wybrałaś sobie wisiołek.

- Och. - Mel chwyciła kamień. - Dostałam go od Morgany. Ładny, prawda?

- Nawet bardzo.

- No więc... - Mel odwróciła się do Nasha - nie miałam okazji, żeby ci wcześniej powiedzieć. Uwielbiam twoje filmy. Zwłaszcza „Nocny spacer”. Ten film powalił mnie po prostu na kolana.

- Tak? - Nash buszował w szafkach w poszukiwaniu ciasteczek. - Mam do niego szczególną słabość. Nie ma to jak seksowny wilkołak, obdarzony sumieniem.

- Podoba mi się logika, z jaką tłumaczysz to, co nielogiczne. - Mel pociągnęła łyk piwa. - To znaczy, ustalasz zasady, choćby najbardziej zwariowane, a potem się ich trzymasz.

- Zasady to konik Mel - wtrącił się Sebastian.

- Przepraszam. - Morgana pojawiła się w drzwiach. - To był nagły przypadek. Nash, czego szukasz? Przecież wyjadłeś już wszystkie ciasteczka.

- Wszystkie? - Nash, zawiedziony, zamknął szafkę.

- Co do okruszyny. - Morgana odwróciła się do Sebastiana. - Pewnie się zastanawiasz, czy przesyłka nadeszła.

- Tak.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła małe srebrne pudełeczko.

- Myślę, że ci się spodoba.

Sebastian podniósł się i odebrał od niej puzderko. Ich oczy się spotkały.

- Wierzę w twój gust.

- A ja w twój. - Ujęła w dłoń jego twarz i pocałowała go. - Niech ci się dobrze wiedzie, kuzynie. - A potem nagle zwróciła się do męża. - Kochanie, chodź ze mną do sklepu. Chciałam ustawić kilka rzeczy.

- Szkoda, bo Mel tak pięknie pompowała moje ego.

- To są bardzo ciężkie rzeczy - powiedziała, pociągając go za rękę. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu cię zobaczymy, Mel.

- Tak, jeszcze raz dziękuję. - Kiedy drzwi zamknęły się za Morgana i Nashem, Mel spojrzała na Sebastiana. - O co tu chodzi?

- Morgana wyczuła, że chciałem zostać z tobą sam na sam. - Potarł srebrne pudełeczko.

Mel uśmiechnęła się nerwowo.

- Mam nadzieję, że to nie będzie bolało?

- Ani trochę - powiedział i otworzył puzderko.

Zajrzała do środka. Na atlasowej poduszeczce spoczywał pierścionek. Podobnie jak naszyjnik od Morgany wykonany był ze srebra. Cienkie druciki, splecione w misterny wzór, otaczały blad różowy kamień w zielonej obwódce.

- Co to jest?

- To także turmalin. - Wyjął klejnot i uniósł pod światło. - Mówi się, że ten kamień przewodzi energię między dwojgiem ludzi, którzy coś dla siebie znaczą. Natomiast w sferze praktycznej, która z pewnością cię zainteresuje, używa się ich w przemyśle do elektrycznych obwodów strojących. Nie pękają przy dźwiękach o wysokiej częstotliwości, jak inne kryształy.

- To ciekawe. - Nagle zaschło jej w gardle. - Ale dlaczego mi to dajesz?

Nie tak wyobrażał sobie ten moment, lecz musiał to zrobić.

- To ślubna obrączka - powiedział i wsunął jej pierścionek do ręki.

- Nie rozumiem?

- Nie możesz od pięciu lat być moją żoną i nie mieć obrączki.

- Och! - Czy jej się zdawało, czy pierścionek naprawdę wibrował w jej dłoni? - Oczywiście masz rację, ale dlaczego nie kupiłeś zwykłej złotej obrączki?

- Bo ja wolę tę. - Zniecierpliwiony chwycił pierścionek i wsunął jej na palec.

- Dobrze już, dobrze, nie musisz się złościć. Po co robiłeś sobie tyle kłopotu, kiedy mogliśmy po prostu pójść do pierwszego lepszego sklepu i wybrać...

- Przestań!

Mel, która oglądała właśnie pierścionek, zmrużyła oczy.

- Słuchaj, Donovan...

- Chociaż raz zrób coś tak, jak ja chcę, bez kłótni i zbędnych pytań. Tak, żeby nie miał ciągle ochoty cię udusić.

- Ja tylko wyrażałam swoje zdanie. - Oczy Mel ciskały błyskawice. - I jeżeli mamy razem pracować, wyjaśnijmy sobie jedno. Nie ma żadnego „ja chcę” i „ty chcesz”. Jest tylko „my chcemy”.

Puścił ją, bo nie potrafił znaleźć kontrargumentów.

- Jestem bardzo zrównoważonym człowiekiem - powiedział, na poły sam do siebie. - Rzadko wybucham, bo moc i gniew to niebezpieczne połączenie.

- Racja - mruknęła nadąsaną Mel.

- W moim świecie jest jedno prawo, którego nie wolno złamać, Sutherland, a brzmi ono: „Nikogo nie krzywdzić”. Traktuję je bardzo poważnie. Tymczasem po raz pierwszy w

życiu natknąłem się na osobę, przeciwko której miałbym ochotę użyć takich czarów, żeby jej dać solidnie do wiwatu.

Mel prychnęła i sięgnęła po piwo.

- Jesteś stuknięty, Donovan. Twoja kuzynka powiedziała mi, że kiepsko sobie radzisz z czarami.

- O, z niektórymi idzie mi całkiem nieźle. - Poczekał, aż Mel nabierze do ust łyk piwa, a potem się skoncentrował.

Mel zakrztusiła się i z jękiem chwyciła za gardło. Miała uczucie, jakby się właśnie napiła najczystsze samogonu.

- Zwłaszcza w przypadkach czarów, które wymagają udziału mojego umysłu - dodał Sebastian, patrząc, jak Mel próbuje złapać oddech.

- Dobry numer. Pierwsza klasa. - Choć pieczenie w gardle ustało, odstawiła piwo. Wołała nie ryzykować. - Nie bardzo rozumiem, czym wy się tak naprawdę zajmujecie. I wolałabym; żebyście zachowali te wasze sztuczki na Halloween albo na prima aprilis dla tych, których to naprawdę bawi.

- Bawi? - powiedział cicho Sebastian, robiąc krok w jej stronę. Mel także przysunęła się bliżej. Nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby nagle nie otworzyły się drzwi.

- Och! - Anastasia, z włosami opadającymi na oczy, przytrzymała drzwi biodrem, balansując tacą pełną suszonych ziół. - Przepraszam. - Nie musiała podchodzić bliżej, żeby wyczuć napięcie. - Przyjdę później.

- Nie bądź głupia. - Sebastian niezbyt delikatnie odsunął Mel na bok i wziął z rąk kuzynki tacę. - Morgana jest w sklepie.

- Powiem jej tylko, że już jestem. Miło cię znów zobaczyć, Mel. - Uśmiechnęła się, a potem spojrzała na pierścionek. - Jaki śliczny! Wygląda jak... - zawahała się i zerknęła na Sebastiana - jakby był zrobiony dla ciebie.

- Ja go tylko pożyczam na kilka tygodni. Ana ciepłym wzrokiem spojrzała na Mel.

- Rozumiem. Nie wiem, czy byłabym w stanie zwrócić coś tak pięknego. Mogę zobaczyć? - Chwyciła Mel za koniuszki palców i uniosła jej rękę. Poznała ukochany kamień Sebastiana, który cenił sobie najbardziej ze wszystkich. - Tak - powiedziała - naprawdę wygląda tak, jakby był stworzony dla ciebie.

- Miło mi.

- Wpadłam tylko na kilka minut, więc pozwolę wam teraz dokończyć kłótnię. - Uśmiechnęła się do Sebastiana i weszła do sklepu.

Mel przysiadła na brzegu stołu.

- Chcesz się kłócić?

- A po co? - zapytał, sięgając po kufel. - Przecież to bez sensu.

- Pewnie, że tak. Ja nie jestem na ciebie wściekła, jestem tylko strasznie zdenerwowana, bo nigdy przedtem nie brałam udziału w równie trudnej akcji. Nie myśl jednak, że się boję...

Sebastian usiadł obok niej.

- No to o co ci chodzi?

- Mam wrażenie, że to jest najważniejsze zadanie, jakie miałam w życiu, i naprawdę strasznie mi zależy, by wszystko się udało. Poza tym jest jeszcze ta druga sprawa...

- Jaka znów sprawa?

- To, co zaszło między nami. To też jest bardzo ważne.

Sebastian wziął ją za rękę.

- Tak, to jest bardzo ważne.

- A ja nie chcę, żeby granice między tymi dwiema ważnymi sprawami zatarły się albo pomieszały, bo... bo naprawdę mi zależy - dokończyła.

- Mnie też - powiedział, podnosząc do ust jej dłoń. Nastrój zmienił się. Znowu byli przyjaciółmi. Mel uśmiechnęła się.

- Wiesz, co w tobie lubię, Donovan?

- Co?

- Że potrafisz robić takie śmieszne rzeczy... na przykład całujesz mnie w rękę. I nie wyglądasz przy tym jak głupek.

- Obrażasz mnie, Sutherland - powiedział sztucznie urażonym tonem. - Czuję się głęboko dotknięty.

Kilka godzin później, kiedy noc była cicha, a księżyc skrył się za chmurami, Mel odwróciła się przez sen ku Sebastianowi. Objęła go i mocno się przytuliła. Odgarnął jej włosy z czoła, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Potarł kciukiem kamień w jej pierścionku. Jeżeli pozwoli poszybować swobodnie myślom, będzie mógł włączyć się w sny Mel. Była to bardzo kusząca perspektywa - równie kusząca jak pomysł, by ją obudzić.

Właśnie się zastanawiał, co wybrać, kiedy w nagłym przebłysku zobaczył stajnię. Poczł zapach siana i potu, i usłyszał ciche rżenie klaczy.

Wysunął się z objęć Mel, a ona natychmiast się obudziła.

- Co się dzieje?

- Śpij dalej - powiedział, sięgając po koszulę.

- Gdzie idziesz?

- Psyche będzie się żrebić. Idę do niej.

- Och! - Bez zastanowienia wygramoliła się z łóżka i zaczęła szukać swoich rzeczy. - Idę z tobą. Może wezwać weterynarza?

- Ana przyjedzie - powiedział już w drzwiach. Mel pobiegła za nim, nakładając w biegu buty.

- Może zagotować wodę?

- Owszem, na kawę. Dzięki! - zawołał już z dołu.

- Przecież zawsze w takich przypadkach gotuje się wodę - mruknęła, wchodząc do kuchni. Kiedy w powietrzu rozszedł się zapach kawy, usłyszała odgłos samochodu. - Trzy kawy - powiedziała sama do siebie. Pytanie, skąd Anastasia wiedziała, że właśnie teraz powinna przyjechać, mijало się z celem.

Zastała ich oboje w stajni. Ana klęczała obok klaczy, mrużąc coś cicho. Obok niej leżały dwa skórzane woreczki i zwinięty kawałek czystego płótna.

- Czy z nią wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Mel.

- Tak. - Ana pogłaskała Psyche po szyi. - Wszystko idzie jak trzeba. - Głos miała kojący jak chłodny powiew na pustyni. Klacz odpowiedziała cichym rzeniem. - To już nie potrwa długo. Rozluźnij się, Sebastian. To nie jest pierwszy żrebak, jaki przychodzi na ten świat.

- Ale jej pierwszy - odparł. Wiedział, że wszystko pójdzie dobrze, mógłby nawet podać płęć żrebaka, ale to wcale nie ułatwiało mu czekania, kiedy musiał być świadkiem, jak jego ukochana Psyche cierpi.

Mel podała mu kubek kawy.

- Napij się, tatusiu. Możesz poczekać w sąsiednim boksie z Erosem.

- Spróbuj go uspokoić, Sebastianie - rzuciła Ana przez ramię. - Tak będzie lepiej.

- Dobrze.

- Może kawy? - Mel wsunęła się do boksu Psyche z kubkiem w rękę.

- Tak, chętnie. - Ana przysiadła na piętach i wypila kilka łyków.

- Przepraszam - powiedziała Mel, widząc jej zdumienie. - Zawsze robię za mocną kawę.

- W porządku. Wystarczy mi na kilka tygodni. - Ana otworzyła jeden z woreczków i wysypała garść suszonych płatków i liści.

- Co to jest?

- To tylko zioła - wyjaśniła Ana, karmiąc nimi klacz. - Na wzmocnienie skurczów. - Z drugiego woreczka wyjęła trzy kryształy, położyła je na drgającym boku Psyche i zaczęła mruczeć coś w języku celtyckim.

Te kryształy powinny zsunąć się na ziemię, pomyślała Mel, istnieje przecież coś takiego, jak prawo ciężenia. One jednak nawet nie drgnęły na dygoczącym boku zwierzęcia.

- Masz dobre ręce - powiedziała Ana. - Pogłaszcz ją po głowie.

Mel zawahała się.

- Nie znam się na porodach. To znaczy, mieliśmy szkolenie, kiedy pracowałam w policji, ale nigdy... Może powinnam...

- Wystarczy, jak ją pogłaszczesz po głowie - powtórzyła łagodnie Ana. - Reszta to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Może i było to naturalne, myślała później Mel, kiedy wraz z Sebastianem i Aną oraz Psyche starali się pomóc źrebakowi przyjść na świat, ale było w tym również coś z cudu. Mel była mokra od potu - swojego i końskiego, pobudzona po kawie, a zarazem oszołomiona na myśl o tym, że była świadkiem narodzin.

Podczas minionych godzin widziała, jak oczy Any wielokrotnie zmieniały kolor - od szarego po niemal czarny, a także wyraz - od radości po tak głębokie współczucie, że jej własne oczy zaczynały ją podejrzanie piec.

Raz tylko była pewna, że dostrzegła w oczach Any ból - dziki, przerażający ból, który zniknął dopiero wtedy, gdy Sebastian powiedział coś ostro do kuzynki.

- Chciałam tylko, żeby na moment odpoczęła - odparła Ana, a Sebastian pokręcił głową.

Potem wszystko poszło szybko.

- Ach! - Tyle tylko zdołała powiedzieć Mel na widok Psyche, która lizała nowo narodzonego synka. - Już po wszystkim. To nie do wiary.

- Za każdym razem wydaje się to równie zdumiewające. - Ana pozbierała swoje woreczki i narzędzia do fartucha, który nałożyła przed porodem. - Z Psyche wszystko w porządku - ciągnęła dalej. - Ze źrebakiem też. Zajrzę tu jeszcze wieczorem, ale moim zdaniem matka i syn są w świetnej formie.

- Dziękuję ci, Ano. - Sebastian uściskał kuzynkę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Świetnie się spisałaś jak na pierwszy raz, Mel.

- To było niewiarygodne.

- Jadę do domu, muszę się wykapać. A potem będę chyba spała do południa. - Ana pocałowała w policzek Sebastiana, a potem Mel. - Moje gratulacje.

- Co za noc - mruknęła Mel, opierając głowę na ramieniu Sebastiana.

- Cieszę się, że byłeś przy mnie.

- Ja też się cieszę. Nigdy dotąd nie byłam świadkiem narodzin. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jakie to cudowne przeżycie. - Ziewnęła głośno. - I jakie wyczerpujące. Szkoda, że nie mogę pospać do południa.

- Niby dlaczego? - Sebastian nachylił się, żeby ją pocałować. - Dlaczego nie mielibyśmy powylegiwać się razem?

- Mam masę roboty, a ponieważ nie będzie mnie przez kilka tygodni, muszę uporządkować swoje sprawy.

- Tutaj także masz coś do zrobienia.

- Naprawdę?

- Absolutnie. - Wziął ją na ręce. - Kilka godzin temu leżałem w łóżku i zastanawiałem się, co zrobić: czy wkraść się w twoje sny, czy cię obudzić.

- Chciałeś wkraść się w moje sny? - Mel pchnęła drzwi. - A potrafisz to zrobić?

- Ach, Sutherland, miej trochę wiary. W każdym razie - ciągnął dalej, niosąc ją przez kuchnię do holu - przerwano nam. Więc zanim wrócisz do domu, żeby uporządkować swoje sprawy, musimy tutaj doprowadzić pewną rzecz do końca.

- Ciekawa propozycja. A nie zauważyłeś przypadkiem, jak oboje wyglądamy?

- Zauważyłem. - Sebastian przemaszerował przez swoją sypialnię do łazienki. - Dlatego najpierw weźmiemy prysznic.

- Niezły pomysł. Myślę, że... Sebastian! - krzyknęła ze śmiechem, kiedy wszedł w ubraniu do kabiny prysznicowej i puścił strumień wody.

- Idiota! Przecież mam na nogach buty! Sebastian roześmiał się.

- Jeszcze tylko przez chwilę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mel nie potrafiła określić, jak czuje się w roli pani Donovanowej Ryan. Wydawało jej się, że Mary Ellen Ryan, czyli jej nowe wcielenie, to osoba strasznie nudna i ograniczona, interesująca się wyłącznie modą i pielęgnowaniem własnej urody.

Musiała jednak przyznać, że przyjazd do Tahoe to był dobry pomysł. Nawet bardzo dobry, pomyślała, wychodząc na balkon i patrząc na wody jeziora, połyskujące w świetle księżyca.

Domowi, w którym zamieszkali, nie brakowało niczego. Dwa komfortowe piętra, urządzone z gustem i wykończone w odważnych barwach, odzwierciedlających przebojowy styl nowych właścicieli.

Mary Ellen i Donovan Ryan, poprzednio zamieszkali w Seattle, byli nowoczesną parą i doskonale wiedzieli, czego chcą.

A w tej chwili najbardziej chcieli mieć dziecko.

Przyjechali poprzedniego dnia wieczorem. Dom już od pierwszego wejrzenia zrobił na Mel duże wrażenie. Na tyle duże, że nawet wyraziła swoje zdumienie, iż FBI w tak krótkim czasie potrafiło przygotować im tak imponujące gniazdko. To właśnie wtedy Sebastian przyznał się, że dom ten jest jego własnością, a kupił go pół roku wcześniej.

Zbieg okoliczności czy czary? zastanawiała się Mel. Trudno powiedzieć.

- Jesteś gotowa na nocny wypad do miasta, skarbie? Mel z gniewem odwróciła się do Sebastiana.

- Chyba nie będziesz mnie tak idiotycznie nazywać tylko dlatego, że mamy udawać małżeństwo?

- Uchowaj Boże! - Sebastian wyszedł na balkon. Chcąc nie chcąc Mel musiała przyznać, że w czarnym smokingu prezentował się rewelacyjnie. - Niech no na ciebie popatrzę.

- Włożyłam wszystko, co chciałeś - burknęła. - Począwszy od bielizny.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział życzliwie, a Mel uśmiechnęła się. Sebastian wziął ją za rękę i obrócił wokoło. Pomyślał, że czerwone spodnie to był rzeczywiście świetny pomysł. Srebrny żakiet doskonale do nich pasował, podobnie jak kolczyki z rubinami, które Mel wpięła w uszy. - Ślicznie wyglądasz. Spróbuj choć raz zachowywać się tak, jakbyś w to wierzyła.

- Nienawidzę butów na wysokich obcasach. Poza tym zobacz, co zrobili z moimi włosami!

Sebastian z uśmiechem musnął jasne pasemko. Mel miała teraz fryzurkę w stylu lat dwudziestych, z zalotnie podkreconą grzywką.

- Bardzo szykowna fryzura.

- Łatwo ci mówić. To nie na twojej głowie przez dwie godziny wyżywała się jakaś maniaczka z francuskim akcentem.

- Widzę, że miałaś ciężki dzień.

- To jeszcze nie wszystko. Zrobili mi też manicure. Nie masz pojęcia, co to za męka. Przyszła młoda dziewczyna z tymi wszystkimi nożyczkami, szczypcami, pilnikami i próbkami lakieru, pastwiła się nad moimi rękami i zadawała mi przy tym dziesiątki bardzo osobistych pytań na temat mężczyzn, życia rodzinnego, seksu i tak dalej. A ja musiałam udawać, że sprawia mi to przyjemność. O mały włos byłyby mnie też zmusiły, żebym sobie zrobiła peeling. - Wzdrygnęła się ze wstrętem. - Nie wiem, co by jeszcze wymyśliły. W końcu powiedziałam, że muszę wracać do domu i przygotować obiad.

- Niezły wykręt.

- Gdybym musiała przez całe życie chodzić do kosmetyczki, wolałabym się powiesić.

- Głowa do góry, Sutherland.

- Masz rację - westchnęła i zaraz poczuła się lepiej. - W każdym razie to była świetna okazja, aby opowiedzieć tym wszystkim kobietom, że mam piękny dom, wspaniałego męża, a do szczęścia brakuje nam tylko dziecka. One uwielbiają takie tematy. Opowiedziałam im, że zrobiliśmy wszystkie badania i zażywaliśmy leki na bezpłodność, i skarżyłam się na długie kolejki oczekujących w agencjach adopcyjnych. Wszystkie mi bardzo współczuły.

- Dobra robota.

- Mam jeszcze coś. Dostałam nazwiska dwóch adwokatów i ginekologa. Podobno to istny cudotwórca. Jeden z adwokatów to kuzyn manikiurzystki, a drugi w zeszłym roku pomógł szwagierce klientki, która robiła sobie trwałą, adoptować rumuńskie bliźnięta.

- Chyba rozumiem - powiedział Sebastian.

- Myślę, że trzeba by to sprawdzić. Jutro pójdę do fitness klubu. Kiedy będą mnie masować, powtórzę cały repertuar.

- Możesz przy okazji pójść do sauny. Mel zawahała się.

- Czuję się... Wiem, że wydajesz na to masę pieniędzy...

- Bo mam masę pieniędzy. A gdybym nie chciał wydawać ich w ten sposób, to bym tego nie robił. Ja doskonale pamiętam, jak wyglądała Rose, kiedy ją do mnie przywiozłaś. I pamiętam też panią Frost. Ta sprawa obchodzi mnie równie głęboko, jak ciebie, Mel.

- Wiem - przyznała. - Zamiast narzekać, powinnam ci dziękować.

- Ale ty tak ładnie narzekasz - powiedział Sebastian, a kiedy Mel uśmiechnęła się, pocałował ją. - Chodź, Sutherland. Jedziemy do kasyna. Czuję, że tej nocy będę miał szczęście.

W hotelu Silver Palace mieściło się jedno z najnowszych i najbardziej okazałych kasyn w Tahoe. W foyer białe łąbędzie ślizgały się po srebrzystych wodach sadzawki, a marmurowe donice kipiały kaskadami egzotycznych kwiatów. Personel ubrany był we fraki i srebrne firmowe muszki.

Minęli szereg eleganckich sklepów, oferujących dosłownie wszystko, od diamentów i futer po bawełniane podkoszulki. Mel pomyślała, że zlokalizowano je tak blisko kasyna, żeby każdy, komu się poszczęści, zostawił wygraną w hotelu.

W kasynie panował duży ruch. Brzęk monet i szczęk automatów odbijał się echem od ścian i wysokich stropów. Wokół rozbrzmiewał gwar, kręciły się koła ruletki. W powietrzu unosił się zapach dymu, trunków i perfum. I oczywiście ekscytujący zapach pieniędzy.

- Niezła melina - rzuciła Mel, patrząc na pokryte barwnymi malowidłami ściany bez okien.

- W co chcesz zagrać? Wzruszyła ramionami.

- Wszystkie te gry mają jeden cel: wyciągnąć z ludzi jak najwięcej forsy. Nigdy nie wygrasz z kasynem. To tak, jakbyś płynął pod prąd z jednym wiosłem. Od czasu do czasu udaje ci się posunąć do przodu, ale prędzej czy później nurt i tak cię zniesie.

Sebastian musnął ustami jej ucho.

- Tutaj nie musisz być praktyczna. Przecież to nasz drugi miesiąc miodowy. Pamiętasz, skarbie?

- Odwal się - powiedziała z promiennym uśmiechem. - Chodźmy kupić żetony.

Mel postanowiła zacząć od automatów wrzutowych. Uznała, że gra na nich nie wymaga wysiłku umysłowego, więc będzie mogła rozejrzeć się po kasynie. Najważniejszym zadaniem było nawiązanie kontaktu z Jasperem Gummem, człowiekiem, który miał weksle Parklanda. Mel zdawała sobie sprawę, że może im to zająć nawet kilka dni.

Na początku przegrywała, potem wygrała kilka dolarów, machinalnie wrzucając monety do automatu. Było coś dziwnie wciągającego w migających lampkach, dzwonek grających maszyn, brzęku monet i okrzykach graczy.

Uświadomiła też sobie, że atmosfera tego miejsca wpływa na nią rozluźniająco. Uśmiechnęła się do Sebastiana.

- Właściciele tego kasyna nie muszą się obawiać, że rozbiję bank.

- Może gdybyś grała mniej... agresywnie. - Położył dłoń na jej dłoni, kiedy naciskała dźwignię. Światła zawirowały, zadzwoniły dzwonki.

- Och! - wykrzyknęła, kiedy z otworu zaczęły się wysypywać monety. - Ojej! Pięćset dolarów! - Klasnęła w ręce. - Wygrałam pięćset dolarów! - Rzuciła się Sebastianowi na szyję i wycisnęła na jego policzku głośny pocałunek. - Donovan, to było oszustwo! - szepnęła mu do ucha.

- Co ty wygadujesz? Przechytrzenie maszyny to nie jest żadne oszustwo. - Zobaczył, jak w oczach Mel poczucie winy miesza się z radością z wygranej. - Chodź, możesz przegrać tę sumę w Black Jacka.

- Tak chyba będzie uczciwie. W końcu robimy to dla sprawy.

- Absolutnie tak.

Mel zaczęła ze śmiechem wrzucać monety do wiaderka, stojącego obok automatu.

- Lubię wygrywać.

- Ja też.

Obeszli stoły do gry, sącząc szampana i udając zakochaną parę. Mel próbowała nie traktować zbyt serio tych wszystkich względów, jakie Sebastian jej okazywał.

Byli kochankami, to prawda, ale przecież nie byli w sobie zakochani. Lubili się i szanowali, ale od tego jeszcze daleko do wspólnej przyszłości. Pierścionek na jej palcu był tylko rekwizytem, a dom, w którym wspólnie mieszkali, jedynie kwaterą, z której prowadzili akcję.

Przyjdzie taki dzień, w którym będzie musiała oddać pierścionek i wyprowadzić się z domu. Potem może będą się jeszcze przez jakiś czas widywali, aż wreszcie każde z nich pójdzie w swoją stronę.

Ludzie nigdy nie zagrzewali długo miejsca w jej życiu. Zdążyła już się z tym pogodzić... albo przynajmniej dotąd się godziła. Lecz teraz, kiedy próbowała sobie wyobrazić ich rozstanie i dalszą samotność, czuła nieznośną pustkę.

- O co chodzi? - Sebastian położył jej rękę na karku i zaczął masować mięśnie. - Czemu jesteś taka spięta?

- Ach, nic takiego - mruknęła i pomyślała, że choć obiecał, iż nie będzie zaglądał w jej myśli, i tak czyta w niej jak w otwartej księdze. - To tylko niecierpliwość. Spróbujmy zagrać przy tym stoliku. Zobaczymy, co będzie.

Nie nalegał, choć był pewny, że nie tylko to ją dręczy. Kiedy zajęli miejsca przy stole za pięć dolarów, objął ją ramieniem i oboje razem zagrali w karty.

Mel grała całkiem niezłe, a jej praktyczny zmysł i wrodzona bystrość sprawiły, że przez pierwszą godzinę udawało jej się wychodzić na swoje. Sebastian zauważył, że przy okazji rozglądała się po sali, notując w pamięci różne szczegóły - strażników, kamery, weneckie okna na drugim piętrze.

Zamówił więcej szampana i zdecydował, że sam też się trochę rozejrzy.

Siedzący obok niego mężczyzna pocił się nad kartami, zamartwiając się przy okazji, czy żona może podejrzewać go o romans. Żona z kolei kopciła papierosa za papierosem i próbowała sobie wyobrazić rozdającego karty młodego mężczyznę nago.

Sebastian pospiesznie się wycofał, zde gustowany, zostawiając ją sam na sam z jej problemem.

Obok Mel siedział facet o wyglądzie kowboja. Wlewał w siebie straszne ilości bourbona z wodą sodową i wygrywał powoli, lecz systematycznie. W jego głowie kłębiły się myśli o obligacjach, bydło i kartach. Życzył też sobie, żeby ta siedząca obok niego lalunia przyszła kiedyś do stolika sama.

Na myśl o tym, jak poczułaby się Mel, gdyby się dowiedziała, że ktoś nazwał ją lalunią, Sebastian nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Lustrując po kolei wszystkich gości, rejestrował uczucia nudy, podniecenia, chciwości i rozpacz. Wreszcie znalazł to, czego szukał - u młodej pary, siedzącej dokładnie naprzeciw niego.

Przyjechali z Columbus i była to trzecia noc ich miodowego miesiąca. Tak młodzi, że jeszcze niedawno nie mogliby zasiąść przy tym stole, byli nieprzytomnie zakochani. Po długich kalkulacjach uznali, że przyjemność, jaką daje hazard, warta jest tego, by zaryzykować sto dolarów.

Teraz zostało im już tylko pięćdziesiąt, za to bawili się jak nigdy w życiu.

Zobaczył, jak mąż - Jerry - zawahał się przy piętnastu dolarach. Ponaglił go w myślach. Jeny poprosił o kartę i na widok szóstki otworzył szeroko oczy.

Przy pomocy delikatnej, telepatycznej sugestii Sebastian zdołał przekonać Jerry'ego, żeby podwoił stawkę, potem potroił, a sam cieszył się na widok zdumienia i radości młodej pary, że tak dobrze idzie im karta.

- Skosili już kupę forsy - mruknęła Mel.

- Aha. - Sebastian spokojnie sączył wino.

Pod wpływem magicznej perswazji Jerry zaczął podnosić stawki. W kasynie szybko rozeszła się wieść, że przy stole numer trzy ktoś ciągle wygrywa. Ludzie zaczęli się tłoczyć wokoło, bijąc brawo i poklepując po plecach oszołomionego Jerry'ego, kiedy jego wygrana sięgnęła trzech tysięcy.

- Och, Jerry! - Karen, jego młoda żona, przytuliła się do niego. - Może powinniśmy już przestać? To wystarczy na pierwszą ratę za dom. Może lepiej już przestać?

- Przykro mi - mruknął Sebastian, po czym zganił ją w myślach.

W tej samej chwili Karen zagryzła wargi.

- Albo nie, graj dalej! - Ukryła twarz na ramieniu męża. - To chyba jakieś czary!

Słyszając to, Mel podniosła wzrok znad kart i zerknęła z ukosa na Sebastiana.

- Donovan!

- Cśś. - Poklepał ją po ręce. - Mam swoje powody. Mel zaczęła je rozumieć, kiedy ogłupiały ze szczęścia Jerry zatrzymał się na dziesięciu tysiącach dolarów. Do stolika zbliżył się postawny mężczyzna we fraku. Śniady, z niewielkim wąsikiem i perfekcyjnie ułożoną fryzurą, miał w sobie godność i autorytet. Należał do tego typu mężczyzn, którzy - zdaniem Mel - cieszą się względami kobiet.

Nie podobały jej się jednak jego oczy. Były bladoniebieskie i choć się uśmiechały, Mel poczuła, jak zimny dreszcz pełznie jej po grzbiecie.

- Niedobrze! - mruknęła. Sebastian nakrył dłonią jej dłoń.

Zebrany wokół stolika tłum zaczął wiwatować, kiedy Jerry zwycięsko zakończył grę.

- Widzę, że tej nocy szczęście panu sprzyja.

- I to jak! - Jerry podniósł zdumione oczy na eleganckiego mężczyznę w firmowym fraku. - Nigdy w życiu niczego nie wygrałem.

- Czy jest pan gościem tego hotelu?

- Tak. Razem z żoną. - Jerry uściskał Karen. - To nasza pierwsza noc w kasynie.

- Wobec tego niech mi będzie wolno osobiście państwu pogratulować. Jestem Jasper Gumm. To mój hotel.

Mel zerknęła na Sebastiana.

- Sprytnie to sobie wykombinowałaś. To dobry sposób, żeby mu się przyjrzeć.

- Dobry - przyznał Sebastian - a zarazem bardzo przyjemny.

- Hmm... czy twój młody bohater i jego heroina skończyli już na dziś?

- O, tak. Są absolutnie wykończeni.

- Przepraszam na moment. - Mel wzięła kieliszek i zaczęła randkę wokół stołu. Sebastian miał rację. Młoda para już wstała od stolika i hałaśliwie dziękowała Gummowi.

- Proszę znów nas odwiedzić - powiedział im Gumm.

- Lubię, kiedy moi goście opuszczają Silver Palace jako wygrani.

Kiedy odwrócił się, Mel zastąpiła mu drogę. Jeden szybki ruch i szampan prysnął na Gumma.

- Ach, przepraszam! - Rzuciła się wycierać jego zmoczony rękaw. - Ale ze mnie niezdara!

- Nie, to wyłącznie moja wina. - Gumm odszedł na bok, wyjął chusteczkę i wytarł dłoń Mel. - Zamyśliłem się. - Spojrzał na jej pusty kieliszek. - Poza tym jestem pani winien szampana.

- To miło z pana strony, ale mój kieliszek był już prawie pusty. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Na szczęście, bo byłabym pana bardziej oblała. Byłam taka podekscytowana. Siedzieliśmy z mężem naprzeciwko tej młodej pary, ale, niestety, tego wieczora nie mieliśmy tyle szczęścia, co oni.

- No to tym bardziej winien jestem pani szampana.

- Gumm ujął ją pod ramię. W tej samej chwili nadszedł Sebastian.

- Kochanie - powiedział - szampana się pije, a nie oblewa nim innych.

Mel roześmiała się zalotnie.

- Już pana przeprosiłam.

- Nic się nie stało - zapewnił Gumm, wyciągając rękę do Sebastiana. - Jasper Gumm.

- Donovan Ryan a to moja żona, Mary Ellen.

- Miło mi państwa poznać. Czy są państwo gośćmi naszego hotelu?

- Nie, ale właśnie przenieśliśmy się do Tahoe. - Sebastian spojrzał czule na Mel. - Chcieliśmy sobie zrobić coś w rodzaju drugiego miesiąca miodowego, zanim znów będę musiał wrócić do pracy.

- Wobec tego witam w Tahoe. W tej sytuacji absolutnie musimy się napić. - Gumm skinął na przechodzącą kelnerkę.

- Pan jest bardzo miły. - Mel rozejrzała się z aprobatą. - I ma pan taki piękny hotel.

- Skoro zostaliśmy sąsiadami, mam nadzieję, że będą państwo często u nas gościć. Mamy świetną restaurację.

- Mówiąc to, Gumm dyskretnie otaksował wzrokiem Mel i Sebastiana. Zauważył jej biżuterię, kosztowną i dyskretną, a także smoking mężczyzny, zdradzający rękę doskonałego krawca. Widać było, że są to ludzie zamożni. A on lubił taką klientelę.

Kiedy kelnerka wróciła z butelką i kieliszkami, Gumm osobiście rozlał wino.

- W jakiej branży pan pracuje, panie Donovan?

- W nieruchomościach. Przedtem mieszkaliśmy w Seattle, ale uznaliśmy że przyszła pora, żeby coś zmienić w naszym życiu. Na szczęście moja praca daje mi duże pole manewru.

- A pani? - Gumm zwrócił się do Mel.

- Właśnie zrezygnowałam z pracy, przynajmniej na jakiś czas. Postanowiłam zająć się domem.

- I dziećmi - dorzucił Gumm.

- Nie. - Mel ze smutkiem spojrzała na swój kieliszek.

- Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że tutejszy klimat, słońce, jezioro... - W jej głosie zabrzmiała nuta rozpaczy.

- Och, jestem tego pewny. Proszę korzystać ze wszystkich udogodnień Silver Palace. Czujcie się państwo jak u siebie w domu.

- Na pewno nie raz tu wrócimy - zapewnił go Sebastian. - Dobra robota - mruknął do Mel, kiedy zostali sami.

- Też tak sędzę. Myślisz, że powinniśmy wrócić do stolika, czy raczej pochodzić trochę po sali, zaglądając sobie w oczy?

Sebastian roześmiał się, przyciągnął Mel, żeby ją pocałować, a potem nagle zamarł.

- No, no, pewne rzeczy zaczynają świetnie do siebie pasować.

- Co takiego?

- Pij szampana, kochanie, i uśmiechaj się. - Objął ją ramieniem i poprowadził w stronę ruletki. - Popatrz na tę kobietę, z którą rozmawia Gumm. Tę rudą, przy schodach.

- Widzę. - Mel oparła mu głowę na ramieniu. - Metr sześćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt pięć kilo, cera jasna. Dwadzieścia osiem - trzydzieści lat.

- Na imię ma Linda. Przynajmniej teraz, bo kiedy nocowała z Davidem w motelu, nazywała się Susan.

- To jest... - Już miała zrobić krok w przód, ale się opamiętała. - Co ona tu robi?

- Sypia z Gummem. Tak myślę. I czeka na kolejne zlecenie.

- Musimy wybadać, co oni wiedzą. I jak są blisko wierzchołka tej góry. - Z posępną miną dokończyła szampana. - Ty pracuj po swojemu, a ja będę działać po swojemu.

- Zgoda.

Kiedy Mel zobaczyła, że Linda zmierza w stronę damskiej toalety, wcisnęła Sebastianowi do ręki swój pusty kieliszek. - Trzymaj.

- Oczywiście, kochanie - mruknął, cofając się.

W pokoju dla pań Mel zasiadła przed jednym z luster i zaczęła poprawiać sobie makijaż. Kiedy Linda ulokowała się w sąsiednim fotelu, Mel szybko wcieliła się w swoją nową rolę.

- A niech to! - odezwała się zdegustowana, patrząc na swoje dłonie. - Złamałam paznokcie!

Linda spojrzała na nią ze współczuciem.

- A to pech!

- Tak, zwłaszcza że dziś rano robiłam manicure. Zawsze mam pecha. - Zaczęła szukać w torebce pilnika, wiedząc, że go tam nie ma. - Pani ma piękne paznokcie.

- Dziękuję. - Linda przyjrzała się własnej ręce. - Mam wspaniałą manikiurzystkę.

- Tak? - zainteresowała się Mel. - A może mogłaby pani... Nie znam jeszcze Tahoe. Dopiero co przyjechaliśmy z Seattle. Potrzebna mi dobra kosmetyczka, klub odnowy biologicznej, i tak dalej.

- Wszystko to znajdzie pani w klubie, w tym hotelu. Wprawdzie opłaty dla osób z zewnątrz są dość wysokie, ale może mi pani wierzyć, że warto zapłacić. - Poprawiła rudą grzywkę. - A salon kosmetyczny jest pierwsza klasa!

- Dziękuję za informację, na pewno tam zajrzę.

- Niech im pani powie, że przysłała panią Linda, Linda Glass.

- Tak zrobię - powiedziała Mel, wstając. - Bardzo dziękuję.

- Było mi miło. - Linda pociągnęła usta szminką. Była z siebie zadowolona. Jeżeli udało jej się przekonać tę kobietę, żeby zapisała się do klubu, dostanie wysoką prowizję. W końcu biznes to biznes.

Kilka godzin później Mel leżała na łóżku, sporządzając listę zadań. Miała na sobie obszerną górę od pidżamy, którą sama sobie wybrała, kiedy robili zakupy, zdążyła też rozprawić się z wymuskaną fryzurą, którą brutalnie rozczesła palcami.

Podjęła już decyzję, że zapisze się do klubu w hotelu Silver Palace. Począwszy od jutra, zacznie korzystać z klubu odnowy, a także gabinetu kosmetycznego. Umówi się nawet na peeling i wszystkie tortury, jakie jej zaproponują.

Przy odrobinie szczęścia może już niedługo uda jej się pogawędzić z Lindą Glass.

- Nad czym pracujesz, Sutherland?

- Nad planem B - odparła z roztargnieniem. - Lubię mieć plan B, na wypadek gdyby plan A nie wypalił. Nie wiesz, czy depilowanie nóg woskiem boli?

- Nawet nie będę próbował zgadywać. - Pogłaskał ją po łydce. - Jednak moim zdaniem masz wystarczająco gładkie nogi.

- Skoro mam spędzić tam pół dnia, muszę im znaleźć jakieś zajęcie. - Spojrzała na Sebastiana. Stał przy łóżku, w spodniach od pidżamy, której górę miała na sobie, ze szklaneczką brandy w ręku.

Wyglądamy jak autentyczna para, pomyślała. Jak małżeństwo, które gawędzi przed pójściem do łóżka. Zabębniła ołówkiem po kartce.

- Naprawdę to lubisz? - zapytała.

- Co?

- Brandy. Według mnie to smakuje jak lekarstwo.

- Może po prostu nigdy nie piłaś właściwego gatunku?

- Podsunął jej szklaneczkę do spróbowania. - Ciągłe jesteś spięta - powiedział, przysiadając na brzegu łóżka, żeby pomasaować jej kark.

- Chyba tak. Wygląda na to, że nam się uda.

- Musi się udać. Kiedy ty będziesz depilować sobie nogi, ja pójdę pograć w golfa w tym samym klubie, w którym grywa Gumm.

- Zobaczymy, kto zdobędzie więcej informacji - rzuciła przez ramię Mel, która po spróbowaniu brandy nadal nie była przekonana o jej zaletach.

- Zobaczymy.

- Pomasuj mi ten punkt na łopacie. - Mel wygięła się jak kot. - O, tak, tutaj. Chciałam zapytać cię o tę parę z kasyna. Tych młodych ludzi, którzy wygrali.

- Co chcesz o nich wiedzieć? - Sebastian z przyjemnością popatrzył na plecy Mel.

- Wiem, że w ten sposób próbowałeś przyciągnąć Gumma do stolika, ale to nie było do końca uczciwe. Ten chłopak wygrał dziesięć tysięcy.

- Ja tylko delikatnie wpłynąłem na jego decyzje. A jeżeli chodzi o Gumma, na biednego nie trafiło. Więcej ma ze sprzedaży dzieci.

- Tak, oczywiście, jest w tym pewna sprawiedliwość. Lecz ta miła para... co będzie, jeżeli przyjdą jeszcze raz i zgrają się do ostatniego centa? Może nie będą potrafili się powstrzymać...?

Sebastian zaśmiał się, a potem pocałował ją w plecy.

- Za kogo ty mnie masz? Jerry i Karen wpłacą ratę na ładny domek na przedmieściach, a wiadomość o ich wygranej będzie dla ich przyjaciół wielkim zaskoczeniem. Nie będą już więcej próbować szczęścia w grze, bo uznali, że nie warto kusić losu. Będą mieli trójkę dzieci. Sześć lat po ślubie ich małżeństwo przeżyje kryzys, ale wszystko skończy się dobrze.

- No cóż - westchnęła Mel, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła zaakceptować tajemnicze umiejętności Sebastiana. - W tym przypadku to co innego.

- W tym przypadku - mruknął Sebastian, wodząc ustami po jej kręgosłupie. - A teraz, czy nie mogłabyś o tym na chwilę zapomnieć i skoncentrować się na mnie?

Mel odstawiła brandy na stojącą w nogach łóżka skrzynię, chwyciła go za rękę i nachyliła się tak, że niemal stykali się nosami.

- Dobrze. - Pocałowała go w koniuszek nosa, w policzek, brodę, a wreszcie w usta. - Brandy smakuje znacznie lepiej na tobie, niż w kieliszku.

- Spróbuj jeszcze raz, żebyś miała pewność. Nachyliła się i obdarzyła go długim, głębokim pocałunkiem.

- Pyszne. Lubię twój smak, Donovan. - Ścisnęła go mocno za rękę, zadowolona, że nie próbował przerwać kontaktu, kiedy zaczęła całować jego szyję.

Drażniła go, igrając z jego podnieceniem, a także swoim własnym. Poznawała ciało Sebastiana - jego kształt, zapach i smak. Podziwiała szerokie ramiona, muskularny tors, płaski brzuch.

Patrzyła z przyjemnością na swoją białą dłoń na jego smagłej skórze. Kiedy pocierała go policzkiem, czuła nie tylko namiętność, ale i głębokie uczucie, upajające jak wino i zaćmiewające zmysły.

Z westchnieniem przytknęła usta do jego ust.

To ona była tej nocy czarownicą, pomyślał Sebastian. To z nią była moc. Zabrała mu serce, duszę, pragnienia, przyszłość - i delikatnie wzięła je w swoje ręce.

Zaczął wyznawać jej szeptem miłość, ale jego mową był język celtycki, więc Mel go nie zrozumiała.

Poruszali się złączeni w uścisku, unosząc się nad łóżkiem, jakby to było zaczarowane jezioro. A kiedy księżyc zaczął zachodzić i noc zbliżyła się do dnia, zatracili się w sobie, spowici magią, którą sobie nawzajem ofiarowywali.

Kiedy uniosła się nad nim z oczyma pociemniałymi z rozkoszy, a jej ciało połyskiwało w świetle lampy, wydała mu się piękna jak nigdy dotąd. I nigdy dotąd tak bardzo do niego nie należała.

Wyciągnął rękę. Odpowiedziała na jego wołanie. Ich ciała się połączyły. Była to słodka, a zarazem szalona chwila.

A kiedy Sebastian nie mógł już iść dalej, kiedy oddał jej wszystko, co miał, a ich ciała osłabły, opadła na niego i ukryła mu twarz na piersi. Zadrżała, kiedy objęły ją jego ramiona.

- Nie odchodź - mruknęła. Oczy miała wilgotne. - Zostań ze mną przez całą noc.

- Zostanę.

Trzymał ją w objęciach, podczas gdy jej serce walczyło ze świadomością, że tak mocno i rozpaczliwie kocha.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przejrzanie książki klientów w gabinecie kosmetycznym i klubie odnowy w Silver Palace nie nastęczyło Mel większych trudności. Od dawna wiedziała, że za stosowny napiwek i miły uśmiech można dostać wszystko. A przy nieco większym napiwku udało jej się nawet umówić na te same godziny, co Linda Glass.

To była ta łatwiejsza część planu. Znacznie trudniejsza okazała się perspektywa spędzenia całego dnia w pstrokatym stroju gimnastycznym z lycry.

Kiedy Mel zajęła miejsce w klasie aerobiku, pośród tuzina innych kobiet, uśmiechnęła się przyjaźnie do Lindy.

- Widzę, że pani się jednak zdecydowała. - Linda szybko sprawdziła, czy jej ruda grzywka dobrze się układa pod kolorową opaską.

- Mam na imię Mary Ellen. Mówmy sobie po imieniu. Jestem ci taka wdzięczna za poradę - powiedziała Mel. - Z powodu przeprowadzki przepadł mi ponad tydzień ćwiczeń. Niewiele trzeba, żeby stracić kondycję.

- Tego nie wiem. Kiedy podróżuję... - przerwała, bo instruktorka włączyła magnetofon. Z taśmy buchnęła rytmiczna rockowa ballada.

- Pora trochę się rozciągnąć, moje panie. - Umięśniona instruktorka, cała w uśmiechach, stanęła naprzeciw lustra, na przodzie grupy. - Zaczynamy! - powiedziała energicznym tonem, demonstrując nowe ćwiczenie..

Mel przeszła od rozgrzewki do bardziej wyczerpujących ćwiczeń. Choć zawsze uważała, że ma dobrą kondycję, szybko zrozumiała, że trafiła do grupy zaawansowanej, której uczestniczki zaskoczyły ją swoją wytrzymałością.

Nie minęła połowa zajęć, a ona już zdążyła zniechęcić energiczną instruktorkę z jej zalotnym koczkiem i radosnym głosem.

- Jeszcze raz noga do góry i spadam stąd - mruknęła Mel. Nie miała zamiaru mówić tego głośno, okazało się to jednak pierwszorzędnym zagraniem. Linda posłała jej wymęczony uśmiech.

- Ja też - wysapała, wyrzucając nogi przed siebie. - Ona chyba nie ma nawet dwudziestu lat. Niech ją wszyscy diabli!

Mel roześmiała się cicho. Kiedy muzyka umilkła, wraz z Lindą osunęły się na podłogę, spocone i wyczerpane.

- To kara za to, że nie ćwiczyłam przez ostatnie dziesięć dni - odezwała się Mel, po czym z westchnieniem dodała: - Co mnie opętało, żeby się umówić na całodzienny program?

- Świetnie cię rozumiem. Sama jestem wykończona, a mam za chwilę ćwiczenia odchudzające.

- Naprawdę? - Mel udała zaskoczenie. - Ja też.

- To dobrze. - Linda wytarła się ręcznikiem i wstała. - Może jakoś przecierpimy to razem.

Wspólnie odbyły rundę od podnoszenia ciężarów, poprzez rowery treningowe i ruchome ścieżki. A im bardziej się pociły, tym bardziej się zaprzyjaźniały.

Potem poszły wspólnie do sauny i do jacuzzi, a na koniec zafundowały sobie masaż.

- Nie mogę w to uwierzyć, że zrezygnowałaś z pracy, żeby zająć się domem. - Linda, wyciągnięta na leżance, podparła pięściami podbródek.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co robić z nadmiarem czasu, ale to miał być eksperyment.

- Tak?

Mel zawahała się, dając Lindzie do zrozumienia, że to drażliwy temat.

- Widzisz - odezwała się po chwili - bardzo chcemy z mężem mieć dużą rodzinę, ale jak na razie nie dopisuje nam szczęście. A ponieważ poddaliśmy się tym wszystkim testom i badaniom, niestety bez rezultatu, przyszło mi do głowy, że jeśli rzucę pracę i związane z nią napięcia, może nam się wreszcie uda...

- Rozumiem, co przeżywacie.

- Oboje jesteśmy jedynakami i mamy tylko siebie, dlatego marzyła nam się liczna rodzina. To takie niesprawiedliwe. Mamy piękny dom, jesteśmy dobrze sytuowani i nasze małżeństwo jest udane, ale jakoś nie możemy doczekać się dziecka.

Nawet jeżeli tryby zaczęły się szybciej obracać w głowie Lindy, skutecznie zamaskowała to współczuciem.

- Rozumiem, że próbowaliście już od dłuższego czasu.

- Od lat. Tak naprawdę, to moja wina. Lekarze powiedzieli nam, że jest mała szansa na to, że uda mi się zająć w ciążę.

- Nie chciałabym się wtrącać, ale czy nigdy nie myśleliście o adopcji?

- Czy nie myśleliśmy? - Mel smętnie się uśmiechnęła. - Nie potrafię nawet powiedzieć, na ilu listach jesteśmy zapisani. Oboje jesteśmy zdania, że bylibyśmy w stanie pokochać dziecko, nie będąc jego biologicznymi rodzicami. Mamy tak wiele do zaoferowania, ale... - przerwała z westchnieniem. - Może to z naszej strony egoizm, ale

naprawdę chcielibyśmy mieć dużą rodzinę. Łatwiej byłoby zaadoptować starsze dziecko, lecz my uparliśmy się na niemowlę. Powiedziano nam, że to może potrwać całe lata. Nie wiem, czy potrafię znieść widok tych pustych pokoi. - Jej oczy napełniły się łzami. - Przepraszam, nie powinnam cię zanudzać. Trochę się rozkleiłam.

- Nic nie szkodzi. - Linda uścisnęła jej rękę. - Tylko kobieta naprawdę zrozumie drugą kobietę.

Na lunch zamówiły mrożony sok i szpinakową sałatkę. Mel pozwoliła Lindzie sprowadzić rozmowę na tematy osobiste. Jako naiwna i głęboko uczuciowa Mary Ellen Ryan, zalała Lindę potokiem informacji o swoim małżeństwie, o nadziejach i lękach. Na zakończenie uroniła kilka łez.

- A ty nie myślałaś nigdy o małżeństwie? - zwróciła się do Lindy, ocierając oczy.

- Ja? Ach, nie. - Linda roześmiała się. - Raz próbowałam, ale to było dawno temu. Dla mnie to zbyt krępujące. Teraz jestem z Jasperem. Zawarliśmy bardzo wygodną umowę. Lubimy się, ale nie ma to wpływu na nasze interesy. Lubię mieć wolną rękę.

- Podziwiam cię - westchnęła Mel. Ty wyrachowana zmijo, pomyślała. - Zanim poznałam Donovana, wydawało mi się, że chcę sama iść przez życie i sama kształtować swoją karierę. Oczywiście nie żałuję, że się zakochałam i wyszłam za mąż, ale myślę, że w głębi duszy wszystkie zazdrościmy kobietom, które potrafiły zachować wolność.

- Mnie to odpowiada, ale ty postąpiłaś słusznie. Masz faceta, który za tobą szaleje i który ma dość forsy, żeby zapewnić ci wygodne życie. Czego ci jeszcze brakuje do szczęścia?

- No właśnie, czego? - Mel wbiła, wzrok w swoją pustą szklanekę.

- Jak będziesz miała dziecko, niczego. - Linda poklepała ją po ręce. - Wspomnisz moje słowa.

Kiedy Mel dowlokła się wreszcie do domu, rzuciła torbę w kąt, a buty w drugi.

- O, jesteś nareszcie - powitał ją Sebastian. - Już miałem wysłać po ciebie ekipę ratunkową.

- Trzeba było raczej załatwić nosze.

- Coś ci się stało? - zapytał z niepokojem. - Czułem, że nie powinienem był spuszczać cię z oczu.

- Czy coś mi się stało? - prychnęła. - Nie wiesz nawet połowy. Miałam instruktorkę aerobiku, diabolicę z piekła rodem. Nazywała się Penny, cwana sztuka. Potem przekazali mnie jakiejś królowej Amazonek imieniem Madge, która kazała mi podnosić ciężary, a potem posadziła mnie na tych wszystkich ohydnych błyszczących maszynach. Robiłam pompki,

podnosiłam ciężary, wyciskałam wagę i tak dalej... - Krzywiąc się, przycisnęła rękę do brzucha.

- Do tego przez cały dzień pozwolili mi zjeść tylko kilka kwaśnych listków.

- Ach. - Sebastian pocałował ją w czoło. - Moje biedactwo.

- Jestem w takim nastroju, że chętnie komuś przyłożę - warknęła Mel. - A tym kimś możesz być tylko ty, Donovan.

- Co powiesz na jakąś przekąskę?

- Mamy mrożoną pizzę?

- Wątpię. Chodź. - Otoczył ją ramieniem i poprowadził do kuchni. - Opowiesz mi o wszystkim podczas posiłku.

Usiadła przy stole z przydymionego szkła.

- Co za dzień! Masz pojęcie, że ta Linda robi to wszystko dwa razy w tygodniu? - Mel poderwała się i zaczęła myszkować w szafkach w poszukiwaniu chipsów.

- Nie rozumiem, czemu ludzie chcą być tacy zdrowi - powiedziała z pełnymi ustami. - Ona wydaje się w porządku. Kiedy się z nią rozmawia, sprawia wrażenie osoby normalnej i życzliwej. - Z posępną miną usiadła przy stole. - Już po chwili widać, że to całkiem bystra kobieta, ale jest też zimna i wyrachowana.

- Rozumiem, że dosyć dużo ze sobą rozmawialiście.

- Sebastian spojrzał na Mel ponad olbrzymią kanapką własnej produkcji.

- O, tak. Niczego przed nią nie ukrywałam. Wie o mnie wszystko. Że w wieku lat dwudziestu straciłam rodziców. Że kilka lat później poznałam ciebie. Że była to miłość od pierwszego wejrzenia. I że byłeś bardzo romantyczny - dorzuciła, chrupiąc głośno chipsy.

- Naprawdę? - Sebastian postawił przed nią kanapkę i szklankę jej ulubionego napoju.

- Oczywiście. Obsypywałeś mnie kwiatami, zabierałeś na tańce i na spacerzy przy księżycu. Po prostu za mną szalałeś.

- Na pewno tak. - Sebastian patrzył z uśmiechem, jak łąpczywie rzuciła się na jedzenie.

- Błagałeś mnie, żebym za ciebie wyszła. Boże, jakie to pyszne. - Zamknęła z lubością oczy. - Na czym to ja skończyłam?

- Błagałem cię, żebyś za mnie wyszła.

- No, tak. - Machnęła ręką, w której trzymała szklankę. - Lecz ja byłam ostrożna, jednak w końcu wprowadziłam się do ciebie, a potem zgodziłam się zostać twoją żoną. Od tej pory robisz wszystko, żeby moje życie było bajką.

- Sądząc po tym, co mówisz, muszę być świetnym facetem.

- Oczywiście. Postarałam się, żeby Linda tak pomyślała. Jesteśmy najszczęśliwszą parą na świecie. A do absolutnego szczęścia brakuje nam tylko jednego. - Zasepiła się, ale nie przestawała jeść. - Na początku czułam się niezręcznie, że tak ją oszukuję. Wiedziałam, że wykonuję tylko pewne zadanie, i to ważne, ale nie podobało mi się moje wyrachowanie. Ona była miła, zycziwa i było mi naprawdę głupio.

Sięgnęła po chipsy i chrupiąc je, wypowiadała głośno swoje myśli.

- Jednak potem, kiedy wspomniałam o dziecku, zobaczyłam, jak nagle zrobiła się czujna. Nadal się uśmiechała, była współczująca i cholernie przyjazna, ale w mózgu już obracały jej się trybiki. Więc koniec końców przestałam mieć wyrzuty sumienia. Ona jest mi po prostu potrzebna, Donovan.

- Kiedy będziesz się z nią znowu widziała?

- Pojutrze, u kosmetyczki. - Mel z westchnieniem odsunęła talerz. - Ona myśli, że będzie mi organizować czas. Wspomniała coś o wspólnej wyprawie do sklepów.

- Cóż, nasza praca wymaga poświęceń.

- Rzeczywiście, bardzo śmieszne! A ty przez pół dnia uganiałeś się za białą piłeczką.

- Nigdy nie mówiłem, że lubię golfa.

- To prawda - przyznała. - Powiedz mi wobec tego, jak ci poszło.

- Wpadliśmy z Gummem na siebie przy czwartym dołku. Oczywiście przez czysty przypadek.

- Oczywiście.

- Resztę pola przebyliśmy razem. - Sebastian sięgnął po na wpół opróżnioną szklanekę Mel i pociągnął łyk. - On uważa, że moja żona jest czarująca.

- Bo jest.

- Rozmawialiśmy o interesach, jego i moich. On chce dokonać pewnych inwestycji, więc podsunąłem mu kilka pomysłów.

- Sprytne zagranie.

- Mam pewne nieruchomości w stanie Oregon i myślałem o ich sprzedaży. Tak czy inaczej, poszliśmy potem na drinka i rozmawialiśmy o sportach. W trakcie rozmowy wspomniałem mimochodem, że chciałbym mieć syna.

- Syna, a nie po prostu dziecko?

- Jak ci mówiłem, to była męska rozmowa. Powiedziałem, że chcę mieć syna, żeby nosił moje nazwisko, żeby mógł grać z nim w piłkę i tak dalej.

- Dziewczynki także grają w piłkę - mruknęła. - Nie szkodzi. Czy podjął wątek?

- Dość dyskretnie, Ponarzekalem trochę, zrobiłem smutną minę, a potem zmieniłem temat.

- Dlaczego? - Mel wyprostowała się na krześle. - Jeżeli już złapałeś go na haczyk, czemu go puściłeś?

- Bo to wydało mi się słuszne. Musisz mi zaufać, Mel. Gummowi mogłoby się to wydać podejrzane, gdybym tak od razu zaczął mu się zwierzać. Oczywiście w przypadku ciebie i tej kobiety, to już inna sprawa. Między kobietami to bardziej naturalne.

Zastanowiła się nad tym i po chwili skinęła głową.

- W porządku. Jestem skłonna przyznać ci rację. Z całą pewnością udało się nam obojgu zdobyć punkt zaczepienia.

- Tuż przed twoim powrotem rozmawiałem z Devereaux. Jutro rozpracują tę Lindę Glass. Dadzą nam też znać, jak tylko Gumm będzie próbował nas sprawdzić.

- To dobrze.

- Jeszcze jedno. Zostaliśmy zaproszeni na kolację z Gummem i jego dziewczyną. W piątek.

Mel uniosła brwi.

- To jeszcze lepiej. - Wychyliła się, żeby go pocałować. - Dobrze się spisałeś, Donovan.

- Myślę, że zgrany z nas zespół. Najadłaś się?

- Chwilowo.

- Wobec tego powinniśmy się przygotować na piątkowy wieczór.

- To znaczy? - Obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem, kiedy poderwał ją na nogi. - Jeżeli znów każesz mi przymierzać jakieś stroje...

- Nie. Tędy - powiedział, kiedy wyszli z kuchni. - Musimy wyglądać jak kochająca się, ekstatycznie szczęśliwa para.

- Co to ma do rzeczy?

- Nieprzytomnie zakochana - kontynuował Sebastian, popychając ją w stronę schodów.

- Znam tę śpiewkę, Donovan.

- Ja wierzę w próby. Dlatego uważam, że powinniśmy spędzić jak najwięcej czasu w łóżku, po to, żeby nasze przedstawienie wydało się jak najbardziej naturalne.

- Ach, rozumiem. - Odwróciła się, zarzuciła mu ręce na szyję i wchodząc tyłem do sypialni, powiedziała: - Jak już wspominałeś, nasza praca wymaga poświęceń.

Mel była pewna, że kiedy któregoś dnia sięgnie pamięcią wstecz, będzie się śmiać. Albo przynajmniej będzie miała tę ponurą satysfakcję, że uszła z tego z życiem.

Odkąd wstąpiła do policji, została nie raz skopana, zmieszana z błotem, była przeklinana, obrażana, zatrzaskiwano jej przed nosem drzwi i przytrzaskiwano nogi. Grożono jej, oświadczano się, a przy jednej pamiętnej okazji nawet do niej strzelano.

Lecz wszystko to była pestka w porównaniu z tym, co wyprawiano z nią w salonie kosmetycznym.

Ekskluzywny hotelowy salon piękności oferował wszystkie usługi, od mycia głowy i czesania po foliowe kompresy.

Mel nie starczyło odwagi na coś takiego, zamówiła sobie za to pełny zabieg od stóp do głów.

Zjawiała się niemal jednocześnie z Lindą i pamiętając o swojej roli, powitała ją jak dobrą znajomą.

Podczas depilacji nóg woskiem - okazało się, że to bardzo boli - rozmawiały o strojach i fryzurach. Uśmiechając się przez zaciśnięte zęby, Mel cieszyła się w duchu, że poprzedniej nocy spędziła wiele godzin na przerzucaniu żurnali.

Później, kiedy galaretką na jej twarzy stężała, Mel zaczęła się rozwódzić nad urokami życia w Tahoe.

- Mamy wręcz niewiarygodny widok na jezioro. Nie mogę się też doczekać, kiedy poznamy więcej ludzi. Uwielbiam gości.

- Jasper i ja możemy was przedstawić naszym przyjaciołom - zaproponowała Linda, kiedy manikiurzystka wzięła się za jej paznokcie u nóg. - Będąc w branży hotelarskiej poznaliśmy wszystkich, których i wy chcielibyście poznać.

- To cudownie. - Mel zerknęła w dół i z przerażeniem stwierdziła, że jej paznokcie zostały polakierowane na kolor fuksji. Mim o to uśmiechnęła się z aprobatą. - Donovan powiedział mi, że spotkał Jaspera w klubie golfowym. Mąż uwielbia grać w golfa. W jego wydaniu to bardziej pasja niż hobby.

- Jasper jest taki sam, ale mnie golf po prostu nudzi. - Linda zaczęła mówić o ludziach, których chciałaby poznać z Mel, i o tym, że mogliby wspólnie wybrać się na łódki albo na tenisa.

Mel zgodziła się z radością, zastanawiając się przy okazji, czy można umrzeć z nudów.

Kosmetyczka oczyściła jej twarz i posmarowała ją kremem, a potem wtarła Mel jakiś olejek we włosy i owinęła jej głowę plastikowym czepkiem.

- Uwielbiam to. Czuję się jak dziecko, któremu zmieniają pieluszkę - mruknęła Linda. Leżały z Mel na wygodnych kozetkach, a manikiurzystki robiły im masaż dłoni.

- Ja też - powiedziała Mel, modląc się w duchu, żeby to był już koniec.

- Właśnie dlatego moja praca mi odpowiada. Na ogół pracuję nocą, a dzień mam wolny. Mogę poza tym korzystać ze wszystkich udogodnień hotelu.

- Od dawna tu pracujesz?

- Od prawie dwóch lat. I jeszcze się nie znudziłam.

- Musisz tu spotykać masę ciekawych ludzi.

- O, tak, tych z najwyższej półki. Ja to lubię. Z tego co mi mówiłaś kilka dni temu, twój mąż też się do nich zalicza.

Mel uśmiechnęła się skromnie.

- Owszem, powodzi nam się całkiem nieźle. Można powiedzieć, że Donovan ma nosa do interesów.

Fryzjerki spłukały im głowy i zrobiły masaż, aż wreszcie przyszła pora na końcowe zabiegi. Mel uświadomiła sobie, że jeśli Linda nie poruszy teraz tematu adopcji, będzie musiała sama znaleźć jakiś pretekst, żeby o tym porozmawiać.

- Wiesz, Mary Ellen, myślałam o tym, co mi mówiłaś któregoś dnia.

- Och... - Mel udała zakłopotanie - Strasznie cię przepraszam, że obciążałam cię moimi kłopotami zaraz po tym, jak się poznałyśmy. Chyba czułam się trochę zagubiona i tęskniłam za domem.

- Nonsens. - Linda machnęła ręką, podziwiając swoje imponujące paznokcie. - Tak się samo jakoś zgadało. Widocznie dobrze się ze mną czułaś.

- O, tak, ale jest mi bardzo wstyd, kiedy sobie pomyślę, że zanudzałam cię swoimi problemami.

- Nie byłam wcale znudzona, tylko wzruszona. - Głos Lindy był gładki jak jedwab, podszyty stosowną dawką współczucia. Mel poczuła, jak budzi się w niej gniew. - Myślałam też dużo na ten temat. Jeżeli wtrącam się w twoje sprawy, powiedz mi. Chciałam zapytać, czy nigdy nie myśleliście o prywatnej adopcji?

- To znaczy, przez adwokata, który ma kontakty z samotnymi matkami? - Mel boleśnie westchnęła. - Owszem, próbowaliśmy. To było rok temu. Nie mieliśmy pewności, czy robimy dobrze. I nie chodziło wcale o pieniądze, bo to żaden problem, tylko o aspekt moralny i legalny całej sprawy, ale wyglądało na to, że wszystko gra. Spotkaliśmy się już nawet z przyszłą matką. Niestety nasze nadzieje okazały się płonne. Wybraliśmy już imiona, kupiliśmy wózek i wyprawkę, tymczasem w ostatniej chwili ta kobieta się wycofała.

Mel zagryzła wargi, jakby się bała, że wybuchnie płaczem.

- To rzeczywiście musiało być okropne. - Oczy, Lindy były pełne współczucia.

- Strasznie to przeżyliśmy. Byliśmy już tak blisko, a tu... nic. Od tej pory nie myśleliśmy już o tym, żeby jeszcze raz spróbować tej drogi.

- Doskonale was rozumiem, ale tak się akurat składa, że słyszałam o kimś, kto się tym zajmuje, i to z powodzeniem.

Mel zamknęła oczy. Bała się, że zamiast nadziei Linda dostrzeże w nich drwinę.

- Masz na myśli adwokata?

- Tak. Nie znam go wprawdzie osobiście, ale, jak już mówiłam, w naszej branży poznaje się masę ludzi, więc o nim słyszałam. Nie chcę niczego obiecywać ani budzić płonnych nadziei, ale gdybyście chcieli, mogę zapytać.

- Byłabym ci bardzo zobowiązana. - Mel otworzyła oczy i napotkała w lustrze wzrok Lindy. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Godzinę później Mel wybiegła z hotelu i wpadła wprost w ramiona Sebastiana. Kiedy nachylił się, żeby obdarzyć ją przesadnym pocałunkiem, wybuchnęła śmiechem.

- Co ty tu robisz?

- Odgrywam rolę stęsknionego męża, który przyszedł po żonę. - Odsunął Mel i przyjrzał jej się z uśmiechem. Włosy miała w seksownym nieładzie, oczy powiększone i pogłębione cieniami, a usta w tym samym kolorze fuksji, co paznokcie. - Do jasnej Anielki, Sutherland, co oni z tobą zrobili?

- Nie śmiej się ze mnie.

- Wcale się nie śmieję. Wyglądasz wspaniale. Wręcz oszałamiająco. Inaczej niż moja Mel. - Uniósł ku sobie jej twarz i znowu ją pocałował. - Kim jest ta elegancka, zadbana dama, którą trzymam w objęciach?

- Nie żartuj sobie ze mnie - burknęła. - Nie masz pojęcia, przez co przeszłam. Miałam nawet depilację bikini. To jakieś barbarzyńskie tortury! - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Polakierowały mi też paznokcie u nóg.

- Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę. - Sebastian pocałował ją po raz kolejny. - Mam coś dla ciebie.

- Ja też.

- Więc może wziąłbym moją piękną żonę na spacer, żeby jej opowiedzieć, jak to Gumm polecił sprawdzić niejakich Ryanów z Seattle.

- Dobrze. - Mel wzięła go za rękę. - A ja ci opowiem, jak Linda Glass, oczywiście z dobroci serca, postanowiła skontaktować nas z pewnym adwokatem, specjalistą od prywatnych adopcji.

- Dobrze nam się współpracuje.

- O, tak, Donovan - przyznała z zadowoleniem. - Bardzo dobrze.

Z okien apartamentów prezydenckich na najwyższym piętrze Silver Palace Gumm patrzył w dół.

- Czarująca para - zwrócił się do Lindy.

- Oni rzeczywiście za sobą szaleją - Sącząc szampana, Linda patrzyła, jak Mel i Sebastian idą wolnym krokiem, trzymając się za ręce. - Sposób, w jaki ona wymawia jego imię, każe mi się czasami zastanawiać, czy oni naprawdę są małżeństwem.

- Przysłali mi faksem kopię ich świadectwa ślubu i pozostałych dokumentów. Wygląda na to, że wszystko w porządku. - Gumm zabębnił palcami o szybę. - Gdyby byli podstawieni, nie potrafiliby tak dobrze udawać.

- Podstawieni? - Linda spojrzała na niego z niepokojem. - Daj spokój, Jasper, po co się nad tym zastanawiać. Nigdy do nas nie dotrą.

- Ta sprawa z Frostami mocno mnie niepokoi.

- Cóż, przykro mi, że stracili dziecko, ale my wzięliśmy swoją działkę i zatarliśmy wszystkie ślady.

- Zapominasz, że jest jeszcze ten Parkland. Nie udało mi się go znaleźć.

- Uciekł gdzieś na koniec świata. - Linda wzruszyła ramionami i przytuliła się do Gumma. - Nie ma się czym przejmować. Miałeś jego, weksle, wszystko było legalne.

- Ale on cię widział.

- On prawie niczego nie widział, bo był strasznie spanikowany. Poza tym było ciemno, a ja miałam chustkę na głowie. O Parklanda się nie martwię. - Dotknęła ustami jego ust. — Znam się na rzeczy, kotku. Działając w takiej organizacji, mamy przecież tyle kryjówek i pułapek, że nigdy do nas nie dotrą. A co do pieniędzy...

- Rozwiązała mu krawat. - Pomyśl tylko, ile na tym zarobiliśmy.

- Lubisz pieniądze, prawda? - Gumm rozpiął suwak jej sukni. - To jest to, co mamy ze sobą wspólnego.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego, a teraz kroi nam się nowy interes. Nadamy im tych Ryanów i nieźle na tym zarobimy. Gwarantuję ci, że zapłacą najwyższą stawkę. Ta kobieta rozpaczliwie pragnie zostać matką.

- Jeszcze trochę poszperam, tak na wszelki wypadek.

- Gumm pociągnął Lindę na sofę.

- Nigdy nie zaszkodzi sprawdzić, ale mówię ci, Jasper, tych dwoje to strzał w dziesiątkę. Nie ma mowy, żebyśmy na nich stracili. To niemożliwe.

Mel i Sebastian w krótkim czasie stworzyli nierozłączną czwórkę z Gummem i Lindą. Zapraszali się na kolacje, bawili w kasynie, jedli lunchy w klubie i organizowali debie w tenisa.

Dziesięć dni życia w leniwym luksusie doprowadziło do tego, że cierpliwość Mel była już na wyczerpaniu. Parokrotnie pytała Lindę o adwokata i zawsze dostawała uprzejmą odpowiedź, że ma po prostu czekać.

Zostali przedstawieni całej masie ludzi. Niektórzy byli nawet dość interesujący i atrakcyjni, inni niemili i podejrzani. Mel spędzała całe dni jak zamożna kobieta, która ma dużo pieniędzy i czasu.

A noce spędzała z Sebastianem.

Próbowała nie kierować się sercem. Miała pewne zadanie i nawet jeśli w trakcie jego wykonywania zdążyła się zakochać, to w końcu jej problem i sama musi sobie z nim poradzić.

Wiedziała że Sebastianowi na niej zależy, a także że jej pragnie. Martwiło ją to, że tak bardzo podobała mu się kobieta, której rolę musiała odgrywać, a którą przestanie być, gdy tylko ich misja dobiegnie końca.

„Nie taka, jak moja Mel”. „Moja Mel”, powiedział. Kryła się w tym nadzieja, której nie powinna jednak ulegać.

Dlatego, choć bardzo pragnęła by sprawa została zamknięta i sprawiedliwości stało się zadość, zaczęła się obawiać dnia, w którym będą musieli wrócić do domu już nie jako małżeństwo.

Nie mogła jednak pozwolić, by osobiste potrzeby i nadzieje przysłoniły im główny cel.

Za namową Lindy Mel postanowiła wydać przyjęcie. W końcu sama przedstawiła się jako fanatyczna gospodyni domowa, a także dusza towarzystwa, uwielbiająca gości.

Weiskając się w czarną sukienkę, modliła się w duchu o to, żeby nie popełnić jakiegoś *faux pas*, które by ją zdemaskowało.

- Niech to cholera! - zaklęła, kiedy Sebastian zajrzał do sypialni.

- Masz jakiś problem, kotku?

- Suwak mi się zaciął. — Uwięzła w połowie sukni, spocona i zdenerwowana. Na jej widok Sebastian pomyślał, że wołałby ją wyłuskać z tej sukni, niż pomagać jej naciągnąć drugą połowę.

Pociągnął za suwak i zapiął suknię.

- Gotowe. Widzę, że nosisz twój turmalin - powiedział, dotykając kamienia, spoczywającego między jej piersiami.

- Morgana mówiła, że to dobre lekarstwo na stres. A mnie potrzebna jest każda pomoc. - Odwróciła się i niechętnie wskoczyła w szpilki. Stali teraz oko w oko. - Może to głupie, ale jestem strasznie zdenerwowana. Jak dotąd, wydawałam tylko przyjęcia z pizzą i piwem. Widziałeś te góry jedzenia, które nam przywieźli?

- Tak. Wynająłem obsługę, która się wszystkim zajmie.

- Lecz to ja mam być gospodynią i ja powinnam wiedzieć, co robić.

- Nie, ty masz tylko powiedzieć innym, co mają robić, a potem masz się dobrze bawić. Mel uśmiechnęła się niepewnie.

- To nie brzmi aż tak źle. Mam wrażenie, że coś się wkrótce wydarzy. Bo jak nie, to chyba zwariuję. Linda ciągle rzuca zawołane uwagi, że jest nam w stanie pomóc, a ja już od tygodnia jestem jednym kłębkim nerwów.

- Cierpliwości. Dziś wieczorem zrobimy następny krok.

- Co masz na myśli? - Złapała go za rękaw. - Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic. Jeżeli coś wiesz albo zobaczyłeś, powiedz mi!

- Czuję, że osoba, której szukamy, będzie tu dziś wieczorem, a ja ją rozpoznam. Dotąd dobrze graliśmy swoje role, Mel, więc odegrajmy je do końca.

- W porządku. - Wzięła głęboki oddech. - Co proponujesz, misiaczku? Może powinniśmy już zejść na dół i powitać naszych gości?

Sebastian zachnął się.

- Nie mów do mnie „misiaczku”!

- Niby dlaczego? - Mel zaczęła schodzić na dół. Nagle przystanęła, przyciskając rękę do piersi.

- O Boże! Dzwonek! Goście już przyszli!

Mel szybko się przekonała, że nie jest aż tak źle. Goście przeszli przez dom i zgromadzili się na tarasie. Wyglądało na to, że wszyscy świetnie się bawią. W tle grała muzyka klasyczna. Noc była na tyle ciepła, że można było zostawić drzwi szeroko otwarte, by przyjęcie mogło toczyć się zarówno w domu, jak w grodzie. Jedzenie - sama musiała to przyznać - było naprawdę wyśmienite. A nawet jeżeli nie potrafiła rozpoznać połowy

kanapek, jakie to miało znaczenie? Krążyła między gośćmi i z należytych wdziękiem przyjmowała komplementy.

Było wino, śmiechy i ciekawe rozmowy. A to, zdaniem Mel, stanowiło nieodłączny element udanego przyjęcia.

Z przyjemnością patrzyła też na Sebastiana, który często się do niej uśmiechał albo przystawał obok, by ją przytulić lub szepnąć parę miłych słów.

Każdy, kto na nas patrzy, musi to kupić, pomyślała. Jesteśmy najszczęśliwszą parą na świecie, nieprzypadkowo w sobie zakochaną.

Sama nieomal była gotowa w to uwierzyć, kiedy wzrok Sebastiana szybował w jej kierunku, a w oczach pojawiały się ciepłe błyski, od których dreszcz przebiegał jej wzdłuż kręgosłupa.

Linda podeszła do niej. W białej sukni z dekoltem wyglądała olśniewająco.

- Twój mąż nie może oderwać od ciebie oczu. Przysięgam. Gdyby miał bliźniaka, może mimo wszystko zaryzykowałabym ponowne małżeństwo.

- Nie ma drugiego takiego jak on - powiedziała z powagą Mel. - Uwierz mi, Donovan jest jedyny w swoim rodzaju.

- I jest cały twój.

- Tak, cały mój.

- Poza tym, że masz szczęście w miłości, potrafisz wydawać fantastyczne przyjęcia. Masz taki piękny dom.

- Wart co najmniej pół miliona dolarów, pomyślała Linda.

- Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczna za polecenie mi tej firmy cateringowej. Ich szef to istny skarb.

- Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. - Linda uścisnęła rękę Mel i rzuciła jej powłóczyście spojrzenie.

- Mówię poważnie.

Zareagowała natychmiast.

- Czy ty... czy... ? Och, nie chciałabym cię popędzać, ale nie potrafię już myśleć o niczym innym.

- Niczego nie obiecywałam - powiedziała Linda, ale zaraz potem mrugnęła znacząco. - Jest tu ktoś, kogo chciałabym ci przedstawić. Powiedziałaś, że mogę zaprosić parę osób.

- Oczywiście. - Mel z miejsca przybrała maskę dobrej gospodyni. - Przecież to tak samo twoje przyjęcie, jak moje. Ty i Jasper jesteście naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

- My też bardzo was polubiliśmy. Chodź, to cię przedstawię. - Trzymając Mel za rękę, Linda zaczęła przedzierać się przez tłum. - Nie bójcie się, zaraz ją przyprowadzę z powrotem - powiedziała ze śmiechem. - Ach, tu jesteś, Harriet. Harriet, kochanie, chciałabym żebyś poznała naszą gospodynię, a moją przyjaciółkę, Mary Ellen Ryan; Mary Ellen - Harriet Breezeport.

- Miło mi panią poznać. - Mel uściśnęła bladą, delikatną dłoń. Pani Breezeport była drobną siwowłosą kobietą w okularach, dobrze po sześćdziesiątce.

- Tak się cieszę, że mogę panią poznać. To miłe z pani strony, że nas pani zaprosiła. - Głos Harriet był niewiele głośniejszy od szeptu. - Linda opowiadała mi, że jest pani naprawdę urocza. To mój syn, Ethan.

Ethan był równie blady jak matka, a przy tym kościsty i drobny. Uścisk dłoni miał za to mocny, a oczy czarne jak u ptaka.

- Wspaniałe przyjęcie.

- Miło mi. Poszukam dla pani krzesła, pani Breezeport, i przyniosę coś do picia.

- Odrobinka wina dobrze by mi zrobiła. - Staruszka odpowiedziała drżącym uśmiechem. - Nie chciałabym jednak sprawiać kłopotów.

- To przecież żaden kłopot. - Mel ujęła ją pod rękę i poprowadziła w stronę krzeseł. - Co mogę pani przynieść?

- Och, Ethan się tym zajmie. Prawda, Ethan?

- Oczywiście. Przepraszani.

- To taki dobry chłopak - powiedziała Harriet, kiedy jej syn ruszył w stronę bufetu. - On tak bardzo o mnie dba.

- Uśmiechnęła się do Mel. - Linda mówiła mi, że niedawno przeprowadziliście się do Tahoe.

- Tak. Przyjechaliśmy z mężem z Seattle. Tu jest zupełnie inaczej.

- Racja. Czasami spędzamy tu z Ethanem wakacje. Mamy tu mały apartament.

Gawędziły jeszcze przez chwilę, póki nie wrócił Ethan z talerzem kanapek i kieliszkiem wina. Linda już się ulotniła, za to nagle pojawił się Sebastian.

- To mój mąż. - Mel wsunęła mu rękę pod pachę.

- Donovan, to jest pani Harriet Breezeport, a to jej syn, Ethan.

- Linda mówiła mi, że jest pan uroczy. - Harriet podała mu rękę. - Obawiam się, że zbyt długo zatrzymałam pańską uroczą żonę.

- Prawdę mówiąc, muszę ją porwać na chwilę, bowiem mamy mały problem w kuchni. Życzę państwu miłej zabawy.

Pociągnął za sobą Mel, a nie mogąc znaleźć miejsca na osobności, zamknął się z nią w garderobie.

- Donovan, na miłość boską!...

- Ćśś. - W półmroku zaświeciły mu się oczy. - To ona - powiedział cicho.

- Jaka ona, i dlaczego chowamy się w garderobie?

- Ta staruszka. To ona!

- Ona? - Mel ze zdumienia otworzyła usta. - Bardzo cię przepraszam, ale mam uwierzyć, że ta mała staruszka jest szefem gangu kidnaperów?

- Taka jest prawda. - Sebastian pocałował ją w otwarte usta. - Zamykamy sprawę, Sutherland.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ciągu następnych dwóch dni Mel dwukrotnie spotkała się z Harriet Breezeport - raz na herbatce, a raz na przyjęciu. Gdyby nie wiara w Sebastiana, nigdy by nie uwierzyła, że ta krucha matrona może być głową organizacji o charakterze przestępczym.

To Devereaux przekazał im informację, że Harriet i Ethan Breezeportowie nie byli właścicielami żadnego mieszkania w Tahoe. Nie było też żadnych dokumentów świadczących o tym, że ludzie o takim nazwisku w ogóle istnieją.

Kiedy wreszcie Sebastianowi i Mel udało się nawiązać kontakt, stało się to nie za pośrednictwem wyżej wspomnianej pary, ale poprzez opalonego, młodego mężczyznę z rakietą tenisową. Mel właśnie skończyła mecz z Lindą i nad szklanką mrożonej herbaty czekała, aż Sebastian skończy rundę golfa z Gummem. Mężczyzna podszedł do nich, cały w uśmiechach.

- Pani Ryan?

- Tak?

- Nazywam się John Silbey. Przychodzę z polecenia naszego wspólnego znajomego. Chciałbym z panią zamienić słówko.

Mel, jak każda przyzwoita mężatka, którą zaczepia nieznajomy mężczyzna, zawahała się.

- Dobrze - powiedziała w końcu.

Mężczyzna usiadł, a raketę położył na opalonych kolanach.

- Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie trochę odbiega od powszechnie przyjętych norm, ale mamy wspólnych znajomych, którzy mi powiedzieli, że pani oraz pani mąż jesteście zainteresowani moimi usługami.

- Tak? - Mel uniosła brwi. Serce biło jej mocno i rytmicznie. - Nie wygląda pan na ogrodnika, panie Silbey, a my z mężem rozpaczliwie potrzebujemy ogrodnika.

- Rzeczywiście, nie jestem ogrodnikiem. - Silbey jowialnie się roześmiał. - Przykro mi, ale w tym względzie nie mogę państwu pomóc. Jestem adwokatem.

- Ach, tak? - Mel udała zmieszanie. Silbey nachylił się i zaczął mówić:

- To nie jest sposób, w jaki mam zwyczaj kontaktować się z klientami, ale skoro właśnie przed chwilą dowiedziałem się o państwa problemach, pomyślałem sobie, że to doskonała okazja, żeby się poznać. Powiedziano mi, że jesteście państwo zainteresowani prywatną adopcją.

Mel zwilżyła wargi i zamieszała lód w szklance.

- Ja... my... mieliśmy nadzieję - powiedziała powoli. - Próbowaliśmy, ale to bardzo trudne. Wszystkie agencje, w jakich byliśmy, mają strasznie długie listy oczekujących.

- Rozumiem.

Widać było po nim, że naprawdę zrozumiał. Był też bardzo zadowolony, że Mel okazała się osobą uczuciową, zdesperowaną i zamożną. Dotknął jej ręki ze współczuciem.

- Próbowaliśmy załatwić to przez adwokata, ale w ostatniej chwili wszystko się załamało. - Zaciśnęła wargi, jakby chciała opanować ich drżenie. - Nie wiem, czy po raz drugi zniosłabym taki cios.

- To musiało być straszne. Dlatego też nie chciałbym rozbudzać zbędnych nadziei, dopóki nie ustalimy pewnych szczegółów. Mogę jednak pani powiedzieć, że reprezentuję kilka kobiet, które z tych czy innych przyczyn zmuszone są oddać dziecko do adopcji. Wszystkie pragną dla swoich dzieci tylko jednego - dobrego, kochającego domu. Moim zadaniem jest znalezienie dla nich takich domów. A kiedy mi się to uda, będzie to dla mnie największą nagrodą.

I pewnie też najbardziej lukratywnym zajęciem, pomyślała Mel.

- Oboje z mężem gorąco pragniemy stworzyć kochający dom dziecku, które tego potrzebuje - powiedziała drżącym głosem. - Gdyby mógł nam pan pomóc, panie Silbey... nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo bylibyśmy panu wdzięczni.

Silbey znów dotknął jej ręki.

- Jeżeli jest pani zainteresowana, możemy o tym pomówić.

- Kiedy moglibyśmy do pana przyjść?

- Szczerze mówiąc, na początek wolałbym się spotkać z państwem w mniej oficjalnych okolicznościach. Na przykład u państwa, żebyśmy mogli opowiedzieć o wszystkim mojej klientce.

- Oczywiście, oczywiście - powiedziała rozpromieniona. A nie masz swojej kancelarii, gnojku? - pomyślała, - Kiedy tylko panu odpowiada.

- Obawiam się, że terminy mam zajęte na kilka tygodni naprzód.

- Och... - Mel zrobiła zmartwioną minę. - No cóż, skoro czekaliśmy już tak długo..

Silbey odczekał chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Jeśli tak bardzo państwu zależy, mógłbym zarezerwować sobie kilka godzin dziś wieczorem.

- To cudownie! - Mel chwyciła go za rękę. - Jestem panu taka wdzięczna. Donovan i ja... Dziękuję panu panie Silbey.

- Mam nadzieję, że uda mi się państwu pomóc. Czy odpowiada pani godzina siódma?

- Oczywiście. - W oczach Mel błysnęły łzy.

Po odejściu Silbeya Mel jeszcze przez kilka minut udawała głębokie wzruszenie, pewna, że ktoś ją obserwuje. Otarła oczy, a potem przez dłuższą chwilę siedziała z ręką przyciśniętą do ust. Kiedy nadszedł Sebastian, zastał ją pochlipującą nad szklanką mrożonej herbaty.

- Mary Ellen! - Widok jej zaczerwienionych oczu i drżących ust obudził w nim niepokój. - Kochanie, co się stało? - Kiedy wziął ją za rękę, poczuł bijące od niej podekscytowanie. Musiał zmobilizować wszystkie siły, żeby nie okazać zdumienia.

- Och, Donovan. - Zerwała się, widząc Gumma, wyłaniającego się zza jego pleców. - Całkiem się rozkleiłam. - Otarła ze śmiechem łzy. - Przepraszam, Jasper.

- Nie ma za co. - Gumm szarmancko zaoferował jej jedwabną chusteczkę do nosa. - Czy ktoś sprawił ci przykrość, Mary Ellen?

- Nie, nie. To ze szczęścia. Mam cudowną nowinę, dlatego tak się wzruszyłam. Możesz zostawić nas na chwilę samych, Jasper? I przeproś Lindę. Muszę porozmawiać z Donovanem w cztery oczy.

- Oczywiście. - Gumm odszedł, a Mel ukryła twarz na ramieniu Sebastiana.

- Co się dzieje? - zapytał cicho, gładząc ją po rękę.

- Mamy kontakt. - Mel spojrzała na niego załzawionymi oczyma. - To ten obrzydliwy adwokat... zresztą podejrzewam, że tak naprawdę wcale nie jest adwokatem... zjawił się tu przed chwilą i zaproponował nam prywatną adopcję. Udawaj, że jesteś uszczęśliwiony.

- Ależ jestem! - Sebastian pocałował Mel nie tylko na pokaz, lecz również z wielkiej radości. - Na czym stało?

- Z dobrego serca, a także ze współczucia dla zrozpaczonej kobiety, zgodził się przyjść dziś wieczorem i omówić szczegóły.

- Co za wielkoduszność z jego strony...

- O, tak. Może nie mam twoich zdolności, ale i bez tego potrafiłam czytać w jego myślach. Niemal słyszałam, jak oblicza swoją prowizję. A teraz chodźmy do domu. - Objęła go. - Aura zrobiła się tu niedobra.

- No i jak? - zwróciła się Linda do Gumma, patrząc, jak Mel i Sebastian odchodzą.

- To strzał w dziesiątkę! - Zadowolony z siebie Gumm przywołał kelnera. - Są tak oszołomieni, że ograniczą się do minimum pytań w zamian za maksymalną cenę. On może będzie trochę bardziej ostrożny, ale jest taki zakochany, że zrobi wszystko, żeby ją uszczęśliwić.

- Ach, miłość! - prychnęła pogardliwie Linda. - To najlepszy fuks, jaki nam się trafił.
Wybrałeś już towar?

Gumm zamówił drinki, a potem rozparł się wygodnie na krześle i zapalił papierosa.

- On chce chłopaka, więc spełnimy jego zachciankę, zwłaszcza że zapłaci najwyższą stawkę. Mam umówioną położną w New Jersey, gotową w każdej chwili dostarczyć zdrowego noworodka płci męskiej, prosto ze szpitala.

- To dobrze, bo polubiłam tę Mary Ellen. Może nawet wydam z tej okazji przyjęcie.

- Wspaniały pomysł. Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby za jakieś dwa lata zgłosili się do nas po raz drugi.

- Spojrzał na zegarek. - Zadzwoń do Harriet i powiedz jej, że może zaczynać.

- Będzie lepiej, jak ty do niej zadzwonisz - powiedziała krzywiąc się Linda. - Ta stara wiedźma przyprawia mnie o dreszcze.

- Ta stara wiedźma prowadzi pierwszorzędny biznes - przypomniał jej Gumm.

- Tak, a biznes to biznes. - Linda uniosła w toaście kieliszek przyniesiony przez kelnera. - Za szczęśliwych przyszłych rodziców!

- Za zdobyte bez trudu dwadzieścia pięć tysięcy!

- Więcej. - Linda stuknęła się z nim kieliszkiem. - Znacznie więcej!

Mel знаła już na pamięć swoją rolę i była gotowa, kiedy Silbey pojawił się punktualnie o siódmej. Ręka, którą mu podała, lekko drżała.

- Tak się cieszę, że mógł pan przyjść.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Zaprowadziła go do imponującego salonu, paplając radośnie przez całą drogę.

- Mieszkamy tu dopiero od kilku tygodni. Trzeba jeszcze wprowadzić wiele zmian. Na górze jest pokój, który idealnie nadaje się na pokój dziecienny. Mam nadzieję... Donovan! Przyszedł pan Silbey.

Sebastian także znał swoją rolę. Stał w rogu pokoju, przy barku. Przywitał się z rezerwą i był lekko zdenerwowany, kiedy proponował Silbeyowi drinka. Po wymianie obopólnych grzeczności usiedli, Silbey w fotelu, a Sebastian z Mel na sofie, trzymając się mocno za rękę.

Silbey otworzył teczkę.

- Chciałbym teraz zadać państwu kilka pytań. Żebyśmy się mogli lepiej poznać.

Opowiedzieli mu o sobie, a Silbey przez cały czas robił notatki, lecz tym, co powiedziało mu o nich najwięcej, była mowa ciała. Ukradkowe, pełne nadziei spojrzenia, sposób, w jaki się dotykali. Silbey kontynuował wywiad, całkowicie nieświadomy tego, że

każde jego słowo było przekazywane dwóm agentom FBI, którzy zainstalowali się w pokoju na górze.

Zadowolony z rozwoju sytuacji, Silbey spojrzał życzliwie na Mel i Sebastiana.

- Muszę państwu powiedzieć, że moim zdaniem będą państwo idealnymi rodzicami. A jak wiadomo, wybór domu dla dziecka to bardzo delikatna sprawa.

Mówił przez jakiś czas o stabilizacji, odpowiedzialności, a także o specjalnych wymogach, związanych z wychowywaniem adoptowanego dziecka. Mel uśmiechała się promiennie, ale żołądek miała skurczony jak pięść.

- Widzę, że przemyśleli to państwo bardzo dogłębnie. Pozostał nam jeszcze jeden punkt do omówienia. Mam na myśli koszty. Wiem, że może to zabrzmieć jak zgrzyt, kiedy mówi się o cenie cudu, jednak trzeba spojrzeć trzeźwo na pewne sprawy. Będą rachunki za opiekę lekarską oraz rekompensata dla matki, moja prowizja, opłaty sądowe i manipulacyjne.

- Rozumiem - powiedział Sebastian, żałując, że nie może własnoręcznie udusić Silbeya.

- Zaliczka wynosi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, plus sto dwadzieścia pięć tysięcy po zakończeniu wszystkich formalności. W tym mieści się już rekompensata dla matki.

Sebastian chciał coś powiedzieć, był przecież biznesmenem, ale Mel chwyciła go kurczowo za rękę i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Pieniądze to nie problem - powiedział, dotykając jej policzka.

- Wobec tego w porządku. - Silbey uśmiechnął się. - Mam odpowiednią klientkę. Jest bardzo młoda i niezamężna. Chce skończyć szkołę, a samotne wychowywanie dziecka jej to uniemożliwi, dlatego podjęła bolesną decyzję, żeby oddać je do adopcji. Mogę dostarczyć państwu zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia jej oraz ojca dziecka. Moja klientka zastrzegła sobie utajnienie pozostałych danych. Za pozwoleniem państwa, opowiem jej o państwa problemach i zarekomenduję was.

- Och... - Mel przycisnęła rękę do ust. - Och, tak...

- Prawdę mówiąc, takich właśnie rodziców szukałem. Mam nadzieję, że uda nam się zakończyć sprawę tak, by wszystkie uczestniczące w niej strony były usatysfakcjonowane.

- Panie Silbey... - Mel położyła Sebastianowi głowę na ramieniu. - Kiedy... to znaczy, jak długo to potrwa? A to dziecko? Co może nam pan o nim powiedzieć?

- Dowiedzą się państwo wszystkiego w ciągu najbliższych dwóch dni. A jeżeli chodzi o dziecko... - uśmiechnął się dobrotliwie - moja klientka powinna urodzić lada moment. Mój telefon powinien być dla niej wielką ulgą.

Nim odprowadzili Silbeya do drzwi, Mel zdołała jeszcze uronić kilka łez. Kiedy została sam na sam z Sebastianem, oczy jej zapłonęły gniewem i krzyknęła z furją.

- Ten sukin...!

- Wiem. - Sebastian położył jej rękę na ramieniu. Wibrowała jak napięta struna. - Dostaniemy ich w swoje ręce, Mel. Wszystkich, co do jednego.

- Rozumiesz, co to znaczy, prawda? Oni po prostu zamierzają ukraść jakieś dziecko, wprost z kliniki porodowej.

- Logiczna jak zawsze - mruknął Sebastian.

- Nie mogę tego znieść! - Mel przycisnęła dłoń do żołądka. - Pomyśleć, że jakaś nieszczęsna kobieta dowiaduje się w szpitalu, że ukradli jej dziecko...

- To już nie potrwa długo. - Nagle zapragnął zajrzeć w jej myśli, żeby sprawdzić, co jej chodzi po głowie, lecz przypomniał sobie, że dał jej słowo. - Musimy odegrać nasze role do końca.

- Tak. - To właśnie miała zamiar zrobić. Jemu oczywiście nie będzie się to podobało. Ani policji. Przychodzi jednak taki czas, kiedy trzeba pójść za głosem serca.

- Upewnijmy się lepiej, czy chłopcy na górze nagrali naszą rozmowę. - Zaczepnęła tchu. - A potem powinniśmy zrobić to, co wszyscy uszczęśliwieni przyszli rodzice zrobiliby na naszym miejscu.

- Mianowicie co?

- Musimy zawiadomić naszych najlepszych przyjaciół i oblać tę okazję.

Mel siedziała w hotelowym foyer, z uśmiechem na ustach i kieliszkiem szampana w ręku.

- Zdrowie naszych kochanych przyjaciół! Linda roześmiała się. Stuknęły się kieliszkami.

- Ależ nie, za szczęśliwych rodziców!

- Nigdy nie będziemy w stanie wam się odwdziżyć.

- Mel przeniosła wzrok z Lindy na Gumma.

- Nonsens. - Gumm poklepał ją po ręce. - Linda rozpuściła tylko wici między znajomymi. Jest nam miło, że taki drobny gest zakończył się tak szczęśliwie.

- Musimy jeszcze podpisać papiery - wtrącił się Sebastian, - oraz poczekać na zgodę matki.

- O to się nie martwię. - Linda machnęła ręką. - Teraz trzeba zaplanować przyjęcie, żeby to uczcić. Chciałabym, żeby odbyło się ono w naszym penthousie.

Mel była już śmiertelnie zmęczona wyciskaniem z siebie łez, mimo to zdołała uronić jeszcze kilka.

- Jak to miło... - Wstała, łzy popłynęły jej po policzkach. - Przepraszam. - Roztrzęsiona pobiegła do pokoju dla pań. Linda, jak się można było spodziewać, zjawiała się chwilę później.

- Ale ze mnie idiotka.

- Nie bądź głupia. - Linda usiadła obok niej i otoczyła ją ramieniem. - Podobno przysze matka płaczą z byle powodu.

Mel roześmiała się i otarła oczy.

- Pewnie to prawda. Mogłabyś mi przynieść szklankę wody? Ja tymczasem spróbuję doprowadzić się do takiego stanu, żebym znowu mogła się pokazać ludziom.

- Siedź tu i czekaj na mnie.

Miała najwyżej dwadzieścia sekund. Szybko otworzyła torebkę Lindy i spomiędzy szminek i perfum wyjęła klucz do jej apartamentów. Właśnie chowała go do kieszeni wieczorowych spodni, kiedy zjawiała się Linda ze szklanką wody.

- Dzięki. - Mel uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Bardzo dziękuję.

Następny krok wymagał, by niepostrzeżenie oddalić się na co najmniej dwadzieścia minut. Mel zaproponowała uroczystą kolację, z odrobiną hazardu na przystawkę. Gumm, jako idealny gospodarz, uparł się, że sam wszystkiego dopilnuje w jadalni. Korzystając z okazji, Mel wymknęła się, pozostawiając Sebastiana i Lindę przy stole do gry.

Na górę wjechała ekspresową windą. Na najwyższym piętrze panowała cisza. Spojrzała na zegarek, a potem skradzionym Lindzie kluczem zaczęła otwierać drzwi do jej apartamentu.

Potrzebowała już tak niewiele. Zgromadzone dowody wystarczały, żeby postawić podejrzanych przed sądem. Trzeba było jeszcze tylko znaleźć jakieś ogniwo, łączące Gumma i Lindę z Silbeyem albo z Breezeportami. A Gumm należał, zdaniem Mel, do ludzi, którzy wszystko zapisują i zawsze utrzymują porządek w papierach.

Może to było przeczucie, ale od razu podeszła do wielkiego, hebanowego biurka. Na samą myśl o tym, że nawet teraz Linda i Gumm planują kolejną kradzież dziecka, krew zawrzała jej w żyłach. Nie będzie stać z boku i przyglądać się, jak ktoś inny przeżywa to, przez co musieli przejść Stan i Rose. Zwłaszcza teraz, kiedy jest szansa, żeby temu zaradzić.

W biurku nie znalazła niczego, co by ją zainteresowało, natomiast zużyła na nie pięć z dwudziestu minut, jakie wyznaczyła sobie na poszukiwania. Nie zrażona, działała dalej, opukując stoły w poszukiwaniu podwójnego dna i ściany w poszukiwaniu skrytki. Znalazła

sejf, ukryty za półkami na książki, ale, niestety, nie miała czasu, żeby spróbować go otworzyć. Kiedy zostały jej już tylko trzy minuty, znalazła wreszcie to, czego szukała.

W pokoju za sypialnią, służącym Lindzie za garderobę, mieściło się małe biuro, gdzie na stole leżała oprawna w skórę książka rachunków.

Na pierwszy rzut oka wyglądała jak spis codziennych dostaw do hotelowych sklepów. Już miała ją odłożyć, kiedy uwagę jej przykuły daty.

„Towar zakupiono 1/21. Tampa. Odebrano 1/22. Little Rock. Dostarczono 1/23. Louisville. Pokwitowano odbiór 1/25. Detroit. Prowizja \$10,000”.

Mel zaczęła szybko przewracać kartki.

„Towar zakupiono 5/5. Monterey. Odebrano 5/6. Scuttlefield. Dostarczono 5/8. Lubbock; Pokwitowano odbiór 5/11. Atlanta. Prowizja \$12,000”.

David, pomyślała. Z jej ust popłynął strumień przekleństw. Wszystko tu było i - miasta i daty. I jeszcze coś więcej. Dzieci, zaksięgowane jak towar, wysłany za zaliczeniem pocztowym.

Zaciskając usta przerzucała kartki. W którymś momencie syknęła.

„H.B. zamówiła niebieską paczkę, West Bloomfield, New Jersey. Odbiór pomiędzy 8/22 a 8/25. Trasa standartowa, doręczenie i płatność ok. 8/31. Spodziewana prowizja \$ 25,000”.

- Ty podła dziwko! - mruknęła Mel, zamykając książkę. Tłumiąc w sobie chęć, żeby coś zniszczyć, raz jeszcze rozejrzała się po pokoju. Kiedy stwierdziła, że wszystko jest na swoim miejscu, ruszyła do drzwi.

- Pewnie znowu ma atak płaczu - usłyszała głos Lindy, która właśnie weszła do apartamentu. - Już on ją znajdzie.

Mel rozejrzała się i szybko weszła do garderoby.

- Nie mogę powiedzieć, żeby cieszyła mnie perspektywa wieczoru w jej towarzystwie - powiedział Gumm. - Wątpię, żeby chciała mówić o czymkolwiek innym prócz wyprawki i odżywek dla dzieci.

- Wszystko można znieść, kochanie, zwłaszcza za podwójną prowizję. Myślę, że to był dobry pomysł, żeby wydać kolację właśnie tutaj. Im bardziej będą wdzięczni i podnieceni, tym mniej będą myśleć. A kiedy już dostaną dzieciaka, nie będą o nic pytać.

- Tak samo uważa Harriet. Ethan już uruchamia tryby. Byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem Harriet na przyjęciu, ale ona chciała im się przyjrzeć osobiście. Od tej afery z Frostami zrobiła się bardzo ostrożna.

Mel zaczęła głęboko oddychać. Palce zacisnęła na kamieniu pierścionka. Komunikacja między dwojgiem ludzi, którzy coś dla siebie znaczą, pomyślała i zamknęła oczy. Miała nadzieję, że tak jest naprawdę. Przyjdź tu, Donovan! Podnieś tyłek i sprowadź posiłki.

Było to ryzykowne zagranie, ale Mel wiedziała, że wszystko przemawia na jej korzyść. Sięgnęła do torebki i wymacała kojący kształt rewolweru. Nie, nie w taki sposób! Wzięła głęboki oddech i zamiast wyjąć broń, schowała do torebki książkę rachunków. Postawiła torebkę na, podłodze, po czym otworzyła drzwi garderoby.

- Towar przekażę naszemu łącznikowi w Chicago - mówił właśnie Gumm.

- Chciałabym go odebrać w Albuquerque - wtrąciła się Linda. - Doliczę sobie parę tysięcy za przejazd. - Poderwała się, bo Mel w tej samej chwili głośno stuknęła krzesłem. - Co się dzieje?

Gumm w jednej sekundzie znalazł się w pokoju i wykręcił Mel rękę do tyłu.

- Puść mnie! - krzyknęła. - Jasper, to boli!

- Ludzie, którzy włamują się do cudzych mieszkań, muszą być na to przygotowani, że będzie ich bolało.

- Ja... ja się tylko chciałam na chwilę położyć. Nie wiedziałam, że będziecie mieli coś przeciwko temu.

- Co my tu mamy? - zapytała Linda.

- Wtyczkę. Powinienem był się domyślić.

- Glina? - chciała się upewnić Linda.

- Glina? - Mel próbowała się wyrwać. - O czym wy mówicie? Chciałam tylko trochę odpocząć.

- Jak się tu dostała? - zapytał Jasper, a Mel wypuściła z rąk klucz.

- I to mój! - prychnęła Linda. - Musiała mi go ukraść.

- Nie wiem, o czym... - zaczęła Mel, ale Jasper uciszył ją silnym ciosem, od którego zakręciło jej się w głowie. W tej sytuacji doszła do wniosku, że pora zacząć drugi akt.

- Dobrze już, dobrze, nie tak ostro! - Wzdrygnęła się. - Ja tylko wykonuję moją pracę.

Jasper pociągnął ją do salonu i pchnął na sofę.

- Mów! Co to za praca?

- Jestem aktorką. Robię ten numer z Donovanem. On jest prywatnym detektywem. - Wytrzymaj jeszcze parę minut, pomyślała. Donovan będzie tu lada chwila. Czują to. Była tego pewna. - Ja tylko robiłam to, co mi kazał. Nie obchodzą mnie wasze interesy.

Gumm podszedł do biurka i z górnej szuflady wyjął pistolet.

- Czego tu szukałaś?

- Nie musisz tego robić, człowieku. - Mel starała się zachować maksymalny spokój. - On kazał mi wziąć klucz, pojechać na górę i trochę się rozejrzeć. Powiedział, że w biurku mogą być jakieś papiery. - Wskazała na hebanowe biurko. - To był niezły ubaw, a poza tym dostałam za to kupę forsy.

- Aktorka i prywatny detektyw - powiedziała z wściekłością Linda. - I co teraz zrobimy?

- To, co musimy.

- Posłuchaj, jedno słówko, a już mnie tu nie ma. Wyjadę poza granicę tego stanu. Dobrze się bawiłam, mam na myśli ciuchy i całą resztę, ale nie chcę mieć kłopotów. Niczego nie widziałam i niczego nie słyszałam. ...

- Usłyszałaś wystarczająco dużo - przerwał jej Gumm. ciężko wzdychając.

- Mam kiepską pamięć.

- Zamknij się - warknęła Linda.

- Trzeba się skontaktować z Harriet. Wróciła już do Baltimore, żeby dopiąć ostatnie szczegóły. - Gumm przeczesał palcami włosy. - To jej się nie spodoba. Będzie musiała odwołać pielęgniarkę. Nie możemy brać dzieciaka, nie mając klienta.

- Dwadzieścia pięć tysięcy poszło w kubeł. - Linda obrzuciła Mel nienawistnym wzrokiem. - A ja tak cię lubiłam, Mary Ellen. - Podeszła do Mel i zacisnęła palce na jej gardle. - Jednak w tej sytuacji z przyjemnością sobie popatrzę, jak Jasper będzie dawał ci wycisk.

- Zaraz, zaraz, posłuchajcie...

- Zamknij się! - Linda odepchnęła Mel, a potem zwróciła się do Gumma: - Weź kogoś, żeby ją załatwił jeszcze tej nocy. I tego detektywa też. Najlepiej u nich w domu.

- Zajmę się tym, możesz być spokojna.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Mel podskoczyła, a Linda, zgodnie z przewidywaniami, zatkała jej usta.

- Obsługa hotelowa, panie Gumm.

- Cholerna kolacja - burknął Gumm. - Zabierz ją do drugiego pokoju i każ jej być cicho. Ja załatwię resztę.

- Z przyjemnością. - Linda wzięła od Gumma rewolwer i pociągnęła Mel do drugiego pokoju.

Gumm przygładził włosy, podszedł do drzwi i gestem wskazał kelnerowi, by wprowadził wózek z potrawami.

- Proszę nie nakrywać do stołu. Nasi goście jeszcze nie przyszli.

- Owszem, przyszli. - Sebastian jak burza wtargnął do pokoju. - Jasper, chciałem ci przedstawić agenta Służb Specjalnych Devereaux z FBI.

W sąsiednim pokoju Linda zaklęła, a Mel uśmiechnęła się złośliwie.

- Przepraszam - powiedziała, następując z całych sił Lindzie na nogę, po czym wytrąciła jej z ręki broń.

- Sutherland! - odezwał się z wściekłością Sebastian. - Jesteś mi winna wyjaśnienie.

- Za chwilę. - Mel odwróciła się i z uśmiechem przyłożyła Lindzie pięścią w twarz. - To za Rose - powiedziała z mściwą satysfakcją.

Sebastian nie był z niej zadowolony. Dał jej to jasno do zrozumienia podczas reszty wieczoru, kiedy próbowała mu wszystko wytłumaczyć. Devereaux także nie był zachwycony, co uznała za małostkowość z jego strony, bo przecież dostarczyła mu na tacy wszystkie dowody.

Sebastian miał prawo być zły, bo podjęła akcję na własną rękę, ale cóż, była przecież fachowcem. Poza tym wszystko potoczyło się tak, jak to sobie zaplanowała, więc w czym problem?

Pytała go o to kilka razy, kiedy się pakowali, podczas lotu do Monterey, a także kiedy wysadził ją pod biurkiem.

- Ja dotrzymałem słowa, Mary Ellen, a ty nie. Zawiodłaś moje zaufanie.

To było dwa dni temu, myślała Mel, siedząc przy biurku. Od tej pory Sebastian nie dawał znaku życia.

Przełknęła dumę i zadzwoniła do niego, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Mel wcale nie uważała, że winna jest mu przeprosiny.

Zastanawiała się nawet, czy nie pójść do Morgany i Anastasii i nie poprosić ich, żeby się za nią wstawiły, ale byłoby to dowodem jej słabości. A ona chciała tylko, żeby ich stosunki wróciły do normy.

Nie, pomyślała, chcę znacznie więcej. I dlatego tak bardzo cierpiała.

W końcu doszła do wniosku, że pozostaje jej tylko jedno wyjście. Dopadnie go, a jeżeli to będzie konieczne, przygwoździ do ściany i zmusi, żeby ją wysłuchał.

Jadąc krętą drogą do domu Sebastiana, ćwiczyła, co i w jaki sposób mu powie. Próbowała być twarda, potem spokojna, a raz uderzyła nawet w błagalną nutę. Kiedy doszła do wniosku, że to do niej nie pasuje, zdecydowała się na taktykę agresywną. Podejdzie do drzwi i każe mu przerwać to uciążliwe milczenie. Miała już tego dość.

A jeżeli okaże się, że Sebastiana nie ma, poczeka, choćby miało to trwać całe wieki.

Kiedy dotarła na szczyt wzgórza, przekonała się, że Sebastian jest w domu. I to nie sam. Na podjeździe stały trzy inne samochody, a wśród nich najdłuższa limuzyna na świecie.

Wysiadła z wozu i przystanąła, zastanawiając się, co dalej.

- A nie mówiłam? - rozległ się jakiś głos.

Mel rozejrzała się i zobaczyła ładną kobietę w eleganckiej, powiewnej sukni.

- Zielonooka blondynka - powiedziała radośnie nieznajoma. - Mówiłam, że coś go gnębi - dodała z wyraźnym irlandzkim akcentem.

- Tak, kochanie. - Towarzyszający jej mężczyzna był wysoki i szczupły, z lekko zarysowaną łysiną. W bryczesach i butach do konnej jazdy prezentował się dość ekscentrycznie. Na szyi zwiślał mu monokl. - Od razu przecież mówiłem, że musi chodzić o kobietę.

- Jakie to ma znaczenie? - Nieznajoma z wyciągniętymi rękami ruszyła ku Mel. - Halo, witam!

- Dzień dobry. Ja... szukam...

- Oczywiście, że tak - roześmiała się kobieta. - To widać, prawda, Douglas?

- Ładna - stwierdził zamiast odpowiedzi. - Pierwsza klasa! - Przyjrzał jej się oczami tak podobnymi do oczu Sebastiana, że Mel z miejsca domyśliła się wszystkiego.

- Nie powiedział nam o tobie, moje dziecko, a to mówi samo za siebie.

- Chyba tak - przyznała z wahaniem. Jego rodzice! Pomyślała, że podczas spotkania rodzinnego trudno będzie im się porządnie pokłócić, a przecież po to tu przyjechała. - Nie będę mu przeszkadzać, skoro ma gości. Proszę mu tylko powtórzyć, że tu byłam.

- Nonsens. Jestem Camilla, matka Sebastiana. - Kobieta wzięła Mel za rękę i poprowadziła w stronę domu.

- Doskonale cię rozumiem, moja droga. Sama kochałam go przez wiele lat.

Przerażona Mel zaczęła się rozglądać za drogą ucieczki.

- Nie... ja... przyjdę innym razem.

- Teraz albo nigdy - odezwał się Douglas i łagodnie wepchnął ją do domu. - Sebastian, popatrz, kogo ci przyprowadziliśmy. - Podniósł monokl do oka i rozejrzał się wokoło. - Gdzie jest ten chłopak?

- Na górze - odezwała się Morgana z kuchni. - Będzie... o, cześć!

- Cześć - Zimny ton Morgany uświadomił Mel, że źle się wybrała. - Już wychodzę. Nie wiedziałam, że macie rodzinne spotkanie.

- Oni czasami wpadają do nas. - Morgana spojrzała Mel w oczy i rozchmurzyła się. - Wejść - powiedziała cicho. - Wszystko będzie dobrze. On zaraz tu przyjdzie.

- Sadzę, że lepiej będzie...

- Poznaj resztę naszej rodziny - powiedziała Camilla. Chwyliła Mel za ramię i zaprowadziła do kuchni. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy. Kuchnia była pełna ludzi. Wysoka, posągowa kobieta śmiała się głośno, mieszając w garnku jakąś potrawę. Nash siedział na barowym stołku obok siwiejącego mężczyzny w średnim wieku. Kiedy mężczyzna spojrział na Mel, poczuła się jak ćma na szpilce.

- Witaj, Mel! - Nash pomachał jej ręką. Zaczęła się ceremonia prezentacji. Camilla wzięła na siebie rolę pani domu.

- Mój szwagier, Matthew - zaczęła, wskazując na mężczyznę obok Nasha. - Przy piecu siedzi moja siostra Maureen. - Maureen z roztargnieniem pomachała ręką i powąchała zawartość garnka. - A to moja druga siostra, Bryna.

- Witam! - Kobieta, równie urodziwa jak Morgana, podeszła i podała Mel rękę.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się onieśmielona. Wszyscy zjechaliśmy się tutaj przypadkowo dzisiejszego ranka.

- Ale ja naprawdę nie chciałabym przeszkadzać. Powinnam...

A potem było już za późno. W kuchni zjawił się Sebastian, w towarzystwie Any oraz krępego, zażywnego mężczyzny o płomiennym spojrzeniu.

- Jeszcze jeden gość, Sebastianie. - Bryna nadal trzymała Mel za rękę. - Mel, to jest Padrick, ojciec Any.

- Dzień dobry. - Mel łatwiej było patrzeć na niego niż na Sebastiana. - Miło mi pana poznać.

Padrick podeszedł bliżej i cmoknął ją w policzek.

- Zostań na obiedzie. Trochę cię utuczymy, moje dziecko. Maureen, kwiatuszku, co to za upajające zapachy?

- Gulasz.

Padrick mrugnął do Mel.

- Bez tłuszczu, gwarantuję.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie mogę zostać. - Odważyła się spojrzeć na Sebastiana. - Przepraszam - powiedziała cicho, a on wciąż patrzył na nią w milczeniu spokojnym, nieprzeniknionym wzrokiem. - Nie powinnam była... to znaczy, powinnam była wcześniej zadzwonić. Wpadnę innym razem.

- Przepraszam na chwilę - odezwał się Sebastian do całej grupy, chwytając Mel za rękę. - Muszę pokazać Mel żrebaka. Od urodzenia go nie widziała.

Mel rzuciła za siebie błagalne spojrzenie, ale on wypchnął ją za drzwi.

- Przecież masz gości! - zaprotestowała. Tymczasem goście rzucili się do okna, żeby zobaczyć, co będzie się działo.

- Rodzina to nie goście - powiedział Sebastian. - A skoro przejechałaś taki kawał drogi, pewnie masz mi coś ważnego do powiedzenia.

- Wszystko ci powiem, tylko przestań mnie szarpać.

- Dobrze. - Zatrzymał się przy padoku, na którym brykał żrebak. - Mów.

- Chciałam... rozmawiałam z Devereaux. Powiedział mi, że Linda poszła na współpracę i wszystko wyśpiewała. Mają dosyć dowodów, żeby zamknąć Gumma i Breezeportów, i to na długo. Innych też mogą postawić w stan oskarżenia, na przykład Silbeya.

- Wiem.

- Nie byłam pewna... To jeszcze trochę potrwa, zanim uda się odnaleźć dzieci i oddać je rodzicom, ale... A niech to! Przecież nam się udało! - wybuchnęła. - Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki skwaszony.

- Naprawdę? - Jego głos był podejrzenie łagodny.

- Zrobiłam to, co uważałam za najlepsze. - Podeszła do płotu. - Oni już zaplanowali kradzież kolejnego dziecka. Wszystko było w tej książce.

- W tej książce, którą znalazłaś, a zrobiłaś to bez uzgodnienia ze mną?

- Gdybym ci powiedziała, że tam idę, próbowałbyś mnie powstrzymać. Zrobiłam to po swojemu, żeby oszczędzić ci nerwów.

- Za to ryzyko było większe - powiedział z gniewem! - Masz sińca na policzku.

- Ryzyko zawodowe - odparowała. - Poza tym to mój policzek.

- Na miłość boską, ona miała cię na muszce.

- Tylko przez minutę. W dniu, w którym nie będę mogła sobie poradzić z takim zerem jak Linda Glass, przejdę na emeryturę. Już ci mówiłam, że nie mogłam znieść myśli, że porwą jeszcze jedno dziecko, dlatego to zrobiłam. - Spojrzała na niego tak wymownie, że nagle opuścił go gniew. - Wiem co robię i wiem też, że to mogło tak wyglądać, jakbym cię chciała wykiwać, ale to nieprawda. Przecież cię przywołałam.

Sebastian wziął głęboki oddech, lecz wciąż nie potrafił się uspokoić.

- A gdybym przyszedł za późno?

- Przyszedłeś jednak w samą porę, więc w czym problem?

- Problem w tym, że mi nie zaufałaś.

- Jak to nie? A komu ufałam, kiedy stałam w tej garderobie i próbowałam przywołać ciebie i policję za pomocą pierścionka? Gdybym nie miała do ciebie zaufania, wymknęłabym

się cichaczem razem z tą książką. - Chwyliła go za koszulę i mocno nim potrząsnęła. - Właśnie dlatego rozegrałam to w ten sposób, że w ciebie wierzyłam. Zostałam tam i dałam się złapać, bo ufałam, że przyjdiesz mi z pomocą. Próbowałam ci to wszystko wcześniej wytłumaczyć. Wiedziałam, że Gumm i Linda powiedzą takie rzeczy, które mogą się przydać Devereaux, a mając dodatkowy dowód w postaci książki, będziemy ich mieli w garści.

Sebastian zdołał się wreszcie uspokoić. Odwrócił się. Wciąż był zły, ale czuł, że Mel mówi prawdę. Może nie o taki rodzaj zaufania mu chodziło, niemniej jednak było to już coś.

- Mogło ci się stać coś złego.

- Wiem, ale za każdym razem, gdy biorę jakąś sprawę, może mi się stać coś złego. Taką mam pracę. I taka jestem. - Chrzęknęła Gardło miała ściśnięte. - Musiałam zaakceptować nie tylko ciebie, ale także to, kim jesteś, a możesz mi wierzyć, nie było to takie proste. Jeżeli mamy pozostać... przyjaciółmi, spodziewam się tego samego po tobie.

- Może i masz rację, ale nadal nie podoba mi się twój styl.

- Twoja sprawa - odgryzła się. - A mnie nie podoba się twój.

Patrząc przez okno. Camilla potrząsnęła głową.

- On zawsze był taki uparty.

- Stawiam dziesięć funtów, że ona sobie z nim poradzi. Padrick żartobliwie uszczypnął żonę w pośladek.

Dziesięć funtów, bez żadnych sztuczek.

- Óóó! - syknęła Ana. - Bo nie będziemy nic słyszeli. Mel westchnęła.

- Przynajmniej wiemy, na czym stoimy - powiedziała.

- Jest mi bardzo przykro.

- Czy dobrze słyszę? - Sebastian odwrócił się. Zdumiały go ślady łez na jej twarzy. -

Mary Ellen...

- Daj spokój, poradzę sobie. - Otarła ze złością łzy.

- Mam zwyczaj robić to, co uważam za słuszne, i nadal uważam, że to, co zrobiłam, było właściwe... ale jest mi też przykro, że jesteś na mnie taki zły, bo... ach, nienawidzę tego!

- Zasłoniła twarz i uchyliła się, kiedy wyciągnął do niej rękę. - Przestań, nie chcę, żebyś to robił. Nie musisz mnie głaskać i pocieszać, nawet jeżeli zachowuję się jak dziecko. Doprowadziłam cię do szału. Nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. Ani o to, że zostawiłeś mnie na lodzie.

- Ja zostawiłem cię na lodzie? - Nagle zachciało mu się śmiać. - Ja tylko zostawiłem cię samą i bezpieczną, do czasu kiedy będę pewny, że już nie chcę cię udusić albo postawić ci ultimatum, które mogłabyś odrzucić.

- Wszystko mi jedno. - Mel wytarła nos i spróbowała się opanować. - Mam wrażenie, że uraziłam cię moim postępowaniem, chociaż wcale tego nie chciałam.

Sebastian uśmiechnął się.

- Dokładnie tak samo jak ja.

- W porządku - powiedziała i pomyślała, że musi być jakiś sposób, żeby zakończyć tę sprawę bez uszczerbku dla własnej godności. - Tak czy owak, chciałam oczyścić atmosferę i chciałam ci też powiedzieć, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. A ponieważ sprawa została zamknięta, powinnam ci to zwrócić. - Nigdy w życiu nie było jej tak ciężko jak teraz, kiedy musiała zdjąć z palca pierścioneł, który dostała od Sebastiana. - Wygląda na to, że Ryanowie biorą rozwód.

- Tak. - Sebastian wziął pierścioneł i patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Nie musiał zaglądać w myśli Mel, żeby odgadnąć, jak bardzo cierpi. I choć to niezbyt szlachetnie z jego strony, bardzo go to ucieszyło. - Szkoda - pogłaskał ją po policzku, - ale ja i tak wolę ciebie od Mary Ellen Ryan.

- Naprawdę? - zapytała zaskoczona.

- Tak. Zaczynała mnie nudzić. Nigdy się ze mną nie kłóciła i zawsze miała umalowane paznokcie. - Łagodnym ruchem przyciągnął ją do siebie. - A poza tym nigdy w życiu nie pokazałaby się w tych dzinsach.

- Chyba nie - szepnęła Mel. Wtuliła się w Sebastiana i podała mu usta do pocałunku. Drżąc, zarzuciła mu ręce na szyję. Łzy popłynęły jej po policzkach. - Sebastian, potrzebuję... - Przycisnęła go jeszcze mocniej.

- Powiedz mi.

- Chcę... o Boże, ty mnie przerażasz. - Odwróciła wzrok. W jej oczach malował się strach. - Lepiej poczytaj w moich myślach, dobrze? Zobacz, co czuję, a potem daj mi spokój.

Oczy mu pociemniały. Ujął w dłonie jej twarz. Wejrzał w jej myśli i zobaczył to wszystko, na co czekał.

- Jeszcze raz - mruknął, sięgając jej ust. - A możesz mi to sama powiedzieć? Wymówić głośno te słowa? Są jak najprawdziwsze zaklęcia.

- Nie chce, żeby ci się wydawało, że cię do czegoś zmuszam. Chodzi tylko o to, że...

- Kocham cię - dokończył za nią.

- Tak. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Można powiedzieć, że przekroczyłam pewne granice. Nie chciałam o tym mówić, ale czułam, że powinnam. Masz prawo wiedzieć, co jest grane. Chociaż to dziwne dowiadywać się o tym w takich okolicznościach, kiedy masz dom pełen ludzi.

- Którzy stoją teraz z nosem przyklejonym do szyby i cieszą się tak samo jak ja.

- Kto...? - Odwróciła się, splonęła rumieńcem, po czym szybko się cofnęła. - Boże! Już sobie idę. Nie mogę w to uwierzyć, że byłam zdolna do czegoś takiego. - Podniosła rękę i nagle zobaczyła na palcu pierścione! Oszłupiała. Sebastian zrobił krok w jej stronę.

- Dałem ten kamień Morganie. To był mój najcenniejszy skarb. Poprosiłem ją, żeby kazała zrobić pierścionek. Dla ciebie. Dla ciebie - powtórzył, czekając, by Mel podniosła na niego wzrok. - Bo byłaś jedyną kobietą, która miała go nosić. Jedyną kobietą, z którą chciałem dzielić życie. Dwukrotnie wkładałem ci go na palec i za każdym razem była to obietnica. - Wyciągnął rękę. - Nikt nigdy i nigdzie nie będzie cię bardziej kochał.

Mel miała już suche oczy. Ogarnął ją błogi spokój.

- Naprawdę?

- Nie, Sutherland - powiedział. - Usta drgnęły mu w uśmiechu. - Nie widzisz, że kłamię?

Rzuciła się ze śmiechem w jego ramiona.

- Nie wykręcisz się, mam świadków. - Spontaniczne oklaski, dobiegające z kuchni, sprawiły, że znów się roześmiała. - Kocham cię, Donovan. Zrobię wszystko, żebyś miał ciekawe życie.

- Wiem. - Pocałował ją po raz ostatni, a potem, chwytając ją za rękę, powiedział: - Wracajmy teraz do mojej rodziny. Od rana czekaliśmy tylko na ciebie.